



artefakty

# JOHN BRUNNER

NA FALI SZOKU



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

podziękowania

księga pierwsza. PODSTAWY RADZENIA SOBIE ZE STRESEM

księga druga. CZÓŁNO DELFICKIE

księga trzecia. ANATOMIA WYŚCIGU MÓZGÓW

John Brunner

NA FALI SZOKU

Przełożył Michał Jakuszewski

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *The Shockwave Rider*

Copyright © 1975 by John Brunner

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-7480-591-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

## podziękowania

Ludzie tacy jak ja, próbujący stworzyć fikcyjny opis przyszłości – obcego kraju, do którego, chcąc nie chcąc, wszyscy zostaniemy deportowani – nie tworzą swych domysłów w próżni. Wszyscy – a ja w tym konkretnym przypadku szczególnie – mamy do spłacenia dług wobec tych, którzy analizują bezkresne możliwości jutra w bardziej praktycznym celu... na przykład w wątlej, choć chwalebnej nadziei, że nasze dzieci mogą odziedziczyć świat, w którym wyobraźnia i zdolność przewidywania będą odgrywały większą rolę niż w tym, w którym obecnie żyjemy.

„Scenariusz” (używając modnego określenia) *Na fali szoku* w znacznej mierze wywodzi się z pobudzającej do myślenia książki Alvina Tofflera *Szok przyszłości* i z tego powodu jestem mu bardzo wdzięczny.

J. K. H. B.

# księga pierwsza

PODSTAWY RADZENIA SOBIE ZE STRESEM

## MYŚL NA DZIŚ

Ustąp im o włos, a zamienią twoje życie w piekło.

### TRYB TRYWIALIZACJI DANYCH

Mężczyzna siedzący na krześle z nagiej stali również był nagi, podobnie jak białe ściany pokoju. Jego ciało i głowę całkowicie wygolono, pozostawiając jedynie rzęsy. Małe kawałki taśmy klejącej utrzymywały na miejscu czujniki ulokowane w kilkunastu punktach na skórze czaszki, na skroniach blisko kącików oczu, po obu stronach ust, na gardle, nad sercem, nad splotem słonecznym i nad każdym ważniejszym zwojem nerwowym, aż po kostki.

Od każdego czujnika odchodził cienki jak nić pajęczą przewód wiodący do jedynej – poza stalowym krzesłem oraz dwoma innymi, miękko wyściełanymi – obiektu składającego się na umeblowanie pokoju. Była to konsola analizy danych, szeroka na metr, a wysoka na pół metra. Na jej pochyłym blacie umieszczono liczne ekrany i światła sygnałowe, dobrze widoczne z jednego z wyściełanych krzeseł.

Dodatkowo, na sterujących z oparcia stalowego krzesła wysuwanych przętach rozmieszczono mikrofony oraz trójwymiarową kamerę.

Mężczyzna z ogoloną głową nie był w pokoju sam. Towarzyszyły mu trzy inne osoby: młoda kobieta w gładkim białym kombinezonie, sprawdzająca lokalizację czujników; chudy, czarny mężczyzna w modnym,

ciemnoczerwonym trzyczęściowym garniturze, mający na piersi plakietkę ze zdjęciem oraz nazwiskiem Paul T. Freeman; oraz biały mężczyzna masywnej budowy, w wieku około pięćdziesięciu lat. Miał granatowy garnitur, a plakietka informowała, że nazywa się Ralph C. Hartz.

Hartz kontemplował ten widok przez dłuższy czas, nim wreszcie się odezwał.

– A więc to jest cwaniaczek, który osiągnął więcej niż pozostali, zrobił to szybciej i wytrzymał dłużej – odezwał się wreszcie.

– Haflinger faktycznie dokonał imponujących osiągnięć – przyznał łagodnym tonem Freeman. – Widział pan jego akta?

– Oczywiście. Dlatego tu jestem. To może być atawistyczne pragnienie, ale miałem ochotę zobaczyć na własne oczy faceta, który zaprezentował tak zdumiewające bogactwo nowych osobowości. Chyba łatwiej byłoby zapytać, czym się nie zajmował. Projektant utopii, doradca stylu życia, delficki hazardzista, konsultant do spraw sabotażu komputerowego, racjonalizator systemów i Bóg wie co jeszcze.

– A także kapłan – dodał Freeman. – Dzisiaj przejdziemy do tej dziedziny. Na uwagę zasługuje jednak nie liczba różnych zawodów, którymi się parał, ale kontrast między kolejnymi wersjami jego osobowości.

– Z pewnością należało oczekiwać, że będzie się starał możliwie jak najskuteczniej zatrzeć za sobą ślady?

– Nie w tym rzecz. Fakt, że wymykał się nam tak długo, świadczy, że nauczył się żyć z odruchową reakcją na przeciążenie, a nawet panować nad nią do pewnego stopnia, za pomocą dostępnych w handlu uspokajaczy, które ludzie tacy jak pan czy ja mogliby przyjmować na przykład dla złagodzenia szoku związanego z przeprowadzką. W dodatku nie mógł ich brać zbyt wiele.

– Hmm... – zastanowił się Hartz. – Ma pan rację, to zdumiewające. Czy jesteście gotowi rozpocząć dzisiejsze testy? Nie mogę spędzić w Tarnover zbyt wiele czasu.

– Tak, proszę pana, wszystko jest przygotowane – odparła, nie podnosząc wzroku, dziewczyna w kombinezonie ze sztucznego tworzywa,



po czym ruszyła ku drzwiom. Freeman wskazał krzesło Hartzowi i gość na nim usiadł.

– Czy dajecie mu zastrzyki albo coś w tym rodzaju? – zapytał z powątpiewaniem. – Sprawia wrażenie głęboko uspokojonego.

– Nie, to nie jest kwestia medykamentów – odparł Freeman, sadowiąc się wygodnie na swoim krześle naprzeciwko konsoli. – Oddziałujemy prądem na ośrodki ruchu. No wie pan, to jedna z naszych specjalności. Wystarczy przesunąć ten przełącznik, a obiekt odzyska świadomość, choć rzecz jasna nie zdolność chodzenia. W wystarczającym stopniu, by mógł udzielać szczegółowych odpowiedzi. Swoją drogą, zanim go uruchomię, powinienem w skrócie zrelacjonować ostatnie wydarzenia. Wczoraj przerwałem w chwili, gdy natrafiłem na coś, co wyglądało na szczególnie mocno obciążony obraz. Dlatego cofnę go do tej samej daty i znowu zaprezentuję tę wizję. Zobaczymy, co się stanie.

– Co to był za obraz?

– Dziewczynka w wieku około dziesięciu lat uciekająca co sił w nogach przez ciemność.

## DLA CELÓW IDENTYFIKACJI

Aktualnie nazywam się Arthur Edward Lazarus. Z zawodu jestem duchownym, mam czterdzieści sześć lat i żyję w celibacie. Jestem założycielem i właścicielem Kościoła Nieskończonej Intuicji. Budynek jest skonwertowanym (skuteczna konwersja to z pewnością najlepszy sposób na założenie Kościoła) kinem samochodowym w pobliżu Toledo w stanie Ohio. Stał pusty przez wiele lat, nie dlatego, że ludzie nie oglądają już filmów – nadal się je kręci, ponieważ zawsze są chętni na szerokooekranowe porno tego typu, które sprawia, że trójwymiarowy przekaz pirackich satelitów w mgnieniu oka zamienia się w śnieżenie – ale dlatego, że znajduje się na spornych ziemiach między terytorium protestanckiego szczepu Billykingów a Graalowcami, którzy są katolikami.

Nikt nie chce, żeby wyszczepowano jego nieruchomość. Szczepy jednak z reguły szanują kościoły, a terytorium najbliższej muzułmańskiej grupy, Dzieci Dżihadu, znajduje się dziesięć mil dalej na zachód.

Rzecz jasna, mój kod zaczyna się od 4GH. Już od sześciu lat.

*Notatka dla przyszłych osobowości:* sprawdźcie, czy nastąpiła jakaś zmiana w statusie 4GH, a zwłaszcza, czy wprowadzono coś lepszego... takie komplikacje należy śledzić z najwyższą uwagą.

## MAHER-SHALAL-HASH-BAZ

Biegła, oślepiona smutkiem, pod niebem pyszniącym się tysiącem dodatkowych gwiazd. Każda z nich poruszała się po firmamencie szybciej niż minutowa wskazówka. Powietrze czerwcowej nocy drażniło jej gardło, bolały ją wszystkie mięśnie nóg, brzucha, a nawet rąk, lecz mimo to nadal pędziła tak szybko, jak tylko mogła. Było tak gorąco, że łzy ciekące jej z oczu natychmiast wysychały.

Czasami biegła po mniej więcej równej drodze, nieremontowanej od lat, lecz nadal nadającej się do użytku, w innych zaś chwilach przez rumowisko, być może pozostałe po fabrykach, których właściciele przenieśli działalność na orbitę, albo po domach mieszkalnych wyszczepowanych podczas jakiś dawnych zamieszek.

W ciemności przed nią majaczyły latarnie oraz oświetlone billboardy przy autostradzie. Trzy znaki reklamowały kościół i oferowały darmowe delfickie doradztwo zarejestrowanym członkom kongregacji.

Rozejrzała się szaleńczo, zamrugła, by odzyskać jasność widzenia, i ujrzała monstrualną, wielobarwną kopułę, wyglądającą jak lampion wykonany z nadymki rozdętej tak bardzo, że zrobiła się większa od wieloryba.

\* \* \*

Śledzący ją z dyskretnej odległości mężczyzna w elektrycznym samochodzie, kierujący się lokalizatorem ukrytym w papierowym fartuchu, który był wszystkim, co miała na sobie poza sandałami, stłumił ziewnięcie. Miał nadzieję, że tej akurat niedzieli pościg nie okaże się szczególnie długi ani nudny.

## ZYSKI NA MAŁYCH W BRZUCHU WIELKIEJ RYBY

Wielebny Lazarus nie tylko odprawiał w kościele nabożeństwa, lecz również w nim mieszkał. Jego domem była przyczepa parkingowa stojąca za kosmoramycznym ołtarzem – dawnym ekranem kinowym o wysokości dwudziestu metrów. Jak inaczej ktoś o powołaniu duchownego mógłby sobie zapewnić tak wiele prywatności i tak dużo miejsca?

Otoczony nieustannym szumem sprężarki nadmuchującej wielobarwną plastikową kopułę – trzysta na dwieście metrów szerokości i dziewięćdziesiąt wysokości – siedział sam za biurkiem w przednim przedziale przyczepy, który był jego maleńkim biurem, i liczył zyski z dzisiejszych datków. Czuł się zaniepokojony. Jego układ z coleyową grupą zapewniającą muzykę podczas nabożeństw opierał się na procencie od zysków, musiał jednak zagwarantować im tysiaka, a frekwencja spadała, odkąd kościół utracił wabik nowości. Dzisiaj zjawilo się zaledwie około siedmiuset osób. Kiedy wracali autostradą, nawet nie spowodowali korka.

Co więcej, po raz pierwszy od chwili założenia Kościoła przed dziewięcioma miesiącami, w datkach było więcej kuponów niż gotówki. Obrót tej ostatniej nie był już zbyt wielki – przynajmniej na tym kontynencie – pomijając strefy dotowanej rezygnacji, gdzie ludzie otrzymywali federalne dofinansowanie w zamian za obywatelstwo bez niektórych co kosztowniejszych dwudziestopierwszowiecznych gadżetów. Jednakże otwieranie połączenia z kredytowanymi federalnymi komputerami w niedzielę, gdy miały oficjalny dzień przestoju, wymagało

dopłaty wykraczającej poza możliwości większości Kościołów, w tym również tego, którym kierował Lazarus. Dlatego wierni z reguły pamiętali o tym, by przynieść monety, banknoty albo książeczki z kuponami, które otrzymywali przy zapisie do kongregacji.

Kłopot z tymi kuponami – Lazarusa nauczyło tego smutne doświadczenie – polegał na tym, że gdy jutro odeśle je do banku, połowa wróci ze stemplem „nieważne”. Na im większą sumę opiewały, tym bardziej było to prawdopodobne. Niektóre mogły pochodzić od ludzi, którzy narobili już tak wiele bezsensownych długów, że komputery zabroniły im wydawania pieniędzy na wszystko poza towarami niezbędnymi do życia; każdy nowy Kościół z zasady przyciągał liczne ofiary szoku. Niektóre mogły jednak zostać unieważnione dopiero potem, na skutek rodzinnej kłótni.

– Skredytowałeś mu ile? Mój Boże, co ja zrobiłam, żeby zasłużyć na takiego pacana? Masz natychmiast unieważnić te kupony!

Niemniej niektórzy ludzie wykazali się nieświadomą hojnością. Zebrał stosik ponad pięćdziesięciu miedzianych dolarów, wartych trzysta dla każdej firmy elektronicznej, ponieważ rudy z planetoid były ubogie w dobre przewodniki elektryczności. Sprzedawanie gotówki na złom było nielegalne, ale wszyscy to robili, zapewniając, że na strychu kupionego od nieznanego domu znaleźli stare rondle albo wykopali na podwórku bezużyteczne kable.

Na publicznych tablicach delfickich wysoką pozycję zajmowała obecnie przepowiednia, że następne dolary będą plastikowe, a ich trwałość wyniesie rok, góra dwa lata. No cóż, im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej stają się biodegradowalne...

Wsypał pieniądze do wytapiarki, nie licząc ich, ponieważ ważny był jedynie ciężar sztaby, którą w ten sposób uzyska. Potem zajął się drugim zadaniem, które musiał wykonać, nim zakończy pracę – analizą delfickich formularzy wypełnionych dziś przez członków kongregacji. Było ich znacznie mniej niż w kwietniu. Wtedy spodziewałby się tysiąca czterystu albo tysiąca pięciuset, dziś zaś otrzymał zaledwie połowę tej liczby. Niemniej nawet siedemset formularzy plus garść opinii to było znacznie

więcej niż mogła zgromadzić większość indywidualnych osób, zwłaszcza jeśli dopadła je ostra depresja albo jakiś inny kryzys związany ze stylem życia.

Z definicji wszyscy członkowie jego kongregacji byli ofiarami kryzysów związanych ze stylem życia.

Formularze były zestawami prostych zdań przedstawiających w streszczeniu jakiś problem natury osobistej. Pod wszystkimi z nich umieszczono wolną przestrzeń, na której każdy płacący członek kongregacji powinien zaproponować jego rozwiązanie. Dziś na formularzach umieszczono dziewięć pozycji, co było smutnym kontrastem w porównaniu z pięknymi dniami wiosny, gdy był zmuszony kontynuować formularz na drugiej stronie. Z pewnością rozeszły się już wieści, mówiące: „Dzisiaj kazał nam wydelfować dziewięć zadań, więc w następną niedzielę będziemy...?”.

*Jak się nazywa przeciwieństwo kuli śniegowej? Kula odwilżowa?*

Choć jego wybujałe nadzieje spełzły na niczym, był zdeterminowany nadal robić swoje. Był to winien samemu sobie, tym, którzy regularnie uczestniczyli w jego nabożeństwach, a nade wszystko tym, których szczere krzyki bólu dziś podsłuchał.

Punkt A na liście zlekceważył. Wymyślił ten problem jako atrakcyjną przynętę. Skandal tego rodzaju z pewnością mógł sprawić, że media w końcu przyciągną uwagę ludzi. Przynęta była niejasną nadzieją, że pewnego dnia, już wkrótce, zauważą jakiegoś newsa i będą mogli powiedzieć sobie nawzajem: „Hej, ten kawałek o dziobaku, którego zastrzelili za dobieranie się do własnej córki. Pamiętasz, jak kalkulowaliśmy to w kościele?”

Więź z dniem wczorajszym, słaba, ale cenna.

Przeczytał z ironią to, co wykombinował: *Jestem czternastoletnią dziewczyną. Mój ojciec jest ciągle pijany i próbuje się do mnie podłączyć, ale marnuje tyle kredytu na gorzałę, że nie starcza dla mnie na opłatę, kiedy wychodzę, i skonfiskowali mój...*

Odpowiedzi były nudne i przewidywalne. Dziewczyna powinna się zwrócić do sądu z wnioskiem o uznanie za pełnoletnią; albo natychmiast

powiedzieć o wszystkim matce; albo donieść anonimowo na ojca; albo postarać się, by zablokowano mu kredyt; albo zwać z domu i zamieszkać w noclegowni dla nastolatorów... i tak dalej.

– Boże! – zawołał w pustkę. – Gdybym zaprogramował komputer, by kierował moim konfesjonalem, ludzie dostawaliby lepsze rady!

Nic w tym projekcie nie toczyło się zgodnie z jego nadziejami. Nawet w najmniejszym stopniu.

Co więcej, następny punkt opisywał prawdziwą tragedię. Jak jednak można było pomóc jeszcze młodej, trzydziestoparoletniej kobiecie posiadającej dyplom inżyniera elektronika, która podpisała sześciomiesięczny kontrakt i poleciała na orbitę, by ponieważ się przekonać, że padła ofiarą osteokalcjolyzy – utraty wapnia oraz innych substancji mineralnych w kościach w warunkach zerowego przyciągania – musiała rzucić pracę i teraz groziło jej połamanie kości, gdy tylko się potknie. Cech nadał jej status łamiącej kontrakty bez prawa do apelacji. Nie mogła wystąpić do sądu o przywrócenie praw, ponieważ bez pracy nie miała pieniędzy na prawnika, a nie mogła znaleźć pracy, dopóki cech nie przywróci jej praw... i tak dalej.

*W naszym nowym wspaniałym świecie mamy mnóstwo nowych wspaniałych nieszczęść!*

Złożył z westchnieniem formularze w stertę i położył ją pod obiektywem skanera domowego komputera, celem konsolidacji i werdyktu. Dla tak niewielu nie warto było płacić za korzystanie z publicznej sieci. Do pomruku sprężarki przyłączył się szelest plastikowych palców sortera papieru.

Komputer był kupiony z drugiej ręki i już prawie przestarzały, ale z reguły nadal działał. Dlatego, pod warunkiem, że urządzenie nie będzie miało złej nocy, kiedy nieśmiałe dzieciaki, zaniepokojeni rodzice, zdrowe, lecz z jakiegoś powodu nieszczęśliwe średniolaty oraz zagubieni, zdesperowani staruszkowie wrócą po swą porcję duchowej pociechy, każde z nich otrzyma koło ratunkowe z papieru, pachnący staromodnym absolutnym autorytetem certyfikat z nagłówkiem wydrukowanym na imitacji złotego listka, potwierdzającym, że to autentyczna, legalna

delficka porada oparta na wkładzie co najmniej \_\_\_set\* osób (\* wstaw liczbę, dokument nie jest ważny, jeśli całkowita liczba nie przekracza dziewięćdziesięciu dziewięciu) przekazany pod przysięgą/zdeponowany w obecności dorosłych świadków/potwierdzony pieczęcią notarialną\*\* (\*\* niepotrzebne skasować) \_\_ (dnia) \_\_ (miesiąca) 20\_\_ (roku).

To był tylko marny, prowizoryczny pomnik upadku jego wspaniałego projektu stworzenia prywatnej puli krzyżowej analizy wpływów i znalezienia punktu oparcia, z którego będzie mógł poruszyć Ziemię. Wiedział już, że wybrał niewłaściwe podejście, ale gdy wspominał chwilę przybycia do Ohio, nadal czuł lekką tęsknotę.

Niemniej jego działania mogły przynajmniej uratować garstkę ludzi przed narkotykami, samobójstwem albo morderstwem. Nawet jeśli nie zdołał osiągnąć nic więcej, jego delfickie certyfikaty wywierały podświadome wrażenie: *Jednak się liczę, bo tu jest napisane, że nad moim problemem zastanawiały się setki ludzi!*

Odniósł też parę sukcesów na publicznych tablicach delfickich, korzystając z nieświadomych rad kolektywu.

\* \* \*

Zakończył pracę na dziś i przeszedł do mieszkalnej części przyczepy, przekonał się jednak, że wcale nie chce mu się spać. Zastanawiał się, czy nie połączyć się z kimś i nie zagrać w fechtunek, ale przypomniał sobie, że ostatni z miejscowych przeciwników, z którymi skontaktował się po przybyciu tutaj, niedawno się wyprowadził, a była już dwudziesta trzecia – za późno, by odszukać innego gracza, korzystając z pomocy Komisji Fechtunkowej stanu Ohio.

Ekran do gry w fechtunek pozostał więc zwinięty w tubie, razem z pisakiem świetlnym i licznikiem punktów. Lazarus pogodził się z myślą o godzinie poświęconej wyłącznie trójwymiarowi.

Pod wpływem nagłego impulsu przesadnej hojności, jeden z pierwszych członków jego kongregacji ofiarował mu odrażająco drogi prezent – monitor, który po zaprogramowaniu zgodnie z gustem właściciela

natychmiast wyszukiwał kanał nadający odpowiednie programy. Mężczyzna osunął się na krzesło i włączył urządzenie. Ekran się zaświecił i w następnej chwili Lazarusa poproszono, by doradził jamajskiej opozycji, co ma zrobić w sprawie szalejącego na wyspie głodu, by móc w następnych wyborach pozbawić władzy partię rządzącą. Obecnie większość opinii skupiała się wokół sugestii, że powinni kupić towarowy sterowiec i transportować nim kontenery z syntetyczną żywnością do regionów, które najpoważniej ucierpiały. Nikt dotąd nie wskazał, że tak duży sterowiec kosztowałby siedmiocyfrową sumę, a Jamajka jak zwykle była bankrutem.

*Nie dzisiaj! Nie mogę już znieść więcej głupoty!*

Ale gdy odrzucił tę propozycję, ekran zgasł. Czy na niezliczonych kanałach trójwymiaru rzeczywiście nie było nic więcej, co zainteresowałoby wielebnego Lazarusa? Wyłączył monitor i przeszedł na ręczne przestawianie kanałów.

Najpierw znalazł coleyową grupę. Muzycy mieli pomalowane na niebiesko twarze i pióra we włosach. Nie grali na instrumentach, lecz krążyli wokół niewidzialnych snopów słabych mikrofal, prowokując zaburzenia, przekształcane przez komputer w dźwięki... mogące stać się muzyką, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Byli sztywni, niezgrabni i mieli kiepską koordynację. Jego amatorska grupa, złożona z niedawnych licealistów, lepiej sobie radziła z utrzymywaniem tonacji i wyszukiwaniem akordów.

Przełączył kanał i trafił na skandalizujący biuletyn nadający oszczercze, niemożliwe do udowodnienia – ale z uwagi na komputerową redakcję niedające podstaw do pozwu o zniesławienie – plotki, mające uspokoić ludzi, zapewniając ich, że świat rzeczywiście wygląda tak fatalnie, jak im się zdaje. W El Paso wymieniano nazwisko burmistrza po aresztowaniu człowieka prowadzącego nielegalną pulę delficką. Przyjmował on zakłady o liczbę ofiar śmiertelnych, połamanych kończyn oraz wybitych oczu podczas meczów hokejowych i futbolowych. To nie pula jako taka była sprzeczna z prawem, lecz fakt, że przekazywała wygrywającym zakłady mniej niż wymagane ustawą pięćdziesiąt procent pieniędzy. No cóż,



z pewnością wymieniono nazwisko burmistrza, i to nie raz. Natomiast w Wielkiej Brytanii sekretarz Rady Oczyszczenia Rasy poprosił księżniczkę Shirley i księcia Jima, by wspólnie stali się jej patronami, ponieważ oboje słynęli ze stanowczych opinii na temat imigracji na tę nieszczęsną wyspę. Biorąc pod uwagę, jak szybko nędza wyganiała mieszkańców ze wszystkich okolic kraju, poza położonymi najbliższej kontynentu, trudno się było spodziewać, by miało to zaimponować Australijczykom i Nowozelandczykom. Czy było prawdą, że atak rakietowy na turystyczne hotele na Seszelach, do którego doszło w ubiegłym tygodniu, sfinansowała konkurencyjna sieć hoteli, a nie separatystyczna Partia Wyzwolenia Seszeli?

Do diabła z tym.

Na następnym kanale znalazł jednak cyrk. Tak przynajmniej wszyscy to nazywali, choć oficjalna nazwa brzmiała „kompleks nauczania przez doświadczenie, opartego na nagrodach i karach”. Trafił na gwiazdę tej dziedziny, być może najpopularniejszą ze wszystkich. Człowiek ten działał z Quemadurze w stanie Kalifornia, wykorzystując jakieś dotąd nieodwołane miejscowe prawo, pozwalające mu korzystać z żywych zwierząt. Sześć otwierających szeroko oczy z przerażenia dzieciaków stało w kolejce do szerokiej najwyżej na pięć centymetrów kładki, biegnącej nad wielkim basenem, w którym roilo się od niespokojnych aligatorów. Podochoceni rodzice głośno dopingowali swe latorośle. Wyraźny czerwony napis w rogu ekranu głosił, że każdy krok postawiony przez dziecko na kładce przed wpadnięciem do wody będzie wart tysiąc dolarów. Ponownie przełączył kanał, tym razem z drzeniem.

Sąsiedni kanał powinien być pusty, ale nie był. Przejął go chiński piracki satelita, starający się dotrzeć do emigrantów mieszkających na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Podobno w pobliżu Cleveland istniał chiński szcep. A może to było Dayton? Ponieważ nie znał języka, przełączył się na kolejny kanał, na którym natrafił na reklamy. Następny był poświęcony doradztwu stylu życia. Wiedział, że prowadzi on prywatne kliniki dla klientów, których stan się pogorszył, zamiast się poprawić, po zastosowaniu się do zakrojonych na szeroką skalę sugestii, których im

udzielono. Drugi oddział był przeznaczony dla ofiar środka euforyzującego, który reklamowano jako niezależniący, co okazało się nieprawdą. Agencja Żywności i Leków pozwała sprzedającą go firmę, ale – jeśli wierzyć plotkom – producenci dotarli do sędziego i przemówili mu do ręki, co pozwoliło im zachować zyski pod warunkiem, że dobrowolnie wycofają produkt z rynku, nim dojdzie do procesu. Opieka nad kilkuset tysiącami nowych uzależnionych spadła na barki niedofinansowanej, przeciążonej Federalnej Służby Zdrowia.

Potem był kolejny piracki kanał, sądząc po akcencie, australijski. Dziewczyna w kostiumie składającym się z sześciu strategicznie rozmieszczonych kulek mówiła:

– Znacie to? Gdyby wszyscy ludzie dotknięci kryzysem stylu życia położyli się jeden obok drugiego... mogliby tak sobie leżeć, ale nie zostałby nikt, kto pomógłby im wstać.

To przywołało na jego twarz słaby uśmiezek. Ponieważ rzadko udawało mu się złapać australijski show, miał ochotę pooglądać go przez chwilę, lecz nagle usłyszał przenikliwy dźwięk dzwonka.

Ktoś był w konfesjonale przy głównym wejściu. O tak późnej porze zapewne ktoś zdesperowany.

No cóż, już od chwili założenia Kościoła zdawał sobie sprawę, że będą mu zawracać głowę o każdej porze dnia i nocy. To była jedna z nieuniknionych złych stron tego zajęcia. Wstał z westchnieniem i zgasił ekran.

*Notatka dla przyszłych osobowości:* poświęcenie odrobiny czasu trójwymiarowi może być dobrym pomysłem. Zachowajcie kontakt z mediami. Czy kapłaństwo wyczerpało już niewielki zasób wystawienia na widok publiczny, na jaki może sobie pozwolić posiadacz kodu 4GH w danym okresie? A jeśli nie, ile mi zostało?

Muszę to sprawdzić. Muszę.

\* \* \*

Nadał swej twarzy dobrotliwy wyraz i otworzył trójwymiarowe połączenie z konfesjonałem. Czuł się zaniepokojony. Dla garstki wtajemniczonych nie było nowiną, że w zeszlotygodniowej potyczce między Billykingami a Graalowcami padło siedmiu zabitych, a ci drudzy byli do przodu. Tego należało się spodziewać. Byli bardziej bezwzględni. Billykingowie z reguły tylko okaleczali jeńców i pozwalali im wrócić do domu o własnych siłach, natomiast Graalowcy mieli w zwyczaju wiązać ich, kneblować i porzucać w jakichś dogodnie ulokowanych ruinach, by tam umarli z pragnienia.

Znaczyło to, że nocny gość może potrzebować porady, a być może nawet pomocy medycznej. Mógł to też być ktoś, kto chciał zbadać kościół z myślą o zrównaniu go z ziemią. W końcu według obu szczepów był on haniebnym pogańskim przybytkiem.

Na ekranie zobaczył jednak dziewczynkę, prawdopodobnie za małą, by mogli ją przyjąć do któregoś ze szczepów. Na pierwszy rzut oka mogła mieć najwyżej dziesięć lat. Włosy miała rozczochrane, oczy czerwone od płaczu, a na brudnych policzkach ślady spływających łez. Dziecko, które zapewne przeceniło swe umiejętności udawania osoby dorosłej, przerażone i zagubione w ciemności... ojej! Nie! Coś więcej. Coś znacznie gorszego. Zauważył, że dziewczynka trzyma w ręce nóż, a na jego ostrzu i na jej zielonym fartuszkach są plamy tak czerwone, że mogą pochodzić od świeżej krwi.

– Słucham, mała siostrze? – odezwał się neutralnym tonem.

– Ojczy, muszę się wypowiedzieć, bo pójdę do piekła! – załkała. – Załatwiłam mamę! Poszatkowałam ją na kawałki! Chyba ją zabiłam! Na pewno to zrobiłam!

Wydawało się, że czas się zatrzymał na długą chwilę. Potem, z całym spokojem, na jaki potrafił się zdobyć, powiedział to, co trzeba było powiedzieć... ponieważ, choć sam konfesjonał był nienaruszalny, wideofon, podobnie jak wszystkie tego typu urządzenia, był podłączony do miejskiej sieci policyjnej, a co za tym idzie również do niestrudzonych federalnych monitorów w Canaveral. Albo gdzieś. Było ich już tak wiele, że nie mogły wszystkie znajdować się w tym samym miejscu.

*Notatka dla przyszłych osobowości:* dobrze byłoby się dowiedzieć, gdzie one są.

– Moje dziecko – rzekł głosem chropowatym niczym papier ścierny, jak zwykle zdając sobie sprawę z ironii zawartej w tych słowach – możesz ulżyć swej duszy, dzieląc się ze mną spoczywającym na niej ciężarem. Muszę cię jednak ostrzec, że tajemnica spowiedzi nie obowiązuje, gdy mówisz do mikrofonu.

Wpatrywała się w jego obraz z taką intensywnością, że przez chwilę wyobrażał sobie, że widzi siebie z jej punktu widzenia – szczupły, ciemnowłosy mężczyzna ze złamanym nosem, noszący czarną kamizelkę oraz biały kołnierzyk ozdobiony małymi, pozłaczanymi krzyżami. W końcu potrząsnęła głową, jakby dopiero co przeżyta groza całkowicie wypełniła jej umysł, nie pozostawiając miejsca na żaden nowy szok.

Delikatnie wytłumaczył jej wszystko po raz drugi. Tym razem załapała.

– To znaczy, że wezwie pan łapsów? – wycisnęła z siebie z trudem.

– W żadnym wypadku. Ale z pewnością i tak już cię szukają. A ponieważ przyznałaś się przez mikrofon do popełnianego czynu... rozumiesz?

Na jej twarzy pojawił się wyraz rozpacz. Wypuściła nóż, który upadł na ziemię z wychwyconym przez mikrofony brzękiem, cichym jak dzwoneczki. Po paru sekundach znowu się rozplakała.

– Zaczekaj – rzekł. – Zaraz do ciebie przyjdę.

## CHWILA WYTCHNIENIA

Nad wzgórzami wokół Tarnover dał ostry wiatr, niosący ze sobą zapach zimy oraz zrywający z drzew czerwone i złote liście. Niebo było jednak czyste, a słońce świeciło jasno. Hartz, stojący w kolejce w najlepszej z dwudziestu restauracji ośrodka, pełnej staromodnego luksusu, obejmującego nawet wystawianie za szklę porcji podgrzanych potraw, podziwiał widok za oknem.

– Tu jest pięknie – odezwał się po dłuższej chwili. – Naprawdę pięknie.

– Hę? – Freeman odciągał skórę na skroniach ku potylicy, jakby chciał wycisnąć ze swej głowy przemożne zmęczenie. Nagle zerknął w stronę okna. – Tak – zgodził się. – Chyba ma pan rację. Ostatnio nie mam zbyt wiele czasu, by to zauważać.

– Wygląda pan na zmęczonego – przyznał Hartz ze współczuciem w głosie. – Wcale mnie to nie dziwi. To ciężka robota.

– I czasochłonna. Dziewięć godzin dziennie w trzygodzinnych odcinkach. To nużące.

– Ale ktoś musi to robić.

– Tak, ktoś musi.

## JAK HODOWAĆ DELFINY

Robi się to mniej więcej tak.

Najpierw trzeba znaleźć liczną – bardzo liczną, jeśli to możliwe – grupę ludzi, którzy nie posiadają żadnego formalnego wykształcenia, jeśli chodzi o kwestię, o którą chcemy ich zapytać, i w związku z tym nie jest prawdopodobne, by pamiętali poprawne odpowiedzi, lecz mimo to uczestniczą w kulturze, do której odnosi się pytanie. Potem pytamy ich o to, ilu ludzi ich zdaniem zmarło podczas wielkiej epidemii grypy po pierwszej wojnie światowej albo ile bochenków chleba inspektorzy EWG uznali za niezdatne do spożycia w czerwcu roku 1970.

O dziwo, gdy skonsoliduje się ich odpowiedzi, wyniki z reguły skupiają się wokół prawdziwych liczb zanotowanych w almanachach, wykazach i danych statystycznych.

Można by pomyśleć, że poniższy paradoks jest prawdziwy: choć nikt nie wie, co jest grane, wszyscy wiedzą, co jest grane.

\* \* \*

Jeśli ta metoda sprawdza się w odniesieniu do przeszłości, czemu by nie wykorzystać jej do przewidywania przyszłości? Trzysta milionów ludzi z dostępem do zintegrowanej północnoamerykańskiej sieci danych to wielka liczba potencjalnych konsultantów.

Niestety, większość panicznie się boi straszliwego cienia dnia jutrzejszego. Jak najłatwiej zwabić ludzi, którzy po prostu nie chcą wiedzieć?

Na niektórych działa chciwość, na innych nadzieja. Jeśli zaś chodzi o pozostałych, większość i tak nigdy nie będzie miała żadnego wpływu na sprawę świata.

Jak to mówią, na codzienne potrzeby wystarczą...

## PORA NA KAMIENIĄ MŁYŃSKI

Już miał otworzyć hermetycznie zamknięte drzwi przyczepy i wyłączyć alarm, lecz nagle się zawahał.

Niedziela. Całkiem niezłe datki, choć może nie rekordowe. (Powęszył. Gorące powietrze. Z wytapiarki).

Mimo młodego wieku mogła być dobrą aktorką.

Wyobraził sobie atak. Szczepowcy obrabują kościół i znikną przed przybyciem łapsów, zostawiając tylko nieletnią dziewczynkę, niemuszącą się obawiać dochodzenia i zanoszącą się histerycznym śmiechem ze swego udanego „kawału”.

Dlatego przed wyłączeniem alarmu uaktywnił całą elektronikę w kościele, pomijając tylko system coleyowy oraz automatyczne wózki do zbiórki pieniędzy. Kiedy okrążył podstawę ołtarza (były ekran), wewnątrz brzucha wieloryba, jakim była kopuła, wyglądało tak, jakby szalał w nim pożar. Światła rozbłyskiwały wszystkimi kolorami tęczy i kilkoma dodatkowymi, a trójwymiarowy przeکاźnik nad jego głową nie tylko wyświetlał na ekranie jego twarz o monstualnych rozmiarach, lecz również rejestrował wszystkie szczegóły na urządzeniu do nagrywania

ukrytym pod całym jardem betonu. Gdyby go zaatakowano, nagranie będzie dowodem.

Co więcej, miał pistolet... ale przecież nigdy się z nim nie rozstawał.

Te środki ostrożności, choć niezbyt imponujące, stanowiły maksimum tego, czego oczekiwano od kapłana. Gdyby posunął się dalej, federalne komputery mogłyby go uznać za potencjalnego paranoika. Były czułe na tym punkcie, odkąd zeszłego lata jakiś rabin zaminował wejście do swojej *szul* i zapomniał wyłączyć system odpalający przed bar micwą.

Federalne komputery z reguły były przychylnie ludzom o silnych przekonaniach religijnych. W ich przypadku rządziej podnosiły alarm. Istniały jednak pewne granice, nie wspominając już o wyjątkowych przypadkach.

Przed kilku laty takie zabezpieczenia można byłoby uznać za wystarczające, ale obecnie ich słabość przyprawiała mężczyznę o drżenie, gdy szedł pozbawionym ścian przejściem, zdefiniowanym przez ślady czarnej gumy, pozostawione z biegiem lat przez opony samochodów. Rzecz jasna, otaczający kopułę płot był pod napięciem, pomijając tylko niezbędną furtkę prowadzącą do konfesjonału, który z kolei był odporny na wybuchy i miał zapas powietrza na wypadek ataku gazowego, ale i tak...!

*Notatka dla przyszłych osobowości:* następnym razem wybierzcie rolę, która pozwoli mi na skuteczniejszą ochronę przed śmiercią lub kalectwem. Prywatność jest w porządku, potrzebowałem jej, kiedy tu przybyłem. Ale tym gmachem nie może zarządzać tylko jeden człowiek. Nie jestem w stanie sprawdzać każdego drżącego cienia, by się upewnić, że jakiś zręczny złodziej nie wykorzysta go jako zasłony!

Skoro już o tym mowa, rozglądam się wkoło, posługując się gołym okiem. W wieku czterdziestu sześciu lat??? Z pewnością wśród trzystu milionów ludzi znajdzie się garstka takich, którzy nigdy w życiu nie kupili soczewek korekcyjnych, ale z reguły dlatego, że nie mogli sobie na nie pozwolić. Przypuśćmy jednak, że Biuro do spraw Zdrowia albo jakiś farmaceutyczno-medyczny koncern dojdzie do wniosku, że nienoszących okularów ludzi średniolatów jest tak niewiele, że warto ich szczegółowo

przebadać. Przypuśćmy, że w Tarnover dojdą do wniosku, że w grę musi wchodzić jakiś czynnik genetyczny? Brr.

*Notatka dla przyszłych osobowości, czerwoną kursywą: trzymajcie się bliżej chronologicznego wieku!*

\* \* \*

W tej właśnie chwili pogrążony w zamyśleniu mężczyzna wszedł do konfesjonału i zorientował się, że za kuloodporną szybą grubości trzech centymetrów nie widzi małej dziewczynki w sukience zbryzganej krwią.

Zewnętrzzną część budki zajmował muskularny blondyn z niebieską wstążką w gęstych, kręconych włosach. Miał na sobie modną, różowo-karminową koszulę, a na jego twarzy widniał przeprasający uśmiešek.

– Wybacz, że zakłócono twój spokój, ojcze – rzekł nieznajomy. – Miałem szczęście, że mała Gaila tu trafiła... swoją drogą, nazywam się Shad Fluckner.

Dziobak wyglądał za młodo, by mógł być ojcem dziewczynki. Miał może ze dwadzieścia pięć lat. Góra dwadzieścia sześć. Ale z drugiej strony, w kongregacji były też kobiety, które wyszły za mąż po raz trzeci lub czwarty, niekiedy za mężczyzn o całe dwadzieścia lat od nich młodszych. Ojczym?

W takim przypadku czemu się uśmiechał? Czy dlatego, że wykorzystał to dziecko, które guzik go obchodziło, by uwolnić się od bogatej, ale upierdliwej starszej żony? W tym konfesjonale przyznawano się już do bardziej plugawych czynów.

– To znaczy, że jest pan spokrewniony z... Gailą, tak? – zapytał nieco mętnym głosem.

– Nie prawnie, ale po wszystkim, przez co razem przeszliśmy, można powiedzieć, że jestem dla niej kimś bliższym niż legalna rodzina. Rozumie ojciec, pracuję w firmie Antytrauma. Rodzice Gaili, bardzo rozsądnie, podpisali zgodę na pełną terapię, gdy tylko zauważyli oznaki dewiacyjnego zachowania. W zeszłym roku wyleczyliśmy ją z rywalizacji między rodzeństwem. To był klasyczny przypadek zazdrości o penisa skierowanej



przeciwko młodszemu bratu. Obecnie pracujemy nad kompleksem Elektry. Jeśli szczęście będzie nam sprzyjało, na jesień powinniśmy ją podnieść do poziomu Poppei... aha, swoją drogą, gadała coś o wzywaniu łapsów. Nie musi się pan przejmować. Jest zapisana w pamięci policyjnych komputerów na liście przypadków do ignorowania.

– Powiedziała mi... – wykrztusił powoli i wysiłkiem – ...że pchnęła nożem własną matkę. Zabiła ją.

– Och, z pewnością jest przekonana, że tak właśnie się stało! Podświadomie pragnęła to uczynić już od chwili, gdy matka ją zdradziła, pozwalając, by przyszła na świat. Oczywiście to fikcja. Nafaszerowaliśmy ją skotofobiną i zamknęliśmy w ciemnym pokoju, by wymazać pragnienie powrotu do macicy, daliśmy jej falliczną broń, by zdegradować ślady zazdrości o charakterze seksualnym, a potem wpuściliśmy do niej anonimową towarzyszkę. Kiedy uderzyła, włączyliśmy światło, by jej pokazać zakrwawione ciało matki leżące na podłodze, a potem daliśmy jej szansę ucieczki. Rzecz jasna, przez cały czas ją śledziłem. Nie chcielibyśmy, by spotkało ją coś złego.

Lekko znudzony ton Flucknera sugerował, że dla niego to tylko kolejne nudne rutynowe zadanie. Jednak, gdy zakończył swą relację, rozpromienił się, jakby nagle nasunął mu się jakiś pomysł. Wyciągnął z kieszeni magnetofon.

– Ojcie, nasz wydział do spraw public relations ucieszyłby się z wszelkich przychylnych komentarzy na temat naszych metod, jakie mógłby ojciec wygłosić. Słowa płynące z ust duchownego mają szczególną wagę. Może powiedziałby ojciec coś o tym, że lepiej pozwolić, by dzieci dawały ujście swym gwałtownym impulsom w kontrolowanej sytuacji, zamiast popełniać podobne przestępstwa w realnym życiu, co zagroziłoby ich nieśmiertelnym...

– Tak jest, mam do powiedzenia coś, co może pan nagrać! Jeśli istnieje coś bardziej odrażającego niż wojna, to właśnie to, czym zajmuje się wasza firma. Wojna przynajmniej wiąże się z pasją, a wasze poczynania są starannie wykalkulowane, i to raczej przez maszyny niż przez ludzi!

Fluckner odsunął nieco głowę, jakby się bał, że duchowny może go uderzyć przez szybę.

– Próbujemy zaprząć naukę w służbę moralności – bronił się. – Z pewnością rozumie ojciec...

– Rozumiem, że po raz pierwszy w życiu widzę kogoś, kogo powinienem przekląć. Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza. Idź ode mnie w ciemność wieczną!

Twarz Flucknera w jednej chwili pokryły czerwone plamy.

– Pożałujesz tych słów – warknął z wściekłością w głosie. – Masz na to moje słowo! Znieważyłeś nie tylko mnie, lecz również tysiące porządnych obywateli, którzy ufają w to, że moja firma ocali ich dzieci przed ogniem piekielnym. Zapłacisz za to!

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

## ŚWIATŁO I MOC KORUMPUJĄ

– Pewnie, że Gaila czuje się dobrze! Cóż mogłoby bardziej ucieszyć dziecko, niż odkrycie, że matka, którą świadomie kocha, lecz podświadomie jej nienawidzi, żyje, mimo że została zabita? Jakiego silniejszego wzmocnienia mogłaby pani jej udzielić? Rozmawialiśmy o tym już wiele razy!

Musiał otrzeć czoło, licząc na to, że letni upał wytłumaczy maskę potu zasłaniającą mu twarz.

– Czy mogę skorzystać z pani telefonu? Wolalbym być sam, jeśli pani pozwoli. Lepiej, żeby rodzice nie wiedzieli zbyt wiele o naszych metodach.

\* \* \*

W nasłonecznionym pokoju, gdzie odbijające się od tafli podpodłogowego basenu światło tworzyło plamki blasku padające beładnie na

ekumeniczny zestaw złożony z krucyfiksu, Buddy oraz bogini Kali o sześciu rękach przyozdobionej różami, Shad Fluckner wpisał kod departamentu anonimowej denuncjacji Kontynentalnej Mocy i Światła.

Gdy tylko usłyszał odpowiedni ton, wprowadził kod Kościoła Nieskończonej Intuicji, a następnie szereg symboli oznaczających „oszukańcze wykorzystanie datków na cele dobroczynne” i „konto zablokowane do chwili decyzji sądu”, a na koniec „zawiadomić wszystkie komputery sprawdzające zdolność kredytową”, pozbawiając w ten sposób duchownego zdolności kredytowej.

To powinno załatwić sprawę. Otrzepał z satysfakcją dłonie i wyszedł z pokoju. Powiązanie donosu z nim było w praktyce niemożliwe. Pracował dla Mocy i Światła już od dwóch lat, a coroczna rotacja personelu wynosiła tam sześćdziesiąt pięć procent. Oznaczało to, że fałszywe dane mogło wprowadzić pół miliona ludzi.

Zanim wielebny Lazarus upora się z labiryntem połączonych ze sobą komputerów oceniających zdolność kredytową i dorwie tasiemca, który przed chwilą się narodził, może już stać się głodującym obdartusem.

Dobrze mu tak.

## PODŁĄCZONY, ALE NIE W CZASIE RZECZYWISTYM

Podczas krótkiej przerwy w zabiegach, gdy pielęgniarka spryskiwała aerozolem gardło obiektu, Hartz spojrzął na zegarek.

– Nawet jeśli to czasochłonna robota, z pewnością z reguły nie posuwacie się naprzód aż tak powoli – mruknął. – Mniej niż dzień na dzień.

Freeman odsłonił zęby w swym nawykowym uśmiechu czaszki.

– Gdyby tak było, nadal wypytywałbym go o okres, kiedy był doradcą stylu życia. Proszę jednak nie zapominać, że gdy już się dowiedzieliśmy, gdzie musimy szukać, byliśmy w stanie zapisać wszystkie dane dotyczące jego poprzednich osobowości. Wiemy, co robił, ale musimy się teraz

dowiedzieć, co przy tym czuł. W niektórych przypadkach powiązanie między kluczowym wspomnieniem a wyjątkowo silną reakcją obiektu łatwo jest dostrzec. Miał pan szczęście, że natrafiłszy dziś na jedną z takich więzi.

– Fakt, że identyfikował się z tą uciekającą panicznie dziewczynką? Analogia do życia ściganego zbiega, jakie sam wiódł?

– Jest w tym coś więcej. Obawiam się, że znacznie więcej. Rozważmy klątwę, którą rzucił na tego Flucknera. Zastanówmy się, co ją sprowokowało. Z pewnością zgadza się to z poglądami wielebnego Lazarusza, musimy jednak sprawdzić, w jakim stopniu odzwierciedla jego prawdziwą osobowość. Siostrze, jeśli już pani skończyła, chciałbym wznowić pracę.

## DZIEŃ PRZEPROWADZKI, ZACHMURZONY I UPALNY

Bezwzględnie muszę nauczyć się panować nad gniewem w obliczu podobnej zniewagi dla ludzkości...

Co to, do licha?

Z nagłym westchnieniem wyrwał się z głębokiego jak śpiączka snu. Poprzedniej nocy nie mógł zasnąć przez długie godziny. Groźba Flucknera niosła się echem w jego pamięci, aż wreszcie postanowił wziąć tabletkę. Minęło wiele czasu, nim do jego nadal zmałowanego umysłu przeniknął fakt o najwyższym znaczeniu.

Buczenie sprężarki umilkło.

Przetoczył się na drugi bok i włączył podświetlany zegar z niezależnym źródłem mocy, stojący obok łóżka. Była godzina 7:45. Mimo to za oknami przyczepy panowała nieprzenikniona ciemność, choć słońce musiało już stać wysoko na niebie, prognozy zapowiadały utrzymanie się ładnej pogody, a plastikowa membrana dachu była półprzezroczysta, jeśli ją dobrze naciągnąć.

Znaczyło to, że odcięto moc i kopuła się zapadła. Całe dwadzieścia dwie i pół tony.

Był nagi i czuł się straszliwie bezbronny, postawił jednak nogi na podłodze i pomacał wkoło ręką w poszukiwaniu najbliższej lampy, by potwierdzić swe podejrzenia. Ciemność go przytłaczała. Co gorsza, czuł już smród, zapewne pochodzący od brudu, smaru i cuchnącej wody pokrywających kopułę. Gdy była rozciągnięta, tworzyły one niezauważalnie cienką warstwę, ale teraz skupiły się niczym odpady na ścianach rury kanalizacyjnej.

Zgodnie z jego przewidywaniami, światło się nie zapaliło.

Strajk? Mało prawdopodobne. Choć robotnicy w kluczowych gałęziach przemysłu nadal byli w stanie sparaliżować automatyczny system energetyczny w całym kraju, zawsze czekali z podjęciem akcji na nadejście śniegu i mrozu. Wyłączenie prądu z powodu przeciążenia sieci? Niewiele bardziej prawdopodobne. Latem nie zdarzyło się to od roku 1990. Ludzie najwyraźniej oduczyli się uważać, że elektryczność jest darmowa jak powietrze.

Od roku 1990 dorosło całe nowe pokolenie... i on również się do niego zaliczał.

Stopień rdzenia reaktora?

Po trzech zeszłorocznych katastrofach, na delfickich tablicach najwięcej pieniędzy stawiano obecnie na to, że do następnej tego typu awarii upłyną co najmniej dwa lata. Mimo to sięgnął po swe jedyne radio na baterię. Zgodnie z prawem, w każdej konurbacji liczącej sobie ponad milion mieszkańców nadal musiała działać monofoniczna stacja radiowa nadająca wyłącznie wiadomości, ostrzegająca mieszkańców przed zamieszkami, szczepowymi meczami albo katastrofami. Baterie były już bliskie wyczerpania, ale uniósł odbiornik do ucha i zorientował się, że spiker mówi o rekordowych stawkach zakładów o liczbę ofiar w dzisiejszym meczu futbolowym. Gdyby doszło do awarii reaktora, ostrzeżenia przed skażeniem nadawano by bez chwili przerwy.

Co, do licha... Hmm, Fluckner?

Poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Uświadomił sobie, że wpatruje się chciwie w niewyraźny blask tarczy zegarka, jakby otaczająca go ciemność symbolizowała macicę (echa Gaili i innych podobnych do niej, skazanych na dorastanie nie jako ludzie, lecz jako muły, bękartie potomstwo skrzyżowania freudowskiej psychoanalizy z behawioryzmem), a to tajemnicze światło zapowiadało, że wkrótce wyjdzie stąd w nowy, niezwykle świat.

Z ukłuciem rozczarowania przyznał, że to z pewnością prawda.

Choć pod kopułą śmierdziało, powietrze przynajmniej nie było przesycone dwutlenkiem węgla. Nie bolała go głowa, czuł tylko lekkie mdłości. To go trochę uspokoiło. Odnalazł na oślep drogę do przestrzeni mieszkalnej, gdzie miał wielką lampę na baterię, na wypadek nagłej awarii. Jej baterie ładowały się automatycznie z sieci i nadal miały wiele mocy. Gdy jednak włączył lampę, w jej żółtawym blasku wszystko wokół wydało mu się nieznanym i groźnym. Kiedy nią poruszył, po gładkich metalowych ścianach przemknęły cienie, wierne kopie tych, w których nocą dopatrywał się nastolatów służących Baronowi Samediemu, Świętemu Mikołajowi lub nawet bogini Kali.

Spryskał twarz wodą ze środkowego kranu w umywalce. To mu w niczym nie pomogło. Woda powinna być lodowata, ale prąd wyłączono już tak dawno, że zrobiła się letnia. Nadal nieodświeżony, otworzył drzwi przyczepy i wyrzwał na zewnątrz. Daleko za wdzięcznym łukiem spadłego na ołtarz plastiku dostrzegł światelko sugerujące, że ma szansę uciec stąd bez niczyjej pomocy.

Wolałby jednak odzyskać dopływ prądu.

Wytapiarka w jego gabinecie była zimna. Czekająca w niej sztabka miedzi, gotowa do wyjęcia. Domowy komputer, który miał do wykonania trudniejsze zadanie, dał się zaskoczyć przed jego ukończeniem. Czwarta – nie, to była piąta – z dzisiejszych ocen delfickich sterczała z niego jak blade, sztywny język, w pełni ostemplowana przez jego automatyczną pieczęć notarialną. To jednak nie było w tej chwili ważne. Musiał się przekonać, czy Fluckner (bo kto inny miałby powód i możliwości zdyskredytować go w ciągu jednej nocy?) zdołał odciąć również jego połączenie telefoniczne.

Odpowiedź brzmiała „tak”. Słodki, nagrany głos poinformował go, że zawieszono jego kredyt telefoniczny do chwili rozstrzygnięcia pozwu, który zapewne doprowadzi do zajęcia wszystkich jego aktywów. Jeśli chce wznowienia usług, musi dostarczyć świadectwo korzystnego werdyktu sądowego.

Pozew? Jaki pozew? Z pewnością w tym stanie nie można nikogo pozwać za rzucenie klątwy?

Nagle uświadomił sobie prawdę i omal się nie roześmiał. Fluckner uciekł się do jednej z najstarszych znanych sztuczek. Wypuścił do kontynentalnej sieci samopowielającego się tasiemca, zapewne wyposażonego w nagłówek grupy denuncjacyjnej „pożyczony” od jakiejś dużej korporacji. Tasiemiec przenosił się z węzła na węzeł za każdym razem, gdy tylko ofiara spróbowała użyć swego kodu kredytowego. Zabicie podobnego robaka wymagało wielu dni pracy. Niekiedy nawet tygodni.

Chyba że ofiara była w stanie unieważnić oryginalne polecenie, a w tym przypadku tak właśnie było. Każdy posiadacz kodu 4GH...

Rodzący się w nim śmiech ucichł nagle. A co, jeśli od chwili, gdy poprzednio korzystał z kodu, ograniczono jego możliwości bądź nawet unieważniono go całkowicie?

Można to było sprawdzić tylko w jeden sposób. Maszyna cierpliwie czekała, aż dostarczy wymagane zaświadczenie. Wpisał do telefonu swój pełen kod i dodał standardową serię oznaczającą „błąd wejścia spowodowany nadużyciem w złej wierze”. Dodał do niego polecenie przekazania numeru referencyjnego domniemanego pozwu.

Po kilku sekundach usłyszał normalny sygnał.

Do tej chwili wstrzymywał nieświadomie oddech, a teraz wypuścił powietrze z płuc z westchnieniem, które wydało mu się straszliwie głośne w niezwyklej ciszy panującej pod kopułą. (Ile znajomych szumów umilkło w nocy? Komputer, automat z chłodzoną wodą, terma, klimatyzator, monitor alarmowy... i tak dalej. Ludzie rzadko pamiętali, ile elektrycznych urządzeń posiadają. On z pewnością tego nie pamiętał).

Bezwzględnie wysłał odwetowego tasiemca, ścigającego tego, którego stworzył Fluckner. To powinno rozwiązać jego bieżący problem w ciągu

trzech do trzydziestu minut, zależnie od tego, czy uda mu się uprzedzić nieuniknione przy poniedziałku przeciążenie sieci. Bardzo w to wątpił. Według ostatnich raportów krążyło w niej obecnie tak wiele robaków i przeciwrobaków, że maszynom polecono przyznawać im niski priorytet, chyba że chodziło o nagłe przypadki medyczne.

No cóż, przekona się, gdy tylko zapalą się światła.

Nadszedł już czas, by wielebny Lazarus popełnił samobójstwo. Wzmocniwszy się szklanką letniego erzacu soku pomarańczowego – obrzydliwie słodkiego, ale nieszkodzącego bezpośrednio na metabolizm; zawsze zwracał uwagę na to, jakich firm produkty kupuje – zaczął rozważać szczegóły swego następnego wcielenia.

\* \* \*

Prąd włączono po trzydziestu minutach. Po sześćdziesięciu kopuła była już nadmuchana. Po dziewięćdziesięciu rozpoczął procedurę ponownych narodzin.

Tego typu komputerowy poród zawsze był nieprzyjemnym doświadczeniem. Dzisiaj jednak było gorzej niż kiedykolwiek, ponieważ nie planował jeszcze porzucenie roli Lazarusa i w związku z tym nie przygotował należycie swego umysłu. Po skórze przebiegały mu ciarki, serce waliło szybko, dłonie miał lepkie od potu, a pośladki – gołe, ponieważ nie miał czasu się ubrać – swędziały go na całej powierzchni stykającej się z krzesłem.

Choć upewnił się, że jego kod nadal jest ważny, musiał dwukrotnie przerywać karmienie federalnych komputerów nowymi kłamstwami. Palce bardzo mu drżały i bał się, że naciśnie niewłaściwy przycisk, a zwyczajne telefony, takie jak ten, nie były wyposażone w funkcję „wyświetl pięć ostatnich”.

W końcu jednak wpisał ostatnią serię i uaktywnił faga, który wymaże wszelkie ślady po Lazarusie. W porównaniu z tym supertasiemcem ten, którego stworzył Fluckner, ledwie zasługiwał na uwagę. Wreszcie mógł się



przeciągnąć, podrapać i zrobić wszystkie inne rzeczy, z którymi musiał się dotąd wstrzymywać, by nie przerywać pracy nad nową osobowością.

Nikt poniżej poziomu kongresmana nie miał prawa zażądać wydruku danych ukrytych za kodem 4GH. Z pewnością stworzono go z myślą o ludziach mających oficjalne pozwolenia na to, by żyć życiem innym niż własne. Nie raz kusiło go, by sprawdzić jakiego rodzaju osobą teoretycznie czyni go ten kod – funkcjonariuszem FBI wykonującym tajne zadanie, agentem kontrwywiadu, specjalnym reprezentantem Białego Domu sprzątającym brudy pozostawione przez szefa... Nie był jednak aż taki głupi, żeby to zrobić. Był jak szczur kryjący się w szczelinach ścian nowoczesnego społeczeństwa. Gdy tylko wysunie nos, zostaną wysłani eksterminatorzy.

\* \* \*

Wdział ubranie, którego zwykle nie nosił, i spakował wszystko, co jego zdaniem powinien ze sobą zabrać – jedna torba wypełniona różnościami, takimi jak zbywalne licencje delfickie oraz nowa sztabka miedzi. Schował też do kieszeni dwa inhalatory z uspokajaczem. Wiedział, że będzie go potrzebował, zanim dzień dobiegnie końca.

Na koniec umieścił bombę pod biurkiem i podłączył ją do telefonu, by móc spowodować wybuch w dowolnie wybranej chwili.

Zniszczenie kościoła mogło trafić na medialną listę przestępstw dnia – tyle morderstw, tyle rabunków, tyle gwałtów – ale często zdarzało się, że na podpalenia brakowało czasu. Jeśli nikt nie wystąpi o odszkodowanie, na tym będzie koniec. Mając pod ręką podejrzanych w postaci Graalowców i Billykingów, przepracowana miejscowa policja z pewnością szybko zamknie sprawę.

Rozejrzał się jeszcze raz i na zawsze opuścił plastikową kopułę. Na autostradzie panował intensywny ruch, ale nie dostrzegł nikogo, kto mógłby mu poświęcić szczególną uwagę. Przyszło mu na myśl, że pod pewnymi względami życie w tym stuleciu może się wydawać znacznie prostsze niż w poprzednim.

Gdybyż tylko była to prawda.

## NUMER, Z KTÓRYM SIĘ POŁĄCZYLIŚCIE

W czasach, gdy nie było jeszcze trójwymiaru, tylko telewizja, znany, zrzedliwy, cyniczny historyk nazwiskiem Angus Porter, który żył wystarczająco długo, by zostać czcigodnym starcem, i dzięki temu lewicowe poglądy, jakie głosił przez całe życie, tolerowano jako przejaw wybaczalnego ekscentryzmu, ujął całą sprawę prosto.

Albo, jak natychmiast dodał jakiś marny dowcipniś, prostacko.

Gdy w roku 1989 poproszono go o komentarz w sprawie niedawno podpisanego traktatu rozbrojeniowego, rzekł:

– To jest trzecie stadium społecznej ewolucji ludzkości. Najpierw był wyścig nóg. Potem wyścig zbrojeń. Teraz będziemy mieli wyścig mózgów. Jeśli nam się poszczęści, ostatnim etapem będzie wyścig człowieczeństwa.

## UOSOBNIENIE TALENTU

– A więc tak to robił! – zawołał Hartz ze zdumieniem w głosie. Popatrzył na wygolonego człowieka siedzącego na stalowym krześle, jakby nigdy dotąd go nie widział. – Nigdy bym nie uwierzył, że z domowego telefonu można wpisać do sieci całą nową osobowość. Z pewnością nie bez pomocy komputera znacznie większego niż ten, który posiadał.

– To talent – wyjaśnił Freeman, spoglądając na ekrany i światła widoczne na konsoli. – Można go porównać z uzdolnieniami pianisty. W czasach przed powstaniem magnetofonów niektórzy soliści mieli w głowie dwadzieścia koncertów, bez ani jednej błędnej nuty, i potrafili przez godzinę improwizować na temat złożony z czterech tonów. Wszystko to zniknęło, podobnie jak poeci nie recytują już z pamięci tysięcy

linijek, jak ponoć czynili w czasach Homera. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Wie pan co? – zapytał po chwili Hartz. – Zobaczyłem w Tarnover trochę niepokojących rzeczy, a znacznie więcej jest takich, o których usłyszałem. Nie sądzę jednak, by cokolwiek... – zająknął się i z wielkim wysiłkiem zmusił do wypowiedzenia następnych słów – ...przeraziło mnie bardziej niż to, co powiedział pan przed chwilą.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Przed chwilą powiedział pan, że w zdumiewającym talencie nie ma nic nadzwyczajnego.

– Bo nie ma. – Freeman oparł się wygodnie na wyściełanym krześle. – W każdym razie nie według naszych standardów.

– W tym właśnie rzecz – mruknął Hartz. – Wasze standardy. Czasami wydają mi się nie do końca...

– Ludzkie?

Hartz skinął głową.

– Och, zapewniam pana, że takie są. Jesteśmy bardzo uzdolnionym gatunkiem. Większość tego, co tu robimy, polega na odzyskiwaniu talentów, które zaniedbaliśmy. Beztrosko pogrążyliśmy się w zdumiewającej ignorancji, gdy chodzi o niektóre z najcenniejszych zdolności naszych umysłów. Dopóki nie zatkamy tych luk w naszym pojmowaniu, nie będziemy mogli posuwać się ku przyszłości. – Zerknął na zegarek. – Myślę, że na dziś już wystarczy. Zawołam pielęgniarkę. Niech zabierze stąd obiekt, żeby go nakarmić i umyć.

– To również mnie niepokoi. Fakt, że mówi pan o nim w tak bezosobowy sposób. Podziwiam pańską dokładność i pracowitość, ale mam wątpliwości co do metod.

Freeman wstał, przeciągając się lekko, jakby chciał rozluźnić mięśnie.

– Używamy takich metod, jakie okazały się skuteczne, panie Hartz. Co więcej, proszę nie zapominać, że mamy do czynienia z przestępcą, dezserterem, który z chęcią zostałby zdrajcą, gdyby tylko miał taką okazję. Inni również pracują nad projektami podobnymi do naszego, a niektórzy

z nich są nie tylko zdeterminowani, ale wręcz brutalni. Z pewnością nie chciałby pan, by ludzie tego rodzaju nas prześcignęli.

– Z pewnością – zgodził się Hartz ze skrepowaniem w głosie. Przesunął palcem wzdłuż kołnierzyka, jakby ten nagle zrobił się za ciasny.

Freeman się uśmiechnął. Wyglądał jak halloweenowa maska z czarnej rzepy.

– Czy będę miał jutro przyjemność pana spotkać? – zapytał.

– Nie, muszę wracać do Waszyngtonu. Ale... hmm...

– Słucham?

– Co zrobił po tym, gdy w takim pośpiechu opuścił Toledo?

– Och, postąpił bardzo rozsądnie. Wybrał się na wakacje. W gruncie rzeczy, to było dla niego najlepsze rozwiązanie.

## DLA CELÓW PONOWNEJ IDENTYFIKACJI

Obecnie nazywam się Sandy (kiedy sobie łyknę i robię się szczerzy, to nie jest zdrobnienie od starego dobrego Alexandra, ale od Lysandra, ni mniej, ni więcej!) P. (to jeszcze gorsze, Pericles!!!) Locke i mam trzydzieści dwa lata. Jestem swinglem, a zważywszy na brak brody, zapewne też skręciuchem. Niemniej staram się to rzucić i być może któregoś dnia wezmę pod uwagę nawet ślub.

Zostanę Sandym Locke'em przynajmniej przez pewien czas, nawet gdy już zakończę wakacje, które spędzam w kurorcie na Georgia Sea Islands. Hotel jest umiarkowanie modny, nie tak nudnie zaktualizowany, jak niektóre, choć może się pochwalić podwodnym skrzydłem służącym do terapeutycznego powrotu do macicy, a kierownik jest magistrem psychologii. Ale przynajmniej nie ma obowiązkowej terapii opartej na nauczaniu przez doświadczenie.

To moje drugie wakacje w tym roku i zrobię sobie jeszcze przynajmniej jedno, późną jesienią. Nie należę jednak do ludzi skłonnych sądzić, że „kolejne wakacje” znaczą to samo co „zredukowany i bez szans na nową

pracę”, w przeciwieństwie do pewnych znanych mi osób. Wielu innych gości hotelu robi sobie już trzecią przerwę w tym roku, a w sumie planuje ich pięć. Są to jednak z reguły starsi ludzie, którzy nie muszą się już przejmować opieką nad dziećmi. Trzecie wakacje w tym samym roku w wieku trzydziestu dwóch lat świadczą, że jestem człowiekiem pragnącym zrobić karierę, we wszystkich znaczeniach tego słowa. W tej chwili jednak liczy się tylko jedno z tych znaczeń. Szukam pracy.

Wybrałem dobry wiek, łatwiejszy do zaprezentowania niż czterdzieści sześć dla kogoś, kto chronologicznie ma dwadzieścia osiem (nagle wspomnienie o okularach! Au!), wystarczająco młody, by przyciągnąć średniolatów, i wystarczająco dojrzały, by zaimponować nastolatkom. *Notatka dla przyszłych osobowości:* czy wiek trzydziestu dwóch lat da się przeciągnąć do chwili, gdy będę miał, powiedzmy, trzydzieści sześć? Miejcie oczy i uszy otwarte na nowe dane.

## POCZĘSTOWANA I WYKORZYSTANA

Przekroczyła czterdziestkę, ale nie chciała powiedzieć o ile, była piękna i miała szansę jeszcze długo taka pozostać, a w tej chwili wyglądała szczególnie atrakcyjnie dzięki brązowej opaleniznie, włosom rozjaśnionym przez słońce zamiast szamponu i godzinie snu dziennie więcej niż mogła sobie na to pozwolić od lat. Ina Grierson była też twarda. Dowodził tego fakt, że była szefową działu rekrutacji tymczasowych menedżerów w położonej w Kansas City centrali korporacji Spółka Ziemia-Orbita, będącej największym na świecie budownictwem fabryk orbitalnych.

Pytanie jednak: czy była wystarczająco twarda?

Przypomniała sobie stare powiedzenie mówiące o awansie do progu niekompetencji. Jak to się nazywało? Zasada Petera i Paula albo coś w tym rodzaju? Była poirytowana i niespokojna. Jej córka uparcie nie chciała rzucić szkoły. Każdego roku zapisywała się na coraz dziwniejsze i bardziej szalone kursy (i to wszystkie na tym samym uniwersytecie, do licha!

Czemu nie chciała się przenieść gdzie indziej? Co by w tym było złego?). Ina czuła się uwiązana, pragnęła się stąd wynieść, nad Zatokę, do Kolorado czy nawet nad zatokę San Francisco, zakładając, że nowoczesne metody zapobiegania trzęsieniom ziemi rzeczywiście są tak skuteczne, jak zapewniali sejsmolodzy, i do katastrofy, która pochłonie milion ofiar, nie dojdzie już nigdy... a przynajmniej nie w ciągu pięćdziesięciu najbliższych lat.

Rzecz jasna, mogła to zrobić tylko na własnych warunkach. Nikt nie będzie jej niczego narzucał.

W zeszłym roku odrzuciła pięć ofert. W tym roku jak dotąd tylko jedną. A w następnym?

Co będzie w następnym??

Nieprzystosowana córka, taka jak Kate... niech to szlag! Dlaczego głupia cipa nie mogła się zachowywać jak wszyscy, wykopać korzeni i przenieść się w jakieś nowe miejsce, najlepiej na innym kontynencie?

Szkoda, że Antytrauma nie została założona wcześniej...!

Nietaktowni ludzie czasami pytali publicznie, dlaczego Ina uparcie pozostawała w tym samym mieście, co córka, która w końcu miała już dwadzieścia dwa lata, od czasów college'u mieszkała sama i raczej nie wykazywała cech osobowości zależnej. Ina nie znosiła takich pytań.

Nigdy nie lubiła pytań, na które nie potrafiła odpowiedzieć.

Minął już jeden tydzień jej dwutygodniowych wakacji. Chciała, żeby ktoś poprawił jej humor, ale mężczyzna, który do tej pory dotrzymywał jej towarzystwa, dzisiaj wyjechał. To znaczyło, że musi zjeść kolację sama. Fatalna sprawa. W końcu, po długich wahaniach, włożyła swój ulubiony wieczorowy kostium czerwono-złotej barwy i wyszła na taras restauracyjny pod gołym niebem, gdzie cicha muzyka mieszała się z szumem fal. Po dwóch kieliszkach szampana poczuła się trochę lepiej. Cóż mogłoby skuteczniej przywracać światu blask niż odrobina bąbelków?

Po krótkiej chwili nakrzyczała na kelnera (to był drogi, ekskluzywny lokal, a nie jedno z tych odbitych ze sztancy miejsc, gdzie miało się do czynienia z maszynami, które ciągle się myliły... choć ludzie też bynajmniej nie byli nieomylni).

– Jak to nie ma?

Jej przenikliwy głos sprawił, że część ludzi odwróciła głowy.

– Ten pan... – kelner wskazał palcem – ...przed chwilą zamówił ostatnią butelkę.

– Chcę rozmawiać z kierownikiem!

Kierownik przyszedł i wytłumaczył z żalem (zapewne szczerym, bo kto lubi, gdy głupie obwody dewaluuja coś, co jest jego dumą i radością?), że nic nie może poradzić. Komputer kierujący zużyciem zasobów w centrali sieci, do której jego hotel należał razem z setką innych, postanowił skierować cały zapas szampana do kurortów, w których można go było sprzedać za cenę dwukrotnie wyższą niż na Sea Islands. Decyzja zapadła dzisiaj. Jutro wydrukuje się nową listę win.

Kelner tymczasem zdążył się już oddalić, przywołany do innego stolika. Kiedy wrócił, Ina z najwyższym wysiłkiem powstrzymała krzyk wściekłości.

Położył przed nią karteczkę. Jednym rzutem oka przeczytała:

*Fartowny dzięcioł z szampanem ma pewien pomysł. Podzielimy się butelką?*

*Sandy Locke*

Pismo było piękne i wyraźne – rzadkość w dzisiejszych czasach, gdy większość piśmiennych dzieciaków już w wieku siedmiu lat uczyła się posługiwania klawiaturą.

Uniosła spojrzenie i zobaczyła uśmiechającego się do niej mężczyznę w modnej pirackiej koszuli rozpiętej do pasa. Na głowie miał jaskrawą opaskę, a na rękach pozłacane bransolety. Wyciągnął rękę i wsparł długi, cienki palec na korku butelki szampana.

Poczuła, że jej gniew rozprasza się niczym mgłą w promieniach słońca.

\* \* \*

Sandy był dziwnym człowiekiem. Zlekceważył jej skargi na to, jakie to śmieszne, że w tym hotelu nigdy już nie będzie można kupić butelki szampana, i skierował rozmowę na inne tory. To ponownie ją poirytowało i położyła się do łóżka sama.

Ale gdy o dziewiątej rano do jej łóżka podjechał automatyczny wózek ze śniadaniem, stała na nim butelka szampana, przewiązana wstążką i ozdobiona bukietem. Kiedy o jedenastej spotkała Sandy'ego na basenie, zapytał, czy jej smakowało.

– A więc to ty ją załatwiłeś? Czy jesteś pracownikiem tej sieci?

– Tego trzeciorzędnego interesu? Czuję się urażony. Podrzędne firmy nie są w moim typie. Popływamy?

Następne pytanie zamarło na jej ustach. Chciała się dowiedzieć, skąd ma takie możliwości, czy pracuje dla rządu, czy może dla hiperkorporacji. Nasunęło się jej jednak inne wyjaśnienie. Jeśli odgadła prawidłowo, implikacje były tak kuszące, że nie odważyła się poruszać tej sprawy bez odpowiedniego przygotowania.

– No jasne – zgodziła się i zrzuciła ubranie.

\* \* \*

Okazało się, że jednak nie wydrukowano nowej listy win. Kierownik miał zdziwioną minę. To przekonało Inę, że jej domysły były trafne. Następnym rankiem, gdy obudzili się razem, rzekła mu prosto z mostu:

– Myślę, że jesteś KSK.

– Tylko pod warunkiem, że w łóżku nie ma podsłuchu.

– A jest?

– Nie. Sprawdziłem to. Wolę, żeby komputery nie wiedziały o pewnych sprawach.

– Święta racja. – Zadrzała. – Niektórzy z moich współpracowników w SZ-O... no wiesz, mieszkają w Trianon, gdzie testują nowe style życia. Przechwalają się, że wszystko, co robią, jest monitorowane za dnia i w nocy, porównują zalety rozmaitych supernowoczesnych pluskiew... Nie wiem, jak mogą się na to godzić.



– Godzić? – powtórzył z ironią. – To nie jest kwestia zgody, chyba że chodzi o zgodę na warunki pracy. A te nie są najgorsze. Po kilku latach zapomną, jak wyglądało życie bez podsłuchu.

\* \* \*

Przez cały dzień Ina drżała z podniecenia. Czystym przypadkiem natrafiła na autentycznego, trójwymiarowego, dotykającego członka cieszącej się wysokim prestiżem elity, tajemniczego szczerpu konsultantów do spraw sabotażu komputerowego... To zajęcie było całkowicie legalne, pod warunkiem, że ci, którzy je praktykowali, nie zaglądali do danych zarezerwowanych dla departamentów rządowych, zgodnie z ustawą McBanna-Krutcha o „największym dobru dla największej liczby”. Jednakże specjaliści nie reklamowali jawnie swych usług, podobnie jak szpiegzy przemysłowi. Uprzejmiej byłoby zapytać go, czy zajmuje się OTDD, „odzyskiwaniem trudno dostępnych danych”. Na szczęście się nie obrazził.

Dyskretnie napomknęła o swych obawach. Jak długo jeszcze będzie mogła przesuwac się przy każdej zmianie pracy w górę, zamiast w bok? W pierwszej chwili odpowiedział jej od niechcienia:

– Och, czemu nie zostaniesz wolnym strzelcem, jak ja? Kiedy się przyzwyczaisz, to nie jest wiele trudniejsze od regularnego stylu życia.

Jej głowę wypełniły skojarzenia z określeniem „wolny strzelec” – samotny rycerz wyruszający w drogę, by bronić swej pięknej pani i chrześcijańskiej sprawiedliwości; królewski posłaniec; tajny agent; śmiały kupiec...

– Myślałam o tym, rzecz jasna. Ale zanim się zdecyduję, naprawdę chciałabym się dowiedzieć, co SZ-O dodała do moich akt.

– Mogłabyś mnie poprosić, żebym to sprawdził.

– Chcesz powiedzieć... – ledwie śmiała mieć nadzieję – ...że jesteś do wynajęcia?

– W tej chwili? – Przygryzł jej sutek ostrymi, zadbanymi zębami. – Nie, mój stopień sztywności spadł do zera. Takie rzeczy robię za darmo.

– Wiesz, o co mi chodzi!

Roześmiał się.

– Nie wysuwaj się spod kontroli. Pewnie, że wiem. Podłubanie w SZ-O może być zabawne.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– Niewykluczone, ale dopiero po wakacjach. Na razie jeszcze trwają.

\* \* \*

– Nie chodzi nawet o to, że maszyny wiedzą o nas rzeczy, których nie powiedzielibyśmy terapeutcie, nie wspominając już o małżonku czy szefie – odezwała się z zamyśleniem. Była druga w nocy i traciła czas przeznaczony na sen, ale co z tego? – Rzecz w tym, że nie wiemy, co o nas wiedzą.

– Sweedack. Widziałem mnóstwo ludzi, których taka niepewność zdestabilizowała, a nawet wpędziła w paranoję.

– Sweedack?

– Ach, nie oglądasz hokeja.

– Od czasu do czasu, ale jak to mówią, nie połknęłam haczyka.

– Ja też nie, ale trzeba być na bieżąco. To z francuskiego. Przybyło na południe z kanadyjskimi hokeistami. Skrót od *je suis d'accord*. Myślałem, że wszyscy już to znają.

– Aha! – zawołała, zanim zdążyła się powstrzymać. – Słyszałam, jak Kate mówiła tak do koleżanek.

– Kto?

– Hmm... moja córka.

Zadrzała, wyobrażając sobie nieuniknioną wymianę słów.

*Nie wiedziałem, że masz córkę. Jest w liceum?*

*Nie. Studiuje na University of Missouri.*

Potem nastanie krótka cisza, wypełniona obliczeniami, które ustalą jej pozycję na skali wieku.

Ale ten niezwykle taktowny mężczyzna roześmiał się tylko.

– Nie martw się, wiem o tobie wszystko. Myślisz, że w ciemno ściągnąłem tyle szampana?

To miało sens. Po paru sekundach ona również się roześmiała.

- Naprawdę przeniósłbyś się do Kansas City?
- Jeśli możecie sobie na mnie pozwolić.
- SZ-O może sobie pozwolić na wszystkich. Jako kto zwykle się prezentujesz?
- Racjonalizator systemów.  
Rozpromieniła się.
- Świetnie. Właśnie straciliśmy kierownika tego działu. Zerwał kontrakt i... Hej, czy o tym też wiedziałeś? – zapytała z nagłą podejrzliwością.  
Pokręcił głową, tłumiąc ziewnięcie.
- Dopóki cię nie spotkałem, nie miałem powodu, by dłużyć w SZ-O.
- Ehe. Pewnie, że nie miałeś. Co skłoniło cię do wyboru tego zajęcia?
- Hmm. Pewnie to, że tata miał świra na punkcie telefonów. Odziedziczyłem ten gen po nim.
- Chcę usłyszeć poważną odpowiedź.
- Nie mam pojęcia. Być może niejasne poczucie, że ludzie się mylą, mówią, że nie jesteśmy już w stanie ogarnąć wydarzeń na świecie i musimy zostawić to zadanie maszynom. Nie chcę skończyć na martwej gałęzi drzewa ewolucyjnego.
- Ja też nie chcę. Dobra, wprowadzę cię do Kansas City. Masz zdrowe podejście, Sandy, a nam przyda się odrobina świeżego powietrza.

## SPRZEDANY GŁÓWNEMU SZELOWI

- Nie kituję panu. Mamy do czynienia z dziećmi kosmicznej klasy. A nam brakuje jednego specja od systemów, odkąd Kurt się zwinął. Nie chcę podejrzewać George o złe zamiary, ale ona z pewnością nie sprawiła, że moja praca mniej przypomina padół łez. A tym bardziej pańska, he?
- Jasne, sam prosił o okres próbny. Osiem tygodni, może dwanaście. Sprawdzimy, jak układa mu się współpraca z nami.
- Teraz ma wakacje. Już panu mówiłam. Spotkałam go na Sea Islands. Może go pan tam znaleźć.

– Znakomicie. Proszę, to jego kod. 4GH...

## PROGRAM ROZSIEDLENIA

W palisadzie wysokich na tysiąc metrów wieżowców otaczających lotnisko Mid-Continental były dwie luki. Wyjątkowo nie były one pamiątką po wysadzonych podczas zamieszek albo wyszczepowanych budynkach, lecz po katastrofach dwóch pasażerskich pionowzlotów, wznoszącego się i opadającego na lotnisko, w zeszłym tygodniu jednocześnie zepchniętych z trasy wytyczonej przez odpychacze. Krążyły plotki, że powodem był start najnowszej fabryki orbitalnej SZ-O z kosmodromu na zachód stąd, w położonym za rzeką stanie Kansas. Ktoś ponoć zapomniał zawiadomić linie lotnicze o sile i skali fali uderzeniowej. Dochodzenia jednak jeszcze nie zakończono, a co więcej, SZ-O miała tu stanowczo zbyt wielkie wpływy, by musiała się obawiać oskarżenia o zaniedbanie obowiązków.

Niemniej na nielegalnych krótkoterminowych tablicach delfickich ostateczne rezultaty śledztwa pozostawały popularnym tematem zakładów. Legalne tablice rzecz jasna nie miały prawa przewidywać werdyktów sądowych.

Fasady ocalałych gmachów, czy to mieszkalnych, czy biurowców, były gładkie i posępne niczym starożytne grobowce. Większość z nich wzniesiono w fazie srania cegłami, która dotknęła architekturę we wczesnych latach dziewięćdziesiątych minionego stulecia. Ów styl miał też bardziej pochlebną nazwę – antydeco – ale brzmiała ona zbyt niezgrabnie, by mogła się przyjąć. Tego typu budowle były równie zdehumanizowane, jak trumny, w których chowano ofiary wielkiego trzęsienia w Zatoce San Francisco. W obu przypadkach powód był ten sam. Straty poniesione, gdy całe San Francisco zawało się w jednej chwili, a wraz z nim większa część Berkeley i Oakland, omal nie doprowadziły do bankructwa całego kraju. Dlatego wszystko, absolutnie wszystko, musiało być budowane z minimalną liczbą ozdób.

W desperackiej próbie uczynienia z konieczności cnoty, wszystkie takie budynki zaprojektowano jako „ekoszczelne” – inaczej mówiąc, miały dobrą izolację, wyposażono je w skomplikowany system recyklingu odpadów, a do każdego apartamentu dołączono płaską powierzchnię znajdującą się na zewnątrz, ponoć wystarczająco dużą, by hydroponiczna uprawa mogła na niej wydać plon warzyw i owoców wystarczający na potrzeby przeciętnej rodziny. W rezultacie, w publicznej opinii utrwaliło się przekonanie, że każdy naprawdę wydajny budynek musi być surowy, brzydki, nieprzychylny i nudny.

Konieczność okazała się zbyt odrażająca, by ktokolwiek mógł się radować z cnoty.

\* \* \*

Dzięki sprytnym poprawkom trasy wprowadzanym podczas lotu przez komputery linii lotniczej, jego samolot przyleciał kilka minut wcześniej. Ina umówiła się z nim w hali głównej, ale gdy wyszedł z komory rozładowania elektrostatycznego przy bramce, nadal czując mrowienie na skórze, nigdzie jej nie było.

Tracenie czasu byłoby sprzeczne z jego osobowością. Potarł ramiona, myśląc, że nawet jeśli elektryczny napęd samolotów jest wydajny, opłacalny i dobry dla środowiska, jest też diabelnie uciążliwy dla pasażerów, którzy muszą się teraz uwalniać od nagromadzonych ładunków. Nagle zauważył znak wskazujący drogę do publicznych tablic delfickich.

Większość jego rzeczy, kupionych z myślą o nowej tożsamości, jechała już prosto do osiedla mieszkaniowego SZ-O. Miał jednak ze sobą torbę podróżną, ważącą dziewięć kilogramów. Ukradł autotragarza spod nosa skwaszonej kobiecie, która nagrodziła go stekiem przekleństw, i – po skonsultowaniu się z podświetlaną tablicą cen na boku urządzenia, skredytował minimalną opłatę – trzydzieści pięć dolarów za godzinę usług. Stawki były tu wyższe niż w Toledo, ale tego należało się spodziewać –

odległe o sto kilometrów Trianon było drugim najdroższym miejscem do życia na świecie.

Od tego momentu, aż do chwili, gdy kredyt się wyczerpie, maszyna będzie niosła torbę w miękkich plastikowych szczękach, podążając za nim wiernie jak dobrze wyszkolony pies. Przypominała nawet psa wyglądem, a do tego zaprogramowano ją, by po pięćdziesięciu pięciu minutach zaczęła skomleć, a po pięćdziesięciu ośmiu zawyła.

Po sześćdziesięciu porzuci bagaż i oddali się chyłkiem.

\* \* \*

Zatrzymał się, mając maszynę u nogi, i spojrział na wysoko umieszczoną tablicę świetlną, śledząc szybko zmieniające się cyfry ze swobodą zrodzoną z długiej wprawy. Najpierw spojrział na swój ulubiony sektor, ustawodawstwo socjalne, i z zadowoleniem zauważył, że wkrótce będzie mógł zgarnąć zyski za dwa wygrane zakłady.

Po pierwsze, bez względu na wszelkie zastosowane naciski prezydent nie zdoła wprowadzić obowiązkowej kary więzienia za znieważenie członków jego gabinetu. Gdyby spróbował to zrobić, utraciłby większość. A po drugie, w tym kraju wkrótce wprowadzi się rosyjskie metody nauczania matematyki, jako że pieniądze nie przestawały napływać, choć notowania spadły na pięć do czterech. No cóż, nie było alternatywy, jeśli amerykańska ekipa ma kiedykolwiek osiągnąć przyzwoity wynik w Olimpiadzie Matematycznej.

Notowania na tej części tablicy nie były jednak zbyt atrakcyjne, pomijając dziesięć do jednego na szanse przyjęcia nowej poprawki do konstytucji, mającej zmienić definicję okręgów wyborczych, opierając je na wykonywanych zawodach i grupach wiekowych, nie na geograficznej lokalizacji. Ta propozycja mogła mieć sens, ale ludzie nie byli jeszcze gotowi na coś takiego. Może w następnym pokoleniu.

Skierował swą uwagę na analizę socjalną. Ten sektor oferował sporo dwucyfrowych notowań, a nawet trochę trzycyfrowych. Postawił tysiąc na szansę, że w tym roku współczynnik napadów rabunkowych na dorosłą

osobę w Nowym Jorku przekroczy dziesięć procent. Na nieprawdopodobnie długi czas zatrzymał się w pobliżu ośmiu i ludzie zaczęli już tracić entuzjazm, ale w Bronksie mianowano nowego szefa policji, słynącego z twardego podejścia do przestępców. To powinno załatwić sprawę.

Jeśli chodziło o nowe osiągnięcia techniczne, notowania również były bardzo sympatyczne. Z uwagi na pamięć o starych czasach postawił kolejny tysiąc na to, że grawiciąg na trasie Ziemia-Księżyc powstanie przed rokiem 2025. To było coroczne rozczarowanie. Plan polegał na tym, by wciągać ładunki z Księżyca na linie sięgającej daleko za punkt zrównania sił grawitacji, a potem rzucać je prosto w studnię grawitacyjną Ziemi, by mogły wylądować tu za darmo. Dwie pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem, ale ktoś w Nowej Zelandii zbliżał się już do powodzenia w hodowli krystalicznych monofilamentów długich na milę. Jeśli mu się uda...

Dwóch starszaków o wyglądzie głodomorów – jeden czarny, a drugi biały – którzy z pewnością nie zamierzali nigdzie lecieć, a po prostu siedzieli tu dla zabicia czasu, zauważyło że opłacił zakład. Przyjrzeni się jego drogiemu ubraniu, poddali ocenie otaczającą go aurę bogactwa i po krótkiej dyskusji zdecydowali się zaryzykować po pięćdziesiąt.

– Lepsze to niż wyścigi konne – stwierdził jeden z nich.

– Lubilem konie! – sprzeciwił się drugi. Ruszyli w dalszą drogę. W ich głosach pobrzmiwało niezadowolenie, jakby obaj pragnęli rozładowania napięcia, jakie dałaby im kłótnia, ale nie mieli odwagi jej wszczynać z obawy przed utratą jedyne go przyjaciela.

Hmm! Zastanawiam się, czy delfickie systemy w Rosji albo na Bliskim Wschodzie również są wzorowane na giełdzie i totalizatorze, jak nasze. Wiem, że w Chinach...

W tej właśnie chwili zauważył notowania, w które po prostu nie mógł uwierzyć. Trzy do jednego na to, że do roku 2020 genetyczna optymalizacja przerodzi się w dostępną w handlu usługę, zamiast być przywilejem zarezerwowanym dla przedstawicieli rządu, prezesów hiperkorporacji oraz miliarderów, jak obecnie. Kiedy ostatnio sprawdzał

tablicę, notowania wynosiły około dwustu do jednego, choć opinia publiczna z pewnością tego pragnęła. Taki gwałtowny spadek mógł spowodować jedynie przeciek poufnych informacji. Z pewnością ktoś z ponad tysiąca pracowników i „studentów” z Tarnover uległ pokusie i sprzedał dane, które ukrywał we własnej głowie, a teraz naukowcy z jakiejś korporacji trudzili się nad przetworzeniem niejasnej nadziei w samospełniające się proroctwo.

Chyba że...

O nie! Nie mogą wiedzieć, że komuś udało się wydostać. Czy to możliwe, że po całym tym czasie, po sześciu morderczych, obrzydliwych latach sekret mojego zniknięcia wreszcie wyszedł na jaw?

Nie mogło być żadnego połączenia! Chyba że...!

Świat zawirował wokół niego na kilka łomoczących uderzeń serca. Ktoś potrafił go brutalnie. Ledwie zdołał zauważyć, że to ekonomista, noszący wszyty w ubranie identyfikator, którego jaskrawozielone i białe barwy głośno oznajmiały: ograniczenie mocy! Najwyraźniej był jednym z ludzi, którzy z zasady nie zużywali całej przydzielonej im energii i bardzo się starali uniemożliwić to również innym. W Kansas City ponoć mieszkało bardzo wielu ekonomistów.

– Sandy, tak się cieszę, że... – usłyszał nagle radośnie brzmiący głos. – Czy coś się stało?

Z wielkim wysiłkiem wziął się w garść. Uśmiechnął się i uspokoił, dzięki czemu mógł zauważyć, jak bardzo zmieniła się Ina w porównaniu z tym, jak prezentowała się w kurorcie. Miała na sobie lekki, ale poważnie wyglądający kombinezon czarno-białej barwy, a długie włosy schowała pod siatką. W każdym calu wyglądała jak kierowniczka działu, wyświadczająca specjalną przysługę kandydatowi ubiegającemu się o posadę o większym niż przeciętny prestiżu.

Dlatego jej nie pocałował ani nawet nie ujął za rękę.

– Cześć – powiedział tylko. – Nie, nic się nie stało. Po prostu zauważyłem nowe stawki na mój ulubiony ryzykowny zakład. Pewnego dnia obudzę się i zobaczę, że mój kredyt spadł do zera.

Mówiąc, ruszył w stronę wyjścia. Ina i autotragarz podążali za nim.



- Masz bagaż? – zapytała.
- Tylko to. Resztę wysłałem bezpośrednio na miejsce. Macie piękne osiedle mieszkaniowe.
- Tak jest. Wyniki są bardzo dobre. Korzystamy z niego już od dziesięciu lat i nie mieliśmy dotąd ani jednego przypadku psychozy środowiskowej. Jeśli już mowa o lokum, powinnam była zapytać, czy przywieziesz dom ze sobą. Mamy jeszcze miejsce na jeden, a następną fabrykę zaczniemy budować dopiero we wrześniu.
- Nie. Miałem ten dom już cztery lata i postanowiłem go oddać w rozliczeniu. Może wybuduję nowy tutaj. Słyszałem, że w okolicach Kansas City łatwo o dobrych architektów.
- Nie mam pojęcia. Wolę się podłączać do gotowych apartamentów. Ale na przyjęciu możesz spotkać kogoś, kto ci doradzi.
- Popytam ludzi. O której się zaczyna?
- O ósmej. Sala przywitań jest na poziomie wejściowym. Będą tam wszyscy twoi ważniejsi współpracownicy.

## PARADOKS, NASTĘPNA STACJA PO ZADUPIU

- Nie chodzi o to, że jeszcze nie podjąłem decyzji. Po prostu nie chcę, żeby dalsze fakty zbijały mnie z tropu.
- Nie chodzi o to, że jeszcze nie podjąłem decyzji. Poznałem już tyle faktów, że nie mogę sobie poradzić ze wszystkimi.
- Zamknij się wreszcie, słyszysz? Zamknij się.

## WRABIAJĄ CIĘ

Choć mieszkanie miało czysto tymczasowy charakter, różniło się nieco od hotelowego apartamentu. Zauważył z aprobatą szczegóły upodabniające je do eleganckiego prywatnego lokum. Mobilne ściany mogły podzielić

główny pokój na sześć różnych sposobów, zależnie od gustu. W chwili jego przybycia cała dekoracja był w neutralnych odcieniach – beżowym, jasnoniebieskim i różowym. Natychmiast zrobił użytek z przełącznika przy drzwiach, by zmienić kolory na ciemnozielony, rdzawy i barwę starego złota. Robiło się to za pomocą świateł ukrytych za półprzezroczystymi panelami. Udogodnienia takie, jak trójwymiar, odwracająca biegunowość szczotka do czyszczenia ubrań oraz elektrotoner podłączony do wanny nie wchodziły w skład standardowego wyposażenia hotelowego i można je było znaleźć tylko w droższych domowych apartamentach. A co być może najważniejsze, można było nie tylko rozsunąć zasłony, lecz również otworzyć okna. W dzisiejszych czasach w hotelach się tego nie spotykało.

Otworzył jedno z nich z ciekawości i zobaczył za nim wierzchołki drzew, za którymi znajdowało się jakieś źródło ogłuszającego hałasu, do tej chwili całkowicie niesłyszalnego dzięki superdźwiękoszczelnym szybom.

Co na tym świecie mogłoby...?

Coś nie z tego świata – uświadomił sobie po chwili.

Ku niebu wzbił się oślepiający blask, przypominający flarę magnezową. Do ryku dołączyła fala podmuchu. Ledwie zdołał zauważyć cienką jak igła sylwetkę jednoosobowego statku orbitalnego, nim blask zmusił go do zamknięcia oczu i odwrócenia się. Poszukał na oślep przełącznika zamykającego okno.

Z pewnością był to jeden z inżynierów remontowych SZ-O, zmierzający na orbitę. Firma była dumna z szybkiego i skutecznego serwisu, jaki oferowała, a ponieważ po dziś dzień trzy z czterech sprzedawanych przez nią fabryk miały unikatowy charakter – co tydzień na orbitę przenosiły się nowe gałęzie przemysłu – było to konieczne dla zachowania wiodącej pozycji.

Wcale nie była ona taka pewna, jak rada nadzorcza firmy próbowała wmówić opinii publicznej. Zbadał tę sprawę. Ina o tym nie wspominała, ale wśród zadań, które zapewne mu przydzielą, znajdowała się infiltracja prowadzonych przez konkurencyjną korporację badań nad tak zwanymi oliwierami, elektronicznymi *alter ego*, mającymi uwolnić właściciela od obciążeń wiążących się z licznymi kontaktami towarzyskimi. Będzie to

dwudziestopierwszowieczny odpowiednik rzymskiego nomenklatora, który dyskretnie szeptał informacje do ucha cesarza, pozwalając mu chełpić się znakomitą pamięcią. SZ-O pilnie potrzebowała dywersyfikacji, ale zanim wykorzysta posiadane przez siebie opcje na prowadzone przez małą, niezależną firmę badania w tej dziedzinie, chciała się upewnić, że nikt nie jest jeszcze gotowy do rozpoczęcia sprzedaży podobnego produktu.

Gdyby już po kilku dniach pracy zdobył odpowiedź na to pytanie, miałby na swym koncie poważny sukces.

\* \* \*

Kontynuując przegląd mieszkania, odkrył schowaną dyskretnie pod łóżkiem maszynę do łagodzenia napięcia, wyposażoną w odwracalną ssawkę, którą kobieta mogła wysunąć na zewnątrz, a mężczyzna schować do środka... albo i nie, zależnie od gustu. Nad łóżkiem umieszczono niewielki ekranik o wysokiej rozdzielczości. Według małej etykiety wyświetlane na nim obrazy zmieniały się w ośmiodniowym cyklu. Były tam też słuchawki oraz maska oferująca dwadzieścia różnych zapachów.

Schował instrument z powrotem do odkażającego pojemnika. Pomyślał, że będzie musiał go kiedyś wypróbować. W końcu pasował do podłączeniowego stylu życia. Ale najwyżej dwa, góra trzy razy. Korporacje takie jak SZ-O nieufnie podchodziły do ludzi, którzy woleli maszyny od kontaktów osobistych. Będą go obserwować.

Westchnął. Pomyśleć, że niektórzy ludzie zadowalali się (musieli się zadowalać?) mechaniczną gratyfikacją... Być może jednak w pewnych szczególnych przypadkach było to najlepsze wyjście. Na przykład u tych, którzy musieli wytworzyć silną więź emocjonalną albo obywać się bez niej całkowicie, którzy cierpieli, gdy zmiana pracy albo przeniesienie do innego miasta zrywały wszystkie nawiązane przez nich kontakty, i w związku z tym najlepiej się czuli, trzymając przypadkowych kolegów z pracy na dystans.

Nie po raz pierwszy nasunęła mu się myśl, że miał szczęście – choć dobrze zamaskowane – że jego zdolność nawiązywania silnych więzi emocjonalnych skarłała do stopnia, w którym wystarczała mu zwykła sympatia. To było znacznie lepsze od przemijającej zaborczości, na jaką był narażony w dzieciństwie, i od całkowicie bezosobowych kontaktów, które utrzymywał jako nastolat w Tarnover.

Lepiej nie myśl o Tarnover.

Wziął prysznic, ciesząc się swą nową sytuacją. Wiele będzie zależało od osobowości ludzi, których pozna na przyjęciu powitalnym, z pewnością jednak okażą się oni porządnymi, stabilnymi podłączeniowcami. Natura pracy, jaką miał wykonywać, idealnie pasowała do jego uzdolnień. Większość komercyjnych systemów była sublogiczna i w znacznym stopniu redundantna, nie będzie miał więc kłopotów z rozwiązaniem kilku zapętleń, co zaoszczędzi SZ-O parę milionów lat i dowiedzie, że naprawdę jest systemowym specem. Już za kilka tygodni będą go uważali za bezcenny nabytek.

A tymczasem wysoki status korporacji zapewni mu dostęp do sieci danych, które w normalnych warunkach były bezpieczne. Po to właśnie przyjechał do Kansas City. Pragnął, a nawet potrzebował zdobyć dane, których nigdy nie odważyłby się poszukiwać jako kapłan. Opuszczając Tarnover, mógł planować najwyżej sześć lat naprzód, a zatem...

Gdy wyszedł z kabiny prysznicowej, wysuszony podmuchami ciepłego powietrza, uszy wypełnił mu potężny rytm jego własnego pulsu – łup, łup, łup-łup-łup-łup. Z każdą sekundą stawał się coraz szybszy. Zakręciło mu się w głowie. Ogarnął go szal. Złapał za krawędź umywalki, by nie stracić równowagi, i ujrzał w lustrze twarz Sandy'ego Locke'a – wychudłą i w jednej chwili postarzałą o dziesięciolecia. Uświadomił sobie, że nie zdąży dotrzeć do uspokajaczy, które zostawił w głównym pokoju. Będzie musiał pozostać na miejscu i zwalczyć atak głębokim oddychaniem, którego nauczyły go ćwiczenia jogi.

W ustach czuł suchość, brzuch miał twardy jak bęben, a zęby chciały mu dzwonić, ale nie pozwalały im na to napięte mięśnie żuchwy. Przed oczami

miał mroczki, a całą jego prawą łydkę przecinały kurcze bolesne jak cięcie noża. Do tego było mu zimno.

Na szczęście, nie był to bardzo silny atak. Po niespełna dziesięciu minutach zdołał dotrzeć do inhalatorów, a trzy minuty później poszedł na przyjęcie.

## OD 500 DO 2000 RAZY DZIENNIE

Gdzieś daleko, dom albo apartament, pokój w hotelu albo w motelu: piękny, wygodny, żywe piekło.

Ktoś wykończony, udręczony albo po prostu popadający w obłąd sięga po wideofon i wybiera najślawniejszy numer na kontynencie: dziesięć dziewiątek, które połączą go z Pomocnym Słuchaczem.

A potem mówi do pustego, choć świecącego się ekranu. Pomocny Słuchacz nie wyznacza żadnych kar, jest więc bardziej wyrozumiały od konfesjonału. Nie żąda zapłaty i można sobie na niego pozwolić, w przeciwieństwie do psychoterapii. Nie daje żadnych rad, jest więc lepszy od użerania się z jakimś wrednym sukinsynem (albo wredną suką), którzy uważają, że znają wszystkie odpowiedzi i nie przestają gadać, aż człowiekowi chce się krzyknąć.

Pod pewnymi względami przypomina to korzystanie z I Ching. Pozwala skupić uwagę na rzeczywistości. A przede wszystkim znajduje ujście dla frustracji, którą starałeś się przełknąć w obawie, że jeśli znajomi się o niej dowiedzą, uznają cię za nieudacznika.

To z pewnością pomaga niektórym nieszczęśnikom. Stopa samobójstw nie rośnie.

## RETROSPEKCJA W CIELE

Bezosobowe instrumenty informują, że dzisiaj dobrze byłoby wybudzić obiekt całkowicie. Spędził w transie wspomnień już czterdzieści dwa dni, co mogłoby zagrozić jego świadomej osobowości. Paul Freeman był zadowolony z tej rekomendacji. Coraz bardziej intrygował go człowiek, którego przeszłość miała tak nieprawdopodobny przebieg.

Z drugiej strony, dyktat przysłany prosto z Federalnego Biura Przetwarzania Danych polecał mu przedstawić pełen raport w możliwie najkrótszym czasie. Dlatego właśnie Hartz przyleciał z wizytą. Co więcej, spędził tu cały roboczy dzień, choć raczej należałoby się spodziewać typowych odwiedzin w stylu „cześć-to-bardzo-ciekawe-do-widzenia”. Ktoś w Waszyngtonie na pewno się czegoś domyślał... albo przynajmniej posunął się już tak daleko, że potrzebował rezultatów, jakiegokolwiek by one były.

Freeman zdecydował się na kompromis. Poświęci jeden dzień na bezpośrednią rozmowę z obiektem, zamiast po prostu wydobywać fakty z jego żywej pamięci.

Cieszył się na myśl o tej odmianie.

\* \* \*

– Wie pan, gdzie się znajduje?

Całkowicie wygolony mężczyzna oblizał wargi.

– Nie, ale przypuszczam, że to Tarnover. Zawsze sobie wyobrażałem, że w tym pozbawionym okien tajnym bloku po wschodniej stronie kampusu są właśnie takie pokoje.

– Co pan sądzi o Tarnover?

– Kiedy o nim myślę, mam ochotę śmiertelnie się przerazić. Ale na pewno podaliście mi coś, co mi to uniemożliwia.

– Ale kiedy przybył pan tu po raz pierwszy, było inaczej.

– Pewnie, że tak. Z początku myślałem, że tu jest cudownie. Każdy dzieciak wywodzący się z takiego środowiska jak ja czułby to samo.

To było udokumentowane: ojciec zniknął, gdy chłopiec miał pięć lat, matka znosiła to napięcie jeszcze przez rok, po czym pogrążyła się

w alkoholowej mgle. On jednak okazał dużą zdolność przystosowania. Rodzina doszła do wniosku, że będzie idealnym dzieckiem do wynajęcia. Był niewątpliwie inteligentny, raczej spokojny, w miarę dobrze wychowany i czysty. Dlatego okres od szóstego do dwunastego roku życia spędził w kolejnych nowoczesnych i eleganckich, niekiedy nawet luksusowych domach korporacyjnych zamieszkałych przez bezdzietne małżeństwa przeniesione tymczasowo z innych miast. Ci „rodzice” na ogół go lubili, a jedna para nawet poważnie rozważała możliwość adopcji, owi potencjalni rodzice doszli jednak do wniosku, że nie chcą być na stałe obciążeni chłopcem o innym kolorze skóry. Pocieszyli się myślą, że będzie to dla niego doskonale wprowadzenie do podłączeniowego stylu życia.

Z pozoru dobrze zniósł tę decyzję, ale później, gdy wieczorem zostawał sam w domu (co zdarzało się całkiem często, bo był grzecznym chłopcem i zasługiwał na zaufanie) kilkakrotnie sięgał po telefon i – dręczony straszliwym poczuciem winy – wybierał dziesięć dziewiątek. Niejasno przypominał sobie, jak robiła to matka, jego prawdziwa matka, w ciągu kilku ostatnich, straszliwych miesięcy, zanim coś popsuło się jej w głowie. Następnie wykrzykiwał do pustego ekranu nieprzerwaną serię klątw i bluzgów, by potem czekać z drżeniem, aż spokojny, anonimowy głos odpowie:

– Tylko ja tego słucham. Mam nadzieję, że to ci pomogło.  
Paradoksalnie, rzeczywiście pomagało.

\* \* \*

– A co ze szkołą, Haflinger?

– Czy to moje prawdziwe nazwisko...? Niech pan sobie nie zawraca głowy odpowiadaniem, to było retoryczne pytanie. Po prostu go nie lubiłem. Ono sugeruje, że jestem czymś „w połowie”. Jakbym nigdy nie mógł się stać kompletną osobą. Nie cierpiałem też swojego imienia.

– Potrafi pan wyjaśnić, dlaczego?

– Jasne. Nawet jeśli w moich aktach jest napisane co innego, świetnie pamiętam wiek młodzieńczy. A nawet wczesne dzieciństwo. Szybko się

dowiedziałem, że „Auld Nick” to w szkockiej gwarze diabeł. Ale najgorsze było skojarzenie ze Świętym Mikołajem. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób ten sam wytwór wyobraźni dał początek dawcy prezentów i świętemu patronowi złodziei.

– Może chodzi o to, że jedną ręką dawał, a drugą odbierał. Wie pan, że gdy w Holandii Sinter Klaas przynosił dzieciom prezenty, towarzyszył mu czarny mężczyzna, chłosczący te, które były niegrzeczne i nie zasłużyły na podarunki?

– To dla mnie nowość. Bardzo ciekawe. Panie... Freeman, zgadza się?

– Miał mi pan powiedzieć, co pamięta ze szkoły.

– Powinienem był wiedzieć, że nie uda się nawiązać przyjacielskiej pogawędki. Tak jest, szkoła. Tam było mniej więcej tak samo. Nauczyciele zmieniali się jeszcze szybciej niż tymczasowi rodzice, a każdy kolejny wyznawał inną teorię nauczania. Dlatego nigdy nie nauczyliśmy się zbyt wiele. Ale oczywiście pod wieloma względami było tam nieporównanie gorzej niż w... hmm... domu.

\* \* \*

Wysokie mury. Strzeżone bramy. Klasy, gdzie pod ścianami stały zepsute maszyny uczące, czekające na serwis, który nigdy się nie zjawiał. Po paru dniach zawsze padały ofiarą wandalii i już nie nadawały się do naprawy. Złowrogie korytarze, gdzie bosa stopy często witał ziarnisty pocałunek piasku, znaczącego miejsce, w którym przelano krew. Tylko w jednym przypadku ta krew należała do niego. Był bystry, tak bardzo, że często uważano go za dziwoląga, bo uparcie próbował się uczyć, podczas gdy cała reszta wiedziała, że wystarczy poczekać do osiemnastych urodzin. Udało mu się uniknąć wszystkich majchrów, pałek i pistoletów, poza tylko tym jednym razem, a i wtedy rana nie była zbyt głęboka i nie została po niej blizna.

Spryt nie zapewnił mu jednak jednego. Ucieczki. Stanowy Urząd Edukacji autorytatywnie zarządził, że w życiu dziecka do wynajęcia powinien istnieć jakiś element stabilności. Dlatego musiał się uczyć w tej



samej szkole, niezależnie od tego, gdzie obecnie przebywał, a żadne z jego tymczasowych rodziców nie pozostało z nim wystarczająco długo, by walczyć z tym rozporządzeniem aż do gorzkiego końca.

Kiedy miał dwanaście lat, do szkoły przybyła nauczycielka, Adele Brixham, która tak samo jak on nie chciała dać za wygraną. Zauważyła go i najwyraźniej napisała jakiś raport, zanim została wciągnięta w zasadzkę i padła ofiarą zbiorowego gwałtu, co doprowadziło do przeciążenia. Tak czy inaczej, po mniej więcej tygodniu klasę i prowadzący do niej korytarz odwiedził pluton sił rządowych. Mężczyźni i kobiety w mundurach, wyposażeni w broń palną, sieci i kajdanki. Choć raz obecność była stuprocentowa, pomijając tylko jedną dziewczynkę, która leżała w szpitalu.

Rozpoczęto testy, i tym razem nie można było ich olewać, ponieważ każdego ucznia pilnował ktoś o twardym spojrzeniu, mający kaburę u pasa. Nickie Haflinger wlał całą swą niespełnioną potrzebę osiągnięć w tę trwającą sześć godzin próbę: trzy przed obiadem, który zjedli w klasie pod nadzorem strażników, a trzy po nim. Nawet do klopa nie mogli chodzić sami. To była nowość dla tych spośród uczniów, których nigdy jeszcze nie aresztowano.

Po testach na IQ, EQ – współczynnik empatii – oraz badających zdolności postrzegania i umiejętności społeczne – wszystkie były podobne do zwykłych, tylko trudniejsze – zaczęły się naprawdę skomplikowane – testy lateralizacji, reakcji na zaskoczenie, ocen wartościujących, mądrości... te były naprawdę ciekawe! W ciągu trzydziestu ostatnich minut sesji czuł się jak pijany myślą, że gdy wydarzy się coś, co nie wydarzyło się nigdy dotąd, tylko jeden człowiek potrafi podjąć właściwą decyzję, i tym człowiekiem może być Nickie Haflinger!

Ludzie z rządu mieli ze sobą przenośny komputer. Nickie stopniowo uświadamiał sobie, że po każdym kolejnym wydruku coraz więcej odzianych na szaro nieznanomych skupiało spojrzenia na nim, ignorując pozostałe dzieci. Reszta uczniów również uświadomiła sobie co się dzieje, i na ich twarzach pojawił się wyraz, który już dawno nauczył się rozpoznawać: Dzisiaj po lekcjach to jemu potniemy dupę!

Gdy sześć godzin wreszcie upłynęło, drżał z przerażenia w równym stopniu, jak z ekscytacji. Nie potrafił się jednak powstrzymać przed wykorzystaniem w testach wszystkiego, co wiedział lub czego się domyślał.

Atak jednak nie nastąpił. Nikt nie próbował go zwizować na ulicach prowadzących ze szkoły do miejsca, gdzie obecnie mieszkał. Kobieta kierująca całą procedurą wyłączyła komputer i wskazała głową na Nickiego. Trzech mężczyzn wyciągnęło pistolety i podeszło do chłopca.

– Nie ruszaj się synku – rzekł jeden z nich łagodnym tonem. – Nie ma powodu do obaw.

Reszta uczniów oddaliła się powoli. Oglądali się ze zdziwieniem za siebie, Później zwizowano kogoś innego (ten termin pochodził od WiZ – „wyszukaj i zniszcz”). Chłopak stracił oko. Do tego czasu Nickie zdążył już jednak wrócić do domu rządową limuzyną.

Jemu i jego „rodzicom” starannie wytłumaczono, że władze rekwirują go w interesie kraju zgodnie ze specjalnym rozporządzeniem numer taki i taki, wydanym przez sekretarza obrony zgodnie z uprawnieniami nadanymi mu przez klauzulę numer jakiś tam bądź też jakąś inną ustawę wydaną przez Kongres.... nie dosłyszał szczegółów. Kręciło mu się w głowie. Po raz pierwszy w życiu obiecano mu, że będzie mógł zostać tak długo, jak zechce, w miejscu, do którego go zabierano.

Następnego ranka obudził się w Tarnover i pomyślał, że jest w połowie drogi do nieba.

\* \* \*

– Teraz już rozumiem, że byłem w piekle. Dlaczego jest pan sam? Miałem niejasne wrażenie, że po przebudzeniu zobaczę, że jest was dwóch, choć przez cały czas tylko pan mówił. Czy zwykle jest tu ktoś jeszcze?

Freeman pokręcił głową. Jego oczy miały czujny wyraz.

– Ale ktoś tu był. Jestem tego pewien. Powiedział coś o tym, jak pan na mnie patrzy. Mówił, że się boi.

– Tak, to prawda. Mieliśmy gościa, który przez jeden dzień obserwował przesłuchanie. Faktycznie tak powiedział, ale on nie pracuje w Tarnover.

- W miejscu, gdzie niemożliwe uważacie za oczywiste.
- Można by to tak ująć.
- Rozumiem. Przypomina mi to jeden z moich ulubionych kawałów z czasów dzieciństwa. Nie opowiadałem go od lat. Jeśli mi się poszczęści, wyszedł z mody już tak dawno, że pana nie znudzi. No więc, pewien koncern naftowy w czasach... och, gdzieś w latach dwudziestych albo trzydziestych minionego stulecia, to by pasowało... Dlatego pokazali mu samolot, bo w tamtej części świata samoloty były jeszcze wielką rzadkością.
- A kiedy znaleźli się na wysokości dziesięciu tysięcy stóp i szejk nadal był w pełni spokojny oraz opanowany, zapytali go: „Nie imponuje to panu?”. A szejk na to: „Chcecie powiedzieć, że on nie powinien tak latać?”. Tak, znam tę historyjkę. Przeczytałem ją w pańskim dossier.
- Nastała chwila ciszy, pełna skrywanego napięcia.
- Co przekonało pana, że jest w piekle? – zapytał wreszcie Freeman.
- Najpierw wyścig nóg, potem wyścig zbrojeń, a po nim...

\* \* \*

Epigramat Angusa Portera nie był po prostu zgrabnym powiedzonkiem, zbyt często cytowanym na przyjęciach. Jednakże tylko niewielu zdawało sobie sprawę, że ten *bon mot* stał się dosłowną prawdą.

W Tarnover, w Credition Hill, w jakiejś dziurze w Górach Skalistych, której nigdy nie zdołał zidentyfikować i znał tylko jej kodową nazwę „Elektryczny Deszcz”, a także w innych miejscach, rozproszonych od Oregonu aż po Luizjanę, istniały tajne ośrodki wykonujące szczególne zadanie, jakim było robienie użytku z genialnych talentów. Ich przodkami były prymitywne „think tanki” z połowy dwudziestego wieku, ale tylko w takim sensie, w jakim nowoczesne komputery wywodzą się od wykorzystującej karty dziurkowane maszyny liczącej Holleritha.

Wszystkie supermocarstwa miały podobne ośrodki, podobnie jak wiele drugo- i trzeciorzędnych państw. Wyścig mózgów trwał od dziesięcioleci,

a niektóre kraje dostały na starcie spore fory. (To było popularne, choć nieścisle porównanie).

Na przykład w Rosji od dawna propagowano Olimpiady Matematyczne, a przyjęcie na studia w Akadiemgorodku było wielkim zaszczytem. Natomiast w Chinach wielki przyrost ludności wymusił przejście od improwizacji zgodnej z marksistowsko-maoistowskimi wytycznymi do świadomie prowadzonych poszukiwań optymalnych metod zarządzania, wykorzystujących formy krzyżowej analizy wpływów, do której język chiński był szczególnie dobrze przystosowany. Już na długo przed końcem poprzedniego stulecia sformalizowano metodę, która okazała się niezwykle skuteczna. Do każdej komuny i małej wioski wysłano talię kart z ideogramami reprezentującymi nadchodzące zmiany, czy to społeczne, czy technologiczne. Tasowanie i rozdawanie tych kart tworzyło nowe kombinacje, automatycznie generujące świeże pomysły. Następnie na serii publicznych spotkań szczegółowo omawiano ich implikacje, po czym wyznaczano przedstawiciela, mającego streścić opinie grupy i przekazać je do Pekinu. Ta metoda okazała się tania i zdumiewająco skuteczna.

Ale nie działała w żadnym zachodnim języku poza esperanto.

Stany Zjednoczone bardzo późno włączyły się do tego wyścigu. Dopiero gdy wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco zachwiało podstawami państwa, uświadomiono sobie twardą prawdę, że gospodarka nie jest w stanie wchłonąć nawet katastrofy o tych rozmiarach, nie wspominając już o ataku atomowym, który wyeliminowałby wiele milionów ludzi. Mimo to minął jeszcze dość długi czas, zanim Ameryka Północna na dobre przestawiła się z siły fizycznej na siłę umysłu.

Pod pewnymi względami ta zmiana nadal pozostawała nieukończona. W Elektrycznym Deszczu po dziś dzień podstawowy nacisk kładziono na nowe rodzaje broni, ale przynajmniej skupiano się na obronie w dosłownym znaczeniu tego słowa, nie na kontruderzeniach czy strategiach prewencyjnych. (Nazwa rzecz jasna wywodziła się od starego powiedzenia o deszczu i rynnach).

W Credition Hill dominowały jednak nowocześniejsze koncepcje. Czołowi specjaliści od analizy nieustannie monitorowali tam pule delfickie

w całym kraju, by podtrzymać wysoki współczynnik spokoju społecznego. Od roku 1990 agitatorom trzykrotnie niemalże udało się wywołać krwawą rewolucję. Za każdym razem zdołano jednak jej zapobiec. Dzięki śledzeniu zawieranych zakładów można było odczytać aktualne pragnienia ogółu, co pozwalało urzeczywistnić te, które były realne, i ostrożnie zdewaluować pozostałe. Najlepsi eksperci od krzyżowej analizy wpływów wysilali się, by zapewnić, że wysiłki rządu służące obniżeniu delfickich notowań w jakiejś kwestii, by odwrócić uwagę społeczną od niepożądanych celów, nie zaszkodzą przy okazji czemuś ważnemu.

Najnowszym ze wszystkich projektów były supertajne prace prowadzone w Tarnover oraz w innych ośrodkach, o których istnieniu wiedział, nawet jeśli nie znał ich nazw. A co było ich celem?

Odnalezienie genetycznych podstaw mądrości, zanim zrobi to ktokolwiek inny.

– Mówi pan tak, jakby słowo „mądrość” było nieprzyzwoite, Haflinger.

– Być może znowu wyprzedzam swój czas. To, co tu robicie, wkrótce skompromituje ten termin.

– Nie będę marnował czasu, mówiąc, że nie zgadzam się z tą opinią. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Może mógłby pan zdefiniować, co rozumie przez ten termin?

– Moja definicja brzmi tak samo jak pańska. Jedyne różnica polega na tym, że ja mówię szczerze, a pan manipuluje słowami. Mądry człowiek potrafi dokonać jednego czynu, wykraczającego poza możliwości tego, kto jest tylko bystry. Umie podjąć właściwą decyzję w bezprecedensowej sytuacji. Nie przeciąży go podłączeniowy styl życia. Nigdy nie będzie potrzebował terapii w szpitalu psychiatrycznym. Przystosowuje się do zmian mody, nowych fraz, które wciąż pojawiają się i znikają, całego tego zamieszania produkowanego przez ultradźwiękowy mikser, jakim jest dwudziesty pierwszy wiek. Jak delfin płynący z falą dziobową statku, zawsze jest z przodu, ale zmierza we właściwym kierunku. I świetnie się przy tym bawi.

– W pańskich ustach brzmi to nader atrakcyjnie. Dlaczego więc sprzeciwia się pan naszej pracy?

– Dlatego że to, co robi się tutaj, a także w innych miejscach, nie jest motywowane miłością do mądrości ani pragnieniem uczynienia jej dostępną dla wszystkich, lecz strachem, podejrzliwością i chciwością. Pan i wszyscy ci, którzy zajmują niższe i wyższe miejsca w waszej hierarchii, od portiera aż po – cholera, pewnie samego prezydenta albo jeszcze wyżej, tych, którzy pociągają za jego sznurki...! – panicznie boicie się myśli, że ktoś inny mógł już choćby odrobinę poszerzyć swą mądrość, podczas gdy wy męczycie się na poziomie głupoty. Jesteście tak przerażeni możliwością, że gdzieś w Brazylii, na Filipinach czy w Ghanie ktoś mógł już odnaleźć właściwą odpowiedź, że boicie się nawet ich o to zapytać. Niedobrze mi się robi od tego. Jeśli na świecie jest ktoś, kto zna tę odpowiedź, jeśli istnieje na to choć cień szansy, jedyną sensowną reakcją jest siedzieć na jego progu tak długo, aż zechce z nami porozmawiać.

– Wierzy pan, że istnieje taka odpowiedź? Jedynie słuszne rozwiązanie?

– Nie, do cholery. Zapewne są tysiące różnych możliwości. Wiem jednak jedno: dopóki jesteście zdeterminowani zająć pierwsze miejsce w wyścigu do takiego czy innego rozwiązania, z pewnością nie uda się wam go znaleźć. A tymczasem inni ludzie z innymi problemami będą czekali z pokorą i zadowoleniem, ponieważ w tym roku nie jest już tak źle jak w poprzednim.

\* \* \*

W Chinach. Zawsze trzeba było zaczynać od Chin. To był najludniejszy kraj na świecie i w związku z tym stanowił logiczny punkt wyjścia.

Kiedyś władał tam Mao. Po nim nastąpiło Konsorcjum, które przypominało raczej bezkrólewie. Rewolucja kulturalna skończyła się wpadką w bez aty po rekontrze (tyle że sama fraza „rewolucja kulturalna” była absurdalnie błędna i ludzie w niej uczestniczący rozumieli tę nazwę raczej jako „bolesne przewartościowanie”). Potem nadszedł Feng Soo Yat... zupełnie niespodziewanie, z tak niewieloma ostrzeżeniami, że na tablicach delfickich zajmujących się polityką zagraniczną notowania, do tej chwili faworyzujące prognozę, że Chiny pogrążą się w gwałtownej anarchii,

w ciągu trzech dni spadły na trzysta do jednego. Nowy przywódca stanowił żywe wcielenie wschodniego mędrca: był młody, ponoć nie przekroczył jeszcze czterdziestki, ale kierował rządem z taką subtelnością i zdolnością przewidywania, że nigdy nie musiał wyjaśniać swych decyzji ani się z nich tłumaczyć. Po prostu wszystkie okazywały się trafne.

Być może nauczono go demonstrowania takich zdolności osądu albo wyhodowano z myślą o nich. Jedno nie ulegało wątpliwości: był za młody, by mógł zawdzięczać je doświadczeniu.

Zakładając, że zaczął w tym samym punkcie co inni ludzie.

Podobnie w Brazylii. Od chwili, gdy władzę przejął Lourenço Pereira – kimkolwiek mógł być – wojny religijne ustały. Stanowiło to bardzo pozytywny kontrast w porównaniu z okresem przełomu stuleci, gdy katolicy i makumbanie toczyli walne bitwy na ulicach São Paulo. Na Filipinach reformy wprowadzone przez pierwszą kobietę na stanowisku prezydenta, Sarę Castaldo, dwukrotnie zmniejszyły straszliwy współczynnik morderstw utrzymujący się tam od wielu lat, natomiast w Ghanie, gdzie premier Akim Gomba zapowiedział, że zaprowadzi porządek, ludzie zabrali się do tego zadania ze śmiechem i radością. W Korei, po zamachu stanu Inn Lim Paka znacznie spadła liczba czarterowych samolotów z poszukującymi zakazanych przyjemności turystami. Przedtem codziennie z Sydney, Melbourne i Honolulu przylatywały trzy albo cztery razy dziennie. Generalnie rzecz biorąc, mądrości przybywało w najmniej spodziewanych miejscach.

– Jest pan pod wrażeniem tego, co dzieje się w innych krajach. Dlaczego nie chce pan, by pana własny kraj skorzystał z... nazwijmy to zastrzykiem mądrości?

– Mój własny kraj? Urodziłem się tutaj, to prawda, ale... nieważne, to już w dzisiejszych czasach przestarzały argument. Rzecz w tym, że to, co próbujecie przedstawić jako mądrość, w rzeczywistości wcale nią nie jest.

– Czuję, że przed nami długa debata. Być może powinniśmy juro zacząć od nowa.

– W jaki tryb mnie pan wtedy wprowadzi?

– W ten sam, co dzisiaj. Zbliżamy się do punktu, w którym w końcu dopadło pana przeciążenie. Chcę porównać pańskie świadome i nieświadome wspomnienia z okresu, który poprzedzał załamanie.

– Proszę mi nie wciskać kitu. Po prostu znudził się pan gadaniem z automatem. Pełna świadomość czyni mnie ciekawszym rozmówcą.

– Wręcz przeciwnie. Pańska przeszłość jest znacznie ciekawsza od terażniejszości i przyszłości. Te dwie ostatnie są w pełni zaprogramowane. Dobranoc. Nie ma sensu, bym życzył panu dobrego snu. To również zaprogramowano.

## ZNANE CZYNNIKI, KTÓRE DOPROWADZIŁY DO DEZERCJI HAFLINGERA

Nieśmiały, zamknięty w sobie, pełen rezerwy chłopak, który przybył do Tarnover, przez tak długi czas przechodził od jednej pary „rodziców” do następnej, że nauczył się zmieniać jak kameleon. Lubił prawie wszystkich swych „ojców” oraz „matki”. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że komputery starannie kojarzyły dzieci z dorosłymi. Stykał się, choćby tylko przez krótki czas, z bardzo szerokim zakresem rozmaitych zainteresowań. Jeśli jego chwilowy „tata” lubił sport, chłopak poświęcał mnóstwo czasu na baseball albo futbol. Jeśli jego „mama” interesowała się muzyką, śpiewał przy jej akompaniamencie bądź próbował się jakoś uporać z klawiaturą... i tak dalej.

Nigdy jednak w nic się nie angażował głęboko. To byłoby niebezpieczne, równie niebezpieczne jak pokochanie kogoś. W następnym domu mogliby mu kazać to porzucić.

Dlatego z początku brakowało mu pewności siebie. Odnosił się z nieśmiałością do innych uczniów – zaliczał się do najmłodszych, większość miała co najmniej piętnaście lat – a w rozmowach z instruktorami był wyjątkowo uprzejmy. Miał niejasne wyobrażenie na temat ośrodków rządowych, oparte na przedstawieniach szkół kadetów



i baz wojskowych w filmach oraz w trójwymiarze. Jednakże Tarnover w niczym nie przypominało wojska. Rzecz jasna, obowiązywały tu pewne zasady, a wśród uczniów wytworzyły się już zwyczaje oraz tradycje, choć ośrodek założono przed zaledwie dziesięciu laty. Niemniej tego rodzaju sprawy traktowano tu dość luźno. Atmosfera może nie była w pełni przyjazna, lecz z pewnością przesycona poczuciem wspólnoty. Byli ludźmi, których połączył cel, wykonywali tę samą misję i panowała między nimi solidarność.

Dla Nickiego wszystko to było całkowitą nowością. Minęły miesiące, nim sobie uświadomił, jak bardzo mu się tu podoba.

Nade wszystko cieszył się z szansy spotkania ludzi – nie tylko dorosłych, lecz również dzieciaków – którzy pragnęli wiedzy. Przedtem nauczył się trzymać podczas lekcji głębę na kłódkę, naśladować posępne milczenie innych uczniów, ponieważ widział, co spotykało tych, którzy popisywali się swą wiedzą. Dlatego był zdumiony, a przez pewien czas również głęboko zaniepokojony tym, co tu zastał. Nikt nie próbował go naciskać. Wiedział, że go obserwują, ale to wszystko. Powiedziano mu, co wolno mu robić, i to był koniec jego instrukcji. Wystarczyło, by zdecydował się na jedną z kilkunastu albo dwudziestu paru opcji. Potem nie musiał już nawet wybierać z listy. Mógł sporządzać własną.

\* \* \*

Nagle się przebudził. Nowe, fascynujące informacje wypełniły jego mózg aktywnością godną roju pszczoł: minus jeden ma pierwiastek kwadratowy, Chińczyków jest prawie miliard, drzewo Shannona pozwala skrócić zapis w języku angielskim o piętnaście procent, a więc tak działa uspokajacz, słowo „okay” pochodzi z języka wolof, w którym „wawkay” znaczy „z pewnością” albo „oczywiście”.

Jego wygodny prywatny pokój wyposażono w zdalnik komputerowy. Były ich tu setki, więcej niż jeden na każdą osobę mieszkającą na kampusie. Korzystał z niego pasjami, pochłaniając całe encyklopedie danych.

Bardzo szybko uwierzył, że jest absolutnie niezbędne, by to jego kraj, a nie żaden inny, pierwszy zastosował mądrość do kierowania światem. Zmiany były tak szybkie i radykalne, że z pewnością nic innego im nie pomoże. Jeśli jakaś represyjna, nieceniąca wolności kultura zdobędzie przewagę...

Nickie nadal drżał na myśl o tym, jak wyglądało jego życie w systemie pozbawionym mądrości. Dlatego łatwo było go przekonać.

Nie przeszkadzało mu nawet to, że dwa razy do roku pobierano próbkę tkanek z jego mózdzku. Wszyscy uczniowie musieli to znosić. (Dopiero później nauczył się umieszczać słowo „uczniowie” w cudzysłowie i uważać siebie i pozostałych raczej za „więźniów”). Robiono to za pomocą mikropróbnika i strata pięćdziesięciu komórek nie miała większego znaczenia.

Imponowała mu też do granic zachwyty sumienność grupy biologów, pracujących w grupie budynków o anonimowym wyglądzie, ulokowanych po prawej stronie kampusu. Dystans, jaki zachowywali wobec innych, budził lekki niepokój, ale cel z pewnością mieli szlachetny. Przeszczepy narządów były dla nich czymś codziennym – serca, nerki, płuca, wszystko to robili z równym spokojem jak mechanik wymieniający części w maszynie. Teraz stawiali sobie ambitniejsze cele – zastępowanie całych kończyn z zachowaniem funkcji czuciowych i ruchowych, przywracanie wzroku ślepym, hodowla płodów poza organizmem... Dawniej, nie uświadamiając sobie implikacji tych słów, Nickie czytał niekiedy wydrukowane tłustym drukiem ogłoszenia pod hasłem „kup ubranko dla dziecka, a jeśli zdecydujesz się na aborcję, otrzymasz od nas wsparcie”. Jednakże dopiero po przybyciu do Tarnover zobaczył na własne oczy jedną z rządowych ciężarówek przewożących płody, dostarczającą kolejny transport niechcianych, nieukończonych dzieci.

To go nieco zaniepokoiło, ale nietrudno mu było zdecydować, że lepiej, by te niedosze dzieci dotarły tutaj, gdzie będą użyteczne dla prowadzonych badań, niżby miały skończyć w szpitalnej spalarni.

Potem jednak utracił część zainteresowania genetyką. Rzecz jasna, mógł to być przypadek, większość czasu poświęcał bowiem uzupełnianiu

swego niekompletnego obrazu współczesnego świata, skupiając się na historii, socjologii, geografii politycznej, religioznawstwie porównawczym, językoznawstwie oraz wszelkich możliwych formach literatury pięknej. Instruktorzy byli z niego zadowoleni, a inni uczniowie mu zazdrościli. Był jednym ze szczęściarzy, tych, którzy z pewnością zajdą wysoko.

Niektórzy absolwenci Tarnover znaleźli dla siebie miejsce w szerokim świecie, choć nie było ich zbyt wielu. Potrzeba było dziewięciu lat, by liczba uczniów wzrosła do ponad siedmiuset, a we wczesnym okresie znaczną część wysiłków pochłaniały straty powodowane przez metodę prób i błędów, nieuniknioną w przypadku tak radykalnie nowego systemu. Te czasy już jednak minęły. Niekiedy któryś z absolwentów odwiedzał szkołę, wyrażał podziw dla jej bezproblemowego obecnie funkcjonowania i opowiadał w połowie smutne, a w połowie zabawne historie o błędach, jakie popełniano w czasach, gdy był tu uczniem. Większość tych pomyłek wywodziła się z wyjściowego założenia, że rywalizacja jest niezbędna, jeśli ludzie mają pracować z maksymalną wydajnością. Okazało się, że jest wręcz przeciwnie. Jedną z zasadniczych cech naprawdę mądrej osoby jest zdolność dostrzeżenia, że rywalizacja równa się marnotrawstwu czasu i wysiłku. Nim jednak ostatecznie rozstrzygnięto tę kwestię, zgłoszono sporo śmiesznych zastrzeżeń.

Uczniowie Tarnover żyli w izolacji. Rzecz jasna, pozwalano im na wakacje – w przeciwieństwie do Nickiego wielu miało żyjące rodziny. Często któryś z kolegów zabierał go do domu na Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia albo Święto Pracy, ale Nickie świetnie zdawał sobie sprawę, że niebezpiecznie jest mówić to, co się myśli. Nie wymagano od nich formalnej przysięgi i nie wydawano im certyfikatów bezpieczeństwa, ale wszystkie dzieci zdawały sobie sprawę, że od ich wysiłków może zależeć bezpieczeństwo kraju. Były wręcz z tego dumne. Poza tym status gościa w obcym domu budził nieprzyjemne wspomnienia z dawnych dni. Dlatego Nickie nigdy nie przyjmował zaproszenia na więcej niż tydzień i zawsze z radością wracał do miejsca, które nauczył się uważać za idealne dla siebie, do środowiska, gdzie nowe pomysły unosiły się w powietrzu, ale życie codzienne pozostawało w pełni stabilne.

Rzecz jasna, i tu zdarzały się zmiany. Czasami jakiś uczeń, rzadziej instruktor, znikał bez ostrzeżenia. Istniało na to specjalne słowo. Mówiono że „ugięli się” – jak przeciążony dźwigar albo drzewo podczas wichury. Jeden z instruktorów zrezygnował, ponieważ nie pozwolono mu pojechać na konferencję w Singapurze. Nikt go nie żałował. Pracownicy Tarnover nie uczestniczyli w międzynarodowych zjazdach. Nawet na te, które odbywały się w Ameryce Północnej, jeździli rzadko. Mieli powody, by unikać pytań.

W wieku siedemnastu lat Nickie był przekonany, że nadrobił już większą część zmarnowanego dzieciństwa. Przede wszystkim poznał uczucia. Nie chodziło tylko o to, że miał dziewczyny. Stał się przystojnym i wygadany młodzieńcem, a sądząc po tym, co mu mówiono, również dobrym kochankiem. Ważniejszy był fakt, że stabilizacja panująca w Tarnover umożliwiła mu czucie do dorosłych czegoś więcej niż zwykła sympatia. Było wielu instruktorów, do których szczerze się przywiązał. To było niemal tak, jakby urodził się z opóźnieniem w bardzo licznej rodzinie. Miał więcej krewnych – a do tego bardziej zasługujących na zaufanie – niż dziewięćdziesiąt procent mieszkańców kontynentu.

Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy...

\* \* \*

Większą część wykształcenia zdobywało się tu samodzielnie, za pomocą komputerów i maszyn uczących. To logiczne. Wiedza, którą chcemy zdobyć, zanim się dowiemy, gdzie jej szukać, zapisuje się w pamięci lepiej niż ta, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewaliśmy. Od czasu do czasu zdarzały się jednak problemy wymagające pomocy instruktorów. Minęły dwa lata, odkąd Nickie ostatnio miał coś wspólnego z biologią, a w związku z planowanym przez siebie projektem dotyczącym psychologii komunikacji potrzebował porady dotyczącej fizjologicznych aspektów postrzegania zmysłowego. Zdalnik komputerowy w jego pokoju nie był już tym samym, który otrzymał w chwili przybycia. To był nowszy,

wydajniejszy model. Nadał mu imię Roger, co miało być żartobliwą aluzją do brata Bacona od mówiącej głowy.

Po kilku sekundach zdalnik oznajmił mu, że powinien się skontaktować z doktorem Joelem Boschem z sekcji biologii dzisiaj o dziesiątej rano. Nickie nie znał tego człowieka, ale słyszał o nim. Doktor Bosch pochodził z Afryki Południowej. Wyemigrował do Stanów siedem albo osiem lat temu i przyjęto go do pracy w Tarnover po długim i dokładnym sprawdzeniu lojalności. Ponoć spisywał się doskonale.

Nickie nie był do końca przekonany. O ludziach z Afryki Południowej mówiono różne rzeczy... ale z drugiej strony, nie znał żadnego osobiście, więc wstrzymywał się z osądem.

Przybył na umówioną godzinę. Bosch zaprosił go do środka i kazał usiąść. Nickie go posłuchał, kierując się raczej dotykiem niż wzrokiem. Jego uwagę natychmiast przyciągnęło... coś, co znajdowało się w kącie przestronnego i widnego gabinetu.

Miało twarz. Miało tułów. Miało jedną, normalnie wyglądającą dłoń wyrastającą prosto z barku. Druga, zwiędła, stanowiła zakończenie cienkiej jak słomka, niemal całkowicie pozbawionej mięśni kończyny. Nie miało nóg. Spoczywało na systemie wsporników podtrzymujących nienaturalnie dużą głowę w pozycji pionowej i spoglądało na Nickiego z nieopisaną zazdrością. Wyglądało jak thalidomidowa parodia małej dziewczynki.

Tęgi, sympatyczny doktor Bosch zachichotał na widok reakcji gościa.

– To jest Miranda – wyjaśnił, siadając na krześle. – Proszę bardzo, pogap się na nią. Już się do tego przyzwyczała. A jeśli nawet nie, to będzie się musiała przyzwycząć i tyle.

– Co...?

Zabrakło mu słów.

– Nasza duma i radość. Nasze największe osiągnięcie. Przypadkowo spotkał cię zaszczyt bycia jednym z pierwszych, którzy się o tym dowiedzieli. Zachowujemy ją w tajemnicy, ponieważ nie wiemy, jak wiele bodźców jest w stanie wytrzymać, a jeśli choć słówko wyjdzie na jaw, ludzie ustawią się w kolejce sięgającej stąd do Pacyfiku, domagając się

spotkania z nią. Otrzymają tę szansę, ale we właściwym czasie. Odkąd się dowiedzieliśmy, że naprawdę jest świadomą istotą, przystosowujemy ją do świata powoli i stopniowo. W gruncie rzeczy zapewne ma co najmniej przeciętny iloraz inteligencji, ale potrzebowaliśmy sporo czasu, by wykombinować coś, co pozwoli jej mówić.

Nickie wpatrywała się w dziewczynkę jak zahipnotyzowany i zauważył przypominający miechy mechanizm, który kurczył się i rozszerzał razem z jej skarlłowaciałym ciałem. Wychodząca z niego rura łączyła się z gardłem Mirandy.

– Oczywiście, nawet gdyby nie przeżyła tak długo, nadal byłaby kamieniem milowym na naszej drodze – ciągnął Bosch. – Stąd się wzięło jej imię. Miranda. „Godna podziwu”. – Uśmiechnął się szeroko. – Zbudowaliśmy ją! To znaczy, że połączyliśmy gamety w kontrolowanym środowisku, wybraliśmy geny, które chcieliśmy jej dać, i umieściliśmy je we właściwych pozycjach, a potem pozwoliliśmy jej dojrzewać w sztucznej macicy. Tak jest, zbudowaliśmy ją. I już nauczyliśmy się od niej bardzo wiele. Nasza następna próba będzie zdolna do samodzielnego życia i obędziemy się bez tych wszystkich gadżetów. – Machnął lekceważąco ręką. – A teraz do rzeczy. Z pewnością nie masz nic przeciw temu, że Miranda będzie nas słuchała. I tak nic z tego nie zrozumie, ale, jak już wspominałem, jest tu po to, by przyzwycząić ją do myśli, że na świecie jest mnóstwo ludzi, a nie tylko troje czy czworo pracowników, którzy się nią opiekują. Komputery mnie poinformowały, że chcesz usłyszeć krótkie podsumowanie...

Nickie machinalnie wyjaśnił powody swej wizyty. Bosch podał mu tytuły kilkunastu niedawno opublikowanych artykułów na interesujące go tematy. Chłopak ledwie go słyszał. Po wyjściu z gabinetu raczej powłókł się niż poszedł do swojego pokoju.

Nocą, gdy leżał samotnie w łóżku, nie mogąc zasnąć, zadał sobie pytanie, którego program nie uwzględnił, i zaczął z bólem poszukiwać odpowiedzi.

Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy zareagowaliby tak samo. Większość jego kolegów byłaby zachwycona tak jak Bosch. Patrzyliby na

Mirandę z zainteresowaniem, nie z przerażeniem, zadawaliby dziesiątki inteligentnych pytań i wychwalali ekipę odpowiedzialną za jej stworzenie.

Jednakże Nickie Haflinger przez połowę swego życia przed dwunastymi urodzinami, w ciągu sześciu najważniejszych dla jego ukształtowania lat był raczej elementem umeblowania niż ludzką osobą i, chcąc nie chcąc, był zmuszony to polubić.

Zupełnie jakby natrafił przypadkowo na ten problem w jednym z testów, jakie były standardowym elementem jego wykształcenia – nauka znajdowania właściwej odpowiedzi mimo zaskoczenia stanowiła nieodłączną część doktryny obowiązującej w Tarnover – widział go, dosłownie widział, oczami umysłu. Pytanie napisano na żółtawym papierze, używanym w sekcji testów znajdującej się pod nagłówkiem „na te pytanie należy odpowiadać w kategoriach rachunku moralności”, co odróżniało ją od zielonych kartek używanych w części odnoszącej się do kwestii politycznych i administracyjnych, różowych do prognoz społecznych i tak dalej.

Potrafił nawet wyobrazić sobie czcionkę, jaką je wydrukowano. Brzmiało następująco:

*Na czym polega różnica między (a) wykorzystaniem metalu, który mógł posłużyć do stworzenia użytecznego narzędzia, do produkcji broni, a (b) modyfikacją plazmy zarodkowej, która mogła doprowadzić do powstania osoby ludzkiej, do stworzenia narzędzia. Odpowiedź musi się zakończyć nad ciągłą czarną linią.*

Odpowiedź – straszliwa, odrażająca odpowiedź – brzmiała następująco:

*Nie ma żadnej różnicy. Nawet najmniejszej. I jedno, i drugie jest złem.*

\* \* \*

Nie chciał uwierzyć w tę konkluzję. Gdyby potraktował ją poważnie, musiałby się wyrzec wszystkiego, co było najważniejsze w jego krótkim życiu. Tarnover stało się jego domem w sensie głębszym niż uznalby to przedtem za możliwe.

Czuł się jednak znieważony, aż do szpiku kości.

Myślałem, że jestem tu po to, by stać się maksymalnie udoskonaloną wersją samego siebie. Nie jestem już pewien, czy to prawda. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że jestem tu po to, by stać się kimś uważanym za najbardziej użytecznego...

Miranda umarła. Urządzenia podtrzymujące jej życie były dalekie od doskonałości. Miała jednak licznych następców, a jej wspomnienie nie przestawało prześladować Nickiego Haflingera, nawet gdy żadnego z nich nie było w pobliżu.

W tajemnicy, ponieważ obawiał się, że nie potrafi dobrze uzasadnić swego stanowiska w rozmowie z kolegami, użerał się z implikacjami tego problemu, oplatającymi go na podobieństwo macek.

Słowo „zło” pojawiło się w jego umyśle niespodziewanie. Pierwszy raz usłyszał je we wczesnym dzieciństwie, zapewne z ust matki. Przypominał sobie niejasno, że była wierząca, należała do Kościoła baptystów, zielonoświątkowców albo czegoś w tym rodzaju. Jego późniejsi, tymczasowi rodzice, byli zbyt oświeceni, by używać przy dziecku tak nacechowanych słów. Mieli w domach komputerowe zdalniki, zapewniające dostęp do najnowszych danych dotyczących wychowania dzieci.

Cóż więc znaczyło to słowo? Co w dzisiejszym świecie można było zidentyfikować jako zło, skandal, niegodziwość? Zmierzał powoli ku definicji, aż wreszcie odnalazł ostatnią wskazówkę w czymś, co powiedział Bosch. Przekonawszy się, że Miranda jest świadomą istotą o ilorazie inteligencji dorównującym przeciętnemu, nie skrócili jej cierpień. Nawet nie trzymali jej w izolacji od świata, by nie mogła porównywać swej egzystencji z życiem wolnych, aktywnych ludzi posiadających zdolność ruchu. Pokazywali ją publicznie, by „przyzwyczaiła się do tego, że się na nią gapią”, jakby ich wyobrażenie o osobowości zaczynało się i kończyło na



tym, co można zmierzyć w laboratorium. Jakby – choć sami mogli cierpieć – nie wierzyli, że cierpienia innych są realne. „Obiekt zademonstrował reakcję bólu”.

Ale nigdy, w żadnej sytuacji, „sprawiliśmy jej ból”.

\* \* \*

Z pozoru jego zachowanie podczas drugiego pięciolecia spędzonego w Tarnover niczym się nie różniło od tego, jakie przejawiał przedtem. Brał uspokajacze, ale takie same przepisywano większości osób w jego grupie wiekowej. Instruktorzy czasami wzywali go na sesje terapii, ale to również dotyczyło co najmniej połowy jego rówieśników. Raz, kiedy rzuciła go dziewczyna, miał ochotę zostać skręciuchem, ale izolacja od świata z pewnością nasilała emocjonalne burze typowe dla okresu dojrzewania. Wszystko to mieściło się w granicach normy.

Raz – dosłownie jeden raz – poczuł, że nie może już dłużej znosić nacisku, i zrobił coś, co – gdyby wyszło na jaw – z pewnością skończyłoby się dla niego wyrzuceniem ze szkoły, a być może również operacją wymazania pamięci. (Opowiadano o takich zabiegach... ale nigdy nie można było znaleźć dowodów).

Z publicznego wideofonu w umieszczonym w wagonie silników terminalu, łączącym Tarnover z najbliższym miasteczkiem, zadzwonił do Pomocnego Słuchacza, po raz pierwszy od wielu lat, i długą, mroczną godzinę wylewał z siebie sekrety swego serca. To stało się dla niego katharsis, oczyszczeniem, ale na długo przed tym, nim wrócił do swego pokoju, drżał już ze strachu na myśl o tym, że sławna obietnica Pomocnego Słuchacza („Tylko ja tego słucham!”) może być fałszywa. Jak mogłaby być prawdą? To absurd. Podśluchowe witki rządowych komputerów z Canaveral przenikały całe społeczeństwo na podobieństwo grzybni. Żadne miejsce nie mogło być na nie odporne. Całą noc nie mógł zasnąć ze strachu, spodziewając się, że drzwi otworzą się nagle i groźni, milczący mężczyźni przyjdą go aresztować. O świcie był już bliski samobójstwa.

O dziwo, żadna katastrofa się nie wydarzyła. Po tygodniu straszliwy impuls przeszedł już do jego wspomnień, niejasny niczym sen. Jednakże własne przerażenie przypominał sobie aż nazbyt wyraziście.

Postanowił, że już nigdy więcej nie zrobi czegoś tak głupiego.

\* \* \*

Wkrótce potem zaczął się skupiać na metodach przetwarzania danych, zaniebując inne dziedziny. Jednakże w tym wieku co czwarty z jego rówieśników wykazywał już preferencje dla jakiejś specjalności i uważano to za cenny talent. (Wyjaśniono mu, że w kategoriach teorii n-wartościowej średniej drogi swobodnej zarządzanie trzystoma milionami ludzi zamieszkujących Amerykę jest problemem deterministycznym; aczkolwiek, podobnie jak w przypadku szachów albo fechtunku, nie wystarczy wiedzieć, że istnieje optymalne rozwiązanie, jeśli wszechświat nie będzie istniał wystarczająco długo, by można je było odnaleźć metodą prób i błędów).

W chwili przybycia był zamknięty w sobie i trzymał się na dystans. Nie było zaskakujące, że po okresie większej otwartości wrócił do dawnych nawyków samotnika. Ani jego nauczyciele, ani koledzy nie podejrzewali, że celowo zmienił własną osobowość. Chciał się stąd wydostać, a z założenia drogi wyjścia nie było.

Tego faktu nigdy nie podkreślano, ale nieustannie przypominano im, że jeden rok nauki jednego ucznia w Tarnover kosztuje budżet federalny około trzech milionów dolarów. Środki w poprzednim stuleciu przeznaczane na pociski międzykontynentalne, łodzie podwodne, czy utrzymanie zagranicznych baz wojskowych, przekazywano obecnie na tego typu tajne ośrodki. Wiedzano też, w subtelny sposób, w jaki wie się o takich sprawach, że warunkiem pobytu tutaj jest zagwarantowanie rządowi zwrotu poniesionych kosztów. Wszyscy absolwenci, którzy odwiedzali ośrodek, to robili.

W umyśle Nickiego narastało jednak przekonanie, że coś tu nie gra. Czy ci ludzie cechowali się sumiennością... czy brakiem wrażliwości? Czy byli

patriotami... czy pragnęli władzy? Czy byli zdeterminowani... czy zaślepieni?

Postanowił, że prędzej czy później, zanim zobowiąże się poświęcić życie na spłatę długu, czego z pewnością od niego zażądają, musi się wyrwać na wolność na czas wystarczająco długi, by spojrzeć na sprawę z boku i podjąć decyzję w kwestii moralnych aspektów wyścigu mózgów.

To właśnie skierowało go na trop tego, co – jak się potem dowiedział było kodem 4GH.

Drogą dedukcji od podstaw doszedł do wniosku, że musi istnieć jakiś sposób, dzięki któremu upoważnione osoby mogą się pozbyć dawnej tożsamości i przybrać nową, nie prowokując żadnych pytań. Cały kraj oplatała gęsta sieć połączonych ze sobą kanałów przesyłania danych. Podróżnik w czasie przybywający z ubiegłego stulecia byłby przerażony tym, do jakiego stopnia poufne informacje stały się dostępne dla całkowicie nieznanym ludzi potrafiących wyliczyć, że dwa plus dwa równa się cztery. (Maszyny zdolne wykryć, że ktoś oszukuje przy podatkach, zapewniają też, że w karetce, która przyjedzie po ciebie po wypadku samochodowym, będzie krew odpowiedniej grupy. Czyż nie tak?).

Powszechnie jednak wiadano, że tajną działalnością nadal zajmują się nie tylko policyjni donosiciele, agenci FBI i kontrwywiadu, lecz również szpiedzy przemysłowi, przedstawiciele partii przekazujący wielomilionowe łapówki czy stręczyciele zaspokajający cielesne potrzeby prezesów hiperkorporacji. Pozostawało prawdą, że jeśli ktoś jest wystarczająco bogaty albo ma kontakty z odpowiednimi osobami, może uniknąć wykrycia. Większość ludzi pogodziła się już z tym, że całe ich życie jest wystawione na widok publiczny. Większość, ale nie on. On znalazł swój kod.

Kod 4GH zawierał samoreplikującego się faga: sekwencję, która automatycznie i konsekwentnie usuwała wszystkie ślady po poprzedniej osobowości, gdy tylko wydano polecenie zastąpienia. Człowiek, który nim dysponował, mógł napisać na nowo swój życiorys za pośrednictwem

terminalu połączonego z federalnym bankiem danych. Od roku 2005 oznaczało to każdy wideofon, wliczając w to publiczne.

To właśnie była najcenniejsza ze wszystkich swobód, podłączeniowy styl życia podniesiony do entej potęgi: możliwość stania się tym, kim chciałeś być, zamiast tym, kogo pamiętały komputery. Nickie Haflinger pragnął tego tak gorąco, że poświęcił pięć lat na udawanie, że nadal jest sobą. To był zaczarowany miecz, niezniszczalna tarcza, siedmiomilowe buty, peleryna niewidka. Niezawodna obrona.

Tak mu się przynajmniej zdawało.

Dlatego pewnego słonecznego sobotniego poranka opuścił Tarnover, a w poniedziałek został doradcą stylu życia w Little Rock. Rzekomo miał trzydzieści pięć lat i sieć danych potwierdziła, że posiada licencję pozwalającą mu praktykować w całej Ameryce Północnej.

## SPLĄTANA SIEĆ

– Pańska pierwsza kariera przez pewien czas układała się dobrze – zauważył Freeman. – Ale jej koniec był nagły i gwałtowny.

– Tak. – Nickie zachichotał ochryple. – Omal nie zastrzeliła mnie kobieta, której poradziłem, żeby się pieprzyła z kimś o innym kolorze skóry. Połączone komputery z połowy kontynentu zgadzały się ze mną, ale ona nie. Doszedłem do wniosku, że wykazałem się nadmiernym optymizmem, i przemyślałem siebie na nowo.

– I został pan instruktorem w college’u nauczającym za pośrednictwem kasetowego trójwymiaru. Moją uwagę przyciągnął fakt, że obniżył pan swój wiek do dwudziestu pięciu lat, znacznie bliżej rzeczywistego wieku, mimo że większość klientów przekroczyła już czterdziestkę. Zastanawiam się, co pana do tego skłoniło.

– Odpowiedź jest prosta. Proszę się zastanowić, co zwabiło większość tych klientów do college’u. Wrażenie, że tracą kontakt ze światem. Byli spragnieni danych, których mogli im dostarczyć ludzie piętnaście albo

dwadzieścia lat młodszy od nich. Z reguły powodem był fakt, że zrobili dla swoich dzieci to, co uważali dla nich za najlepsze, a w nagrodę otrzymali odrzucenie i obelgi. Byli żałośni. W rzeczywistości pragnęli czegoś zupełnie innego niż zapewniali. Chcieli, by ktoś im powiedział, że świat rzeczywiście wygląda tak samo, jak w czasach ich młodości, że nie ma żadnych obiektywnych różnic, że wystarczy wypowiedzieć jakieś magiczne zaklęcie i cała szalona zmienność nowoczesnego świata znowu zakrzepnie w znajome, niezmiennie wzorce. Gdy wpłynęła trzecia skarga na moje taśmy, zredukowano mnie, choć potrafiłem ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że miałem rację. W tym kontekście również nie miało to większego znaczenia.

– Dlatego postanowił pan spróbować sił jako zawodowy delficki hazardzista.

– I w mgnieniu oka zdobyłem fortunę, a potem dopadła mnie straszliwa nuda. Nie robiłem nic, czego nie mógłby dokonać ktoś inny, gdyby tylko sobie uświadomił, że rząd manipuluje delfickimi notowaniami, by utrzymać wysoki współczynnik spokoju społecznego.

– Pod warunkiem, że miałby dostęp do takiej mocy obliczeniowej jak pan.

– Teoretycznie każdy go ma. Wystarczy wrzucić dolara do publicznego telefonu.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Czy miał pan jakiś określony cel, który określał wybierane przez pana role? – zapytał wreszcie Freeman nerwowo.

– Jeszcze pan tego ze mnie nie wyciągnął?

– Wyciągnąłem, ale w stanie regresji. Chciałbym usłyszeć, co ma pan na ten temat do powiedzenia, gdy jest w pełni świadomy.

– Zawsze brzmi to tak samo. Nie potrafię tego wyrazić lepiej. Szukałem punktu oparcia, z którego mógłbym poruszyć Ziemię.

– Rozważał pan możliwość wyjazdu za granicę?

– Nie. Podejrzywałem, że jedyną rzeczą, której nie da mi kod 4GH, może być paszport. Dlatego musiałem poszukiwać odpowiedniego miejsca w Ameryce Północnej.

– Rozumiem. To rzuca jaśniejsze światło na pańskie następne zajęcie. Przez cały rok był pan projektantem utopii.

– Tak. Byłem naiwny. Potrzebowałem aż tyle czasu, by sobie uświadomić że tylko bardzo bogaci i równie głupi ludzie wyobrażają sobie, że szczęście można kupić gotowe do użytku. Co więcej, powinienem był natychmiast zauważyć, że polityka firmy polega na maksymalizacji różnorodności kolejnych projektów. Zaprojektowałem trzy bardzo interesujące społeczności funkcjonujące za zamkniętymi bramami i kiedy ostatnio to sprawdzałem, wszystkie trzy nadal działały. Niestety, starałem się w każdej następnej utopii uwzględnić najbardziej obiecujące elementy poprzedniej, i w rezultacie znowu mnie zredukowano. No wie pan, czasami się zastanawiam, co się stało z zesłowiecznymi laboratoriami hipotetycznych stylów życia, w których naprawdę próbowano znaleźć odpowiedź na pytanie, jak najlepiej ludzie mogliby żyć razem.

– No cóż, mamy symulowane miasta, nie wspominając już o strefach dotowanej rezygnacji.

– No jasne, a także miejsca takie jak Trianon, w których można poczuć przedsmak jutra. Niech pan mi nie kituje. Trianon nie mogłoby istnieć, gdyby SZ-O nie pakowała w nie miliarda dolarów rocznie. Symulowane miasta są tylko dla dzieci bogaczy. Wysłanie dziecka na rok w przeszłość kosztuje prawie tyle samo, co trzymanie go w Amherst albo Bennington. A strefy dotowanej rezygnacji stworzono celem ograniczenia wydatków publicznych po wielkim trzęsieniu ziemi. Łatwiej było płacić uchodźcom za obywatelstwo bez najnowocześniejszego sprzętu, na który i tak nie byłoby ich stać.

– Może ludzie mają większą zdolność przystosowania niż im się kiedyś zdawało. Może całkiem nieźle sobie radzimy bez takich ułatwień.

– W czasach, gdy w trójwymiarze nie relacjonują już pojedynczych morderstw, a po prostu informują: „Dzisiaj zabito tylu a tylu ludzi”, a zaraz potem zmieniają temat? Nie nazwałbym tego przystosowaniem!

– Pan również nie przystosował się zbyt dobrze. Żadna z pańskich osobowości nie odniosła sukcesu, a przynajmniej nie doprowadziła do realizacji pańskich ambicji.

– To prawda, ale tylko częściowa. Przebywając w zamkniętym środowisku Tarnover, nie zdawałem sobie sprawy, w jak głębokiej apatii pogrążyła się większość ludzi. Nie wiedziałem, że, czując się całkowicie odciętymi od scentralizowanego procesu podejmowania decyzji, stali się zupełnie bezradni i zrezygnowani. Proszę też nie zapominać, że w wieku dwudziestu kilku lat zajmowałem pozycje, których osiągnięcie zajmowało innym ludziom dziesięciolecie albo nawet dwa. Ścigaliście mnie, mając do dyspozycji wszelkie możliwe środki, ale i tak nie zdołaliście mnie zauważyć, nawet w chwilach zmiany tożsamości, gdy byłem najbardziej bezbronny.

– Zatem wini pan innych za swe niepowodzenia i szuka pociechy w nielicznych, płytkich sukcesach.

– Myślę, że jednak jest pan człowiekiem. To zabrzmiało tak, jakby próbował mi pan wetknąć szpilę. Nie warto marnować sił. Przyznaję się do swego największego błędu.

– A na czym on polegał?

– Przyjąłem założenie, że nie może być aż tak źle, jak nam mówią. Wyobrażałem sobie, że mogę podjąć konstruktywne działania na własną rękę. Podam panu przykład. Co najmniej tuzin razy słyszałem opowieść o tym, że nabycie przez którąś z hiperkorporacji komputera na wyłączność, jak sami przyznawali, po to, by ułatwić znalezienie sposobu przekazywania nieopodatkowanych sum urzędnikom rządowym w zamian za wyświadczone usługi, uznano za uzasadniony wydatek i pozwolono wrzucić w koszty. Byłem przekonany, że to legenda, ale potem się przekonałem, że w aktach rzeczywiście jest taki przypadek. – Zachichotał z ironią. – W obliczu czegoś takiego byłem zmuszony przyznać, że nic nie osiągnę bez stronników, sympatyków i współpracowników.

– I miał pan nadzieję ich zdobyć dzięki swemu Kościołowi?

– Zanim wpadłem na ten pomysł, były jeszcze dwie inne osobowości. Ale, mówiąc w skrócie, tak.

– Czy nie irytował pana fakt, że musi pan tak często wymyślać sobie na nowo z uwagi na okoliczności zewnętrzne?

Znowu zapadła cisza, tym razem naprawdę długa.

– No cóż, mówiąc szczerze, chwilami uważałem, że uciekłem z największego więzienia na całej planecie.

## DIAKON INGE RZEKŁ

Są dwa rodzaje głupców. Ten pierwszy mówi: „To jest stare i dlatego dobre”, ten drugi zaś: „To jest nowe i w związku z tym lepsze”.

## PRZYJĘCIE JEST DZIŚ NA ŚREDNIM POZIOMIE

– To jest Seymour Schultz, jeden naszych speców od orbitalnych remontów.

Szczupły, ciemnoskóry mężczyzna w niebieskim kombinezonie uśmiechnął się i – zgodnie ze zwyczajem – przedstawił wizytówkę ze swym nazwiskiem i kodem. Prezentowany obraz: rzeczowy człowiek czynu.

– Przed chwilą widziałem, jak startował jeden z pańskich kolegów.

– Tak, to był Harry Leaver.

– A to jest Vivienne Ingle, kierowniczka działu dobrostanu psychicznego.

Gruba kobieta w szaro-zielonym stroju. Nigdy nie była ładna. Prezentowany obraz: Dostałam się tu za zasługi. Wiem o tobie więcej niż ty sam.

– I Pedro Lopez, i Charlie Verrano, i...

Jak przewidywał, wszyscy byli podłączeniowcami. Oznaczało to, że może skierować połowę swej uwagi gdzie indziej i nadal mieć pewność, że wszystko będzie robił jak dobry konformista.

– ...Rico Posta, wiceprezes do spraw planowania długoterminowego.

Uwaga. Wiceprezesi są ważni. Często trzymają się jednego miejsca, zamiast ciągle się przenosić. Dlatego przywitał wysokiego brodacza



w czarno-żółtym kombinezonie wyjątkowo ciepłym uściskiem dłoni i powiedział:

– Cieszę się, że mogę pana poznać, Rico. Pewnie będziemy się widywać bardzo często z uwagi na tę dywersyfikację, którą planujecie.

– I... ach, to moja córka Kate, a tam jest Dolores van Bright, pieprzona kierowniczka wydziału prawa kontraktowego. Musisz bezzwłocznie z nią porozmawiać, bo...

Jednakże, gdy Ina przeszła na drugą stronę pokoju, by dokonać przedstawień, z jakiegoś powodu nie było go już u jej boku. Uśmiechał się do Kate, i to było śmieszne. Nie tylko nie zaliczała się do ładnych, lecz również była koścista – wręcz chuda, niech to szlag! Co więcej, jej twarz miała zbyt ostre rysy: oczy, nos, broda. I jeszcze włosy: rozczochrane, nieokreślonego, myszowatobrazowego koloru.

Przyglądała mu się z nieskrywanym, budzącym niepokój zainteresowaniem.

To szaleństwo. Nie lubię chudych kobiet. Wolę mięciutkie. To prawda dla wszystkich wersji mojej osobowości.

– A więc ty jesteś Sandy Locke – stwierdziła osobliwym, chropawym tonem.

– Ehe. Wielkości dwa razy większej niż naturalna.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której obrzucała go oceniającym spojrzeniem. Niejasno zdawał sobie sprawę z obecności Iny, która znalazła się już na drugim końcu sali – a rzecz jasna była to duża sala – i rozglądała się teraz z zaskoczeniem, by go odnaleźć.

– Nie. Półtora raza – odparła niespodziewanie Kate i zrobiła rozbawioną minę, przy której nos marszczył się jej jak u królika. – Ina wysłała do ciebie szaleńcze sygnały. Lepiej do niej wracaj. Nie powinno mnie tu być. Po prostu nie miałam dziś wieczorem nic innego do roboty. Ale nagle ucieszyłam się, że tu jestem. Pogadamy później.

– Hej, Sandy! – Głos Iny przebijał się przez wszechobecną uspokajającą muzykę, pozbawioną wyrazu jak dekoracje, sprzedawane z gwarancją, że nikogo nie urażą. – Chodź tutaj!

\* \* \*

Co się przed chwilą stało, do cholery?

To pytanie ciągle do niego wracało, nawet gdy „chwila” przerodziła się w godzinę. Bez ostrzeżenia odwracało jego uwagę od wymaganego przez konwenanse zainteresowania problemami nowych współpracowników. Musiał wkładać bardzo wiele wysiłku w zachowanie pozorów uprzejmości.

– Hej, słyszałem, że twoja córka wymagała korekty. Biedactwo. Jak się ma teraz?

– Mamy ją odebrać w sobotę. Podobno jest jak nowa, a nawet lepsza.

– Szkoda, że nie zapisaliście jej do Antytraumy, jak my. Mam rację, Sandy?

– Hmm? Aha! Nie ma sensu mnie o to pytać. Jestem zaprzysiężonym swingerem i nie zapuszczam się w takie okolice.

– Naprawdę? Szkoda. Chciałem cię zapytać, co sądzisz o szkołach pół na pół. To te, w których uczniowie wybierają połowę programu, a nauczyciele drugą połowę. Na pierwszy rzut oka to wygląda na uczciwy kompromis, ale zastanawiam się, czy w rzeczywistości...

– W Trianon?

– Nie. Tam starają się już dzisiaj żyć w przyszłości, ale zupełnie im to nie wychodzi.

I:

– ...nie chciałem domu z drugiej ręki. Zbyt wiele roboty z przeprogramowaniem całej automatyki. To prosta droga do szybkiego końca przyjaźni. Zaprosisz kogoś i sięc unieruchomi go na podjeździe, bo kretyńska maszyna błędnie cię zrozumiała.

– Moją można uaktualnić zwykłym kodem osobistym. Szkoda, że tak nie jest w Trianon. Nasz Sandy to bystry dzięcioł, założę się, że zna się takich sprawach. Mam rację?

– W tej chwili zmieniam mieszkanie, przyjacielu. Następnym razem może przeniosę się w wasze okolice. A może się stąd wycofam. Jeszcze nie załapałem aromatu do końca.

I:

– Byłeś w młodości w szczepie, Sandy? Hm? Mój syn chce wstąpić do Assagajów! Pewnie, że mają świetne morale i solidarność, ale hmm...

– Śmiertelność jest dość wysoka? Też o tym słyszałem. Odkąd zamienili Barona Samediego na boginię Kali. Ja staram się podłączyć Donnę do Śmiałych Orłów. No wiesz, co za pożytek z córki z mieszanego małżeństwa, jeśli musi złożyć przysięgę, że chłśnie każdego białasa, którego wskaże jej wódz?

– Śmiałe Orły? Nie ma szans. Teraz przyjmują zapisy zaraz po urodzeniu dziecka. Znajdź jakiś spokojny szczep pod wezwaniem świętego Nicka. Po pierwsze, stawki ubezpieczenia na życie są niższe...

I tak dalej.

Niepokojąco często łapał się na tym, że jego spojrzenie wędruje za plecy Ważnej Osoby, z którą właśnie rozmawiał, i zatrzymuje się na rozczochranych włosach oraz ostrym profilu córki Iny.

Dlaczego?

– Widzę, że Kate cię zahipnotyzowała, Sandy! – odezwała się wreszcie ostrym tonem Ina.

Tak, to chyba będzie dobre określenie.

– Ma to po tobie – odparł ze spokojem. – Właściwie to zdziwiłem się, widząc ją tutaj. Myślałem, że to przyjęcie służy wyłącznie poznawaniu współpracowników.

To zabrzmiało przekonująco: dziewczyna była jedynym elementem niepasującym do całkowicie przewidywalnego środowiska. Ina udobruchała się nieco.

– Powinnam była się tego domyślić. I przeprosić za nią. Ale ona zna bardzo wielu pracowników i zadzwoniła dzisiaj, żeby zapytać, czy jestem wieczorem zajęta i czy mogłaby wpaść na kolację. Powiedziałam jej o tym przyjęciu i dodałam, że mogę ją wprowadzić.

– To znaczy, że ona nie pracuje w korporacji? Myślałem, że może tak. Co robi ze swoim życiem?

– Nic.

– Słucham?

– Och, nic, o czym warto by było wspominać. Jesienią wróci na uczelnię, żeby zaliczyć kolejny kurs. Ponownie tutaj, na University of Missouri. Ma dwadzieścia dwa lata, do cholery! – Ostatnie zdanie wypowiedziała nieco ciszej, ale Sandy znał już tę potępiającą Inę informację, nie wyrządziło to więc żadnej dodatkowej szkody. – Mogłabym to znieść, gdyby chciała studiować w Australii albo nawet w Europie, ale... w dodatku mówi, że to wszystko wina tego kota, którego dostała od ojca!

W tej właśnie chwili Ina zauważyła, że Rico Posta przywołuje ją gestem, by porozmawiała z nim i z Dolores van Bright. Wymamrotała usprawiedliwienie i oddaliła się.

W mgnieniu oka, gdy nadal się zastanawiał, czy złożyć kolejną wizytę w autobarze, u jego boku nagle zmaterializowała się Kate. W sali panował już tłok – zjawilo się ponad pięćdziesięciu gości – a kiedy widział ją poprzednio, znajdowała się na drugim końcu pomieszczenia. Znaczyło to, że obserwowala go równie uważnie, jak Vivienne. (Nie. Już nie. Hura. Dobrostan psychiczny zrobił sobie chwilę przerwy).

Co mam zrobić? Uciec?

– Jak długo będziesz w Kansas City? – zapytała dziewczyna.

– Jak zwykle. Dopóki SZ-O i ja będziemy się zgadzali, że powinienem tu być.

– Mówisz, że jesteś jednym z tych, którzy ciągle się odbijają, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej?

– Kto się nie odbija, ten pęka – odparł, starając się, by ten banalny frazes zabrzmiał tak, jak to, czym miał być w założeniu – nonszalancki wykręt zastępujący prawdziwą odpowiedź.

– Pierwszy raz spotykam człowieka, który mówi to, jakby naprawdę w to wierzył – wyszeptała. Jej ciemnobrązowe oczy o przesywającym spojrzeniu ani na moment nie odrywały się od jego twarzy. – Gdy tylko się tu zjawileś, wiedziałam, że jest w tobie coś niezwykłego. Skąd się do nas odbiłeś? Och, wiem, że to nieuprzejme interesować się czyjąś przeszłością – dodała, zauważywszy jego wahanie. – Ina powtarzała mi to, odkąd nauczyłam się mówić. Tak samo, jak nie wolno się gapić, pokazywać palcem i wygłaszać uwag o charakterze osobistym. Ale ludzie mają

przeszłość i ona jest zapisana w Canaveral. Dlaczego maszyny mają wiedzieć to, czego nie wiedzą nasi przyjaciele?

– Przyjaciele wyszli z mody – odparł, bardziej zdawkowo niż było to jego zamiarem... ile czasu minęło, odkąd ostatnio komuś udało się go tak zaskoczyć? Nawet rzucenie klątwy na Flucknera – już w tej chwili odnosił wrażenie, że od tamtej rozmowy minęły wieki – nie zaniepokoiło go tak mocno, jak ta przypadkowa rozmowa na przyjęciu. Dlaczego? Dlaczego?

– To nie znaczy, że ich nie ma – odparła Kate. – Czuję, że byłbyś wartościowym przyjacielem. A to rzadkość.

Nagle uświadomił sobie pewną możliwość. Niewykluczone, że ta nieładna, chuda, mało pociągająca dziewczyna znalazła sposób na zwracanie na siebie uwagi mężczyzn, którzy w normalnych okolicznościach nie uznaliby jej za atrakcyjną. Oferta przyjaźni głębszej niż typowa znajomość podłączeniowców mogła być kusząca dla tych, którzy pragnęli bardziej sycącej stawy emocjonalnej.

Omam nie oskarżył jej o to na głos, ale poczuł z wyprzedzeniem na języku smak tych słów. Smakowały popiołem.

– Dziękuję – rzekł z wysiłkiem. – Uznam to za komplement, choć tysiące ludzi byłyby przeciwnego zdania. W tej chwili myślę raczej o przyszłości niż o przeszłości. Poprzednia pozycja nie sprawiała mi zbyt wiele satysfakcji. A co z tobą? Słyszałem, że studiujesz. Co?

– Wszystko. Jeśli ty możesz być enigmatyczny, to ja również.

Czekał.

– Och, w zeszłym roku ekologię wód, muzykę średniowieczną i egiptologię. W jeszcze poprzednim prawo, mechanikę nieba i rękodzielniczo. W następnym zapewne... Coś ci się stało?

– Bynajmniej. Po prostu próbuję wyrazić podziw.

– Nie kituj. Widzę, że nie zastanawiasz się, po co ktoś miałby marnować czas na taki miszmasz. Tamtą minę ciągle widzę na twarzy Iny i jej tak zwanych przyjaciół z firmy. – Przerwała na chwilę, by się zastanowić. – Może... tak, myślę, że tak. Zazdrościsz mi?

Mój Boże! Jak zdołała się zorientować tak szybko? Mieć taką szansę bez dźwigania okowów Tarnover, gdzie bez przerwy wbijano ci do głowy, że

z każdym rokiem twój dług wobec rządu rośnie o trzy miliony...

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Ten fakt oznajmił donośny łoskot dobywający się z otworów wentylacyjnych w ścianach. Otwarto zimny bufet. Wróciła Ina, by zapytać, czy chce, żeby przyniosła mu talerz. Ucieszył się z tego. Przyda mu się chwila przerwy, by sformułować odpowiedź, jakiej udzieliłby nie on, lecz Sandy Locke.

– Nie potrzeba wszystkiego wiedzieć. Wystarczy, że wiemy, gdzie to znaleźć.

Kate westchnęła. Kiedy się odwracała, w jej oczach pojawił się osobliwy wyraz. Dostrzegł go tylko przelotnie, ale nie miał wątpliwości, co to jest.

Rozczarowanie.

## NIEKTÓRE Z NAJLEPIEJ OCENIANYCH TRÓJWYMIAROWYCH REKLAM

1: Martwa cisza, ciemność pustej przestrzeni, jasne punkty gwiazd. W pole widzenia powoli wsuwa się wrak fabryki orbitalnej. Najwyraźniej eksplozja otworzyła ją jak puszkę do konserw. Widać unoszących się wokół niej ludzi w skafandrach kosmicznych, podłączonych niczym płody do pępowin regulaminowych lin ratunkowych. Krótki stop, a potem ujęcie pracującej na pełny gwizdek fabryki lśniącej w promieniach nieosłoniętego atmosferą Słońca. Wewnątrz pełno jest mężczyzn i kobiet załadowujących bezzałogowe kapsuły, by wysłać je na Ziemię. Głos: „Z drugiej strony... tę fabrykę zbudowała SZ-O”.

2: Nagle znajdujemy się w górnych warstwach atmosfery. Najpierw mkniemy regularnym kursem, potem zaczynają się wibracje, a wreszcie drżenia, w miarę, jak stożek ablacyjny na dziobie kapsuły zaczyna się rozżarzać. Eksplozja. Zbliżenie na sześciu mężczyzn w kombinezonach, wpatrujących się z furią w dogasającą smugę blasku na nocnym niebie. Ponowne cięcie, tym razem na podobną grupę idącą przez betonowe lądowisko ku kolejnej kapsule, która wylądowała tak blisko celu, że nawet

nie muszą do niej jechać. Głos: „Z drugiej strony... tę kapsułę zaprojektowała SZ-O”.

3: Znowu głęboki kosmos. Tym razem widzimy masywną, nieregularną sylwetkę planetoidy zmierzającej ku orbitalnej hucie, rozpoznawalnej dzięki ogromnemu zwierciadłu z cienkiego mylaru. Po bliższej stronie planetoidy widać płomienie silników raketowych, mężczyźni i kobiety w skafandrach gestykują gorączkowo. Rozlegają się słabe krzyki wołające o pomoc oraz gniewne rozkazy „zróbcie coś!”. Mimo to dryfująca powoli planetoida przebija się przez zwierciadło, zostawiając za sobą strzępy unoszące się niesamowicie w pustce. Cięcie na drugą stację hutniczą, której zwierciadło kieruje się na jeszcze większą bryłę rudy. Magnetyczne kierunkowskazy sprawnie chwytają buchającą z niej parę, a kierunkowskazy – każdy gorejący innym odcieniem czerwonej bieli – dostarczają cenne czyste metale do komór chłodzących ulokowanych po ciemnej stronie kosmicznej skały. Głos: „Z drugiej strony... tę orbitę wyliczyła SZ-O”.

## KRÓLESTWA TEGO ŚWIATA

– Jak się panu podobała praca w SZ-O? – zapytał Freeman.

– Bardziej niż się spodziewałem. To coś w rodzaju agencji eksportowej dla najbardziej zaawansowanej technologii. Przyciąga najlepszych fachowców z każdej dziedziny, a zawsze miło mieć wokół siebie aktywne umysły. Najbliższe kontakty utrzymywałem z Rico Postą. W gruncie rzeczy właśnie dzięki temu, co robiłem pod jego kierownictwem, SZ-O nie zaliczyła ogromnej wpadki, zajmując się oliwierami w tej samej chwili, co National Panasonic. Ich model kosztowałby półtora raza drożej i miałby tylko połowę tych samych funkcji. Co więcej, na pewno nie zechcieliby czekać dwadzieścia siedem lat, aż badania się zamortyzują.

– Czyżby to miało coś wspólnego ze strukturą japońskiego społeczeństwa? – zapytał z ironią Freeman. – U nich te urządzenia

z pewnością są bezcenne.

– To prawda!

Dzisiaj atmosfera była stosunkowo luźna. W dialogu pojawił się element konwersacji.

– A co z innymi współpracownikami? Z początku nie lubił pan Vivienne Ingle.

– Z początku byłem gotów nie lubić nikogo z nich. Ale choć w teorii byli standardowymi podłączeniowcami, w praktyce stanowili śmietankę tej kategorii. Przenosili się z miejsca na miejsce rzadziej niż typowy przedstawiciel kadry kierowniczej i byli gotowi zostać na dłużej tam, gdzie prowadzi się interesujące badania, zamiast wynieść się gdzie indziej z czystego przyzwyczajenia.

– Z pewnością sprawdził ich pan, dłubiąc w sieci danych.

– Oczywiście. Pamięta pan, po co ubiegałem się o tę pracę?

– Pamiętam. Ale zapewne nie potrzebował pan zbyt wiele czasu, by się upewnić, że pański kod 4GH nadal jest użyteczny. Dlaczego został pan tak długo, że nawet oferowali panu stałe zatrudnienie?

– Trudno... trudno to wytłumaczyć. Nigdy przedtem nie spotkałem tak wielu ludzi, którzy funkcjonowaliby tak dobrze. Moje poprzednie osobowości kontaktowały się głównie z niezadowolonymi. Tego typu lekką paranoję spotyka się wszędzie i zawsze, ponieważ ludzie wiedzą, że nieznajomi mogą dowiedzieć się o nich tego, co woleliby zachować w tajemnicy. Nadaża pan?

– Oczywiście. Ale pracownicy SZ-O byli inni?

– Ehe. Nie w tym sensie, że nie mieli nic do ukrycia, czy czuli się wyjątkowo bezpiecznie. Weźmy, na przykład, Inę. Niemniej w zasadzie cieszyła ich wzbierająca fala zmian. Często narzekali, ale to był tylko wentyl bezpieczeństwa. Gdy już upuścili parę, wracali do korzystania z systemu, zamiast pozwalać, by system ich wykorzystywał.

– I za to właśnie pan ich podziwiał.

– Tak, do cholery. Pan tego nie podziwiał?

Nastąpiła długa cisza. Nickie nie doczekał się odpowiedzi.



– Przepraszam, następnym razem będę pamiętał, co mi wolno. Przesadza pan jednak, mówiąc, że zaoferowali mi stałe zatrudnienie. Byli gotowi zgodzić się tylko na półstałe.

– Które z czasem przeszłoby w stałe.

– Nie. Nie dopuściłbym do tego. Czułem pokusę, ale musiałbym zżyć się z rolą Sandy’ego Locke’a i grać ją do końca życia.

– Rozumiem. Wygląda na to, że od zmiany ról można się uzależnić.

– Słucham?

– Nieważne. Proszę mi powiedzieć, jak udało się panu wyrzucić tak dobre wrażenie?

– Pomijając sprawę oliwierów, rozwiązałem też parę supłów i zaoszczędziłem dla firmy kilka milionów dolarów rocznie. Rutynowe sprawy. Każdy może zostać efektywnym specem systemowym, jeśli potrafi grzebać w federalnej sieci.

– To było dla pana łatwe?

– Nie do końca, ale nie takie znowu trudne. Kod SZ-O w nagłówku zapytania był kluczem otwierającym wiele drzwi, No wie pan, firma ma najwyższą pozycję w rankingu Canaveral.

– Czy zrobił pan to, co obiecał Inie Grierson?

– Brałem się za to, gdy tylko sobie przypomniałem. Entuzjazm mnie opuścił, kiedy sobie uświadomiłem dlaczego do tej pory nie została wolnym strzelcem. Dlaczego nie zerwała więzów i nie zostawiła córki samej sobie. Dopóki jej brzydkie kaczątko było pod ręką, czuła się pewniej. Wiedziała, że z nich obu to ona jest znacznie atrakcyjniejsza w konwencjonalnym sensie. Z pewnością nienawidziła byłego męża.

– Rzecz jasna, dowiedział się pan, kim on był.

– Dopiero wtedy, gdy znudziło mnie już jej natręctwo i zacząłem grzebać głębiej w jej aktach. Biedny dzięcioł. To musiała być straszliwa śmierć.

– Niektórzy ludzie nazwaliby to sprawiedliwą karą losu.

– Nie w Tarnover.

– Być może ma pan rację. Tak czy inaczej, podobało się panu w SZ-O.

– Tak. Czuję się tam zdumiewająco dobrze. Pomijając tylko jeden problem. Pisze się go k-a-t-e, jeśli jeszcze się pan nie domyślił.

## NĘKANY

Uniwersytet zamknięto na lato z powodu wakacji, ale zamiast wyjechać do jakiegoś odległego zakątka świata albo nawet – jak niektórzy studenci – wybrać się z zorganizowaną wycieczką na Księżyc, Kate została w Kansas City. Po raz drugi spotkał się z nią w coleyowym klubie, często odwiedzanym przez niektórych członków kadry kierowniczej SZ-O.

– Sandy, chodź zatańczyć! – Złapała go za ramię i niemalże pociągnęła za sobą. – Jeszcze nie widziałeś mojej ulubionej sztuczki.

– A co to za sztuczka?

Właśnie ją demonstrowała. Był szczerze zdumiony. Wymagało niezwyklej kinestetycznej wrażliwości, by zagrać tańcem choćby tylko refren prostej melodyjki, ani razu nie gubiąc tonacji, a jeszcze trudniej było to powtórzyć. Niemniej to właśnie uczyniła. Nieharmonijny hałas generowany przez innych tancerzy został zagłuszony przez jej odgrywany silnymi gestami temat, w przeważającej części basowy, jakby jakieś niebiańskie organy utraciły wysokie i altowe rejestry, zachowując pełną głośność. „Oda do radości” wykonywana w dostojnym, majestatycznym tempie. Kącikiem oka zauważył, że turyści z Europy siedzący przy sąsiednim stoliku zrobili się niespokojni. Nie wiedzieli, czy powinni wstać, by oddać honory swemu kontynentalnemu hymnowi.

– Jak, do licha...?

– Nie gadaj! Harmonizuj!

No cóż, jeśli poprzedni ton popłynął z tego projektora, a sąsiedni produkuje teraz ten ton... Nigdy nie interesował się zbytnio coleyem, ale entuzjazm Kate był zaraźliwy. Twarz miała promienną, a w oczach iskry. Wyglądała tak, że w jakiejś innej epoce mogliby ją uznać za piękną.

Wypróbował jeden ruch, potem drugi, a po nim jeszcze inny... i nagle uzyskał akord, prawdziwą kwintę. Ton trochę się zachwiał i trzeba go było skorygować, aż nagle... tak jest! Cała fraza melodii w dwóch ściśle zharmonizowanych częściach.

– A niech mnie – rzekła rzeczowym tonem. – Nigdy nie spotkałam nikogo po dwudziestym piątym roku życia, kto byłby zdolny do prawdziwego coleya. Powinniśmy się częściej spotykać!

Wtem ktoś na drugim końcu parkietu, kto wyglądał najwyżej na piętnaście lat, uciszył Beethovena, zastępując go czymś nowym. Czymś twardym i rytmicznym, najprawdopodobniej japońskim.

Po koncercie madrygałowym, na którym również ją spotkał, i smażeniu ryb na brzegu jeziora, na którym również ją spotkał, zlocie łuczników, na którym również ją spotkał, zawodach pływackich, na których również ją spotkał, i wykładzie na temat zastosowań topologii w zarządzaniu biznesowym, na którym również ją spotkał, nie mógł się dłużej powstrzymać przed zadaniem jej pytania:

– Specjalnie za mną chodzisz, czy co?

Tego wieczoru włożyła na siebie coś seksownego i przeświecającego. Zrobiła też sobie fryzurę pod maszyną. Mimo to nadal była nieładna, koścista i wyglądała niepokojąco.

– Nie – odpowiedziała. – Po prostu cię uprzedzam. Nie sklasyfikowałam cię jeszcze w stu procentach, wczoraj poszłam w niewłaściwe miejsce, ale szybko zbliżam się do celu. Stanowczo zbyt mocno starasz się upodobnić do normy statystycznej, Sandy Locke. Nie chcę patrzeć, jak wartościowy mężczyzna się marnuje.

Odwróciła się na pięcie i odeszła – można by niemal powiedzieć odmaszerowała – do towarzyszącego jej tłustego młodzieńca, który łypnął na niego spode łba, jakby przepelniała go wściekła zazdrość.

On jednak stał tylko bez ruchu, czując, że mięśnie brzucha zrobiły mu się twarde jak bęben, a wewnętrzne powierzchnie dłoni pokrył pot.

W ciągu sześciu lat zdążył się już przyzwyczaić do tego, że ścigają go urzędnicy federalni, i środki ostrożności stały się dla niego drugą naturą.

Ale myśl, że stworzoną przez niego osobowość Sandy'ego Locke'a tak szybko rozgryzła dziewczyna, którą ledwie znał...!

Muszę ją wykluczyć z kręgu znajomych! Czuję się przy niej tak, jak zaraz po opuszczeniu Tarnover. Jakbym był pewien, że każdy może mnie rozpoznać. Idąc ulicą, odnosiłem wrażenie, że wokół zaciska się sieć, która uwięzi mnie na resztę życia. A wydawało mi się, że ta biedna Gaila ma problemy... STOP! STOP! STOP! Jestem Sandy Locke i żadne zapłakane dziecko nigdy nie przyszło do mnie z mroków nocy, by błagać o pomoc!

## PATRZ IZAJASZ 8:1-2

Rychły – Łup – Bliska – Zdobycz.

## COROCZNA ZMIANA

– Myślałam, że nigdy się tu nie pokażesz – rzekła zgryźliwym tonem Kate, odsuwając się od drzwi swego mieszkania. Miała na sobie tylko workowate szorty z wielkimi kieszeniami oraz warstewkę kurzu, tu i ówdzie zmieniającą się w błoto od potu. – Ale wybrałeś dobry moment. Właśnie pozbywam się zeszłorocznych rzeczy. Będziesz mógł mi pomóc.

Wszedł ostrożnie do środka, nieco obawiając się tego, co może znaleźć w jej mieszkaniu, zajmującym piętro budynku, który na przełomie stuleci z pewnością był atrakcyjnym domem jednorodzinny. Teraz podzielono go na części, a okolica przeradzała się powoli w getto. Na ulicach walało się mnóstwo śmieci i wszędzie widziało się znaki szczepów. I to tych złych, takich jak Kikapowie i Wypaczone Umysły.

Cztery pokoje połączono ze sobą, przerabiając drzwi na sklepienie przejścia; tylko łazienka nadal była izolowana. Rozejrzał się i jego uwagę natychmiast przyciągnęła wspaniała wypchana puma, która spoczywała na niskiej półce u końca korytarza, grzejąc się w snopie słonecznego blasku...

Wypchana?

Wspomnienie wróciło tak wyraziście, jakby Ina tu była i znowu wypowiedziała te słowa: „Mówi, że to wszystko wina tego kota, którego dostała od ojca”.

– Zastanawiałam się, jak zareagujesz na Bagheerę – odezwała się Kate, spoglądając na niego niemal tak samo spokojnie jak jej nieprawdopodobny ulubieniec. – Gratuluję. Otrzymałeś najwyższą ocenę. Większość ludzi odwraca się i ucieka. Ty tylko trochę pobladłeś na podgardlu. Żeby uprzedzić wszystkie twoje pytania, tak, jest całkowicie oswojona, chyba że każę jej, żeby nie była, i rzeczywiście dostałam ją w prezencie od ojca. Uratował ją przed zmarnowaniem w cyrku. Wiesz, kim był mój ojciec, jak sądzę.

Poczuł nagle w ustach wielką suchość. Skinął głową.

– Henry Lilleberg – wychrypiął. – Zaraził się zwyrodnieniowym zapaleniem rdzenia podczas swych badań i zmarł cztery lata temu.

– Zgadza się. – Podeszła do zwierzęcia, wyciągając ręce. – Przedstawię was sobie. Potem już nie będziesz się musiał obawiać.

Z jakiegoś powodu podrapał bestię za prawym uchem i groźba, którą przedtem dostrzegął w jej opalizujących oczach, zniknęła. Gdy cofnął rękę, Bagheera ziewnęła potężnie, położyła głowę na łapach i zasnęła.

– Świetnie – ucieszyła się Kate. – Liczyłam na to, że cię polubi. Tylko nie pomyśl, że to cię czyni kimś szczególnym... Usłyszałeś o niej od Iny, tak? Dlatego nie byłeś zaskoczony?

– Myślisz, że nie byłem? Mówiła mi, że masz kota, więc pomyślałem... Mniejsza z tym. Teraz wszystko stało się jasne.

– Na przykład co?

– Dlaczego trzymasz się miejscowego uniwersytetu, zamiast spróbować, co mają do zaoferowania inne. Na pewno jesteś bardzo przywiązana do Bagheery.

– Nieszczególnie. Czasami bywa uciążliwa. Ale kiedy miałam szesnaście lat, powiedziałam, że biorę na siebie odpowiedzialność za nią. Robi się już stara, nie pożyje więcej niż osiemnaście miesięcy, więc... Ale masz rację. Tata miał licencję na przewóz chronionych zwierząt ze stanu do stanu, ale

mnie na pewno by jej nie przyznali. Nigdzie indziej nie dostałabym też pozwolenia na trzymanie jej w mieszkaniu. Co nie znaczy, że jestem całkowicie uwiązana. Mogę sobie zrobić wakacje na tydzień czy dwa. Dziewczyny z dołu karmią ją i wyprowadzają za mnie, ale to jest granica jej możliwości. Prędzej czy później robi się niespokojna i muszą mnie wzywać z powrotem. Irytuje też moich chłopaków... chodź, tędy.

Poprowadziła go do salonu. Na trzech ścianach widniały wysokie na metr, pisane ręcznie egipskie hieroglify, czwarty zaś pokryto białą farbą.

– Zlikwiduję je – poinformowała go Kate. – To fragment Księgi Umarłych, rozdział czterdziesty. Miałam wrażenie, że jest odpowiedni.

– Obawiam się, że nie czytałem...

– Wallis Budge nazwał go „Rozdziałem o przeganianiu pożeracza osła”. Nie kituję ci. Ale już nie staram się tak bardzo przeganiać pożeraczy. – Uśmiechnęła się drwiąco. – A teraz przekonajmy się, w czym mógłbyś mi pomóc.

Nic dziwnego, że pokrywała ją warstwa kurzu. Całe mieszkanie wyglądało jak po wielkim trzęsieniu ziemi w San Francisco. Pośrodku podłogi leżały trzy wielkie sterty rozmaitych przedmiotów, oddzielone namalowanymi kredą liniami. Na pierwszej znajdowały się rzeczy nadające się do oddania na dobroczynność, jak ubrania, które można by jeszcze przywrócić do stanu używalności; na drugiej spoczywały te, które można oddać na złom – zeszłoroczny odtwarzacz stereo, stara maszyna do pisania i tak dalej; na trzeciej zaś leżały zwykłe śmieci, choć je również podzielono na te do wyrzucenia i te do recyklingu.

Wszystkie półki były puste, drzwi szafek uchylone, a pokrywy kufrów uniesione. Wielkie, otwarte okna wychodziły na południe i do środka wpadał przez nie blask słońca. Ciepły wietrzyk przynosił ze sobą wonie miasta.

Gotowy spełnić jej życzenie, ściągnął koszulę i cisnął ją na najbliższe krzesło.

– Co mam robić? – zapytał.

– To, co ci każę. Przede wszystkim pomagać z cięższym syfem. Aha i jeszcze jedno. Przy robocie opowiedz mi coś o sobie.

Sięgnął po koszulę, jakby zamierzał ją włożyć.

– No dobra – rzekła z przesadnym westchnieniem. – Po prostu mi pomagaj.

Po dwóch pełnych potu godzinach uporali się z robotą, a on dowiedział się o niej kilku rzeczy, których przedtem się nie domyślał. To była kolejna z pięciu, czy może sześciu corocznych demolek, usuwających wszystko, co groziło zamianą przeszłości w teraźniejszość oraz implikowanym przez to krępującym, utrudniającym ruchy balastem troski o rzeczy kosztem wspomnień. Podczas pracy rozmawiali ze sobą od niechcienia. Najczęściej pytał ją, czy coś zostawić, a ona odpowiadała „tak” albo „nie”. Wzorce tych decyzji pozwoliły mu stworzyć paradygmat jej osobowości, a kiedy skończył, był nieźle przestraszony.

Ta dziewczyna nie była w Tarnover. Jest sześć lat młodsza ode mnie, a mimo to...

Myśl urwała się w tym punkcie. Gdyby ją kontynuował, to byłoby tak, jakby wsadził palec do ognia, by się przekonać, co czuje człowiek palony żywcem.

– Potem pomalujemy ściany – oznajmiła, klaszcząc z satysfakcją w dłonie. – A może masz ochotę na piwo przed zmianą trybu pracy? Robię prawdziwe piwo i mam w lodówce sześć butelek.

– Prawdziwe piwo?

Ze wszystkich sił starając się trzymać osobowości Sandy’ego Locke’a, nadał swojemu głosowi ironiczne brzmienie.

– Ktoś tak plastyczny jak ty zapewne nie wierzy, że coś takiego istnieje – odparła i poszła do kuchni, zanim zdążył ułożyć ripostę.

Gdy wróciła z dwoma kuflami pianistego płynu, wymyślił już inny temat.

– Szkoda będzie je zamalować – stwierdził, wskazując na hieroglify. – Są bardzo dobre.

– Mam je już od stycznia – odparła zwięźle. – Stały się umeblowaniem mojego umysłu i to wystarczy. Jak dopijesz piwo, złap się za farbę w spreju.

\* \* \*

Zjawił się tu około piątej po południu. Kwadrans po dziesiątej znaleźli się w świeżej, białej strukturze, oczyszczonej z tego, co Kate uważała za niepotrzebne. Miejscy śmieciarze będą mogli to zabrać z ganku w poniedziałek rano i obciążyć jej kredyt. Mieszkanie nagle wydało się przestronne. Siedzieli w nim, jedząc omlety i pijąc ostatnie butelki prawdziwego piwa. Było dobre. Za łukiem przejścia prowadzącego do kuchni widział Bagheerę, która ogryzała wołową kość starymi, tępyimi zębami, od czasu do czasu mruczając *rrrr* z zadowolenia.

– A teraz pora na wyjaśnienia – odezwała się Kate, odstawiając na bok pusty talerz.

– Nie rozumiem.

– Właściwie mnie nie znasz, a mimo to poświęciłeś pięć godzin na pomaganie mi w przenoszeniu mebli, wypełnianiu pojemników na śmieci i zmianie dekoracji ścian? Czego pragniesz? Podłączenia się do mnie jako zapłaty?

Siedział nieruchomo, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– Gdyby chodziło o to... – Gapiła się na niego z namysłem. – Nie sądzę, bym powiedziała „nie”. Jestem pewna, że byłbyś w tym dobry. Ale nie po to przyszedłeś.

W pokoju o radośnie białych ścianach zapadła cisza gęsta jak pierze w poduszce.

– Myślę – podjęła po chwili – że próbujesz mnie skalibrować. I jak, udało ci się już określić moje rozmiary i ciężar?

– Nie – odburknął, a potem wstał i wyszedł.

## RAPORT TYMCZASOWY

– Dobry wieczór, Biuro Przetwarzania Danych.

– Chciałbym pomówić z wicedyrektorem. Pan Hartz spodziewa się mojego telefonu... Panie Hartz, uważam, że powinien się pan dowiedzieć, że zbliżamy się do punktu kryzysowego. Gdyby zechciał pan do nas



przybyć i... Ach, rozumiem. Wielka szkoda. W takim razie załatwię, by zawartość moich taśm przesłano do pańskiego gabinetu. Oczywiście. Najbezpieczniejszym kanałem.

## NIEPRZENIKALNY

To był nerwowy dzień. Bardzo nerwowy. Czekala go rozmowa kwalifikacyjna. Będą w niej uczestniczyli nie tylko Rico, Dolores, Vivienne i inni, których już poznał, lecz również rzadko oglądane ważne osobistości ze szczebla międzykontynentalnego. Być może nie powinien był demonstrować pozytywnej reakcji, gdy Ina wspomniała, że fakt, iż korporacja jest skłonna zaoferować mu półstałe zatrudnienie, oznacza, że z czasem może się ono zamienić w stałe.

Stabilność, przynajmniej na pewien czas, była kusząca. Nie sformułował żadnych innych planów, a z tego kontekstu zamierzał się przenieść, gdy sam tego zapragnie, a nie na rozkaz jakiegoś odpowiednika Shada Flucknera. Mimo to jego umysł wypełniło narastające poczucie zagrożenia. Cóż mogłoby być bardziej niebezpieczne niż skupianie się na ludziach o tak wielkiej władzy i wpływach? Czyż pracownikom Tarnover nie zlecono wytropić Nickiego Haflingera i sprowadzić go z powrotem zakutego w łańcuchy? Jego wykszolenie, nauka i uwarunkowanie kosztowały rząd całe trzydzieści milionów dolarów. (Niewykluczone jednak, że pojawili się też inni zbiegowie. Nie odważył się z nimi skontaktować. Gdybyż tylko...!).

Niemniej sama rozmowa była najmniejszym ze stojących przed nim zagrożeń. Przygotowywał się do wyjścia, udoskonalając swój obraz konformisty aż do najdrobniejszego włoska na głowie, gdy nagle usłyszał brzęczyk wideofonu.

Na ekranie pojawiła się twarz Dolores van Bright. Ich wzajemne stosunki zawsze układały się dobrze.

– Cześć, Sandy! – przywitała go serdecznie. – Chciałam ci życzyć szczęścia na rozmowie. No wiesz, cenimy cię tutaj. Uważamy, że

zasługujesz na długoterminowe zatrudnienie.

– Dziękuję – odparł, mając nadzieję, że kamera nie uchwyci potu, który perli się na jego twarzy.

– Mogę nawet rzucić ci różę pod stopy.

– Tak?

Wszystkie jego instynkty natychmiast przełączyły się na tryb walki albo ucieczki.

– Wiem, że nie powinnam tego robić, ale... No cóż, na dobre czy złe. Vivienne o czymś napomknęła, a ja to sprawdziłam. Komisja kwalifikacyjna będzie dziś miała dodatkowego członka. Wiesz, że Viv uważa, że jesteś cennym dla kraju zasobem przeoczonym przez rząd? Dlatego ma dziś do nas dołączyć jakiś federalny ważniak. Nie wiem, kto to taki, ale podobno pracuje w Tarnover. Czujesz się zaszczycony?

Nie wiedział, jak udało mu się dokończyć rozmowę. Zrobił to jednak. Telefon były wyłączony, a on...

Leżał na podłodze?

Walczył ze sobą, ale nie zdołał odnieść zwycięstwa. Nie był w stanie się ruszyć. Nogi miał szeroko rozrzucone, w ustach miał sucho, pod czaszką dzwoniło mu jak na mszę, w brzuchu czuł kotłowanie, palce rąk zaciskały się kurczowo, a palce u nóg próbowały je naśladować. Pokój wirował wokół niego, cały świat zerwał się z cum i unosił się bezwładnie w powietrzu, wszystko, dosłownie wszystko, rozpuszczało się we mgle, a on uświadamiał sobie tylko jeden fakt.

Muszę wstać i ruszać w drogę.

Słaby, dręczony zgagą, na wpół oślepiiony z przerażenia, którego nie był już w stanie powstrzymywać, wywłókł się ze swojego mieszkania (Mojego? Nie! To jest ich mieszkanie!) i ruszył na *rendez-vous* w piekle.

## MORALNOŚĆ ODWAŻNA

Freeman wcisnął odpowiednie przełączniki i czekał cierpliwie, aż jego obiekt przejdzie ze stanu wycofania do czasu teraźniejszego.

– Widzę, że to wspomnienie nadal pozostaje wyjątkowo bolesne – rzekł wreszcie. – Jutro będziemy musieli przepracować to jeszcze raz.

– Jest pan diabłem! Kto dał panu prawo tak mnie torturować? – odpowiedział obiekt słabym głosem, choć wystarczająco silnym, by wyrazić pełną jadu nienawiść.

– Pan to zrobił.

– Dobra, popełniłem coś, co uważacie za zbrodnię! Ale nie było procesu ani wyroku!

– Nie ma pan prawa do procesu.

– Każdy ma prawo do procesu, do cholery!

– To czysta prawda. Ale widzi pan, pan nie jest każdym. Jest pan nikim. I wybrał pan ten status z własnej woli. Prawnie, oficjalnie, po prostu pan nie istnieje.

księga druga

CZÓŁNO DELFICKIE

## NAWET SALON W CAŁEJ SWEJ PYSZE NIE BYŁ TAK PRZEGRANY JAK JEDEN Z NICH

Nie troszczcie się zbyttnio o jutro. Macie do tego prawo. Ale nie uskarżajcie się, gdy jutro was zaskoczy.

### ARARAT

Z odległej... Za słabe słowo. Z odłączonej części swego umysłu był w stanie obserwować swe nieprawidłowe poczynania: zmierzał w kierunku, którego nie wybrał, biegł, choć mógł skorzystać z elektrycznego samochodu będącego własnością firmy, i tak właśnie powinien postąpić, krótko mówiąc, robił z siebie kompletnego durnia.

Podjęmowane przez niego decyzje były w zasadzie słuszne. Zjawi się na rozmowę kwalifikacyjną, stawi czoło gościowi z Tarnover i wygra spór, ponieważ po prostu nie można było aresztować kogoś, komu korporacja tak potężna jak SZ-O zaoferowała stałe zatrudnienie. To wywołałoby smród na całym kontynencie. A jeśli w Tarnover czegokolwiek się bali, to z pewnością tego, że media przenikną przez ich zasłonę fałszywej nieistotności.

Droga do piekła jest wybrukowana dobrymi intencjami. Jego intencje były w porządku. Po prostu nie miały wpływu na jego zachowanie.

– Słucham, kto tam? – odezwał się głos płynący z głośnika pod kamerą wideofonu. – Sandy! – dodał niemal na tym samym wydechu. – Hej,

wyglądasz na chorego, i to z pewnością nie ma być komplement. Wchodź natychmiast!

Rozległ się szcęk antykradzieżowych zamków przestawianych na neutralną pozycję.

Chorego?

Rozważył to słowo w owej dziwnej, odłączonej części swej świadomości, która w chwili obecnej z jakiegoś powodu oddzieliła się od ciała, lecz nie przestała funkcjonować, jakby była podwieszona pod balonem podążającym za cielesną powłoką, wchodzącą teraz na schody, posiłkującą się nie tylko nogami, lecz również rękami, którymi obejmowała poręcz, żeby się nie przewrócić. Wyścig nóg szukał wsparcia w wyścigu rąk, by dotrzymać kroku wyścigowi mózgow, a jego mózg z pewnością pracował jak oszałały. Czaszkę na wysokości skroni ścisnęła mu ciasna, niewidzialna obręcz. Miał zawroty głowy od bólu. Widział podwójnie. Gdy drzwi mieszkania się otworzyły, zobaczył dwie Kate. Obie owinęły się w wytarty czerwony szlafrok, a na nogach miały brązowe sandały... nie było jednak aż tak źle, ponieważ jej twarz wyrażała żywe współczucie i troskę, a w tej chwili podwójna dawka tych uczuć z pewnością mu nie zaszkodzi.

Spływały po nim rzeki potu. Był przekonany, że słyszałby, jak stopy pluskają mu w butach, gdyby nie głośnie bicie serca, które zagłuszyło również pytanie, jakie mu zadała.

– Pytam, co brałeś, do cholery? – powtórzyła głośnie.

Odnalazł swój głos, nieuchwytny charkot wymykający mu się w jaskiniach gardła, wyschniętego jak koryto strumienia w upalne lato, i czmychający aż do obolałych płuc.

– N... nic!

– Mój Boże. W takim razie nieźle cię dopadło. Chodź szybko. Musisz się położyć.

Poprowadziła go do leżanki z brązową narzutą. Wszystko wydawało mu się szybkie i nierealne jak we śnie. Obserwował wydarzenia z dziwnym dystansem, jakby widział je przez obojętne oczy starej Bagheery. We wczesnym plejstocenie siedział z nią na tej leżance, jadł omlety i pił piwo. Był piękny, słoneczny poranek, ale on zamknął oczy, by odciąć się od niego,

i skupił się na robieniu jak najlepszego użytku z powietrza, w którym unosiła się lekka woń cytryn.

Kate nacisnęła guzik zasuwający zasłony i odcięła go od słońca. Potem podeszła w półmroku do leżanki, usiadła na niej i wzięła go za rękę. Odszukała palcami puls, wprawnie jak zawodowa pielęgniarka.

– Wiedziałam, że za bardzo się przemęczasz – mówiła. – Nadal nie rozumiem dlaczego, ale gdy najgorsze już minie, będziesz mógł mi o tym opowiedzieć. Jeśli zechcesz.

Czas mijał. Bicie serca zwolniło. Pot wypływający z porów skóry zmienił się z gorącego w zimny. Nagle uświadomił sobie, że łka. Nie płakał, oczy miał suche, ale jego ciałem targał gwałtowny szloch, jakby raz po raz uderzała go w brzuch pięść, której nie było.

W pewnej chwili przyniosła mu gruby, zimowy koc z wełny i okryła go nim. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio czuł dotyk tak szorstkiej tkaniny. W dzisiejszych czasach spało się w ciśnieniowym łóżku, izolowanym od otoczenia warstwą kierowanych strumieni powietrza. To wrażenie obudziło tysiące nie w pełni ukształtowanych wspomnień z dzieciństwa. Zacisnął palce jak szpony, by nakryć głowę kocem, obrócił się na bok, zgiął kolana w pozycji płodu i, o dziwo, zasnął.

\* \* \*

Po obudzeniu czuł się dziwnie zrelaksowany. Oczyszczony. Jak... Ile czasu minęło? Zerknął na zegarek. W ciągu najwyżej godziny drzemki jego umysł wypełniło coś więcej niż zwykłe odprężenie.

Wypowiedział bezgłośnie to słowo i spodobał mu się jego smak.

Spokój.

Ale...!

Usiadł nagle. Nie mógł sobie pozwolić na spokój. To było niedopuszczalne! W siedzibie SZ-O człowiek z Tarnover z pewnością właśnie dodawał – wróć, już dodał – dwa do dwóch. Niewykluczone, że „cenny dla kraju zasób przeoczony przez rząd”, jakim był Sandy Locke, zidentyfikowano już jako zaginionego Nickiego Haflingera!

Odrzucił koc na bok i wstał, z opóźnieniem uświadamiając sobie, że Kate gdzieś zniknęła i być może zostawiła Bagheerę na straży...

Ta skomplikowana myśl rozplynęła się jednak w fali zawrotów głowy. Nim zdołał oddalić się od leżanki choć na jeden krok, musiał wyciągnąć rękę, by oprzeć się o ścianę.

– Dobrze wybrałaś chwilę, Sandy – dobiegł z kuchni głos Kate. – Czy jak tam właściwie się nazywasz. Właśnie zrobiłam dla ciebie trochę rosółu. Masz.

Podawała mu parujący kubek, który przyjął z wdzięcznością, łapiąc za chłodniejsze uszko. Nie patrzył jednak na rosół, tylko na nią. Przebrała się w niebiesko-żółtą letnią koszulę oraz sięgającą kolan spódnicę-spodnie, również żółtej barwy. Niebieski powtarzał się na niej pod postacią wielkich chińskich ideogramów na siedzeniu.

– Czemu się zastanawiasz, jak się właściwie nazywam? – usłyszał własny głos.

Miałem rację, pomyślał jednocześnie. W naszym nowoczesnym świecie nie ma miejsca na spokój. To tylko iluzja. Wystarczy krótka chwila, by go strzaskać.

– Bredziłeś przez sen – odparła, siadając na starym, wielokrotnie naprawianym krześle. Był pewien, że je wyrzuci, ale ona przewrotnie je zostawiła. – Och, proszę, przestań tak mrugać! Jeśli się zastanawiasz, co się stało z Bagheerą, zabrałam ją na dół. Dziewczyny mówią, że zajmą się nią przez pewien czas. A jeśli zastanawiasz się nad drogą ucieczki, jeszcze na to za wcześnie. Wypij rosół.

Ze wszystkich otwierających się przed nim opcji posłuchanie jej wydawało się najbardziej konstruktywne. Gdy tylko uniósł kubek do ust, uświadomił sobie, że jest głodny jak wilk. Poziom cukru we krwi z pewnością spadł mu straszliwie. I nadal było mu zimno. Ciepły, pożywny płyn przyniósł wielką ulgę.

Po długiej chwili był w stanie sformułować składające się z jednego słowa pytanie.

– Bredziłem...?



– Przesadziłam. Większa część z tego miała sens. Dlatego właśnie odpowiedziałam SZ-O, że cię tu nie ma.

– Słucham?

Kubek omal nie wypadł mu z rąk.

– Nie mów mi, że źle postąpiłam. Zrobiłam co trzeba. Kiedy nie zjawiłeś się na rozmowę, Ina powiedziała im, żeby zadzwonili do mnie. Odpowiedziałam: nie, z pewnością go nie widziałam. On nawet mnie nie lubi, dodałam. Ina na pewno chętnie w to uwierzyła. Nigdy nie rozumiała, że mężczyźni mogą mnie lubić, ponieważ mam wszystkie cechy, których nie chciała widzieć u swojej córki. Jestem pilna, inteligentna i w sumie niezbyt ładna. Nigdy nie wnikała w osobowość mężczyzn głębiej niż w twoim przypadku. Ładnie wygląda, dobrze się wysławia, robi korzystne wrażenie, mogę go wykorzystać.

Parsknęła ostrym śmiechem nieprzekraczającym jednak granicy goryczki.

Nie skomentował tych słów.

– I co... hmm... wymknęło mi się...? – zapytał i zadrżał lekko, czekając na odpowiedź,

Zawahała się.

– Z początku... no wiesz, odniosłam wrażenie, że nigdy się dotąd nie przeciążyłeś. Czy to może być prawda?

Inni już go o to pytali i zawsze wtedy zapewniał: „Nigdy. Pewnie zaliczam się do grupki szczęściarzy”. Sam wierzył we własne słowa. Widział ofiary przeciążenia: ukrywały się, bełkotały bez sensu, gdy ktoś próbował z nimi rozmawiać, krzyczały, machały rękami i łamały meble. Jego czasem dopadały kurcze, drżenie i poczucie zimna, ale jedna tabletką uspokajacza wystarczała, by przerwać to po paru minutach. Czegoś takiego z pewnością nie można było nazwać przeciążeniem?

Podczas tego ostatniego ataku wyczuł jednak w swym ciele straszliwą przemoc i uświadamiał sobie, że dla zewnętrznego obserwatora jego zachowanie niczym się nie różniło od tego, co widział u jednego z członków kongregacji z Toledo, swego byłego szefa w firmie projektującej utopie oraz dwóch pracowników college'u, a także...

u innych, Bardzo wielu innych. Uwięzionych w trybie walki albo ucieczki w sytuacji, gdy żadna z tych opcji nie była możliwa.

Odstawił z westchnieniem kubek i zmusił się do szczerzej odpowiedzi.

– Przedtem tabletki zawsze w mgnieniu oka stawiały mnie na nogi. Dzisiaj z jakiegoś powodu nie mam ochoty nic brać... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nigdy po prostu się nie wypocieś? Ani razu? Nic dziwnego, że atak był taki paskudny.

– A tobie zdarza się to ciągle, tak? – odgryzł się z irytacją. – I dlatego tyle wiesz na ten temat?

Pokręciła głową z neutralną miną.

– Nie. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Ale też nigdy nie brałam uspokajaczy. Jeśli mam ochotę ukoić się płaczem do snu, robię to. A jeśli chcę pójść na węgry, bo jest piękna pogoda, to również to robię. Ina się przeciążyła, kiedy miałam jakieś pięć lat. Dlatego rozstali się z tatą. Potem zaczęła się przejmować moim stanem umysłowym, podobnie zresztą jak własnym. Ale w mojej głowie utrwaliło się skojarzenie między prochami, które brała, a tym, jak się zachowywała w chwilach załamania. To nie wyglądało przyjemnie. Dlatego zawsze udawałam, że połknęłam pigułki, które mi dała, a potem je wypluwałam, kiedy zostawałam sama. Nauczyłam się bardzo biegle ukrywać tabletki i kapsułki pod językiem. Myślę, że to była rozsądna decyzja. Większość moich kolegów pękła co najmniej raz, niektórzy dwa albo nawet trzy razy, poczynając od szkoły podstawowej. Najwyraźniej zdarzało się to wszystkim tym, których rodzice oddali pod... hmm... specjalną opiekę. Opiekę, po której już nigdy nie odzyskali równowagi.

Do kuchni zdołała się jakoś przedrzeć samotna mucha. Nasycona i ciężka, wpadła z bzyčeniami do pokoju w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby spokojnie trawić. Ten dźwięk nadał szczególne brzmienie jego następnemu pytaniu, zupełnie jakby zęby piły wrzynały się w słowa.

– Masz na myśli to, co robi Antytrauma?

– Sami rodzice płacą ludziom z Antytraumy, by to robili ich bezbronnym dzieciom! – W jej głosie pobrzmiwała nuta jadu. Po raz pierwszy

dostrzegł u niej tak silne emocje. – Ale ta firma nie była pierwsza. Jest największa i najgłośniej się reklamuje, ale nie była pionierem w tej dziedzinie. W zeszłym roku pokłóciłyśmy się z Iną, kiedy powiedziała, że żałuje, że nie poddała mnie takiej terapii. Kiedyś lubiłam matkę, ale teraz nie jestem tego już taka pewna.

– Pewnie wierzą, że postępują właściwie – odparł głosem pełnym znużenia zrodzonego z bolesnego przewartościowania, jakiemu poddał przed chwilą samego siebie. – Chcą, by ich dzieci potrafiły sobie radzić, a uważa się, że to najlepszy sposób na przystosowanie ich do nowoczesnego świata.

– To były słowa Sandy’ego Locke’a – odparła Kate. – Kimkolwiek możesz być, wiem z całą pewnością, że nie jesteś nim. On był tylko rolą, którą grałeś. W głębi serca wiesz, że to, co robi Antytrauma, jest monstrualne... prawda?

Wahał się tylko przez krótką chwilę, zanim skinął głową.

– Tak. Nie sposób zaprzeczyć, że to czyste zło.

– Dziękuję, że wreszcie jesteś ze mną szczery. Byłam pewna, że nikt, kto przeszedł przez to, co ty, nie mógłby być innego zdania.

– A przez co, twoim zdaniem, przeszedłem?

– Przez sen jęczałeś o Tarnover, a ponieważ wszyscy wiedzą, jak tam jest...

Poderwał się nagle, jakby wymierzyła mu kopniaka.

– Chwileczkę, chwileczkę! To nie może być prawda! Większość ludzi nawet nie wie, że Tarnover istnieje.

Wzruszyła ramionami.

– Och, wiesz, co mam na myśli. Poznałam kilku ich tak zwanych absolwentów. Kiedyś mogli być niezależnymi jednostkami, ale poddano ich standaryzacji. Przycięto. Zamknięto w kaftan!

– To niewiarygodne!

Tym razem to ona była zaskoczona.

– Co jest niewiarygodne?

– Że poznałaś tych wszystkich ludzi z Tarnover.

– Bynajmniej. Na UMKC wręcz się od nich roi. Znajdziesz ich pod każdym wilgotnym kamieniem. Przesadzam, ale będzie ich pięciu albo sześciu.

Zaczął mu zagrażać powrót objawów, których ofiarą padł przed przyjściem tutaj. W ustach zupełnie mu zaschło, jakby ich wnętrze przetarto watą higroskopijną, serce waliło mu mocno i natychmiast zapragnął pójść do łazienki. Walczył z tym jednak ze wszystkich sił, jakie mu pozostały. Uspokojenie własnego głosu kosztowało go tyle wysiłku, co wspinaczka na wysoką górę.

– Gdzie więc się ukrywają?

– Nigdzie. Zajrzyj do laboratorium nauk behawioralnych i... Hej, Sandy!  
– Wstała, nagle zaniepokojona. – Lepiej znowu się połóż. Później o tym porozmawiamy. Najwyraźniej nie dotarło do ciebie, że jesteś w szoku, jakbyś przed chwilą uszedł z życiem z katastrofy pionowzlotu.

– Wiem! – warknął. – Ale w komisji SZ-O zasiadał ktoś z Tarnover. Jeśli przyjdzie im do głowy, żeby fizycznie sprawdzić twoje mieszkanie... wpadli na to, by do ciebie zadzwonić tak?

Przygryzła wargę, przyglądając się jego twarzy w poszukiwaniu wskazówek, których nie mogła tam znaleźć.

– Dlaczego tak się boisz? – zapytała. – Co takiego ci zrobili?

– Nie chodzi o to, co mi zrobili, ale o to, co mi zrobią, gdy mnie złapią.

– Z powodu czegoś, co ty im zrobiłeś? Co to było?

– Porzuciłem ich po tym, jak wydali trzydzieści milionów, żeby zrobić ze mnie dziecięcia takiego jak ci, o których mi opowiadałaś.

W ciągu kilku następnych sekund zadawał sobie pytanie, jak mógł być aż tak głupi, żeby powiedzieć to na głos. Potem – z zaskoczeniem tak porażającym, że było gorsze niemal od wszystkiego co wydarzyło się przedtem – przekonał się, że jednak wcale nie był głupi.

Kate odwróciła się i wyjrzała na ulicę przez szparę między nie do końca zasuniętymi zasłonami.

– Nie widzę nikogo podejrzanego – stwierdziła. – Co zrobią najpierw, jeśli się orientują, kim jesteś? Zdevaluują twój kod? Ten, którym się posługiwałaś w SZ-O?

– O tym też mówiłem? – zapytał. Do jego głosu wróciło przerażenie.

– Mówiłeś bardzo wiele. Wszystko to musiało wzbierać ci w głowie od lat. Mam rację?

– Hmm... pewnie tak.

Spojrzała na zegarek i porównała czas ze staromodnym cyfrowym zegarem – jedną z nielicznych ozdób, których nie wyrzuciła.

– Za dziewięćdziesiąt minut możemy złapać pionowzlot do Los Angeles. Od czasu do czasu korzystam z tego połączenia. Nie trzeba rezerwować biletu. O północy moglibyśmy już być w...

Dotknął dłońmi skroni. Znowu zakręciło mu się w głowie.

– Jesteś dla mnie za szybka.

– Musimy być szybcy. Co potrafisz robić poza zajmowaniem się systemami? Wszystko?

– Co... – Z ogromnym wysiłkiem wziął się w garść. – Tak, właściwie prawie wszystko.

– Świetnie. No to ruszajmy.

Nadal był niezdecydowany.

– Kate, z pewnością nie zamierzasz...

– Zapomnieć o studiach w przyszłym roku, porzucić przyjaciół, dom, matkę i Bagheerę? – zapytała pogardliwym tonem. – Jasne, że nie, do cholery. Ale jak sobie poradzisz, jeśli nie będziesz miał funkcjonalnego kodu, zanim stworzysz nowy, o którym nic nie wiedzą? Tak właśnie to robisz, prawda?

– Hmm... mniej więcej.

– No to ruszaj się, dobra? Mój kod jest w porządku, a dziewczyny z dołu zajmą się Bagheerą przez tydzień z równą chęcią, jak przez jeden wieczór. Zostaje mi tylko zostawić Inie wiadomość, że wyjechałam do znajomych.

Złapała za najbliższy telefon i zaczęła wpisywać kod szpuli pocztowej matki.

– Nie mogę cię prosić o to...

– Nie prosisz mnie. To ja ci to proponuję. Lepiej skorzystaj z tej szansy, do cholery. Bo jeśli tego nie zrobisz, w praktyce będziesz trupem, tak?

Uciszyła go gestem i wypowiedziała słowa potrzebne, by wprowadzić w błąd Inę.

– Nie trupem. Czeka cię coś gorszego – dodała jeszcze i wyszła.

Podążył za nią.

## NA POCZĄTKU BYŁO STADO

Gdy tłumaczyli mu to w Tarnover, wszystko brzmiało bardzo rozsądnie!

Oczywiście wszyscy musieli mieć kod osobisty! W przeciwnym razie, jak rząd mógłby zadbać o obywateli, śledzić ich pragnienia, upodobania, preferencje, zakupy, zobowiązania, a przede wszystkim miejsce pobytu każdego mobilnego człowieka na całym kontynencie?

Co prawda istniało też alternatywne podejście. Ale czy chcielibyście, żebyśmy przyjęli je tutaj? By możliwości indywidualnych wyborów ograniczono do tego stopnia, że zachowanie całej populacji stanie się przewidywalne?

Dlatego nie potępiajcie komputerów jako nowego typu kajdan. Jeśli rozważyć to racjonalnie, żadne wynalezione dotąd urządzenie nie poszerzyło bardziej zakresu naszej wolności. Komputery to jedyne narzędzie zdolne zaspokoić różnorodne potrzeby współczesnego człowieka.

Wyobraźcie je sobie nie jako rzecz, lecz jako człowieka. Jako przyjaznego listonosza, który pilnuje, by listy zawsze do was trafiały, bez względu na to, jak często zmieniacie miejsce zamieszkania i w jak odległe miejsce się przenosicie. Jako lojalnego sekretarza, który zawsze płaci wasze rachunki, nawet jeśli wy o nich zapomnicie. Jako lekarza rodzinnego, który jest pod ręką w szpitalu, kiedy zachorujecie, i daje nieznanemu specjalście dostęp do waszej historii choroby. Albo – jeśli chcecie mniej osobistego, a bardziej społecznego przykładu – wyobraźcie sobie komputery jako lekarstwo na monotonię prymitywnych metod produkcji masowej. Już w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia stało

się opłacalne wypuszczanie z taśmy produkcyjnej serii produktów, z których każdy nieco się różnił od pozostałych. Koszty ograniczały się do pensji programisty oraz oczywiście komputera, który wykonywał to zadanie... ale i tak wszyscy już korzystali z komputerów, a ich możliwości były tak kolosalne, że odrobina dodatkowych danych nie miała znaczenia.

(Zastanawiając się nad tym problemem, zwykł nieustannie przechodzić od czasu przeszłego do terażniejszego i z powrotem, by zachować delikatną równowagę, między tym, czego się spodziewano czy nawet na co liczone, a tym, co rzeczywiście się stało. Wyglądało na to, że pewnych decyzji o kluczowym znaczeniu nadal nie podjęto, choć od czasu sformułowania pytań minęły pokolenia).

Już w późnych latach dwudziestego wieku populacja Ameryki Północnej stała się najbardziej mobilną w całej historii. Liczba wyjeżdżających co roku na wakacje przewyższała liczebność wszystkich armii największych zdobywców wraz z uchodźcami, których zmuszali do ucieczki z domów. Cóż to była za ulga, gdy wszyscy mogli wpisać swój kod do publicznego terminalu – albo od roku 2005 do najbliższego wideofonu, który najczęściej znajdował się w tym samym pokoju – i wyjaśnić tylko raz, że przez najbliższe dwa tygodnie będą zwiedzać Rzym, surfować na plaży Bondi albo coś w tym rodzaju, i w związku z tym policja powinna uważniej obserwować ich dom, listy powinny na nich zaczekać, chyba że są oznaczone jako pilne – w takim przypadku należy je przesłać na następujący adres – śmieciarka nie musi się zatrzymywać przy ich domu na swej cotygodniowej trasie i tak dalej. Mięśnie całego kraju prężyły się z radości na myśl o nowych swobodach.

Ale...

Teoretycznie odpowiedź zawsze brzmiała tak, że solidny obywatel nie ma powodów do niepokoju.

Nasuwało się ważne pytanie, które z czasem stało się najważniejsze. Co z niesolidnym obywatelem?

Upojona wolnością ludność zerwała się do lotu jak chmara balonów na gorące powietrze.

Dobra, zrobmy to! Przenieśmy się, znajźmy sobie pracę w nowym stanie, spędźmy lato nad jeziorem, zimą zamieszkajmy w kurorcie w Górach Skalistych, codziennie dolatujemy pionowzlotem tysiã mil do pracy, sprawdzmy, jak nam się spodoba życie na wyspie i zapomnijmy o tym, jeśli nie będzie fajnie...

Jeszcze subtelniejsze i bardziej dalekosiężne skutki: zamieniamy się co miesiąc żonami i dziećmi, maluchom dobrze zrobi, jeśli będą je wychowywać coraz to nowi rodzice, w końcu wszyscy byliście już żonaci dwa razy, a ja nawet trzy, wyprowadźmy się szybko z miasta, zanim szef się dowie, że to ja go wykiwałem przy tym podejrzanym interesie, wynieśmy się poza zasięg głosu tego skurczybyka, który tak cię denerwuje, żebyś mogła się uspokoić, znajźmy jakieś miejsce, do którego nie dotarły jeszcze plotki, że jesteś skręciuchem, bo inaczej nigdy nie dasz rady rzucić mężczyzn, sprawdzmy, czy w Topeka rzeczywiście tak łatwo można dostać kwas albo... albo... albo...

A do tego, zawsze i wszędzie, nagle podejrzenie: Nie oglądaj się teraz. Ktoś chyba nas śledzi.

\* \* \*

Dwa lata po tym, jak połączyli wszystkie domowe telefony w kontynentalną sieć, przeciążony system krzyczał bezgłośnie z bólu jak mięśnie maratończyka, który wie, że może pobić rekord świata, jeśli tylko zdoła przebiec ostatnią milę.

W Tarnover jednak pytali, jak zwykle rozsądnym tonem: „Jak inaczej mogliśmy postąpić?”.

NIECH WSZYSCY STANĄ SIĘ RÓŻNORODNI, TAK  
SAMO JAK JA



– To zabrzmiało, jakby znalazł pan odpowiedź na to pytanie – zauważył z namysłem Freeman.

– Och, proszę się zamknąć. Na litość boską, niech mnie pan wprowadzi z powrotem w stan wycofania. Wiem, że nie nazywa pan tego torturami, dla pana to ocena reakcji na bodźce, ale ja czuję się jak torturowany. Skoro nie ma alternatywy, wolałbym, żeby to już się skończyło.

Freeman popatrzył na swe pokrętła i ekrany.

– Niestety, w tej chwili nie byłoby to bezpieczne. Minie co najmniej doba, nim skutki ponownego przeżycia przeciążenia, którego doznał pan w Kansas City, zostaną wypłukane z organizmu. To był najgwałtowniejszy epizod w pana dorosłym życiu. Bardzo traumatyzujący.

– Jestem nieskończenie wdzięczny za tę informację. Tak podejrzewałem, ale miło, że pańskie maszyny to potwierdziły.

– Sweedack. Ja też się cieszę, że maszyny potwierdzają to, co mówi nam pańska świadoma osobowość.

– Jest pan fanem hokeja?

– Nie w tym sensie, że kibicuję jakiejś konkretnej drużynie, ale ta gra to mikrokosmos naszego współczesnego społeczeństwa, nie sądzi pan? Grupowe zaangażowanie szarpiące się w okowach restrykcyjnych zasad, demonstrowanie teatralnej agresji, bardziej związanej ze statusem niż z nienawiścią czy strachem, a także wykorzystanie wykluczenia jako środka wymuszającego konformizm. Można też wspomnieć o użyciu najprymitywniejszej broni, jaką jest pałka, aczkolwiek stylizowana.

– A więc tak pan widzi nasze społeczeństwo. Zastanawiałem się nad tym. Jakież to trywialne! Jakże uproszczone! Wspomniał pan o restrykcyjnych zasadach... ale zasady stają się restrykcyjne tylko wtedy, gdy są przestarzałe. Zmienialiśmy je na każdym kroku naszej społecznej ewolucji, odkąd nauczyliśmy się mówić, i ciągle tworzymy nowe, które bardziej nam odpowiadają. I będziemy to robić dalej, chyba że głupcy tacy jak pan znajdą sposób, by nas powstrzymać.

Freeman pochylił się ku niemu, wspierając ostro zakończony podbródek na prawej dłoni.

– Dotarliśmy do obszaru fundamentalnej różnicy opinii – zaczął po chwili. – Uważam, że żadna zasada świadomie wynaleziona przez ludzkość od czasu odkrycia przez nią mowy nie ma mocy porównywalnej z zasadami wytworzonymi w ciągu pięćdziesięciu, może stu tysięcy pokoleń ewolucji w stanie dzikim. Co więcej, sugeruję, że głównym powodem, dla którego ludzkie społeczeństwo ogarnęło tak wielkie zamieszanie, jest fakt, że przez zbyt długi czas utrzymywaliśmy, że nasze szczególne ludzkie talenty mogą nas uwolnić od dziedzictwa zapisanego w genach.

– To dlatego, że pan i inni podobni do pana myślą w ściśle binarnych kategoriach. „Albo, albo”. Jakbyście doszli do wniosku, że maszyny są od was doskonalsze, i postanowili je naśladować. W takim przypadku byłbym zmuszony uwierzyć, że nie tylko nie znacie właściwej odpowiedzi, lecz nigdy jej nie znajdziecie. Traktujecie ludzi jak czarne skrzynki. Wywołajmy odpowiedni odruch, a nastąpi reakcja. Wywołajmy inny, a otrzymamy coś innego. W waszym wszechświecie nie ma miejsca na to, co nazwał pan szczególnymi talentami.

– Och, doprawdy. – Freeman rozciągnął usta w bladym uśmiešku. – Używa pan terminów sprzed co najmniej dwóch pokoleń. Czy wymazał pan ze swego umysłu wszelką wiedzę o tym, jak bardzo rozwinęła się nasza metodologia od lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia?

– A czy pan wymazał ze swego całą świadomość tego, jak bardzo sztywna się stała, na wzór średniowiecznej teologii? Cała wasza błyskotliwość służy jedynie wynajdowaniu sposobów na obalanie wszystkich poglądów niezgodnych z waszymi. Niech pan się nie trudzi z odpowiadaniem. Przekonałem się na własnej skórze, co oznacza wasza metoda czarnej skrzynki. Poddajecie mnie testowi na zniszczenie, nie jako indywidualną osobę, lecz jako próbkę, która może odpowiadać waszemu wyidealizowanemu modelowi bądź też nie. Jeśli nie zareaguję zgodnie z przewidywaniami, zmieniacie model i próbujecie ponownie. Ale ja nic was nie obchodzi.

– *Sub specie aeternitatis* – odparł Freeman, znowu się uśmiechając. – Nie znajduję żadnego powodu, by wierzyć w to, że jestem ważniejszy niż

jakikolwiek inny człowiek, który kiedykolwiek żył albo będzie żył. Podobnie żaden z nich nie znaczy więcej ode mnie. Wszyscy jesteśmy elementami procesu, który zaczął się w dalekiej przeszłości i będzie nadal trwał w kto wie jakiej przyszłości.

– To, co pan mówi, wzmacnia moje wyobrażenie o Tarnover. W gnijącej padlinie roją się nierozróżnialne czerwie, których jedynym celem w życiu jest złapać dla siebie porcję gnijącego mięsa szybciej niż uczynią to rywale.

– Ach, robak zdobywca. To ciekawe, że wykazuje pan religijne skłonności, biorąc pod uwagę, z jakim cynizmem grał pan w Toledo rolę duchownego.

– Nie jestem religijny. Głównie dlatego, że podstawowym celem religii jest budzenie ślepej wiary, takiej samej jak pańska.

– Znakomicie. Paradoks. Niech pan go dla mnie rozwiąże.

Freeman oparł się wygodnie. Skrzyżował chude nogi i złączył cienkie palce w piramidkę, wspierając łokcie na poręczach fotela.

– Wierzy pan, że człowiek może pojąć sam siebie, a przynajmniej zachowuje się, jakby w to wierzył. A mimo to ciągle pan wspomina o procesach, które zaczęły się w dalekiej przeszłości i będą trwały aż po wieki wieków amen. Próbuje pan wyjść na zewnątrz nurtu procesu, jak robiły to prymitywne dzikusy – i nadal to robią! – przywołując boskie siły pozostające poza ludzką kontrolą. Gołosłownie wychwala pan proces, ale nie chce go zaakceptować. Wręcz przeciwnie, usiłuje go pan zdominować. A tego nie da się zrobić, chyba że stanie pan na zewnątrz.

– Hmm. Jest pan przykładem atawizmu, prawda? Ma pan zadatki na uczonego! Ale to nie ratuje pana przed popełnieniem błędu. Staramy się nie wychodzić poza nurt, ponieważ rozumiemy naturę procesu i jego nieunikniony charakter. Najlepsze, na co możemy liczyć, to skierowanie go w bardziej akceptowalne kanały. To, co robimy w Tarnover, może być najbardziej wartościową przysługą, jaką kiedykolwiek wyświadczyła ludzkości tak mała grupa. Diagnozujemy społeczne problemy, a potem świadomie tworzymy osoby zdolne je rozwiązać.

– A ile problemów udało się wam rozwiązać do tej pory?

– Ludzkość jeszcze się nie unicestwiła.

– I przypisuje pan sobie zasługę? Wiedziałem, że nie brak panu tupetu, ale to już naprawdę fantastyczne! Równie dobrze mógłby pan twierdzić, że trzeba było wynalazku broni jądrowej, by w ludzkości przebudził się odruch przetrwania, który u większości gatunków przejawia się w obliczu kłów i pazurów silniejszego rywala.

– Tak to rzeczywiście wygląda.

– Gdyby naprawdę pan w to wierzył, nie pracowałby pan tak ciężko nad uniwersalizacją nowego konformizmu.

– Sam pan wymyślił ten termin?

– Nie. Pożyczyłem go od autora, którego dzieła nie są zbyt popularne w Tarnover. Od Angusa Portera.

– No cóż, ta fraza brzmi imponująco. Ale czy cokolwiek znaczy?

– Nie będę się trudził wyjaśnianiem. Wspomnę tylko, że lepiej jest rozmawiać w czasie teraźniejszym, niż siedzieć we własnej głowie, gdy pan grzebie w moich wspomnieniach. Cholernie dobrze wie pan, co to znaczy. Proszę spojrzeć na siebie. Jest pan częścią tego procesu. On trwa już od stulecia. Jego początkiem jest chwila, gdy ludzie z bogatych krajów zaczęli przystosowywać inne kultury do swoich potrzeb, sprowadzając je do najniższego wspólnego mianownika. Bogaci przybysze bojący się cudzoziemskich potraw mówili restauratorowi, żeby podawał hamburgery zamiast enchiladas albo rybę z frytkami zamiast kuskusu; chcieli kupić coś ładnego do powieszenia na ścianie, a nie dzieło, w które miejscowy artysta włożył serce i duszę; uważali, że w Rio jest za gorąco, a w Zermatt za zimno, ale i tak uparcie tam jeździli.

– I Tarnover jest winne temu, jak zachowywali się ludzie na długo przed jego powstaniem? – Freeman pokręcił głową. – Nie przekonał mnie pan.

– Ale to właśnie jest wizja, od której zaczęliście i której się trzymacie! Weszliście prosto w pułapkę, z której nie ma drogi wyjścia. Chcieliście stworzyć uogólniony model ludzkości, a to była najdogodniejsza podstawa, bardziej uniwersalna niż europejska arystokracja sprzed pierwszej wojny światowej, choć ta była autentycznie kosmopolityczna, i bardziej jednolita niż archetypowa kultura chłopska, która była powszechna, ale zindywidualizowana. W rezultacie otrzymaliście schemat, w którym ludzie

przestrzegający owych starożytnych ewolucyjnych nakazów, o których z taką nonszalancją pan wspomina – na przykład zapuszczający korzenie w jednym miejscu, by pozostać tam na całe życie – są uważani przez ogół za „raczej dziwnych”. Wkrótce zaczną ich prześladować. Jak więc uzasadni pan swe twierdzenie, że przekaz zawarty w genach ma przewagę nad świadomie kierowaną zmianą, jaką przynosi nowoczesność?

– Mówi pan o tak zwanych ekonomistach, którzy nie chcą korzystać z udogodnień udostępnianych przez technologię? To głupcy. Okaleczają się z własnej woli.

– Nie. Mówię o ludziach otoczonych przez tak wiele możliwości, że popadają w rozterkę i dopada ich nerwica lękowa. Przyjaciele i sąsiedzi zbiegają się, by im pomóc, wyjaśniają im cuda dnia dzisiejszego i uczą z nich korzystać, a potem odchodzą i czują się szlachetni. Co jednak, jeśli będą musieli powtarzać ten sam proces jutro, pojutrze i jeszcze następnego dnia? Droga od protekcjonalizmu do prześladowań zawsze była bardzo krótka.

– Łatwo to pogodzić z moimi przekonaniem, jak wyglądają one naprawdę, zamiast zniekształconej wersji przedstawionej przez pana – odparł po chwili ciszy Freeman. – Ludzkość zaczęła jako koczowniczy gatunek, podążający za stadami zwierzyny i przenoszący się z pastwiska na pastwisko zależnie od pory roku. Nasza kultura ponownie zasymilowała mobilność podobnego stopnia, przynajmniej w bogatych krajach. To prawda, że życie w zurbanizowanym społeczeństwie ma swoje zalety, takie jak urządzenia sanitarne, łatwa łączność i w miarę tani transport... ale dzięki udoskonalonym komputerom nie musieliśmy się wyrzekać tych udogodnień.

– Równie dobrze można by twierdzić, że fale wygładzające kamyki na plaży wyświadczają im przysługę, bo okrągłe są ładniejsze od kanciastych. Kamykowi wszystko jedno, jaki ma kształt, ale dla ludzi to bardzo ważne. A każda następna fala redukuje liczbę kształtów, jakie mogą przybierać ludzie.

– Pańskie skomplikowane metafory zasługują na uznanie – przyznał Freeman. – Niemniej wyczuwam, że szuka ich pan rozpaczliwie, jak

człowiek na przyjęciu, który próbuje udawać, że nie jest pijany. Moje monitory przyznają mi rację. Dzisiejsza sesja miała się skończyć za kilka minut, ale skróć ją, by rano wrócić do przesłuchania.

## WŁAŚCIWY POSTĘPEK Z NIEWŁAŚCIWEGO POWODU

Czuł się zupełnie tak, jakby jechał samochodem i kierowca, ujrawszy z przodu kawałek złej, pełnej dziur drogi, dodał nagle gazu, zamiast zwolnić. Usłyszał bębnienie i zauważył pewne charakterystyczne obiekty za szybą, ale poza tym, *tam i wtedy* w mgnieniu oka przeszło w *tu i teraz*.

Pasażer doświadczył upływu czasu tylko w takim stopniu, by uświadomić sobie, że nie chciałby jechać tak szybko po równie kiepskiej drodze... a potem zadać sobie pytanie, dlaczego, skoro daje to tak dobre wyniki.

Potem wszystko nagle się zatrzymało.

\* \* \*

– Gdzie mnie przywiozłaś?

Rozejrzał się po pokoju. Szorstkie, brązowe ściany, staromodne łóżko ze sprężynami, na podłodze niedopasowana wykładzina, a za szerokimi oknami widok zachodu słońca, który odwrócił jego uwagę, zanim zdążył zauważyć inne obiekty, takie jak krzesła, stoły i tak dalej. Sprawiały wrażenie pochodzących ze sklepu ze starzyzną, którego właściciel uznałby za antyk wszystko, co było starsze niż on sam.

– Biedny dzieciule – odezwała się Kate. Ona również tu była. – Miałeś naprawdę paskudny atak. Pytałam cię, czy to dobry pomysł pojechać do Łona Bogów, a ty odpowiedziałeś, że tak.

Siedział w fotelu, który jakby przypadkowo znalazł się obok niego. Zaciskał dłonie na poręczach mebla, aż knykcie zrobiły mu się niemal

zupełnie białe.

– Wtedy byłem szalony – odrzekł z wielkim wysiłkiem. – Kiedyś już myślałem o odwiedzeniu podobnego miasteczka, ale uświadomiłem sobie, że to pierwsze miejsce, w którym będą mnie szukać.

Teoretycznie ktoś, kto chciał się uwolnić od poprzedniej tożsamości, na całym kontynencie nie znalazłby miejsca lepszego niż to lub jakaś inna osada założona przez uchodźców z północnej Kalifornii po wielkim trzęsieniu ziemi. Dosłownie miliony dotkniętych traumą uchodźców powędrowały na południe. Całymi latami wegetowali w namiotach i barakach, zależni od federalnych datków, ponieważ ich mentalne urazy były zbyt ciężkie, by byli w stanie pracować na życie. W większości przypadków nie chcieli nawet wchodzić do budynków mających solidny dach, w obawie, że zginą pod gruzami. Rozpaczliwie pragnęli stabilności i szukali jej w tysiącu irracjonalnych kultów, co czyniło ich łatwym łupem dla oszustów i fałszywych kaznodziejów. Wkrótce te osady zaczęły przywabiać niedzielnych turystów, pragnących oglądać bitwy między wyznawcami konkurencyjnych – lecz równie szalonych – wier. Dodatkowa opłata za ubezpieczenie.

Na całym obszarze cywilizacji zachodniej nie wydarzyło się nic porównywalnego od czasu trzęsienia ziemi w Lizbonie, które w roku 1755 zachwiało podstawami chrześcijaństwa w połowie Europy.

We wszystkich osadach już przed ćwiercią stulecia przywrócono coś w rodzaju porządku, ale blizny pozostałe po trzęsieniu ziemi utrwaliły się w ich nazwach: Zagrożenie, Przepaść, Tymczasowo. Stacja Przesiadkowa, Stan Przejściowy... i Łono Bogów.

Ponieważ to były pierwsze nowe miasta w kraju, który od stu lat nie miał żadnego pogranicza, musiały rzecz jasna przyciągać niespokojne dusze, dysydentów, a czasami również elementy przestępcze z wielu innych miejsc. Na ciągle uaktualnianych mapach wyglądały jak plamki atramentu przypadkowo rozsiane między Monterey a San Diego, a także w głębi lądu na pasie o szerokości blisko dwustu mil. Tworzyły państwo w państwie. Garstka turystów nadal tu przybywała, ale większość wolała tego nie robić. W Stambule łatwiej było poczuć się jak u siebie w domu.

\* \* \*

– Sandy! – Siedząca a krzesle naprzeciwko, zwrócona do niego twarzą Kate puknęła go w kolano. – Już ci przeszło. Unikaj nawrotu. Mów! Tym razem do rzeczy. Dlaczego tak się boisz Tarnover?

– Jeśli mnie złapią, uczynią mi to, przed czym stamtąd uciekłem.

– To znaczy...?

– Przerobią mnie na nową wersję. Taką, której nie chciałbym zaakceptować.

– To zdarza się każdemu. Ciągle. Szczęściarze wygrywają, a reszta musi cierpieć. Jest w tym coś głębszego. Coś gorszego.

Skinął głową ze znużeniem.

– Masz rację. Jestem przekonany, że zrobią to, jeśli tylko będą mieli okazję, a ja nie będę miał żadnych szans się obronić.

Zapadła głucha cisza. Po chwili Kate skinęła głową z poważną miną.

– Wyobrazam to sobie. Wiedziałybyś, co ci robią. A potem byłbyś zafascynowany nagraniem swojej reakcji.

Roześmiał się bez śladu wesołości.

– Chyba mnie okłamałaś, mówiąc, ile masz lat. Nikt nie mógłby się stać równie cyniczny w tak młodym wieku. Oczywiście masz rację.

Znowu nastąpiła chwila przerwy, tym razem pełna szarego przygnębienia. Wreszcie Kate przerwała ciszę.

– Szkoda, że nie byłeś w stanie normalnie rozmawiać, zanim opuściliśmy Kansas City. Na pewno odpowiadałeś mi machinalnie. Nie szkodzi. Jestem przekonana, że trafiliśmy w odpowiednie miejsce. Jeśli unikałeś miast takich jak Łono Bogów – przez jak długi czas... sześć lat? – z pewnością nie zaczną od razu szukać cię w Kalifornii.

Zdumiewało go, z jakim spokojem to przyjmuje. Przed chwilą usłyszał, jak Kate od niechcienia wspomniała o jego najgłębiej skrywanej tajemnicy... Przede wszystkim, niemal nie potrafił uwierzyć, że ktoś naprawdę jest po jego stronie.

Czy stąd właśnie brał się jego spokój? To bardzo prawdopodobne.

– Jesteśmy w hotelu? – zapytał.



– W pewnym sensie. Nazywają to otwartym domem. Dostajesz pokój, a potem musisz radzić sobie sam. Tam jest kuchnia... – wskazała na drzwi sypialni – ...i można tu zostać dowolnie długo. Na szczęście, przy rejestracji nie zadają żadnych pytań.

– Użyłaś swojego kodu?

– Myślałeś, że skorzystam z twojego? Mam mnóstwo kredytu. Może nie jestem do końca ekonomistką, ale los pobłogosławił mnie niewyszukanymi upodobaniami.

– W takim razie łapsy zaraz się zjawią.

– Srać na to. Myślisz w nowoczesnych kategoriach. Zarejestrujesz się w hotelu i za dziesięć sekund ten fakt będzie odnotowany w Canaveral, tak? Nie tutaj, Sandy. Tu nadal wszystko robi się ręcznie. Może minąć tydzień, zanim obciążą mnie zapłatą za ten pokój.

W jego oczach rozkwitła na nowo nadzieja.

– Jesteś tego pewna?

– Nie, do licha. Może recepcjonistka spisuje rachunki właśnie dzisiaj. Chciałam tylko powiedzieć, że to nie jest automatyczne. Słyszałeś o tym mieście, tak?

– Słyszałem o bardzo wielu strefach dotowanej rezygnacji... – Potarł czoło. – Czy ta jest utrzymywana na poziomie lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia?

– Chyba coś w tym rodzaju. Nigdy tu nie byłam, ale znam Tymczasowo i słyszałam, że tu jest bardzo podobnie. Dlatego właśnie wybrałam Łono Bogów. Nie chciałam cię wieźć w miejsce, gdzie ktoś mógłby mnie rozpoznać.

Pochyliła się ku niemu.

– A teraz się skupmy, dobra? Doberman nie wyją u drzwi, a już najwyższy czas, bym poznała resztę twojej historii. Mam wrażenie, że siedziałeś w Tarnover dość długo. Myślisz, że krępuje cię posthipnotyczna więź?

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Nie. Sam się nad tym zastanawiałem, ale doszedłem do wniosku, że to niemożliwe. Hipnoza nie zalicza się do ich podstawowych narzędzi. Gdyby

jej użyli, sugestie uaktywniłyby się już dawno, zaraz po mojej ucieczce. Oczywiście, niewykluczone, że teraz jej używają, by powstrzymać innych przed podążeniem za moim przykładem... ale to ja sam jestem dla siebie przeszkodą.

Kate przygryzła dolną wargę małymi, bardzo białymi zębami.

– To dziwne – rzekła po chwili. – Rozmawiając z absolwentami Tarnover, o których ci wspominałam, zawsze odnosiłam wrażenie, że pozostają pod wpływem quasihipnotycznych sugestii. No wiesz, ciarki przechodziły mi od tego po skórze. Zachowywali się, jakby wszystkiego się już nauczyli i nigdy nie mogli się mylić. To było trochę nieludzkie. Dlatego zawsze uważałam, że Tarnover to coś w rodzaju ośrodka szkolenia behawioralnego dla zdolnych dzieci z patologicznych środowisk i że używają tam ekstremalnych bodźców zachęcających do nauki. Zero czynników odwracających uwagę, być może jakieś prochy. Sama nie wiem.

– Powiedziałaś... patologicznych? – zapytał, wychwytyjąc kluczowe słowo.

– Ehe. – Skinęła głową. – Zauważyłam to natychmiast. Albo byli sierotami, albo nie kryli, że nienawidzą rodziców i krewnych. To tworzyło między nimi osobliwą solidarność. Prawie jak u pracowników Białego Domu. Czy może raczej, jak w słowach Jezusa: „Któż jest moim ojcem i matką?”. – Rozpostarła dłonie.

– Kiedy pierwszy raz usłyszałaś o Tarnover?

– Och, cztery lata temu, gdy skończyłam liceum i zaczęłam studia na UMKC, sporo o tym mówiono. Nie było publicity, przynajmniej nie takiej z trąbami i bębnami, raczej dyskretne szepty: „Chyba znaleźliśmy odpowiedź na Akadiemgorodok”.

– Cholera, ależ są sprytni! – warknął. – Gdybym ich tak nie nienawidził, musiałbym ich podziwiać.

– Słucham?

– Osiągnęli optymalny kompromis. To, co opisujesz, z pewnością zgadza się z obrazem Tarnover, jaki chcieliby przedstawić światu. Jak to ujęłaś? Ośrodek szkolenia behawioralnego dla zdolnych dzieci

z patologicznych środowisk? Taka inicjatywa z pewnością zasługuje na podziw!

– A Tarnover tym nie jest?

Ostre spojrzenie Kate dotykało jego twarzy niczym sztychy dwóch mieczy.

– Nie. To miejsce, w którym hodują przyszłą elitę mającą władać kontynentem.

– Nie podoba mi się ta myśl, ale podejrzewam, że możesz mówić prawdę.

– Mnie też się nie podoba, ale... wyobraź sobie, że sprawujesz władzę. Co jest najbardziej niebezpieczne w dzieciaku z wysokim IQ, który nie ma rodziców?

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę.

– Może nie patrzeć na sprawy tak, jak ci, którzy rządzą. I może mieć rację.

Zachwycony, klepnął się dłonią w udo.

– Kate, naprawdę mi imponujesz! Trafiłaś w samo sedno. Kim są ludzie, których werbuje się do Tarnover, Credition Hill i innych tajnych ośrodków? Tymi, którzy mogliby stworzyć własną stronę dla siebie, jeśli rząd nie przeciągnie ich na swoją, dopóki pozostają podatni na wpływy. Tak, tak! Ale przede wszystkim... posłuchaj, sprawdziłaś czy tu nie ma podsłuchu?

Spóźnił się z zadaniem tego pytania. Co się stało z jego sławetną ostrożnością? Zaczął już wstawać z krzesła, gdy odpowiedziała mu z lekką nutą wzgardy w głosie:

– Pewnie, że sprawdziłam! Mam cholernie dobry wykrywacz pluskiew. Jeden z moich chłopaków zbudował go dla mnie. Jest doktorantem na wydziale szpiegostwa przemysłowego na UMKC. Uspokój się. Możesz mówić swobodnie.

Usiadł z ulgą i otarł czoło z potu.

– Mówiłaś, że absolwenci Tarnover, których poznałaś, zajmują się głównie naukami behawioralnymi. Spotkałaś jakiegoś, który specjalizowałby się w biologii?

– Paru, ale nie na UMKC. Za granicą stanu, w Lawrence. Tam przynajmniej pracowali jakiś czas temu. Nie mogłam ich znieść i przestałam utrzymywać z nimi kontakty.

– A czy wspominali kiedyś o dumie i radości Tarnover? O kalekich dzieciakach z IQ geniuszy, które tam tworzą?

– Słucham?

– Poznałem pierwszą z nich, nazywała się Miranda. Oczywiście ona nie była genialna, więc kiedy umarła w wieku czterech lat, nikt się tym zbytnio nie przejął. Ale od tego czasu udoskonalili swe metody. Ostatnia, o której słyszałem, zanim opuściłem ośrodek, nadal nie była w stanie chodzić ani nawet jeść, ale posługiwała się zdalnikiem komputerowym równie sprawnie, jak najlepsi z nas. Czasami nawet była szybsza od swych nauczycieli. Rzecz jasna, specjalizują się w dziewczynkach. Jak wiesz, z embriologicznego punktu widzenia mężczyźni to niedoskonałe kobiety.

Na twarzy Kate nigdy nie widziało się zbyt wiele koloru, ale w kilka następnych sekund nawet ta odrobina odpłynęła i jej czoło oraz policzki zrobiły się białe jak kreda.

– Podaj mi szczegóły – poprosiła słabym, pełnym nerwowości głosem. – Musi się za tym kryć znacznie więcej.

Spełnił jej życzenie. Kiedy skończył, z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Chyba oszaleli. Potrzebujemy odpoczynku od ultraszybkich zmian, nie ich dodatkowej dawki. Połowa ludności dała już sobie spokój z próbami nadażania, a druga połowa jest jak pijana od stresu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Sweedack – potwierdził pozbawionym wyrazu głosem. – Ale oczywiście ich argument brzmi tak, że jeśli oni tego nie zrobią, ktoś to zrobi gdzie indziej, więc... – Wzruszył bezradnie ramionami.

– W porządku. Może ci, którzy będą drudzy, nauczą się czegoś na naszym przykładzie, nie popełnią tych samych błędów. Ale czy ludzie z Tarnover nie zdają sobie sprawy, że wpędzą nasze społeczeństwo w historię?

– Najwyraźniej nie. To świetny przykład działania prawa Portera, czyż nie tak? Przenieśli podejście typowe dla wyścigu zbrojeń na wyścig

mózgów. Próbują mnożyć to, co jest niewspółmierne. Z pewnością słyszałaś, że próby zastosowania strategii minimaksowej do problemu zbrojeń nieuchronnie prowadzą do konstatacji, że musimy się zbroić. Ich duchowi przodkowie robili to jeszcze długo po tym, jak bomby wodorowe wprowadziły nieskończone wartości do równań opisujących siłę militarną. Próbowali osiągnąć bezpieczeństwo, gromadząc coraz większe stopy bezużytecznej broni. W Tarnover popełniają dziś taki sam błąd. Twierdzą, że szukają genetycznych podstaw mądrości. Nie wątpię, że większość z nich w to wierzy, ale to oczywista nieprawda. W rzeczywistości poszukują IQ wyższego niż dwieście, a inteligencja i mądrość nie są tym samym. – Zacisnął pięści. – Ta perspektywa mnie przeraża! Trzeba ich powstrzymać. W jakiś sposób, za wszelką cenę. Ale ja szukam tego sposobu już od sześciu lat, w nadziei, że trzydzieści milionów, które na mnie wydali, nie poszło całkowicie na marne, i nic za cholere nie osiągnąłem!

– Czy powstrzymuje cię strach przed... hmm, karą?

Poderwał się nagle.

– Jesteś naprawdę bystra. Pewnie masz rację.

– Za samą ucieczkę z Tarnover?

– Och, popełniłem masę federalnych przestępstw. Posługiwałem się fałszywymi tożsamościami, zdobyłem pieczęć notarialną drogą oszustwa, wprowadzałem podrobione dane do sieci kontynentalnej... możesz być pewna, że znajdą mnóstwo pretekstów, by wysłać mnie do paki.

– Dziwię się, że w ogóle pozwolili ci uciec.

– Nie chcą używać przymusu, gdy wystarcza perswazja. Nie są głupi. Zdają sobie sprawę, że jeden ochotnik wypruwający sobie dla nich żyły jest wart dwudziestu niechętnych rekrutów.

– Rozumiem – przyznała, wpatrując się w jakiś punkt za jego plecami. – Myśleli, że mogą ci zaufać, i dali ci za wiele swobody. Co robiłeś po ucieczce?

Opowiedział jej o swych kolejnych karierach.

– Ha! Przynajmniej poznałeś szeroki przekrój społeczeństwa. Dlaczego po tym wszystkim zdecydowałaś się na pracę w SZ-O?

– Potrzebowałem dostępu do pewnych chronionych obszarów sieci. Przede wszystkim musiałem sprawdzić, czy mój kod nadal jest ważny. Był. Ale teraz, gdy z pewnością badają już moją tożsamość w Kansas City, najwyższy czas, bym wykorzystał go po raz ostatni i raz jeszcze napisał siebie na nowo. Rzecz jasna, to sporo kosztuje, ale mam do odebrania wygraną z kilku delfickich zakładów i jestem pewien, że będę mógł przez pewien czas wykonywać jakiś dobrze płatny zawód. Czy tutaj nie kochają wszelkiego mistycyzmu? Mogę stawiać komputerowe horoskopy, zajmować się genetycznym poradnictwem, w Kalifornii chyba można to robić bez licencji, albo... Och, cokolwiek, co wymaga skorzystania z komputerowego terminalu.

Wlepiła w niego spokojne spojrzenie.

– Jesteś w strefie dotowanej rezygnacji – przypomniała mu.

– Cholera, masz rację! – Nagle poczuł się straszliwie samotny i bezbronny. – Ale czy te zakazy sięgają głęboko? No wiesz, nawet jeśli nie mogę połączyć się z siecią z publicznego telefonu, to czy nie pozwalają też robić tego z komputera?

– Pozwalają, ale musisz napisać podanie o przyznanie czasu. W dodatku jest tu w obiegu więcej gotówki niż gdziekolwiek w kraju, a usługi wideofoniczne są limitowane. Nie możesz po prostu połączyć się z kimś, kto mieszka poza strefą dotowanej rezygnacji. Musisz wysłać wiadomość przez sieć kablową i poprosić, żeby do ciebie oddzwonił. I tak dalej.

– Ale jeśli nie mogę napisać siebie na nowo, to co w takim razie mam zrobić? – Wstał z krzesła. Znowu zaczął drżeć.

– Sandy! – Kate również się podniosła, próbując pocieszyć go spojrzeniem. – Czy nigdy nie próbowałeś stawić czoła przeciwnikowi?

– Słucham? – zapytał, mrugając nerwowo.

– Odnoszę wrażenie, że za każdym razem, gdy coś z twoim kolejnym planem poszło nie tak, porzucałeś go, razem z osobowością, która się z nim wiązała, i przerzucałeś się na coś innego. Być może właśnie dlatego niezmiennie przegrywałeś. Liczyłeś na to, że twój szczególny talent zawsze pozwoli ci uniknąć kłopotów, i polegałeś na nim, zamiast dokończyć to, co zacząłeś. Atak przeciążenia, który cię dziś dopadł, powinien stać się dla

ciebie ostrzeżeniem. Istnieje granica tego, ile razy możesz przekształcać własną osobowość. Granica obciążenia, jakie zniesie twoja zdolność rozumowania. Twoje ciało wreszcie oznajmiło ci wyraźnie, że posunąłeś się za daleko.

– Cholera... – Jego głos był pełen rozpacz. – W zasadzie jestem pewien, że masz rację. Ale czy jest jakaś alternatywa?

– Pewnie, że mogę ci przedstawić alternatywę. Jedną z największych zalet stref dotowanej rezygnacji jest fakt, że nadal można tu dostać ręcznie przygotowywane potrawy. Nie wiem jak jest tutaj, ale w Tymczasowie jedzenie było pyszne. Znajdziemy sobie dobrą restaurację i dzbanek wina.

## FECHTUNEK BEZ FRASUNKU

Podręcznik Krajowego Stowarzyszenia Graczy w Fechtunek stwierdza między innymi:

Można grać ręcznie albo elektronicznie.

Plansza składa się ze stu jeden równoległych, jednakowo od siebie oddalonych linii o kodowych oznaczeniach AA, AB, AC... BA, BB, BC... aż do EA (pomijając literę I), z którymi krzyżuje się pod kątem prostym siedemdziesiąt jeden równoległych, jednakowo od siebie oddalonych linii o oznaczeniach od 01 do 71.

Celem gry jest zamknięcie w trójkątach większej liczby punktów przecięcia niż przeciwnik.

Gracze otrzymują przez losowanie lub rzut monetą czerwone albo niebieskie. Partię zaczynają czerwone.

Podczas każdej tury obaj gracze mogą zająć po dwa punkty – jeden jawnie oznaczają na planszy, a drugi wpisują na listę ukrytą przed wzrokiem przeciwnika (ale w grze turniejowej dostępną do wglądu sędziego).

Gdy już widocznie zajęto co najmniej dziesięć punktów (pięć czerwonymi i pięć niebieskimi), gracz może zrezygnować z opcji

zajmowania ukrytego punktu i spróbować zamknąć w trójkącie obszar położony między trzema jego widocznymi punktami. Najpierw jednak musi zażądać, by przeciwnik ujawnił swe ukryte punkty znajdujące się na planszy. Może zamknąć tylko taki trójkąt, w którym nie ma ani jednego punktu zajętego przez przeciwnika. Wszystkie zajęte punkty na ukrytej liście, które po sprawdzeniu okażą się widocznie zajęte przez przeciwnika, zostaną usunięte z listy. Trójkąt może zawierać punkt zajęty przez tego samego gracza. Punktów zamkniętych w trójkątach nie wolno zajmować. Jeśli gracz zajmie taki punkt przez pomyłkę, utraci w tej turze prawo zajęcia zarówno widocznego, jak i ukrytego punktu.

Jeśli po ujawnieniu ukrytych punktów przeciwnika gracz przekona się, że nie może zgodnie z zasadami zamknąć żadnego trójkąta, musi natychmiast ujawnić swoje ukryte punkty, po czym gra dalej toczy się normalnie.

Wszystkie trójkąty muszą mieć boki długości co najmniej dwóch jednostek, co oznacza, że dwie sąsiadujące ze sobą linie nie mogą zawierać wierzchołków tego samego trójkąta, choć mogą zawierać wierzchołki dwóch różnych trójkątów, bez względu na ich kolor. Żaden trójkąt nie może zamykać punktu zamkniętego przez drugi. Zajęty przez przeciwnika punkt leżący na poziomej lub pionowej linii między wierzchołkami proponowanego trójkąta jest uważany za zamknięty i taki trójkąt jest nieważny. Zajęty przez przeciwnika punkt położony na ukośnej linii biegnącej między wierzchołkami pod kątem czterdziestu pięciu stopni nie jest uważany za zamknięty.

Rezultat stanowi liczba punktów zamkniętych przez zgodne z zasadami trójkąty. Używa się zaaprobowanego przez obu graczy urządzenia, które po dodaniu trzeciego wierzchołka trójkąta automatycznie wyświetla liczbę zamkniętych w nim punktów. Każdy z graczy ma obowiązek prowadzić dokładną rachubę zdobytych przez siebie punktów, ale jeśli gra się na pieniądze, zawiera się zakłady albo za zgodą obu graczy punkty może liczyć sędzia. Można to też robić elektronicznie bądź mechanicznie, ale w takim przypadku żaden z graczy nie ma prawa odwołania od wyniku ujawnionego po zakończeniu partii bądź podczas jej trwania.



Zwyczaj nakazuje, choć nie jest to obowiązkowe, by partię uważać za wygraną, gdy jeden z graczy wyprzedzi drugiego o sto punktów.

## METONIMIA

Zgodnie ze wskazaniami przyrządów, poziom metabolizmu obiektu pozostawał zadowalający. Mimo to jego głos słabł, a czas reakcji był coraz dłuższy. Stało się konieczne coraz częstsze wyprowadzanie go ze stanu wycofania. Przyczyną zapewne było środowisko o niskim poziomie bodźców – wyjątkowo niskim dla kogoś obdarzonego wysoką zdolnością tolerowania szybkich i skrajnych zmian, co udokumentowano w ciągu kilku ostatnich tygodni. W związku z tym Freeman wystąpił o wydanie sprzętu, który by temu zaradził – wielkiego kinowego ekranu trójwymiaru, elektrotonera oraz personifikatora, który tworzyłby iluzję obecności jednego, dwóch albo trzech widzów.

Czekając na dostarczenie nowej maszyny, był jednak zmuszony kontynuować przesłuchanie w dotychczasowy sposób, rozmawiając z obiektem w czasie teraźniejszym.

– Mam wrażenie, że dobrze gra pan w fechtunek.

– Chce pan rozegrać partyjkę, żeby wyrwać się z monotonii? – W jego głosie zabrzmiał ślad dawnej wojowniczości.

– Kiepski ze mnie gracz. Walka nie byłaby równa. Dlaczego fechtunek pociąga pana bardziej niż, powiedzmy, go albo nawet szachy?

– Szachy zautomatyzowano – padła natychmiastowa odpowiedź. – Kiedy ostatnio mieliśmy mistrza świata, który radziłby sobie bez komputerowego wsparcia?

– Rozumiem. Słyszałem, że nikt jeszcze nie napisał kompetentnego programu do gry w fechtunek. Próbował pan to zrobić? Z pewnością posiada pan odpowiednie zdolności.

– Gra w szachy za pomocą programu to praca. Gry powinny sprawiać przyjemność. Pewnie potrafiłbym popsuć fechtunek, gdybym poświęcił na

to rok albo dwa, ale nie chcę tego robić.

– Pragnie pan, by gra pozostała niezdeterminowaną analogią pańskiej sytuacji, z uwagi na zawarte w niej nuty zamknięcia, uwięzienia, bezpiecznego terenu i tak dalej... zgadza się?

– Może pan sądzić na ten temat, co zechce. Do diabła z tym. Jedną z najgorszych cech ludzi takich jak pan jest fakt, że nie potraficie się bawić. Nie podoba się wam myśl, że istnieją procesy, których nie można zanalizować. Jest pan potomkiem w prostej linii, po socjologicznej stronie drzewa genealogicznego, badaczy, którzy przecinali rdzenie kręgosłupa albo kotom, ponieważ nawet ich osobowość była dla nich zbyt skomplikowana. Takie podejście sprawdza się przy badaniu formowania się synaps, ale zupełnie się nie nadaje do badania kotów.

– Jest pan holistą.

– Mogłem się domyślić, że prędzej czy później użyje pan tego słowa jako obelgi.

– Wręcz przeciwnie. Jak pan słusznie zauważył, przebadaliśmy już oddzielne części układu nerwowego i w końcu poczuliśmy się gotowi do przypuszczenia ataku na ich wzajemne interakcje. Nie chcieliśmy uznać osobowości za coś danego z góry. Pan jest jak człowiek, który zadowala się obserwowaniem rzeki, nie dbając o jej źródła, dorzecze, zmiany w częstotliwości opadów zależne od pór roku oraz łą, który niesie ze sobą.

– To ciekawe, że nie wspomniał pan o rybach żyjących w rzece. Ani o picciu z niej wody.

– Czy obserwacja z brzegu powie panu, że w tym roku nie ma ryb?

– A czy obliczanie przepływu w litrach na minutę powie panu, dlaczego rzeka jest piękna?

Freeman westchnął.

– Zawsze wchodzimy w ten sam ślepy zaułek, nieprawdaż? Ja uważam pańskie podejście za komplementarne do mojego. Pan zaś zaprzecza, by moje miało jakąkolwiek wartość. Impas.

– Myli się pan. Albo przynajmniej ma rację tylko w połowie. Pański problem polega na tym, że próbuje pan zakwalifikować moje podejście jako

podgrupę swojego, a to się nie uda, bo całość nie może być zawarta w części.

## GRA O COKOLWIEK

Po wyjściu na ulice Łona Bogów poczuł się trochę jak ktoś wychowany w pruderyjnej rodzinie, kto odważył się wybrać na plażę dla naturystów. To wrażenie nie trwało jednak długo. Miasteczko wyglądało bardzo atrakcyjnie. Architektura była tu różnorodna, ponieważ budowano je w pośpiechu. Ów pośpiech zdołał jednak doprowadzić do zasadniczej jedności, wzmacnianej dodatkowo przez czerwony blask wieczornego słońca.

Na chodnikach panował tłok, a na jezdniach nie. Jedyne pojazdy, jakie widzieli, były rowery i elektryczne autobusy. Było tu wiele drzew, zarośli oraz kwitnących krzewów. Większość mieszkańców nie przejmowała się zbyt ubraniem. Mieli na sobie proste stroje niebieskiej albo brązowej barwy, a niektórzy wyglądali wręcz na obdartusów. Uśmiechali się jednak bardzo często i co kilka kroków mówili komuś „cześć” – nawet nieznanym, takim jak on i Kate.

Po krótkiej chwili natrafili na restaurację przypominającą grecką tawernę. Stoły stały tu na tarasie pod dachem składającym się z pnączy owijających się wokół tyczek i drutów. Toczyły się tam trzy, może cztery partie fechtunku, obserwowane przez zapalonych kibiców.

– Mam pomysł – mruknął do Kate, zatrzymując się. – Może udałoby mi się zdobyć trochę kredytu, jeśli grają na pieniądze.

– Jesteś dobrym graczem? Przepraszam. Głupie pytanie. Ale słyszałam, że konkurencja jest tu ostra.

– Ale oni grają ręcznie. Popatrz!

– Czy to musi znaczyć, że są słabymi graczami?

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

– Wiesz co? – zapytał wreszcie. – Chyba jesteś dla mnie w sam raz.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziała cierpko i zademonstrowała taką samą minę, jak podczas ich pierwszego spotkania; zmarszczyła nos i uniosła górną wargę, odsłaniając przednie zęby niczym królik. – Co więcej, zauważyłam, że ci się podobam, szybciej od ciebie, a to rzadkość, którą należy docenić. Chodź, dodajmy do listy twoich zajęć granie zawodowo w fechtunek.

\* \* \*

Znaleźli stolik, zza którego mogli obserwować grę, jedząc pizzę i popijając cierpkie lokalne wino. Gdy tylko skończyli posiłek, jeden z najbliższych graczy zorientował się, że właśnie pozwolił przeciwnikowi zdobyć pożądaną stupunktową przewagę dzięki wąskiemu trójkątowi biegnącemu przez niemal całą szerokość planszy. Dał za wygraną, przeklinając własną niekompetencję, i oddalił się ze złością.

– Nie musiał aż tak się złościć z powodu porażki – poskarżył się zwycięzca, gruby, łysy, niegdyś przystojny mężczyzna w wyblakłym różowym podkoszulku, zwracając się do wszystkich, którzy mieli ochotę go słuchać. – Mam rację? – zapytał Kate, która skinęła głową z uśmiechem.

– Została mi jeszcze co najmniej godzina, zanim będę musiał sobie pójść i... hej, może któreś z was by zagrało? Widziałem, że się przyglądaliście.

Jego ton i zachowanie były łatwe do rozpoznania. To był zawodowiec, odpowiednik szachistów, którzy zwykli siedzieć anonimowo w lokalach, udając kiepskich graczy, dopóki nie znalazł się jakiś frajer gotowy zagrać na pieniądze.

No cóż, pod pewnym względem to...

– Chętnie z panem zagram. Swoją drogą, to jest Kate, a ja nazywam się...  
– Miał nadzieję, że chwila wahania pozostanie niezauważona. Zawsze będzie mógł to zmienić na Alexander, a Kate była przyzwyczajona do tego imienia. – ...Sandy.

– Ja jestem Hank. Proszę usiąść. Porozmawiajmy o forach. Jak zapewne pan zauważył, jestem raczej niezły. – Łysy mężczyzna odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

– Zagrajmy bez forów. Porozmawiamy o nich, kiedy będziemy mieli podstawę do porównań.

– Proszę bardzo! Czy ma pan ochotę... postawić odrobinę gotówki na wynik?

W oczach Hanka pojawił się błysk chciwości.

– Gotówki? Hmm... dopiero niedawno przybyliśmy do miasta i mamy tylko kupony. Może być... w takim razie zgoda. Co pan powie na setkę?

– Proszę bardzo – odparł Hank i zatarł dłonie. Myślę, że parę pierwszych partii powinniśmy rozegrać w tempie błyskawicznym.

\* \* \*

Pierwsza partia bardzo szybko zakończyła się nierozegraną, co nie było rzadkością. Obie strony kolejno spróbowały utworzyć trójkąty i przekonały się, że to niemożliwe. Druga gra była wyrównana i Hank przegrał. Trzecia była jeszcze bardziej wyrównana i znowu przegrał. Wreszcie upłynęła godzina i miał pretekst, by oddalić się z irytacją, uboższy o dwie setki. Tymczasem zgromadziło się znacznie więcej gości. Niektórzy chcieli grać – toczyło się już kilkanaście partii – inni zaś woleli kibicować, by sprawdzić umiejętności nieznanego. Jedna z nowo przybyłych – pulchna dziewczyna z niemowlęciem – rzuciła wyzwanie zwycięzcy i przegrała po dwunastu turach. Dwóch innych kibiców – chudy, czarnoskóry młodzieniec i równie szczupły biały mężczyzna w starszym wieku – zagwizdało głośno. Ten drugi bezzwłocznie zajął miejsce dziewczyny.

Co w dzisiejszych grach wydaje mi się takie dziwne? Ach, kapuję. Niech mnie szlag. Nie gram jak Lazarus ani nawet jak Sandy Locke. Gram własną grę i jestem znacznie lepszy niż mi się śniło!

To wrażenie przyprawiało go o zawroty głowy. Czuł się, jakby wchodził po schodach wewnątrz swego umysłu, aż wreszcie dotarł do miejsca, gdzie nie było niczego poza oślepiająco białym światłem, w którym widział plany rywala tak jasno, jakby był telepatą. Potencjalne trójkąty wyświetlały się na planszy tak wyraźnie, jakby ich boki były jarzeniówkami. Przeciwnik poddał partię po dwudziestu ośmiu turach. Jeszcze nie przegrał, ale był

przekonany, że nie zdoła nadrobić pięćdziesięciopunktowej straty. Ustąpił miejsca czarnoskóremu młodzieńcowi, mówiąc:

– Morris, myślę, że wreszcie znaleźliśmy kogoś, kto może ci sprawić trudności.

Na tym etapie usłyszał słabe dzwony alarmowe, ale za dobrze się bawił, by zwracać na nie uwagę.

Nowy rywal był dobry. Zdobył dwadzieścia punktów przewagi już przy pierwszym trójkącie, a potem skupił się na jej utrzymaniu. Robił to przez sześć kolejnych tur i wyglądał na coraz bardziej zadowolonego z siebie. Jednakże po piętnastej turze jego zadowolenie zniknęło. Spróbował zamknąć kolejny trójkąt, ale po ujawnieniu ukrytych punktów okazało się, że nie ma takiej opcji. Musiał potem ujawnić własne ukryte punkty i po następnej turze został odcięty od całego rogu planszy wartego dziewięćdziesiąt punktów. Łypnął z kwaśną miną na maszynę liczącą punkty, jakby podejrzewał ją o oszustwo. Następnie wziął się w garść i spróbował nadrobić straty.

Ale bez powodzenia. Ostatecznie przegrał czternastoma punktami. Potem przepchnął się przez tłum gapiów – zebrało się już kilkudziesięciu – i oddalił się, waląc pięścią w otwartą dłoń z bezsilnej furii.

– Niech mnie szlag – mruknął starszy mężczyzna. – Proszę, proszę! Posłuchaj, hmm, Sandy, w starciu z tobą nie wypadłem zbyt dobrze, ale, możesz mi wierzyć lub nie, jestem okręgowym sekretarzem Stowarzyszenia Gry w Fechtunek, i jeśli radzisz sobie z piórem świetlnym i ekranem równie dobrze jak z ręczną planszą... – Rozpostarł ręce z rozpromienioną miną. – Jak rozumiem, jesteś członkiem klubu tam, skąd przyjechałeś? Jeśli zamierzasz przenieść swe uprawnienia do Łona Bogów, mogę już zgadnąć, kto zwycięży w zimowych mistrzostwach. Razem z Morrisem stworzycie...

– Chcesz powiedzieć, że to był Morris Fagin?

Kibice wymienili zdziwione spojrzenia. Ten dziobak twierdzi, że o tym nie wiedział?

– Sandy – wyszeptała Kate. – Robi się późno. Dla nas jeszcze później niż dla tych miłych ludzi.

– Hmm... tak, masz rację. Wybaczcie nam, przyjaciele, mamy za sobą długą podróż.

Wstał i zebrał przetłuszczone banknoty o nieznanym wyglądzie, które zgromadziły się w narożniku blatu. Minęło kilka lat, odkąd ostatnio miał w rękach tak wiele uniwersalnych kuponów znanych jako papierowe pieniądze. W kościele w Toledo zbierano je i liczone automatycznie. Dla większości ludzi płatność gotówką kończyła się na liczbie jednodolarowych monet, które można było wsadzić do kieszeni i nie poczuć ich ciężaru.

– To mi schlebia – odpowiedział starszemu mężczyźnie – ale potrzebuję więcej czasu na zastanowienie. W zasadzie tylko tędy przejeżdżamy. Nie planowaliśmy się tu zatrzymywać.

Złapał Kate za ramię i odciągnął ją pośpiesznie, przeraźliwie świadomy faktu, że wywołał wielką sensację. Słyszał, że ludzie już w tej chwili przekazują sobie z ust do ust relację o jego wyczynie.

\* \* \*

– Spieprzyłem sprawę, prawda? – zapytał z przygnębieniem, kiedy się rozbierał.

Przyznanie się do błędu było dla niego nowością. Okazało się to w pełni tak nieprzyjemne, jak się tego spodziewał. Jednakże w jego pamięci niosło się echem wspomnienie słów Kate o absolwentach Tarnover, przekonanych, że nigdy nie mogą się mylić.

Ludzie się tak nie zachowują. Tylko mechanizmy. Maszyny, których wizja świata jest tak ograniczona, że będą nadal robić to, co jedynie potrafią, nawet jeśli to błędne.

– Obawiam się, że tak – odparła rzeczowym tonem, wolnym od krytycyzmu. – Nic nie mogłeś na to poradzić, ale dać się zauważyć okręgowemu sekretarzowi Stowarzyszenia Gry w Fechtunek, a potem pokonać aktualnego mistrza zachodniego wybrzeża... tak jest, to z pewnością wywoła komentarze. Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że nie rozpoznałeś Fagina.

– Wiedziałaś, kto to był? – Zamarł w bezruchu podczas zdejmowania spodni. Wyglądał śmiesznie z jedną nogą w nogawce. – To dlaczego mnie nie ostrzegłaś, do cholery?

– Wyświadczyć mi przysługę, dobra? Zanim zaczniesz pierwszą kłótnię ze mną, poznamy się trochę lepiej. Wtedy będziesz miał powody.

Był już na skraju gniewu, ale to uczucie zniknęło nagle. Rozebrał się do końca, podobnie jak Kate. Potem wziął ją w ramiona.

– Bardzo cię lubię jako przyjaciela – oznajmił, całując ją z powagą w czoło. – Myślę, że polubię cię także jako kobietę.

– Mam taką nadzieję – odparła równie oficjalnym tonem. – Bardzo możliwe, że pojedziemy razem w wiele miejsc.

Odsunął się na pełną długość rąk, trzymając dłonie na jej ramionach.

– Dokąd teraz się udamy? Co zrobimy?

Do tej pory pytanie innych o radę przytrafiało mu się równie rzadko, co przyznawanie się do błędu. To było niepokojące, ale będzie musiało przejść mu w nawyk, jeśli chce się utrzymać na powierzchni.

Pokręciła głową.

– Pomyślimy o tym rano. Z pewnością musimy przenieść się w inne miejsce. Ale to miasto jest prawie w sam raz... nie, zbyt wiele się dzisiaj wydarzyło. Zapomnijmy o tym i prześpijmy się, a decydować będziemy później.

Z nagłą, tygrysią gwałtownością, jakby pożyczoną od Bagheery, objęła go ramionami i wsunęła mu do ust język, ostry jak jej spojrzenie.

## MNÓSTWO KRYSZTAŁOWYCH KUL

W dwudziestym wieku człowiek nie musiał być erudycyjnym ekspertem, by przewidzieć, że sukces rodzi sukces, i w tych krajach, którym uśmiech szczęścia pozwolił połączyć bogate zasoby naturalne z zaawansowaną technologią, zmiany społeczne będą przyśpieszać aż do granic tego, co są w stanie znieść ludzie. W roku 2010 w najbogatszych państwach



najczęstszymi pacjentami psychiatrów byli chłopcy i dziewczyny, którzy wrócili do „domu” na wakacje po pierwszym roku college’u, i przekonali się, że już go nie poznają, albo dlatego, że ich rodzice przenieśli się do nowej struktury, zmienili pracę czy przeprowadzili się do innego miasta, albo po prostu dlatego, że – jak robili to już kilkanaście razy przedtem – zmienili umeblowanie i dekorację, nie zdając sobie sprawy, że otwierają drzwi przed tym, co potem nazwano „zespołem kropli, która przelała czarę”.

Nie było też zbyt trudno przewidzieć, że te kraje, do których rewolucja przemysłowa dotarła później, będą się zmieniały wolniej, choćby nawet były najbogatsze w surowce naturalne. W końcu bogaci stają się coraz bogatsi, a biedni bogacą się w dzieci. Nie ma w tym nic złego, dopóki większość z tych dzieci umiera z głodu w pierwszych latach życia.

Wielu skądinąd dobrze poinformowanych ludzi wołało jednak przeoczyć zjawisko nazwane przez Angusa Portera „efektem młota i klina”. Ta nazwa utrzymywała się jeszcze długo po tym, gdy nawet w najbiedniejszych krajach rozłupywanie kłód za pomocą młota i kawałka stali przestało być opłacalne. Piły mechaniczne, nawet napędzane pedałami, były znacznie wydajniejsze, a w dodatku można było wytyczyć prostą linię podziału.

Szybkie posuwanie się naprzód metodą młota i klina dzieliło społeczeństwo. Niektórzy starali się ze wszystkich sił zmierzać w przeciwnym kierunku. Znacznie więcej było takich, którzy próbowali przemieszczać się w bok. Jeszcze inni zaś po prostu zapierali się nogami i stali w miejscu. Nie sposób było przewidzieć kształtu tworzących się w ten sposób szczelin.

Tylko jedno pozwalało zachować choć iluzję jedności państw. Pajęcznice sieci danych okazały się zdumiewająco mocne.

Niestety, nie było niczego więcej, co by je wzmacniało.

Ludzie zwykli znajdować pocieszenie w myśli, że pod ręką, w Stanach Zjednoczonych, Związku Sowieckim, Szwecji czy Nowej Zelandii, znajduje się coś, co może być dla nich powodem do dumy. „To jest największa/najdłuższa/najszybsza struktura na świecie!”. Tyle że już

następnego dnia mogła utracić tę pozycję. Dlatego, paradoksalnie, jeszcze więcej satysfakcji czuli, mówiąc: „To jest najprymitywniejsze przenośne urządzenie, jakie nadal funkcjonuje w uprzemysłowionym kraju!”.

Wszystko, co przypominało o spokojniejszej, bardziej stabilnej przeszłości, było wyjątkowo cenne.

Szczeliny sięgały coraz dalej. Zaczynały się od poziomu państw, a potem schodziły do prowincji i miast, gdzie napotykały te, które szerzyły się w przeciwną stronę, poczynając od poszczególnych rodzin.

– Wypruwaliśmy z siebie flaki, żeby ten skurczybyk mógł ukończyć college! Powinien spłacić dług, zamiast wygrzewać dupsko na słońcu w Nowym Meksyku!

(W miejsce Nowego Meksyku można wstawić Warnę – kurort nad Morzem Czarnym – albo plaże Quemoy i Matsu, gdzie tysiące młodych Chińczyków spędzało czas na uprawianiu się w kaligrafii, graniu w madzonga i paleniu opium, bądź też w dziesiątkach innych miejsc, gdzie *la dolce far niente vita* wysypywała ze swego niewodu zawartość zebraną w całym kraju, grupie etnicznej albo – w przypadku Indii – na subkontynencie. Sri Lanka już od pokolenia właściwie nie miała rządu).

W znacznej mierze to właśnie poczucie, że tak wiele talentów się marnuje, doprowadziło do powstania ośrodków dla geniuszy, takich jak Tarnover. Finansowano je na skalę uprzednio zarezerwowaną jedynie dla broni. Ci, którzy przywykli myśleć w tradycyjnych kategoriach, nie byli w stanie pojąć, dlaczego zasobów wszelkiego rodzaju nie można wykorzystać do pobudzenia jeszcze szybszego wzrostu.

Owe tajne ośrodki – podobnie jak niewidoczne punkty zajęte podczas partii fechtunku – wywoływały konsekwencje, które niekiedy okazywały się katastrofalne.

## BEZWONNY AZYL

Nawet po dwóch dniach spędzonych w jego towarzystwie, Ina Grierson nie przestawała się dziwić, jak bardzo człowiek z Tarnover przypomina Barona Samediego. Był wyjątkowo chudy, miał bardzo ciemną skórę, a jego głowa wyglądała jak czaszka owinięta w pergamin. Ina w każdej chwili spodziewała się, że murzyński szczep zaatakuje i zburzy budynek. Rzecz jasna, część czasu poświęcał Dolores van Bright, ale ona natychmiast przyznała, że próbowała pomóc Sandy'emu Locke'owi, ostrzegając go, że w komisji będzie zasiadał dodatkowy członek. Po tym fakcie nawet wpływy SZ-O nie mogły jej uratować przed więzieniem.

Człowiek z Tarnover znacznie bardziej interesował się jednak przesłuchiwaniem Iny. To za jej rekomendacją przyjęto do pracy Sandy'ego Locke'a. Dalej wydarzenia potoczyły się już same.

Czuła się straszliwie zmęczona powtarzaniem raz po raz czarnoskóremu chudzielcowi (nazywał się Paul T. Freeman, ale to mogło być nazwisko przybrane na potrzeby bieżącej misji):

– Pewnie, że chodzę do łóżka z mężczyznami, o których nic nie wiem! Gdybym robiła to tylko z tymi, których znam, w ogóle nie mogłabym uprawiać seksu! Z czasem wszyscy okazują się sukinsynami.

Późnym popołudniem drugiego dnia przesłuchania poruszono temat Kate. Ina zapewniała, że nie wie, że jej córka opuściła miasto, a człowiek o twarzy czaszki był zmuszony jej uwierzyć, ponieważ nie miała okazji wrócić do domu i sprawdzić zawartości szpuli pocztowej. Co więcej, dziewczyny mieszkające na parterze domu Kate i obecnie opiekujące się Bagheerą, uparcie twierdziły, że nic przedtem nie wspominała o planach wyjazdu.

Niemniej jednak wyjechała. Wybrała się na zachód i ktoś jej towarzyszył. Najprawdopodobniej jakiś student. Wielu jej kolegów pochodziło z Kalifornii. Poza tym często rozmawiała o „Sandym Locke'u” z sąsiadkami z dołu. Mówiła, że jest sztuczny, plastikowy i używała też wielu innych pejoratywnych określeń. Jej matka potwierdziła, że publicznie dziewczyna często wyrażała taką samą opinię.

Jednakże Haflinger zniknął bez śladu i nie udało się odkryć nic, co mogłoby wskazywać, gdzie obecnie można go znaleźć. Kate również od

chwili wyjazdu nie korzystała ze swego kodu, co znaczyło, że z pewnością przebywa w strefie dotowanej rezygnacji. Freeman, który był bardzo skrupulatnym człowiekiem, sprawdził wszystko, co tylko się dało, i dzięki temu był w stanie poinformować FBI, że Kate Lilleberg obciążono płatnością za pokój dla dwóch osób w Łonie Bogów.

Bardzo interesująca informacja. Naprawdę bardzo interesująca.

## DZISIEJSZY DODATEK SPECJALNY

Ze snu wyrwał go dźwięk budzika. Przypomniawszy sobie wczorajszą gafę, a wraz z nią mnóstwo szczegółów, których wolałby nie pamiętać. Dotyczyły one zwyczajów ludzi mieszkających w strefach dotowanej rezygnacji. Dzięki federalnemu dofinansowaniu tylko niewielu z nich musiało pracować w pełnym wymiarze godzin. Dorabiali do skromnych zasiłków, oferując usługi – pomyślał o restauracjach, w których kucharze ręcznie przyrządzali posiłki roznoszone potem przez kelnerów i kelnerki – albo zajmując się rękodzielnictwem. Liczba turystów odwiedzających podobne miasteczka spadała, jakby ludzie woleli nie pamiętać o tym, że ich kraj – najbogatszy w historii – nie może się otrząsnąć po zwykłym trzęsieniu ziemi. Dlatego tubylcy większość czasu poświęcali plotkowaniu. A jaki temat mógłby być w tej chwili bardziej frapujący niż dziobak, który przybył znikąd i pokonał miejscowego mistrza fechtunku?

– Prędzej czy później będziesz musiał nauczyć się żyć z pewną swą niezaprzeczalną cechą – oznajmiła Kate, oglądając się przez ramię. Siedziała przed jedynym oświetlonym lustrem w pokoju i szcztokowała włosy. Ujął je w palce, słuchając słów dziewczyny. Kolor tych włosów mógł nie być nadzwyczajny, ale w dotyku były cudowne. Niezależnie od umysłu jego palce pamiętały ich gładkość.

– Jaką?

– Jesteś bardzo niezwykłą osobą. W przeciwnym razie nie zwerbowałiby cię do Tarnover. Dokądkolwiek się udasz, zawsze będziesz przyciągał

uwagę.

– Nie mogę sobie na to pozwolić!

– Nic na to nie poradzisz.

Odłożyła szczotkę do włosów i zwróciła twarz ku niemu. Siedział na skraju łóżka z przygnębioną miną.

– Zastanów się – ciągnęła. – Czy ludzie z SZ-O zaproponowaliby ci stałe zatrudnienie, gdyby nie sądzili, że jesteś nadzwyczajny? I... ja również to zauważyłam.

– Po prostu jesteś zbyt spostrzegawcza dla własnego dobra – mruknął.

– Chyba raczej dla twojego dobra.

– Pewnie masz rację.

W końcu wstał. Wydawało mu się, że usłyszał trzask własnych stawów. Przemknęła mu przez głowę myśl, że tak silna frustracja jest równie uciążliwa jak starość. Człowiek pamięta, jak się czuł, gdy mógł działać swobodnie i beztrudnie cieszyć się życiem, a teraz jest uwięziony w strukturze, która nie pozwala mu na nic poza powolnymi, ostrożnymi ruchami oraz dietą zaleconą przez lekarzy.

– Nie chcę przez całe życie nosić kajdan – odezwał się nagle.

– Mówi przez ciebie Tarnover! – warknęła.

– Słucham?

– Nosić kajdan? Nosić kajdan? Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych bzdur. Czy w całych minionych dziejach zdarzały się czasy, gdy komuś, kto otrzymał zdumiewające, niezwykle dary, można było wmówić, że są one obciążeniem?

– Pewnie – odparł bez chwili wahania. – Co z poborowymi, którzy woleli się okaleczyć niż na rozkaz rządu walczyć z ludźmi, których nigdy w życiu nie widzieli? Mogli mieć tylko młodość i zdrowie, ale to również są dary.

– Oni byli zmuszeni, nie oszukani. Zwerbował ich sierżant z pistoletem u pasa...

– Nie ma żadnej różnicy! Po prostu obecnie udoskonalili ten proces.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza. Wreszcie Kate westchnęła.

– Poddaję się. Nie mam prawa dyskutować z tobą na temat Tarnover. Ty tam byłeś, a ja nie. Zresztą jest jeszcze za wcześnie, byśmy się mieli kłócić.

Weź prysznic i ogól się. Potem pójdziemy gdzieś na śniadanie i zastanowimy się, dokąd pojechać.

## CZY TO TY?

Czy miałeś wczoraj wieczorem kłopoty z zaśnięciem?

Mimo że byłeś zmęczony, choć nie robiłeś nic, czym mógłbyś się zmęczyć?

Czy słyszysz swoje serce? Czy bije w normalnym rytmie?

Czy masz dolegliwości trawienne? Czujesz się, jakby przetyk zawiązano ci w supeł w klatce piersiowej?

Czy już się wściekasz, bo ta reklama jest jak gwóźdź wbijany ci w głowę?

Jeśli tak, przyjeżdżaj do Calm Springs, zanim kogoś zabijesz albo postradasz zmysły!

## ODLICZANIE DO WYBUCHU

– Zaczynam pana niepokoić – oznajmił suchy, ochrypły głos.

– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytał Freeman, jak zwykle wspierając łokcie na poręczach fotela i składając palce w piramidkę.

– Przede wszystkim dlatego, że każdy dzień kończy pan teraz trzygodzinną sesją rozmów w czasie terażniejszym.

– Powinien się pan z tego cieszyć. Nasze prognozy mówią, że zbyt długie utrzymywanie pana w stanie wycofania byłoby ryzykowne.

– To tylko połowa prawdy. Resztę wyjaśnia fakt, że nie korzysta pan z tego kosztownego aparatu do trójwymiaru, który kazał pan zainstalować. Uświadomił pan sobie, że intensywne bodźce działają na mnie korzystnie. Nie chce pan, żebym funkcjonował na pełnych obrotach. Uważa pan, że nawet przypięty jak motyl do deski w gablocie pozostają niebezpieczny.

– Nie uważam innych ludzi za niebezpiecznych. Co najwyżej za zdolnych niekiedy popełniać niebezpieczne błędy.

– Wlicza pan w to siebie?

– Cały czas uświadamiam sobie takie ryzyko.

– Tego typu ciągła ostrożność również jest zaburzeniem zachowania.

– Jak może pan tak mówić? Dopóki pilnował się pan przez cały czas, nie byliśmy w stanie pana złapać. Biorąc pod uwagę pańskie cele, było to w pełni funkcjonalne zachowanie, a nie zaburzenie. A potem... no cóż, jest pan tutaj.

– To prawda. Ale przedtem nauczyłem się czegoś, czego pan nie jest w stanie sobie przyswoić.

– I dużo to panu dało. – Freeman znowu oparł się wygodnie. – Wie pan co? Wczoraj wieczorem zastanawiałem się nad nowym podejściem. Nowym argumentem, który mógłby przełamać pański upór. Niech pan się nad tym zastanowi. Mówi pan o nas tak, jakbyśmy prowadzili w Tarnover brutalne, arbitralne działania, mające zapewnić, że najzdolniejsze umysły obecnego pokolenia zostaną zwerbowane na służbę rządową. Bynajmniej. Jesteśmy po prostu zwieńczeniem kulturowych grup, które wyewoluowały samoistnie w ciągu drugiej połowy minionego stulecia. Tylko niewielu z nas posiada zdolności konieczne, by poradzić sobie ze złożonością i oszołamiającą różnorodnością życia w dwudziestym pierwszym wieku. Wolimy się identyfikować z małymi, łatwymi do izolowania frakcjami całości kultury. Choć niektórzy z nas potrafią sobie poradzić tylko z ograniczonym zakresem bodźców i wolą się przenieść do górskiej komuny albo do strefy dotowanej rezygnacji, bądź nawet wyemigrować do jakiegoś mniej rozwiniętego kraju, inni nie tylko radzą sobie świetnie, lecz nawet potrzebują wyjątkowo silnych bodźców, by skłoniły ich do optymalnego funkcjonowania. Mamy do wyboru szerszy zakres stylów życia niż kiedykolwiek przedtem. Z tego właśnie powodu zadania związane z zarządzaniem stały się teraz nieporównanie bardziej skomplikowane. Kto ma kierować tym różnorodnym społeczeństwem? Czy nie powinno to przypaść w udziale tym, którzy najlepiej sobie radzą ze skomplikowanymi sytuacjami? Czy wolałby pan, żeby ci, którzy nie

potrafią się uporać z zorganizowaniem własnego życia, zarządzali życiem współobywateli?

– Typowy elitarystyczny argument. Z pana ust spodziewałem się usłyszeć coś lepszego.

– Elitarystyczny? Nonsens. Stać pana na więcej. Słowo, którego pan szuka, to „estetyczny”. Oligarchia z powodu prostych osobistych preferencji szukająca w rządzeniu zaspokojenia potrzeb estetycznych. Oto, o co nam chodzi. Nie sądzi pan, że to byłby dość dobry system?

– Tylko dla tych, którzy są na górze. Potrafi pan sobie wyobrazić, co by było, gdyby znalazł się pan w niższych warstwach i wykonywał rozkazy, zamiast je wydawać?

– Och, z pewnością. Dlatego właśnie pracuję w Tarnover. Mam nadzieję, że jeszcze za mojego życia pojawią się ludzie potrafiący zarządzać nowoczesnym społeczeństwem tak sprawnie, że ja i inni podobni do mnie będziemy mogli z czystym sumieniem usunąć się na bok. W pewnym sensie pragnąłbym jak najszybciej przestać być potrzebny.

– I oddać władzę kalekim dzieciakom?

Freeman westchnął.

– Ma pan obsesję na punkcie tych stworzonych w laboratorium dzieci! Może uspokoi pana nieco wiadomość, że wszystkie w najnowszym miocie, cała szóstka, są w pełni fizycznie zdrowe, biegają, jedzą, skaczą i ubierają się o własnych siłach. Gdyby spotkał je pan przypadkowo, nie odróżniłby ich pan od zwyczajnych dzieci.

– W takim razie po co mi pan o nich opowiada? W mojej pamięci zapisze się jedynie fakt, że wyglądają jak normalne dzieci... ale nigdy nimi nie będą.

– Ma pan prawdziwy dar do wypaczania słów innych. Cokolwiek panu powiem...

– Potrafię przedstawić to w innym świetle. Jeśli pan pozwoli, zrobię to samo z tym, co pan przed chwilą powiedział. Pragniecie wychować następców lepszych od siebie. Dlaczego miałbym uwierzyć, że nie będą oni po prostu odbiciami na większą skalę waszej, jak sam pan przyznaje, niedoskonałej wizji?



– Nie potrafię przedstawić panu powodu. Mogą to zrobić jedynie osiągnięcia, które mówią same za siebie.

– A jakimi osiągnięciami możecie się dotąd pochwalić? Władowaliście w ten projekt mnóstwo czasu i pieniędzy.

– Och, kilka się znajdzie. Jedno czy dwa mogłyby zaimponować nawet sceptykowi.

– Tak jak dzieci wyglądające całkiem normalnie?

– Nie, nie. Dorośli tacy jak pan, zdolni do osiągnięć, których nikt nie dokonał przed nimi. Na przykład, stworzenia dla siebie zupełnie nowej tożsamość i wpisania jej do sieci danych za pomocą zwykłego wideofonu. Proszę pamiętać, że zanim podjęliśmy próbę wynalezienia nowych talentów, zajmowaliśmy się tymi, które do tej pory były niedoceniane. Sytuacja nam sprzyjała. Dysponowaliśmy zapiskami z przeszłości, opisami błyskawicznych rachmistrzów, muzyków zdolnych improwizować przez wiele godzin bez ani jednej błędnej nuty, mnemonistów, którzy zapamiętywali całe książki, przeczytawszy je tylko raz... och, można znaleźć przykłady we wszystkich dziedzinach, jakimi kiedykolwiek zajmowali się ludzie, od strategii aż po rzeźbienie w kości. Posługując się podobnymi wskazówkami, staramy się stworzyć warunki, w których będą mogły rozkwitnąć odpowiedniki podobnych talentów adekwatne do współczesnych potrzeb. – Przesunął się od niechcienia w fotelu. Z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej pewnego siebie. – W dzisiejszych czasach najczęstszą postacią zaburzeń umysłowych jest szok osobowościowy. Znamy skuteczny sposób leczenia go bez pomocy leków albo maszynarii. Pozwalamy pacjentowi zrobić coś, czego od dawna pragnął, ale brakowało mu odwagi bądź też nie potrafił wbudować tego w swoje życie. Czy przeczy pan temu?

– Z pewnością nie. Na tym kontynencie aż roi się od ludzi, którzy byli zmuszeni studiować administrację i zarządzanie, choć powinni malować murale, ćwiczyć grę na skrzypcach albo kopać w ogródku warzywnym, a gdy wreszcie otrzymali tę szansę, było o dwadzieścia lat za późno, by mogli do czegokolwiek dojść.

– Pomijając stabilne poczucie tożsamości – wyszeptał Freeman.

- W przypadku nielicznych szczęściarzy. Ale tak jest, zgoda.
- O coś pana zapytam. Czy gdyby nie poznał pan Mirandy, gdyby nie dowiedział się pan, że staramy się zweryfikować nasze podejrzenia odnoszące się do genetycznego komponentu osobowości, to zdezerterowałby pan z Tarnover?
- Myślę, że prędzej czy później i tak bym was porzucił. Podejście prowadzące do wykorzystania kalekich dzieci jako materiału do doświadczeń uniemożliwiłoby mi identyfikację z waszymi celami.
- Zmienia pan opinie jak chorągiewka na wietrze. Wielokrotnie mówił pan, lub przynajmniej sugerował, że w Tarnover staramy się uwarunkować ludzi, by uniemożliwić im bunt. Nie może pan jednocześnie utrzymywać, że to nasze poczynania zrobiły z pana buntownika. – Freeman ponownie zademonstrował swój uśmiech czaszki, a potem wstał, by rozprostować kończyny. – Testujemy nasze metody w jedynym dostępnym laboratorium, jakim jest całe społeczeństwo. Jak dotąd rezultaty są bardzo obiecujące. Zamiast potępiać nas bez zastanowienia, powinien pan rozważyć fakt, że wszystkie inne wyjścia są znacznie gorsze. Po tym, co przeżył pan ubiegłego lata, powinien pan rozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny. Rankiem przywołamy odpowiednie wspomnienia i przekonamy się, czy one przywrócą panu rozsądek.

## NA KRAWĘDZI

Musieli pozostać w strefie dotowanej rezygnacji i w związku z tym, by pomóc wspomnieniom, kupili przewodnik turystyczny sprzed czterech lat, zawierający ponoć szczegółowy opis wszystkich powstałych po trzęsieniu ziemi osad. Większości z nich poświęcono od czterech do sześciu stron tekstu, wspartych podobną liczbą barwnych zdjęć. Przepaść zasłużyła zaledwie na pół strony. Na składanej mapie dołączonej do książeczki zaznaczono tylko jedną – w dodatku kiepską – drogę przechodzącą przez to miasteczko. Zaczynała się ona na południu, w Quemadurze,

i prowadziła do Tymczasowa, położonego trzydzieści mil dalej na północny zachód. Na mapie przedstawiono też tory elektrycznego szynobusu, ale jego kursowanie opisano jako „nieregularne”. Miasteczka sklasyfikowano stosownie do tego, jakie nowoczesne udogodnienia były w nich dostępne, i Przepaść znalazła się na samym końcu tego rankingu. Na liście rzeczy nielubianych przez jej mieszkańców znajdowały się wideofony, sieć danych, pojazdy nieporuszające się po szynach, maszyny latające cięższe od powietrza (choć tolerowali sterowce wypełnione helem albo gorącym powietrzem), nowoczesne metody marketingowe oraz rząd federalny. To ostatnie można było wydedukować z faktu, że corocznie płacili podatek zryczałtowany zamiast dochodowego, choć wydawał się on absurdalnie wysoki, biorąc pod uwagę, że nie produkowano tam niczego poza wytworami rękodzieła (nieдоступnymi dla hurtowników).

– To wygląda jak osada Amiszów – zauważyła Kate, spoglądając z zasepioną miną na krótką notatkę w przewodniku.

– Niemożliwe. Nie pozwalają na budowę kościołów ani innych budynków o charakterze religijnym. – Wpatrywał się w pustkę, skupiając się na faktach, o których gdzieś już kiedyś usłyszał. – Kiedy byłem projektantem utopii, wykorzystywałem od czasu do czasu pomysły wywodzące się ze stref dotowanej rezygnacji. Musiałem znaleźć jakiś sposób, by wprowadzić do społeczności dogmatyczną religię, nie ryzykując wzbudzenia nietolerancji. Przyjrzałem się kilku z tych miasteczek, ale wyraźnie sobie przypominam, że pominąłem Przepaść, ponieważ miałem za mało czasu, by dokładniej grzebać w poszukiwaniu danych, a na wierzchu nie było nic poza informacją o położeniu. Aha, i jeszcze ograniczenie ludności do trzech tysięcy.

– Hę? Masz na myśli prawnie określony limit? – Skinął głową. – Kto go wprowadził, mieszkańcy czy rząd?

– Mieszkańcy.

– Obowiązkowa kontrola urodzin?

– Nie wiem. Już ci mówiłem: gdy tylko się przekonałem, jak niewiele można znaleźć w bankach informacji, dałem sobie z tym spokój.

– Czy deportują stamtąd gości, wytarzawszy ich w smole i pierzu?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie, to jest jeszcze jeden fakt, który pamiętam. To otwarta społeczność, chyba rządzona przez coś w rodzaju wiecu mieszkańców. Można tam przyjechać, rozejrzeć się, a nawet zostać na stałe. Po prostu nie lubią reklamy i najwyraźniej uważają, że informowanie świata zewnętrznego o swym istnieniu to również jej postać.

– W takim razie jedźmy tam – zdecydowała Kate i zamknęła książkę.

– Ja zdecydowałbym przeciwnie. Dać się uwięzić na zadupiu... ale powiedz mi, dlaczego?

– Właśnie dlatego, że w bankach jest tak niewiele informacji na jej temat. Nie sposób uwierzyć, że rząd nie próbował, zapewne używając wszelkich dostępnych środków, podłączyć Przepaści do sieci przynajmniej w tym samym stopniu, co Tymczasowa i Łona Bogów. Jeśli jej mieszkańcy są wystarczająco uparci, by oprzeć się podobnym naciskom, mogą się z tobą solidaryzować, podobnie jak ja.

– To znaczy, że chcesz, żebym publicznie im wszystko wyznał? – zapytał z przerażeniem w głosie.

– Przestaniez? – Kate tupnęła z błyskiem w oczach. – Wyrośnij wreszcie z tej megalomanii, do licha! Przestań myśleć w kategoriach „Sandy Locke przeciw całemu światu” i uwierz, że inni też mogą być niezadowoleni z obecnego stanu rzeczy i pragnąć zmiany. Wiesz co... – przeszła go spokojnym, zgryźliwym spojrzeniem – ...zaczynam sądzić, że nigdy nie prosiłeś innych o pomoc, bo boisz się, że to ty będziesz musiał im pomagać. Zawsze chcesz rządzić wszystkimi, prawda? A już szczególnie sobą!

Zaczerpnął głęboko tchu i bardzo powoli wypuścił powietrze z płuc, pozbywając się jednocześnie kielkującej irytacji.

– Wiedziałem, że to, co oferowano mi w Tarnover jako „mądrość”, w rzeczywistości wcale nią nie było – odezwał się po chwili. – Niemniej stworzyłem sobie tak fałszywy jej obraz, że dopiero w tej chwili zrozumiałem, że wreszcie na nią natrafiłem. Kate, jesteś mądrą osobą. Pierwszą, jaką spotkałem w życiu.

– Nie zachęcaj mnie, bym w to uwierzyła. Jeśli to się kiedykolwiek stanie, zaraz się przewrócę i padnę na nos.

## CIEMNICA

Okolo dziesiątej chudy czarnoskóry mężczyzna z Tarnover skończył wreszcie przesłuchiwać Inę Grierson i pozwolił jej iść do domu. Chwiała się na nogach ze zmęczenia. Przed położeniem się spać musiała się jednak dowiedzieć jednej rzeczy, której nie chciał jej powiedzieć Freeman.

Dlaczego, do cholery, Sandy Locke był aż taki ważny?

Nie była najlepszym infogryzoniem, ale pozycja kierowniczkki wydziału tymczasowo zatrudnionych specjalistów dawała jej dostęp do akt wszystkich pracowników SZ-O. Drżącymi palcami wpisała kod zaczynający się od 4GH.

Ekran nadal był pusty.

Próbowała wszystkich znanych sobie sposobów, by uzyskać dostęp do danych, w tym również takich, które znajdowały się na granicy legalności... choć raczej naginały zasady wprowadzone przez Biuro Przetwarzania Danych, zamiast je łamać, a na to z reguły przymykano oko.

Rezultat był zawsze taki sam. Pusty ekran.

W pierwszej chwili tylko lekko skubała paznokcie, po chwili jednak zaczęła je obgryzać na dobre, aż wreszcie musiała wpakować sobie całe palce do ust, by powstrzymać jęk przerażenia pomieszanego ze skrajnym wyczerpaniem.

Gdy wszystkie jej próby zawiodły, musiała dojść do nieuniknionego wniosku. Sandy'ego Locke'a, przynajmniej jeśli w grę wchodziła sieć danych, usunięto z rejestru ludzkości.

Po raz pierwszy od czasu, gdy w wieku siedemnastu lat złamano jej serce, Ina Grierson płakała długo przed zaśnięciem.

## RAMIĘ, NA KTÓRYM MOŻE SIĘ WYPŁAKAĆ ŚWIAT

Pojechali do Przepaści. Nazwa okazała się całkowicie fałszywa. Miasteczko zbudowano na najrówniejszym kawałku gruntu w promieniu wielu mil, połaci miękkiego, lecz stabilnego iłu pozostałego po dawnej rzece. Poprzez błoto nadal wiło się kilka strumyków. Choć z trzech stron osadę otaczały wzgórza, ich zbocza były łagodne i trzęsienie ziemi, które wyrwałoby je z trwającego eony snu, musiałyby być wystarczająco potężne, by zniszczyć całą Kalifornię.

Dotarli tu kursującym nieregularnie szynobusem, do którego wsiedli w Stanie Przejściowym. Nic dziwnego, że nie przestrzegał ściśle określonego rozkładu jazdy. Jak poinformował ich maszynista – muskularny, uśmiechnięty mężczyzna mający na sobie wyłącznie szorty, sandały i okulary przeciwsłoneczne, miejscowe przepisy nakazywały mu przepuszczać każdego, kto poruszał się pieszo, na rowerze lub konno, a także zwierzęta gospodarskie oraz pojazdy rolnicze. Co więcej, na ostatnim odcinku trasy, jakim była pętla wokół Przepaści, musiał pozwalać pasażerom wsiadać i wysiadać w dowolnie wybranym miejscu. Miejscowi w pełni wykorzystywali to udogodnienie, zmuszając maszynistę do zatrzymywania szynobusu co kilkaset metrów. Wszyscy z nieskrywaną ciekawością gapili się na obcych.

Ci z czasem poczuli się skrępowani. Oboje zapomnieli o pewnym problemie łączącym się z podróżowaniem po strefach dotowanej rezygnacji. Byli przyzwyczajeni do związanych z podłączeniowym stylem życia udogodnień, które w praktyce eliminowały potrzebę posiadania bagażu. We wszystkich nowoczesnych hotelach można było znaleźć ultradźwiękowe czyszczarki, zdolne w pięć minut uwolnić nawet najgrubsze ubrania od nagromadzonego brudu i kurzu, a gdy tkanina zaczynała się rwać pod wpływem wielokrotnego brutalnego traktowania, były tam inne maszyny, które wypłacały kredyt za włókno i po spruciu ubrania przechowywały je celem późniejszego wykorzystania, w zamian zaś wydawały inne ubranie, tego samego rozmiaru, lecz różniące się od

poprzedniego kolorem bądź też stylem, debetując klienta za dodatkowe włókno oraz robociznę. W Łonie Bogów nie można było znaleźć niczego w tym rodzaju.

Kate zabrała przed wyjazdem sprzęt toaletowy, w tym również staromodną maszynkę do golenia z ruchomą główką, zostawioną w mieszkaniu przez któregoś z jej chłopaków. Żadne z nich nie pomyślało jednak o ubraniu na zmianę. W konsekwencji wyglądali teraz na brudnych, czuli się jeszcze brudniejsi... i wiercili się nerwowo pod wlepionymi w nich spojrzeniami.

Mogło jednak być nieporównanie gorzej. W wielu miejscach ludzie uważaliby za swój obowiązek zadawać nieprzyjemne pytania podróżnym, którzy wyglądali, jakby spali w swych ubraniach i nie mieli przy sobie prawie nic. Bagaze mogły się skurczyć w porównaniu z dawnymi czasami, ale ludzie udający się w nowe miejsce nadal zwykli nosić ze sobą to, co uważali za niezbędne, nawet jeśli mieściło się to w wypchanych torebkach.

Tutaj jednak nikt poza chętnie dzielącym się informacjami maszynistą nie skierował pod ich adresem niczego poza uprzejmym przywitaniem.

Tymczasem zdążyli się już przyjrzeć okolicy. Prezentowała się wspaniale. Żyzne aluwialne gleby poddawano efektywnej uprawie, nawadniając je kanałami napędzanymi przez pompy wiatrowe. Sady, pola uprawne oraz półhektarowe ogrody warzywne lśniły w promieniach słońca. To wszystko można jednak było zobaczyć wszędzie. Znacznie większe wrażenie wywierały budynki. Były niemalże niewidzialne. Jak kuropatwy kryjące się w wysokiej trawie, niektóre z nich całkowicie wymykały się spojrzeniu aż do chwili, gdy nagła zmiana kierunku ujawniała linię zbyt prostą, by mogła nie być sztuczna, błysk słońca odbijający się w czarnym szkle albo słoneczny kolektor. Kontrast z typową nowoczesną farmą, przypominającą fabrykę i pełną rozrzuconych bezładnie silosów oraz budynków gospodarskich, był zdumiewający.

– Ciekawi mnie, kto zaprojektował te farmy – rzekł cicho do Kate. – To nie są rudery sklecone pośpiesznie przez spanikowanych uchodźców. Takiego kształtowania krajobrazu mógłby sobie zażyczyć jakiś milioner

mizantrop, gdyby tylko mógł sobie na nie pozwolić. Widziałaś tu w innych okolicach coś równie dobrego?

Pokręciła głową.

– Nie. Nawet w Tymczasowie, choć bardzo mi się tam podobało. Podejrzewam, że to, co początkowo sklecili uchodźcy, okazało się nietrwale. Kiedy się rozleciało, wykazali się przytomnością umysłu, i za drugim razem zrobili wszystko jak trzeba.

– Ale to jest coś więcej niż po prostu „jak trzeba”. To jest wspaniałe. Niemożliwe, by samo miasteczko dorównywało podobnym standardom. Swoją drogą, czy już je widzimy?

Kate wyciągnęła szyję, by zobaczyć coś przed maszynistą. Zauważyła to nosząca niebieski strój kobieta w średnim wieku, siedząca po drugiej stronie wagonu.

– Nigdy jeszcze nie byliście w Przepaści? – zapytała.

– Hmm. Nie, nigdy.

– Tak też sobie pomyślałam, że was nie poznaję. Macie zamiar tu zostać czy po prostu przejeżdżacie?

– A można u was zostać? Myślałam, że macie limit populacji.

– Och, mamy, ale w tej chwili brakuje do niego dwustu osób. I pomimo tego, co mogliście o nas słyszeć... – uśmiechnęła się szeroko – ...lubimy gości. Sympatycznych gości, rzecz jasna. Swoją drogą, mam na imię Polly.

– Jestem Kate, a to...

– Alexander... – przerwał jej pośpiesznie. – Sandy! Właśnie się zastanawiałem, kto zaprojektował te farmy. Nigdy nie widziałem budynków tak pięknie wpasowanych w krajobraz.

– Ach! Akurat miałam wam powiedzieć, żebyście spotkali się z człowiekiem, który projektuje prawie wszystkie nasze budynki. Nazywa się Ted Horovitz i jest też naszym szeryfem. Wsiądźcie przy Średniej Drodze Swobodnej i idźcie na południe, aż dotrzecie do Średniej Kwadratowej. Tam zapytajcie o Teda. Jeśli go nie będzie, pogadajcie z panią burmistrz. Nazywa się Suzy Dellinger. Zapamiętaliście? To świetnie. Dobra, miło było was poznać, mam nadzieję, że się u nas zatrzymacie. Muszę już wsiadać.



– Średnia Droga Swobodna? – zapytała Kate. – A obok niej Średnia Kwadratowa? Czy to jakiś żart?

W tej chwili w wagonie było jeszcze czworo innych pasażerów. Wszyscy zachichotali.

– Pewnie – odezwał się maszynista, oglądając się przez ramię. – Tutaj bardzo wiele jest żartem. Nie wiedziałaś o tym?

– To dość wymyślne żarty, prawda?

– Pewnie tak. Ale chodzi o uczczenie sposobu powstania Przepaści. Ze wszystkich ludzi uciekających na południe przed wielkim trzęsieniem ziemi, ci, którzy dotarli tutaj, byli najfartowniejsi. Słyszeliście kiedyś o Claes College?

Gdy tylko zaczął tłumaczyć, że nie słyszał, Kate zawołała nagle:

– Chcesz powiedzieć, że to jest „Amerykańska Apokalipsa”?

Na wpół wstała z fotela z ekscytacji, z wielkim zainteresowaniem wpatrując się w biegnący po łuku tor zmierzający ku widocznemu w oddali miasteczku. Już na pierwszy rzut oka zapowiadało ono, że przestrzega tych samych standardów, co otaczające je farmy. Nigdzie nie widziało się chaosu i braku organizacji, znajdowanych na obrzeżach tak wielu nowoczesnych miast. Granice były jasne – po jednej stronie wieś, a po drugiej miasto. Nie, to jednak nie była ostra granica, lecz...

Nasunęło się mu staromodne określenie – efekt latarni magicznej.

Nie dano mu jednak szansy uporządkowania tych chaotycznych pierwszych wrażeń.

– Sandy, z pewnością słyszałeś o Claes College... – mówiła rozgorączkowana Kate. – Nie? To okropne!

Osunęła się z powrotem na fotel i z szybkością karabinu maszynowego zaczęła mu udzielać wykładu.

– Claes College założono w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Miało odnowić średniowieczne znaczenie słowa „kolegium”: wspólnota uczonych, którzy dzielą się wiedzą, nie zważając na arbitralne granice między dyscyplinami. Nie przetrwało zbyt długo. Zaprzeszło działalności już po kilku latach, ale związani z nim ludzie zostawili po sobie jedną ważną pamiątkę. Po wielkim trzęsieniu ziemi porzucili

wszystko i *en masse* ruszyli pomagać ofiarom. Ktoś z nich wpadł na pomysł zbadania społecznych oddziaływań występujących w okresie postkatastroficznym, sądząc, że w przyszłości pomoże to uniknąć najgorszych tragedii. W rezultacie powstała seria monografii pod wspólnym tytułem „Amerykańska Apokalipsa”. Jestem zdumiona, że o niej nie słyszałeś.

Zwróciła się ku maszyniście.

– Prawie nikt o niej nie słyszał! Wspominałam o niej pewnie ze stu ludziom i zawsze otrzymywałam w odpowiedzi tylko zdziwione spojrzenia. A ona jest nie tylko ważna. Jest jedyna w swoim rodzaju.

– Z pewnością nie wspominałaś o niej w Przepaści – odparł z ironią maszynista. – Wszyscy zapoznajemy się z nią w szkole. Poproś bibliotekarza, Brada Comptona, żeby pokazał ci nasze pierwsze wydanie.

Nacisnął hamulec.

– Zbliżamy się do Średniej Drogi Swobodnej!

\* \* \*

Średnia Droga Swobodna rzeczywiście była drogą, nie ulicą. Wiła się między krzewami, drzewami i... domami? Tak, to z pewnością musiały być domy. Były też jednak czymś innym. Wszystkie miały dachy (choć nigdy prostokątne) oraz ściany, ledwie widoczne pod masą pokrywających je pnączy. Gdzieś tam musiały się też kryć drzwi, choć żadne nie były widoczne z miejsca, gdzie wysiedli z szynobusa... który zdążył już zniknąć w tunelu zieleni, choć poruszał się bardzo powoli.

– Wyglądają zupełnie jak farmy – wydyszała Kate.

– Nie. – Pstryknął palcami. – Jest różnica, i właśnie się zorientowałem, na czym ona polega. – Farmy są elementami krajobrazu, a domy są samym krajobrazem.

– Masz rację – zgodziła się Kate pełnym bojaźni głosem. – Mam naprawdę dziwne wrażenie. Jestem skłonna natychmiast uwierzyć, że architekt, który dokonał czegoś takiego...

Jej głos ucichł.

– Architekt, który dokonał czegoś takiego, potrafiłby zaprojektować całą planetę – dokończył za Kate i ujął jej dłoń.

Choć droga była kręta, została poprowadzona po płaskim terenie i można było jechać nią na rowerze albo ciągnąć wózek. Wyłożono ją kamieniami pasującymi do ukształtowania terenu. Po chwili minęli pokryty zieloną trawą obszar, lśniący złotym blaskiem w skośnych promieniach słońca. Kate wskazała na niego.

– To nie jest ogród, tylko polana – stwierdziła.

– Tak jest!

Dotknął ręką czoła, czując nagle zawroty głowy. Przyłgnęła do niego, zaniepokojona.

– Sandy, czy coś się stało?

– Nie... tak... nie... Nie wiem. Ale nic mi nie jest. – Opuścił rękę i rozejrzał się, mrugając. – Nagle coś do mnie dotarło. To jest miasteczko, tak? Ale nie robi takiego wrażenia. Po prostu wiem, że musi nim być, bo... – Przełknął z wysiłkiem ślinę. – Czy, patrząc na nie z szynobusu, można by je wziąć za coś innego?

– Nigdy w życiu! Nawet za milion lat. Hmm! – Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. – Niezła sztuczka, co?

– Tak jest. Gdybym nie zdawał sobie sprawy, że to ma cel terapeutyczny, mógłbym się wkurzyć. Ludzie nie lubią, gdy się ich oszukuje, prawda?

– Terapeutyczny? – Zmarszczyła brwi. – Nie rozumiem.

– Rozbicie zbiorów. Nieustannie posługujemy się zbiorami, zamiast widzieć to, co istnieje naprawdę. Albo słyszeć, czuć i tak dalej. Mamy zbiory noszące nazwę „miasteczko”, „wioska”, „miasto” i tak dalej... i często zapominamy o rzeczywistości, na której opierają się owe nazwy. Za bardzo nam się śpieszy. Jeśli ten efekt jest typowy dla całej Przepaści, nie dziwię się, że w przewodnikach piszą o niej tak niewiele. Turystom zbyt wielka dawka opóźnionej reakcji może się wydać niestrawna. Nie mogę się doczekać rozmowy z tym dziobakiem Horovitzem. Jestem przekonany, że jest nie tylko budowniczym i szeryfem, lecz również...

– Kim?

– Kimś innym. Być może jeszcze nie mamy na to słowa.

\* \* \*

Średnia Droga Swobodna faktycznie była drogą, ale Średnia Kwadratowa wcale nie była kwadratowa. Przypominała raczej zdeformowany czworokąt cykliczny, implikujący jednak wszelkie niezbędne elementy w publicznej przestrzeni miejskiej. Był on przy tym znacznie większy niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Przekonali się o tym, przechodząc przez niego. Jedną część placu, w tej chwili bezludną, wyłożono kamiennymi płytami oraz ozdobiono również kamiennymi wazonami pełnymi kwiatów. Druga przypominała park, miniaturowy francuski ogród. Kolejna część opadała ku zbiornikowi wodnemu będącemu raczej stawem niż jeziorem, położonemu jakieś trzy, cztery metry poniżej poziomu ziemi. Do jego brzegów prowadziły piękne, łukowate schody. Tam wreszcie zobaczyli ludzi: staruszkowie wygrzewali się w promieniach słońca, trwały dwie partie fechtunku otoczone nieuniknionymi grupkami kibiców, a nad wodą – pod wyrozumiałym, lecz czujnym spojrzeniem pary nastolatów – grupka nagich dzieci pluskała się radośnie, ścigając plażową piłkę większą niż dwie ich głowy.

Wokół placu wznosiły się budynki rozmaitej wysokości połączone ze sobą pochyłymi dachami. Biegły między nimi zaułki, bez których tworzyłyby jednolity ciąg. I tak zresztą nad każdym zaułkiem na wysokości pierwszego piętra przerzucono mosty, ozdobione delikatnymi rzeźbami w drewnie albo kamieniu.

– Mój Boże – mruknęła pod nosem Kate. – To niewiarygodne. To nie jest miasteczko. Nie w tym miejscu. To wioska.

– Ale zawiera też elementy implikujące wielkie miasto. Wielki Plac w Brukseli, Plaza Mayor, London Bridge... och, to fantastyczne! Przyjrzyj się trochę uważniej domom. Są ekoszczelne, tak? Wszystkie bez wyjątku! Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że działają na energii geotermicznej!

Kate pobladła nieco.

– Masz rację! Nie zauważyłam tego. Na ogół wyobrażamy sobie ekoszczelne budynki jako, no wiesz, jak poszczególne komórki plastra

miodu, coś produkowanego fabrycznie. Wokół Kansas City istnieją ekoszczelne osiedla, ale wszystkie mają tyle indywidualności, co mrowisko!

– Znajdźmy natychmiast tego szeryfa. Nie mogę znieść tylu zagadek naraz. Przepraszam cię na chwilę!

Podszedł do grupki zebranej wokół stolików do gry w fechtunek.

– Gdzie znajdziemy Teda Horovitza?

– W tamtym zaułku – odpowiedział jeden z kibiców, wyciągając rękę. – Pierwsze drzwi po prawej. Jeśli go tam nie będzie, spróbuj w biurze burmistrza. Chyba miał się dziś spotkać z Suzy.

Gdy tylko ruszyli w drogę, znowu poczuli na sobie liczne zaciekawione spojrzenia. Jakby goście rzadko odwiedzali to miasteczko. Dlaczego nie przybywały ich tu tysiące, miliony? Dlaczego nie było sławne na całym świecie?

– Ale oczywiście, gdyby było sławne...

– Coś powiedziałeś?

– Niezupełnie. To na pewno te drzwi. Pan Horovitz?

– Wejdźcie, proszę!

Weszli do środka i znaleźli się w niezwykłym pokoju, długim na co najmniej dziesięć metrów. Umeblowanie było tu dość konwencjonalne – krzesło, biurko oraz mnóstwo półek zapchanych książkami i kasetami – samo pomieszczenie przypominało jednak raczej pełen paproci las albo jaskinię za wodospadem obrośniętą lśniąco od wilgoci pnączami niż normalny gabinet. Zielonkawe światło, odbijające się od drżących na wietrze paneli słonecznych za nieregularnymi oknami, muskało zroszone powierzchnie dotykaniem delikatnym jak mech.

Stojący za niezłe już sfatygowanym stołem ciesielskim krępy mężczyzna w płóciennych spodniach o wielkich kieszeniach wypełnionych narzędziami, odwrócił się ku nim, odkładając na bok drewniany przedmiot, którego kształt z początku był trudny do określenia, lecz nagle stał się znajomy: cymbały.

W tej samej chwili coś się poruszyło, wyszło z cienia za ławą. Pies. Ogromny pies o powolnych, lecz pełnych gracji ruchach. Wśród jego

przodków mogły się znajdować dog niemiecki, wilczarz irlandzki, być może również husky albo chinook... a także coś innego, coś niezwykłego, jego czaszka była bowiem bardzo wysoko sklepiona, a głęboko osadzone oczy w ogóle nie przypominały psich.

Kate z siłą imadła zacisnęła palce na ramieniu towarzysza. Usłyszał jej westchnienie.

– Bez obaw – mruknął gospodarz głosem o pół oktawy bliższym basu niż sugerowałaby to jego budowa. – Nigdy jeszcze nie widzieliście takiego psa? W takim razie czeka was pouczające doświadczenie. Nazywa się Natty Bumpo. Zaczekajcie chwilę, żeby mógł was odczytać. Przepraszam, ale to obowiązkowe dla wszystkich gości. I co powiesz, Nat? Prochy, nadużywanie alkoholu albo cokolwiek poza odrobiną strachu?

Pies uniósł pomarszczoną górną wargę, powoli zaczerpnął głęboko tchu, a potem potrząsnął głową z cichym warknięciem. Następnie usiadł zgrabnie na podłodze, nie spuszczać wzroku z gości.

Kate rozluźniła uścisk, ale nie przestawała drżeć.

– Mówi, że jesteście czyści – oznajmił Horovitz. – No wiecie, całkiem dobrze rozumiem tego dziobaka. Może nie aż tak dobrze, jak on rozumie ludzi, ale to już inna para kaloszy. No dobra, siadajcie!

Wskazał na pobliską kanapę, usiadł na zwróconym ku niej fotelu i wyjął z jednej z ogromnych kieszeni starą, poczerniałą fajkę.

– Co mogę dla was zrobić?

Popatrzyli na siebie nawzajem.

– Właściwie trafiliśmy tu przypadkowo – wyznała Kate, podejmując nagłą decyzję. – Byliśmy w Łonie Bogów, a ja przedtem byłam też w Tymczasowie. One nie mogą się równać z Przepaścią. Chcielibyśmy tu zostać na pewien czas.

– Hmm. W porządku... zapewne. – Horovitz skinął na psa. – Nat, zawiadom, proszę, radnych, że mamy kandydatów.

Natty Bumpo wstał, raz jeszcze obwąchał dwoje przybyszów i ruszył w drogę. Drzwi miały klamkę, którą mógł sam otwierać. Potem starannie zamknął je za sobą.

– Aha – odezwał się Sandy, śledząc go wzrokiem. – Zapomniałem powiedzieć, jak się nazywamy.

– Kate i Sandy – wyszeptał Horovitz. – Spodziewałem się was. Polly Ryan mówiła, że spotkała was w kolejce.

– Ale jak...

– Pewnie słyszeliście o telefonach. Mamy je tutaj, wbrew pozorom. Być może czytaliście o nas w tym kiepskim przewodniku. – Skierował oskarżycielski palec na wystającą z kieszeni Kate książeczkę. – Nie mamy tylko sieci wideofonicznej. Federalni już od lat naciskają na nas, byśmy się podłączyli do sieci danych na tej samej zasadzie, co inne strefy dotowanej rezygnacji, ale, by spełnić wymagania ich komputerów, musielibyśmy mieć przepustowość na wideofoniczną skalę. Podają mi masę sympatycznych powodów, przypominają, że w pewnej chwili Stanem Przejściowym o mały włos nie zawładnął syndykat zbrodni, a w Araracie niemal wszyscy dali się nabrać fałszywemu kaznodziei, poszukiwanemu za oszustwo w siedmiu stanach... ale my wolimy pozostać odcięci i sami rozwiązywać własne problemy. Nie mogą nas do tego zmusić, dopóki płacimy w podatkach więcej niż otrzymujemy w charakterze subsydiów jako strefa dotowanej rezygnacji. Dlatego z założenia nie mamy wideofonów. Nie sądźcie jednak, że to znaczy, że jesteśmy zacofani. Liczbą ludności w przybliżeniu dorównujemy miasteczku targowemu z okresu późnego średniowiecza, ale oferujemy niemal dokładnie sto razy więcej udogodnień.

– Zatem dowiedliście, że taniej jest opierać wszystko na zasadach ekoszczelności! – Sandy pochylił się z nagłym zainteresowaniem.

– Dostrzeżliście to? Bardzo interesujące. Większość ludzi ma sztywne wyobrażenia na temat ekoszczelnych budynków: muszą być produkowane w fabrykach, mają tylko jeden rozmiar i kształt, a jeśli ktoś chce mieć większy, musi połączyć dwa w jedną całość. W rzeczywistości, jak zauważyłeś, jeśli ktoś rzeczywiście rozumie zasady, przekonuje się, że udało mu się wyeliminować większość ukrytych kosztów eksploatacji. Byliście kiedyś w Trianon?

– Odwiedzałam tam znajomych – wyznała Kate.

– Przechwalają się, że wykorzystują siedemdziesiąt pięć procent dostępnej energii, a i tak potrzebują corocznej dotacji od SZ-O, ponieważ ich sposób działania jest z założenia nieefektywny. Nasz współczynnik wynosi osiemdziesiąt do osiemdziesięciu pięciu procent. Nikt na całej planecie nie radzi sobie lepiej.

Horovitz dodał do tych słów nieśmiały uśmiezek, jakby pragnął uniknąć wszelkich podejrzeń o zarozumiałość.

– I to twoja zasługa? – zapytał Sandy. – Kobieta, którą spotkaliśmy... Polly mówiła, że to ty zaprojektowałeś większość budynków.

– Pewnie, ale nie mogę przypisać sobie zasługi. Nie ja stworzyłem podstawowe zasady i nie opracowałem też sposobu ich wykorzystania. Zrobili to...

– Tak jest! – przerwała mu Kate. – Maszynista mówił, że to właśnie jest oryginalny projekt Amerykańskiej Apokalipsy!

– Słyszałaś o tym planie? – Horovitz, który właśnie nabijał fajkę ciemnym tytoniem, omal nie upuścił fajki i tytoniu jednocześnie. – A niech mnie! To znaczy, że nie udało się im ukryć wszystkiego!

– Hmm... nie rozumiem?

Horovitz odchrząknął i wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że jeśli ktoś wprowadzi do oficjalnej kontynentalnej sieci danych zapytanie o projekt Amerykańskiej Apokalipsy albo cokolwiek, co wiąże się z Claes College, otrzyma zniechęcające odpowiedzi. Na przykład dowie się, że jest to, cytuję, temat interesujący wyłącznie specjalistów, koniec cytatu. Tak przynajmniej mówił mi Brad Compton. To nasz bibliotekarz.

– To straszne! – Kate wlepiła w niego spojrzenie. – Sama nigdy nie szukałam tych danych. Ojciec miał pełen zestaw monografii Amerykańskiej Apokalipsy i przeczytałam wszystkie w wieku kilkunastu lat, ale... czy to nie jest ważne, że jeden z projektów stworzonych w Claes stał się funkcjonalną społecznością?

– Och, zgadzam się. Jaki szeryf byłby innego zdania, przy przestępczości bliskiej zeru?

– Poważnie?



– Ehe. Morderstwa nie mieliśmy jeszcze nigdy, minęły dwa lata, odkąd ostatnio trzeba było kogoś hospitalizować po bójce, jeśli zaś chodzi o kradzież, no cóż, po prostu nie mamy tutaj takiego zwyczaju. – Uśmiechnął się blado. – Czasem zdarzają się importowane przypadki, ale daję wam słowo, że nie mają tu przyszłości.

– Nie mów mi tego – zaczęła z namysłem Kate. – Pozwól mi zgadnąć. Czy to właśnie z powodu tej osady Claes College zakończyło działalność? Czy wszyscy naprawdę zdolni ludzie zostali tutaj, zamiast wracać do domu?

– Młoda damo, jesteś pierwszą osobą, której udało się to odgadnąć samodzielnie – odparł z uśmiechem Horovitz. – Tak jest. Przepaść zgarnęła śmietankę z Claes, a to, co zostało, po prostu zwiędło. Jak rozumiem, powodem był fakt, że tylko ludzie poważnie traktujący swe poglądy byli w stanie wziąć na siebie odpowiedzialność. A także stawić czoło śmieszności. W końcu w tym samym czasie inne osady uchodźców były zdane na łaskę oszustów oraz pozbawionych skrupułów fałszywych kaznodziejów, o jakich przed chwilą wspominałem, któż więc mógłby uwierzyć, że jakaś szalona mieszanina złożona z fragmentów Ghirardelli Square, Portmeirionu, Walencji, Taliesin West i Bóg wie, czego jeszcze, może odnieść sukces, podczas gdy nic innego się nie sprawdziło?

– Widzę, że nas polubiłeś – odezwał się nagle Sandy.

Horovitz zamrugął.

– Słucham?

– Nigdy dotąd nie widziałem, żeby fasada zniknęła tak szybko. Mam na myśli tę maskę prostego chłopka. Nie ma czego żałować, i tak do ciebie nie pasowała. Kim jednak jesteś, pomijając szeryfa i budowniczego? To znaczy, od czego zacząłeś?

Horovitz opuścił kąciki ust w zabawnej parodii trwogi.

– Przyznaję się do winy – rzekł po chwili. – To prawda, że uważam się za miejscowego, ale zrobiłem doktorat z interakcji społecznych w Austin i magisterkę z technologii strukturalnej w Columbia. Z reguły nie przyznaję się do tego gościom, nawet tym bystrym. Zwłaszcza tym bystrym, bo oni często odwiedzają nas z najróżniejszych niewłaściwych

powodów. Zależy nam na sprawnym funkcjonowaniu naszej społeczności, nie na tym, by stać się obiektem badań dla band antropologów kulturowych.

– Jak długo zamierzacie czekać, zanim staniecie się sławni?

– Hmm! Spostrzegawczy z ciebie dzięcioł, co? Ale uczciwe pytanie zasługuje na uczciwą odpowiedź. Myślimy, że wystarczy jakieś pięćdziesiąt lat.

– Ale czy przetrwacie tak długo?

Horovitz pokręcił głową.

– Nie mamy pojęcia. Któż mógłby to przewidzieć?

\* \* \*

Drzwi otworzyły się szeroko. Natty Bumppo wrócił na miejsce, po drodze trącając pyskiem Horovitza. Za psem podążała wysoka czarnoskóra kobieta o dostojnym wyglądzie, ubrana w jaskrawą koszulę i obcisłe spodnie, oraz prowadzący ją pod rękę biały, mocno opalony grubas, ubrany tak samo jak maszynista, w szorty i sandały.

Horovitz przedstawił ich jako burmistrz Suzy Dellinger oraz Brada Comptona. Oboje pełnili w tym roku funkcję radnych miejskich. Następnie streścił nowo przybyłym treść swej rozmowy z Kate i Sandym. Wysłuchali go z uwagą, po czym Brad Compton zadał zdumiewające pytanie:

– Czy Nat ich aprobeuje?

– Najwyraźniej – mruknął Horovitz.

– W takim razie chyba znaleźliśmy nowych lokatorów mieszkania Thorgrima. Suzy? – zapytał, zerkając na panią burmistrz.

– Pewnie. Czemu by nie? – Spojrzała na Kate i Sandy'ego. – Witajcie w Przepaści! A teraz wróćcie na plac, skręćcie w drugi zaułek po prawej, i znajdziecie się na Błądzeniu Losowym. Idźcie nim aż do skrzyżowania z Kołem Wielkim. Dom jest na lewym bliższym rogu skrzyżowania. Możecie w nim zostać tak długo, jak tylko zechcecie.

Przez chwilę oboje gapili się na nią z niedowierzaniem.

– Chwileczkę! – zawołała wreszcie Kate. – Posuwasz się dla nas za szybko! Nie jestem pewna, co planuje Sandy, ale ja muszę za kilka dni wrócić do Kansas City. Ty zaś najwyraźniej zdecydowałaś, że osiedlę się tu na stałe.

– I to na podstawie opinii psa! – wtrącił Sandy. – Nawet jeśli jest zmodyfikowany, nie rozumiem, skąd...

– Zmodyfikowany? – przerwał mu Horovitz. – Nic z tych rzeczy. Pewnie w genach jakiegoś jego przodka ktoś trochę grzebał, ale on jest dokładnie taki, jaki się urodził. Choć trzeba przyznać, że najlepszy z miotu.

– Chcesz powiedzieć, że w Przepaści jest mnóstwo takich psów? – zainteresowała się Kate.

– Teraz będzie już pewnie ze dwieście – wyjaśniła burmistrz Dellinger. – Wszystkie pochodzą od grupki, która przybyła tu latem w dwa tysiące trzecim. Młody samiec, dwie płodne suki, każda z czterema szczeniakami i stara, wysterylizowana suka, która była przewodniczką sfory. Doktor Stubbs, to nasz weterynarz, zawsze mówił, że na pewno uciekły z jakiegoś ośrodka badawczego, by poszukać miejsca, gdzie będą lepiej traktowane. Znalazły je tutaj. Są świetne z dziećmi, prawie że umieją mówić i nie miałyby żadnych wad, gdyby tylko mogły dożyć sędziwego wieku. Kłopot w tym, że mogą pociągnąć siedem, najwyżej osiem lat, a to po prostu niesprawiedliwe, prawda, Nat? – Wyciągnęła rękę, by podrapać Natty'ego Bumppo za uszami. Pies machnął raz od niechcenia grubym ogonem. – Ale mamy przyjaciół, którzy nad tym pracują, i sami też staramy się hodować je z myślą o długowieczności.

Znowu zapadła cisza.

– W porządku, wasze psy potrafią czynić cuda – odezwał się wreszcie z determinacją Sandy. – Ale dajcie nam dom, nawet nie pytając, czym zamierzamy się zajmować podczas pobytu tutaj...

Brad Compton ryknął śmiechem. Zmieszany Sandy umilkł.

– Wybacz Bradowi – poprosił go Horovitz. – Myślałem, że już omówiliśmy tę sprawę. Umknął ci sens moich słów? Powiedziałem, że oferujemy sto razy więcej usług niż średniowieczne miasteczko takich rozmiarów. Nie można tu przyjechać, zająć domu i żyć sobie z federalnego

zasiłku dla mieszkańców stref dotowanej rezygnacji aż po wieki wieków amen. Od czasu do czasu ludzie tego próbują, ale czują się tu nieszczęśliwi, szybko się zniechęcają i opuszczają nas.

– Jasne, jestem pewien, że macie nam do zaoferowania najrozmaitsze zajęcia, ale nie do tego zmierzałem. Chciałem się dowiedzieć, z czego, do licha, żyje ta społeczność?

Troje mieszkańców Przepaści wymieniło uśmiechy.

– Mam im powiedzieć? – zapytała burmistrz Dellinger.

– Jasne – odparł Compton. – To wchodzi w zakres twoich obowiązków.

– W porządku. – Zwróciła się w stronę Kate i Sandy’ego. – Prowadzimy działalność, która nie wymaga kapitału, udziałowców i tylko bardzo niewiele sprzętu. A mimo to otrzymujemy za nią datki piętnastokrotnie wyższe niż dotacje przysługujące nam wszystkim jako mieszkańcom strefy dotowanej rezygnacji.

– Słucham?

– To prawda – potwierdziła z powagą w głosie. – Świadczymy usługę uważaną przez pewnych ludzi, pewnych bardzo bogatych ludzi, za tak wartościową, że podpisali zobowiązanie, że do końca życia będą nam oddawać jedną dziesiątą swoich dochodów. Pewnego razu zapisano nam w spadku dochód z majątku wartego sześćdziesiąt milionów dolarów. Rodzina ze wszystkich sił starała się obalić testament w sądach... chyba właśnie się zorientowałeś, kim jesteśmy, prawda?

Sandy drżał i zaciskał pięści, a w ustach czuł suchość tak wielką, że ledwie mógł ukształtować potrzebne słowa.

– W grę wchodzi tylko jedna odpowiedź. Ale... o mój Boże, czy naprawdę jesteście Pomocnym Słuchaczem?

## POJEDYNEK NA SŁOWA

– Potem natychmiast zapragnąłem zapytać, w jaki sposób dotrzymują swej niewiarygodnej obietnicy, ale...

– Chwileczkę, chwileczkę!

Freeman na wpół wstał z krzesła, gapiąc się na swą konsolę, jakby zmniejszenie dystansu mogło w jakiś sposób zmienić to, co pokazywał ekran.

– Czy coś nie gra?

– Moją... nie, wszystko jest w porządku. Po prostu moją uwagę przyciągnął pewien osobliwy fakt.

Freeman znowu usiadł wygodnie i – z miną wyraźnie świadcząca o wyrzutach sumienia – wyjął chusteczkę, by wytrzeć z twarzy strugi potu, które nagle spłynęły mu po czole.

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie:

– Cholera, ma pan rację. Po raz pierwszy po transferze z trybu wycofania do czasu terażniejszego nie trzeba mnie było zmuszać do powrotu do tego samego tematu. To bardzo interesujące! Nie musi mi pan mówić, że to świadczy, jak głęboko to na mnie wpłynęło. Sam to świetnie rozumiem. Po tej pierwszej rozmowie w Przepaści nawiedziło mnie dziwne wrażenie. Jakbym miał coś na czubku języka, jakbym wiedział, że ci ludzie znają rozwiązanie jakiegoś rozpaczliwie palącego problemu... ale nie potrafiłem sobie uświadomić, co to właściwie za problem. Swoją drogą, proszę mi coś powiedzieć. Uważam, że sobie na to zasłużyłem. W końcu pan może ze mnie wyciągnąć, co tylko zechce.

Twarz Freemana lśniła, jakby pieczono go na rożnie nad bardzo gorącym ogniem. Zanim odpowiedział, otarł pot raz jeszcze.

– Niech pan pyta.

– Gdyby wyszło na jaw, że zadzwoniłem do Pomocnego Słuchacza i przez godzinę mówiłem o Mirandzie, o sobie i o Tarnover... to czy wyszedłbym stąd przez salę operacyjną?

Freeman zawahał się, kilkakrotnie składając i rozkładając chusteczkę, nim wreszcie schował ją do kieszeni i z wyraźną niechęcią odpowiedział.

– Tak. Z ilorazem inteligencji równym osiemdziesiąt pięć, jeśli miałby pan szczęście.

– A co z Pomocnym Słuchaczem? – padło kolejne pytanie, zadane z równym spokojem.

– Im nic nie mogliśmy zrobić – przyznał Freeman ledwie słyszalnym głosem. – Z pewnością wie pan, dlaczego.

– Och, oczywiście. Przepraszam... przyznaję, że zadałem to pytanie tylko po to, by pana zawstydzić. Konflikt Przepaści z rządem Stanów Zjednoczonych naprawdę bardzo przypomina walkę Dawida z Goliatem. Mam mówić dalej?

– A czy czuje się pan na siłach?

– Myślę, że tak. Nie wiem, czy Przepaść byłaby dobra dla wszystkich, ale mnie z pewnością pomogła. Już najwyższy czas, bym stawiał czoło pytaniu, dlaczego mój pobyt tam zakończył się katastrofą, choć gdybym nie był takim durniem, mogłoby się skończyć tylko na drobnych komplikacjach.

## SIATKA ZAGADKI

– To naprawdę niewiarygodne miejsce. Nigdy mi się nawet nie śniło... – zaczął Sandy, idąc pod górę trafnie nazwanym Błądzeniem Losowym.

– Sandy, ten pies – przerwała mu Kate. – Natty Bumppo.

– Przestraszyłaś się go, tak? Wybacz, nie chciałem...

– Nie!

– Przecież...

– Wiem, wiem. Dałam się zaskoczyć. Ale się nie bałam. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że żaden z psów taty nie ocalał.

– Słucham?! – Omal się nie potknął, odwracając się, by na nią spojrzeć. – Co on może mieć wspólnego z twoim ojcem, do licha?

– No wiesz, nie słyszałam o nikim innym, kto potrafiłby dokonywać takich cudów ze zwierzętami. Bagheera również jest jego dziełem. Jednym z ostatnich.

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Moja droga Kate, czy mogłabyś zacząć od początku?

– Pewnie powinnam – odparła ze smutkiem i zakłopotaniem w oczach. – Pamiętam, że pytałam cię, czy wiesz coś o moim ojcu, a ty odpowiedziałeś:

jasne, Henry Lilleberg, neurofizjolog, i na tym koniec. To typowy przykład choroby, którą ma leczyć Przepaść, jak sam wspomniałeś zaledwie przed godziną. Naklejamy na coś etykietkę i zapominamy o tym. Mówisz „neurofizjolog” i wyobrażasz sobie kogoś, kto przeprowadza sekcję układu nerwowego, analizuje go *in vitro*, a potem publikuje swoje wyniki, nie pamiętając, że reszta zwierzęcia w ogóle istniała. Ten opis nie pasuje do mojego ojca! Kiedy byłem mała, dawał mi w prezencie zdumiewające zwierzęta. Żadne z nich nie przeżyło zbyt długo, bo wszystkie były już stare. Ale wszystkie służyły w jego laboratoriach i dlatego nie potrafił się zdobyć na to, by po prostu wrzucić je do spalarki. Mówił, że jest im winien odrobinę dobrego życia, ponieważ ukradł im je, kiedy były młode.

– Co to były za zwierzęta?

– Och, z początku, kiedy miałam pięć, sześć lat, tylko małe. Szczury, chomiki, myszoscoczki. Później wiewiórki i susły, koty i szopy. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że miał pozwolenie na przewożenie zwierząt chronionych ze stanu do stanu? Na koniec, w paru ostatnich latach, zanim zachorował tak bardzo, że musiał przestać pracować, zajmował się większymi zwierzętami. Psami, takimi jak Natty Bumppo, i pumami, takimi jak Bagheera.

– A czy pracował też z wodnymi zwierzętami? Delfinami albo morświnami?

– Nie sądzę. Zresztą tak czy inaczej, nie mógłby ich przynieść do domu.

– W słowach Kate znowu zabrzmiała typowa dla niej ironia. – Mieszkaliśmy w bloku i nie mieliśmy basenu. Czemu o to pytasz?

– Zastanawiałem się, czy mógł mieć coś wspólnego z... do licha, nie wiem którą z kilku nazw mogłabyś rozpoznać. Ciągłe je zmieniali, za każdym razem, gdy znaleźli się w ślepej uliczce. Projekt był zlokalizowany w Georgii i miał za zadanie stworzenie zwierząt zdolnych powstrzymać nieprzyjacielską inwazję. Z początku koncentrowali się na małych stworzeniach mogących przenosić choroby albo dokonywać sabotażu. Na przykład, szczury uwarunkowane do kompulsywnego przegryzania opon i izolacji przewodów. Potem zaczęło się całe to gadanie o surogatach żołnierzy, zwierzętach mających zastąpić piechotę. Wojny nadal by

toczono, z mnóstwem krwi i hałasu, ale żołnierze by na nich nie ginęli. Przynajmniej nie na stałe.

– Znam ten projekt pod nazwą „Skąpstwo”. Tata nigdy w nim nie uczestniczył. Prośli go, by się w to zaangażował, ale on ciągle odmawiał, bo nigdy nie chcieli mu ze szczegółami wyjaśnić, na czym miałyby polegać jego zadania. Dopiero gdy zapadł na śmiertelną chorobę, zorientował się, że miał stuprocentową rację.

– Projekt zamknięto, prawda?

– Tak, i wiem dlaczego. Przez wiele lat wykorzystywali dorobek taty. Był jedynym człowiekiem w kraju, być może na całym świecie, któremu regularnie udawało się rozmnażać superinteligentne zwierzęta tak, że nie traciły tej cechy.

– Dosłownie jedynym?

– Och, sam ledwie potrafił w to uwierzyć. Publikował swoje wyniki i zawsze przysięgał, że niczego nie ukrywa, ale inni badacze nigdy nie zdołali powtórzyć jego rezultatów. W końcu zaczął to traktować jak żart. Często powtarzał, że ma rękę do zwierząt.

– Rozumiem. Jak ogrodnik może mieć rękę do kwiatów.

– Tak jest.

– Na czym polegały jego metody?

To pytanie było raczej retorycznie i właściwie nie oczekiwał odpowiedzi, ale Kate i tak mu jej udzieliła.

– Nie pytaj mnie, wpisz kod. Wszystkie dane są na otwartych szpulach. Najwyraźniej rząd liczy na to, że któregoś dnia pojawi się kolejny geniusz z ręką do zwierząt.

– Biologia szybko mnie znudziła, ale pamiętam, że czytałem coś o hipotezie Lilleberga – zaczął z namysłem w głosie, wpatrując się w pustkę. – To bardzo wąska kategoria doboru naturalnego, uwzględniająca wpływ hormonów nie tylko na embrion, lecz również na gonady rodziców. To miało determinować punkty chromosomów, w których zachodzi crossing-over.

– Ehe. Wyśmiano go z tego powodu. Wszyscy naukowcy obrzucali go obelgami, oskarżali o próbę udowodnienia, że Łysenko miał jednak rację.



To było oczywiste kłamstwo! – dodała z pasją. – W rzeczywistości wyjaśnił, w jaki sposób zwolennicy Łysenki mogli dać się wprowadzić w błąd. Sandy, dlaczego establishment zawsze tak szybko zmienia się w skamielinę? Może to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale nasuwa mi się paranoidalna myśl, że ci, którzy mają władzę, zawsze starają się wypaczyć wszystkie oryginalne idee albo ich zakazać. Na przykład, Ted Horovitz wspominał o tym, że ludzi zniechęca się do zainteresowania wynikami badań Amerykańskiej Apokalipsy.

– Naprawdę musisz pytać o rząd? – odparł pełnym przygnębienia tonem. – Powody wydają mi się oczywiste. To społeczny odpowiednik doboru naturalnego. Te grupy społeczne, które chcą władzy kosztem wszystkiego innego – moralności, szacunku do siebie, szczerzej przyjaźni – dawno już osiągnęły dominację. Szerokie masy są pozbawione wszelkiego kontaktu z rządem. Wiedzą tylko, że każdego, kto się wychyli, czeka kara. I rząd ma pod dostatkiem sposobów, by ją wymierzyć. Och, w Waszyngtonie z pewnością nienawidzą Przepaści! Małeńka społeczność, której członkowie mogą zagrać na nosie federalnemu dyktatowi.

Wyraźnie zadrżała.

– Ale uczeni...? – zapytała.

– Ich reakcja to co innego. Eksplozja ludzkiej wiedzy stała się tak gwałtowna, że nawet najzdolniejsi nie mogą jej już dotrzymać kroku. Teorie przerodziły się w dogmaty, zupełnie jak w średniowieczu. Czołowi eksperci czują się zobowiązani bronić swych doktryn przed heretykami. Zgadza się?

– To z pewnością tłumaczy przypadek taty. – Kate skinęła głową, przygryzając wargę. – Ale... on dowiódł, że miał rację. Najlepszym przykładem jest Bagheera.

– To nie był odosobniony sukces, prawda?

– Z pewnością nie. Ale jedyny, który tata zdołał ocalić przed sprzedaniem do wielkiego cyrku w Quemadurze. On się dopiero rozkręcał, wielu ludzi inwestowało w niego kupę forsy i... hej, popatrz!

Szli przez płaski, porośnięty trawą obszar. Na kocu spało dwoje małych dzieci, a obok nich siedział pies tego samego typu i umaszczenia co Natty

Bumppo, ale mniejszy. Suka. Spojrzała ze spokojem na nieznanym i uniosła jeden róg górnej wargi, odsłaniając białe zęby. Z jej pyska popłynęło ciche – jakby pytające – warczenie.

Zwierzę wstało, jeżąc sierść na karku, i podeszło do nich. Stanęli jak wryci.

– Cześć – odezwała się Kate z lekką nerwowością. – Jesteśmy tu nowi, ale przed chwilą byliśmy u Teda. On i Suzy powiedzieli nam, że możemy zamieszkać w domu Thorgrimów.

– Kate, nie możesz liczyć na to, że pies zrozumie tak skomplikowane zdanie...

Ucichł zaskoczony, gdy suka zamachała ogonem. Kate z uśmiechem podsunęła jej rękę do powąchania. Po chwili zrobił to samo.

Zwierzę zastanawiało się przez chwilę, po czym skinęło głową w całkowicie ludzki sposób i odwróciło łeb, by zademonstrować, że ma na obroży plakietkę z kilkoma słowami.

– Brynhilde – przeczytała na głos Kate. – Należysz do ludzi, którzy nazywają się Josh i Lorna Treves. Jak się masz, Brynhilde?

Suka z powagą podała obojgu prawą łapę, po czym wróciła do stróżowania. Ruszyli w dalszą drogę.

– Teraz mi wierzysz? – wyszeptała Kate.

– Tak, do cholery. Nie mam innego wyjścia. Ale jak psy twojego ojca zdołały tu trafić?

– Jak mówiła Suzy, zapewne uciekły z jakiegoś instytutu badawczego i ruszyły poszukać dobrego domu. Kilka ośrodków miało psy wyhodowane przez tatę. Hej, zastanawiam się, jak jeszcze daleko do tego Koła Wielkiego. Czy je minęliśmy? Tu nigdzie nie ma tabliczek z nazwami ulic.

– Zauważyłem. To współgra z całą resztą. Pomaga oderwać się od abstrakcji i wrócić do rzeczywistości. Oczywiście, to może się udać tylko w małej społeczności, ale... ile tysięcy ulic minęłaś w życiu, nie zwracając uwagi na nic poza ich nazwą? Myślę, że to jeden z czynników prowadzących do odwrócenia uwagi. Potrzebujemy pożywnego pokarmu dla zmysłów, podobnie jak dla ciała. W przeciwnym razie giniemy z głodu bodźców. Spójrz, tam jest skrzyżowanie!

Pokonali biegiem ostatni, krótki odcinek i...

– Och, Sandy! – westchnęła Kate. – Sandy, to nie może być prawda! To nie jest dom, to jest rzeźba! I to piękna!

Po długiej, wypełnionej milczeniem ciszy rzekł:

– Dziękuję!

W nagłym zachwycie wziął ją na ręce i przeniósł przez to, co nie do końca było progiem.

## LOGICZNE POWODY SYMPATII

– Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo polubił pan Przepaść – mruknął Freeman.

– Wydaje mi się to oczywiste. W Przepaści rozumieją to, czego w ogóle nie pojmują w Tarnover.

– Dla mnie wygląda to jak typowy podłączeniowy styl życia. Przyjeżdżasz do miasta, wprowadzasz się do domu, który akurat jest wolny, i...

– Nie, nie, nie! – wykrzyknął crescendo. – Pierwszą rzeczą, jaką znaleźliśmy po wejściu do domu, był list od poprzedniego lokatora, Larsa Thorgrima, wyjaśniający, że był zmuszony się wyprowadzić razem z rodziną, ponieważ jego żona zapadła na chorobę wymagającą radioterapii i dlatego muszą zamieszkać blisko dużego szpitala. W przeciwnym razie nigdy nie opuściliby tego domu, ponieważ czuli się tu szczęśliwi i mają nadzieję, że nowi mieszkańcy poczują się tu równie dobrze. I ich dwoje dzieci przesyła nam całusy. To nie jest podłączeniowy styl życia, który opiera się na tym, że przenosimy się w nowe miejsce, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów...

– Ale urządzono tam dla pana powitalne przyjęcie, podobnie jak w SZ-O...

– Na litość boską! W korporacjach takich jak SZ-O potrzeba pretekstu, jakim jest nowy pracownik, by urządzać przyjęcie. To jest element

działalności firmy, służący temu, by nowy przybysz i jego współpracownicy mogli się nawzajem obwąchać jak nieufne psy! W Przepaści wspólne zabawy są elementem wbudowanym w strukturę społeczną. I tak urządziliby przyjęcie, z okazji czyichś urodzin, jakiejś rocznicy albo po prostu dlatego, że wino domowej produkcji już dojrzało i fajnie by było z kimś się nim podzielić. Rozczarował mnie pan. Myślałem, że przejrzy pan rządowe plany zdewaluowania Przepaści i wróci do materiału wyjściowego.

Freeman po raz pierwszy wyraźnie dał się zepchnąć do defensywy.

– Nie miałem... – zaczął ostrożnie.

– Proszę sobie darować tłumaczenia. Gdyby pogrzebał pan głębiej, nic z tego nie byłoby dla pana nowością. Zastanów się, człowieku, zastanów! Monografie Amerykańskiej Apokalipsy zawierają dosłownie jedyną wartościową analizę tego, jak skazy typowe dla naszego społeczeństwa ujawniają się w kontekście postkatastroficznym. Prace prowadzone w innych osadach były błahe i powierzchowne, pełne wyuczonych banałów. Ludzie z Claes College nie ograniczyli się do stwierdzenia, że ofiary wielkiego trzęsienia ziemi nie potrafiły sobie poradzić, ponieważ oduczyły się dbania o siebie, już od dawna dostrzegając, że cała władza skupiła się w rękach skorumpowanej i zazdrosnej elity. Dodali do tego jeszcze coś, co Waszyngton uznał za ostateczną zniewagę. Powiedzieli: „Oto, jak można temu zaradzić!”.

Ironiczny chichot.

– Co gorsza, zademonstrowali to, najgorszy zaś był fakt, że nie pozwolili rządowi się wtrącać.

– Jak długo po pańskim przybyciu powiedzieli to panu?

– Nikt mi tego nie mówił. Sam to zauważyłem, już pierwszego wieczoru. To był klasyczny przykład czegoś tak oczywistego, że to ignorujemy. W tym szczególnym przypadku, po swym ostatnim kontakcie z Pomocnym Słuchaczem nieświadomie zapomniałem o całej sprawie. W przeciwnym razie natychmiast zauważyłbym rozwiązanie.

Freeman westchnął.

– Myślałem, że będzie pan bronił swej obsesji na punkcie Przepaści, zamiast usprawiedliwiać własne niedostatki.

– Lubię, kiedy próbuje mi pan wetknąć szpilę. To świadczy, że traci pan kontrolę. I pozwala mi osłabić ją jeszcze bardziej. Ostrzegam, że w końcu zdołam wyprowadzić pana z równowagi, bez względu na to, ile uspokajaczy łyka pan co dzień. Przepraszam, to był żart w złym guście. Bądźmy jednak szczerzy. Czy nigdy nie zaskoczyło pana, jak niewiele twardych danych zebraliśmy na temat wielkiego trzęsienia ziemi, największej katastrofy w historii naszego kraju?

– To było również najlepiej udokumentowane wydarzenie w naszych dziejach! – warknął Freeman.

– To sugeruje, że powinniśmy zaczerpnąć z niego wiele lekcji. Niech pan wymieni jakieś.

Freeman umilkł. Jego twarz ponownie pokryła się potem. Splótł palce, jakby chciał powstrzymać ich drżenie.

– Chyba w końcu do pana dotarłem. Znakomicie. Proszę się zastanowić. Wielkie hordy ludzi musiały po trzęsieniu zaczynać wszystko od zera, a opinia publiczna była skłonna im pomóc. To była idealna okazja do przesunięcia priorytetów. Mogliśmy rozważyć, co spośród niezliczonych możliwości, jakie daje nam nowoczesna innowacyjność, jest warte zachowania, a co nie. Minęły lata, w niektórych przypadkach nawet całe dziesięciolecie, nim gospodarka znowu stała się wystarczająco silna, by sfinansować przekształcenie skleconych naprędce osad w coś bardziej trwałego. To prawda, że sami uchodźcy nie mogli działać zbyt wiele, ale co ze specjalistami z zewnątrz, z federalnymi planistami?

– Świetnie pan wie, że prowadzili konsultacje z osadnikami.

– Ale czy pomagali im dokonać ocen wartościujących? Nigdy w życiu. Interesowała ich wyłącznie strona finansowa. Jeśli taniej wychodziło zapłacić jakiejś osadzie za to, by zgodziła się z czegoś zrezygnować, postanawiali, że osada tego nie otrzyma, kierując się błędnym przekonaniem, że osadnicy przysłużą się całemu społeczeństwu, jeśli wykorzystana się ich jako doświadczalne świnki morskie. I co z tego wynikło? Ile pieniędzy przeznaczono na zbadanie, czy osady pozbawione

wideofonów, bez natychmiastowego automatycznego transferu kredytów bądź dostępu do encyklopedii domowej radzą sobie lepiej albo gorzej niż cała reszta kontynentu? Ani grosza! Nawet gdy zgłaszano jakieś niedopracowane propozycje, wszystkim takim projektom ucinano głowy na następnej sesji kongresu, jako nieprzynoszącym zysku. Tylko w Przepaści robiono coś konstruktywnego, i to dzięki pracującym jako ochotnicy amatorom.

– Łatwo jest prorokować po fakcie!

– Ale Przepaść odniosła sukces. Jej założyciele wiedzieli, co pragną osiągnąć, i mieli solidne argumenty na poparcie swych pomysłów. Metoda polegająca na zmianie jednego czynnika i obserwowaniu rezultatów może się sprawdzać w laboratorium, ale w szerokim świecie, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z żywymi ludźmi, w dodatku takimi, którzy przeżyli poważną traumę i stanęli w obliczu podstawowych zagrożeń, takich jak głód, pragnienie i epidemie, nie musimy aż tak upraszczać. Historyczne świadectwa dowodzą, że pewne społeczne struktury są funkcjonalne, a inne nie. Ludzie z Claes uświadomili sobie ten fakt i zrobili co tylko mogli, by zbudować stabilne fundamenty nowej społeczności, nie zawracając sobie głowy próbami przepowiedzenia, co na nich wyrośnie.

– Rozwój... czy uwstecznienie?

– Próba cofnięcia naszej społecznej ewolucji do rozwidlenia dróg, na którym najwyraźniej skrzyliśmy w niewłaściwą stronę.

– Wsparta najróżniejszymi nieudokumentowanymi, na wpół mistycznymi bzdurami!

– Na przykład...?

– Och, powiedzmy, ta śmieszna myśl, że rodzimy się z wdrukowanym modelem pierwotnej rodziny, plemienia łowców-zbieraczy i oryginalnej wersji wioski.

– Próbował pan kiedyś uciszyć niemowlę?

– Co takiego?

– Dobrze pan usłyszał. Ludzie poruszają ustami, by wyprodukować dźwięki mające spowodować zmiany w świecie zewnętrznym. Nikt już nie przeczy, że nawet małe niemowlę posiada wrodzoną zdolność nauczania

się języka. Do licha, wystarczająco wielu naszych małych kuzynów zademonstrowało, że potrafi posługiwać się symbolami! Nikt też nie wątpi w istnienie wzorców zachowania wyrażających status, przywództwo w grupie... Stój, wszystko odwołuję. Właśnie sobie uświadomiłem, że dałem się zmanipulować. Skłonił mnie pan, bym bronił pańskiego punktu widzenia przed sobą samym.

Freeman uspokoił się wyraźnie. Pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Jeśli będzie pan kontynuował, obnaży pan podstawowy błąd kryjący się w pańskim rozumowaniu, prawda? – wyszeptał. – Być może Przepaść rzeczywiście jest na swój sposób funkcjonalna, ale funkcjonuje w izolacji. Pracował pan jako projektant utopii, musi więc pan zdawać sobie sprawę, że nawet najbardziej szalone społeczeństwa mogą przetrwać, jeśli są wystarczająco izolowane od reszty ludzkości. Przynajmniej przez pewien czas.

– Ale Przepaść nie jest izolowana. Każdego dnia od pięciuset do dwóch tysięcy osób wybiera dziesięć dziewiątek i... no cóż, powiada się.

– I w ten sposób przedstawia sytuację panującą na zewnątrz w takich barwach, że mieszkańcy Przepaści drżą i cieszą się, że uniknęli podobnego losu. Wrażenie, jakie odnoszą, może być prawdziwe lub fałszywe, lecz z pewnością jest pocieszające.

Freeman oparł się wygodnie, wiedząc, że zdobył punkt.

– Jak sądzę, pan również poświęcił trochę czasu na słuchanie tych wyznań? – zapytał głosem przypominającym mruczenie kota.

– Tak. Kate też się uparła, że chce to zrobić, choć nie zamierzała osiedlić się tam na stałe i w związku z tym nie była do tego zobowiązana. Traktują tę usługę bardzo poważnie. Połączenia przekazuje się z centrali do prywatnych domów, gdzie jedna dorosła osoba zawsze jest pod telefonem. Zawsze ktoś naprawdę słucha.

– A co z ludźmi, którzy potrafią mówić przez wiele godzin non stop?

– Nie ma ich aż tak wielu i komputery prawie zawsze ich wychwytyją, zanim na dobre się rozkręcą.

– Jak na społeczność dumną z tego, że uniknęła sieci danych, w bardzo wielkim stopniu polegają na komputerach, nieprawdaż?

– Ehe. To być może jedyne miejsce na świecie, gdzie wykorzystują je na sposób chałupniczy. To zdumiewające, jak bardzo użyteczne się stają, kiedy przestajemy sobie zawracać głowę nieistotnymi głupstwami, takimi jak rejestrowanie każdej transakcji wysokości pięćdziesięciu centów.

– Muszę któregoś dnia się dowiedzieć, gdzie pan wytycza granicę: pięćdziesiąt centów, pięćdziesiąt dolarów, pięćdziesiąt tysięcy dolarów... Ale mniejsza z tym. Jak wyglądały te wyznania?

– Byłem zdumiony małą liczbą świrów. Powiedziano mi, że świry się nudzą, gdy tylko się zorientują, że nie zdołają sprowokować kłótni. Ktoś, kto uważa, że wszystkie ludzkie niedoskonałości biorą się z noszenia butów, albo kto przed chwilą znalazł uwiecznione na ścianie toalety publicznej dowody potrzebne do impeachmentu prezydenta, pragnie się spotkać z otwartym sprzeciwem. Jest w tym element masochizmu, którego nie zaspokoi okładanie razami poduszek. Ale ludzie z autentycznymi problemami, to co innego.

– Niech mi pan poda kilka przykładów.

– Proszę bardzo. Frazes, który sam pan nieraz przytaczał w rozmowie ze mną, mówi, że najczęstszą postacią zaburzeń umysłowych jest w dzisiejszych czasach szok osobowościowy. Przed przybyciem do Przepaści nie wiedziałem jednak, jak wielu ludzi ma świadomość tego, że zapada w jego przedkliniczny cień. Przypominam sobie jednego dziobaka, który mówił, że spróbował prezydenckiej sztuczki i udało mu się.

– Co to za sztuczka?

– Niektórzy nazywają ją chodzeniem do meksykańskiej pralni.

– Aha. Ktoś, kto chce uniknąć podatków albo dochodzenia, raz po raz przenosi swój przydział kredytowy z otwartej części sieci do zamkniętej, gdzie nikt nie może go śledzić bez pozwolenia, i z powrotem.

– Tak jest. Gdy nadchodzi pora płacenia podatku dochodowego, zawsze słyszy się ludzi, którzy wspominają o tym, chichocząc z zazdrości. To element nowoczesnego folkloru. Dzięki temu politycy i szychy z hiperkorporacji mogą płacić dziesięć razy niższe podatki niż ludzie tacy jak pan czy ja. No więc, ten dziobak zakamufłował pół miliona. I poczuł porażającą grozę. Nie strach, bo wiedział, że nie mogą go złapać, ale



właśnie grozę. Powiedział, że pierwszy raz w życiu złamał zasady i nigdy nie poczułby takiej pokusy, gdyby żona nie rzuciła go dla bogatszego mężczyzny. Ale gdy już to zrobił i przekonał się, jakie to łatwe... jak będzie mógł komukolwiek zaufać?

– Ale Pomocnemu Słuchaczowi ufał, prawda?

– Tak, i to jest jeden z cudów, jakich dokonała ta usługa. Kiedy byłem kaznodzieją, pogodziłem się z faktem, że łapsy monitorują łącze z moim konfesjonałem, nawet jeśli rozmowa w cztery oczy w samej budce zapewniała w miarę zadowalającą prywatność. Nic też nie mogło ich powstrzymać przed zauważeniem, że podejrzany mnie odwiedził, zaczekaniem, aż wyjdzie, i spuszczeniem mu łomotu, by jeszcze raz powtórzył wszystko, co wyznał. Tego typu nieuczciwość leży u podstaw naszego najgorszego problemu.

– Nie wiedziałem, że uważa pan jakiś problem za najgorszy. Codziennie wynajduje pan nowe. Ale proszę mówić dalej.

– Z przyjemnością. Jeśli z ust zacznie mi lecieć piana, z pewnością jest tu maszyna gotowa otrzeć mi podbródek... do licha! To pełne hipokryzji dzielenie włosa na czworo doprowadza mnie do szału! Teoretycznie każdy z nas ma dostęp do większej ilości informacji niż kiedykolwiek w dziejach, a bramą do niej jest każda budka telefoniczna. Niech pan sobie jednak wyobrazi, że pana sąsiadem jest dziobak, którego nagle wybrano do kongresu stanowego, a sześć tygodni później zafundował sobie remont domu kosztujący sto tysięcy dolarów. Jeśli spróbuje pan dociec, skąd wziął na to forszę, do niczego pan nie dojdzie. Albo niech pan spróbuje znaleźć potwierdzenie, że firma, w której pan pracuje, zostanie sprzedana, a pan wyląduje na bruku bez pracy, z trójką dzieciaków i hipoteką na głowie. Inni ludzie skądś znają te informacje. Co z dzięciołem w sąsiednim gabinecie, który nagle roześmiał się w głos, choć przedtem miał ponurą minę? Czyżby pożyczył pieniądze, żeby kupić akcje firmy, bo wie, że będzie mógł je sprzedać dwa razy drożej i przejść w stan spoczynku?

– Cytuje pan rozmowy z Pomocnym Słuchaczem?

– Tak, oba przypadki są autentyczne. Naginam zasady, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, złamię mnie pan.

– Twierdzi pan, że to typowe przykłady?

– Pewnie, że tak. Ze wszystkich odbieranych rozmów blisko połowa, chyba mówili, że czterdzieści pięć procent, pochodzi od ludzi obawiających się, że ktoś inny zdobył dostęp do informacji, których oni nie znają, i w ten sposób zyskał nad nimi nieuczciwą przewagę. Słyszysz się bardzo wiele zapewnień, że sieć danych nas wyzwoliła, w rzeczywistości jednak większości ludzi przyniosła nowy rodzaj paranoi.

– To zdumiewające, jak mocno identyfikuje się pan z Przepaścią, biorąc pod uwagę, jak krótki czas pan tam spędził.

– Bynajmniej. Zwiemy to zjawisko „zakochaniem się”. Możemy się zakochiwać w miejscach tak samo jak w ludziach.

– W takim razie pierwsza sprzeczka kochanków wydarzyła się dość szybko, prawda?

– Szpila, szpila! Proszę kłuć. Z wyprzedzeniem zrobiłem coś, by zadośćuczynić za swe grzechy. To niewielkie, lecz autentyczne pocieszenie.

Freeman napiął mięśnie.

– Zatem to pan był odpowiedzialny!

– Za powstrzymanie najnowszego rządowego ataku na Pomocnego Słuchacza? W rzeczy samej. I jestem z tego dumny. Nawet pomijając fakt, że to był pierwszy przypadek, gdy wykorzystałem swój talent po to, by pomóc innym, choć nikt mnie o to nie prosił, a do tego nie zależało mi na nagrodzie, co już samo w sobie było wielkim przełomem, ta robota była prawdziwym arcydziełem. Dzięki pracy nad tym zadaniem, w pełni uświadomiłem sobie, że dla artysty akt twórczy może przypominać narkotyki. Dziobak, który napisał oryginalnego tasiemca Przepaści, był naprawdę niezły, ale teoretycznie można by zabić tego robaka bez wyłączenia całej sieci i utraty trzydziestu albo czterdziestu miliardów bitów danych. Pewnie byli już gotowi to zrobić, kiedy się pojawiłem. Ale mój tasiemiec... hej, nie ma mowy! Przysięgam z ręką na sercu, że, by go wyeliminować, trzeba by fizycznie rozebrać całą sieć.

# ZAŁAMANIE SIĘ PRZEDSTAWICIELSKIEGO SYSTEMU RZĄDÓW

OBIEKT HAFLINGER NICHOLAS KENTON WYBRANY

ZAPROPONUJ CZYNNIKI MOGĄCE TŁUMACZYĆ, DLACZEGO OBIEKT ZAKOCHAŁ SIĘ W OSIEDLU PRZEPAŚĆ W STANIE KALIFORNIA

(A) FUNKCJONALNOŚĆ (B) OBIEKTYWNOŚĆ (C) STABILNOŚĆ WZMOCNIJ ODPOWIEDŹ (A)

(A) NA TYM KONTYNENCIE, W WIĘKSZOŚCI OSAD PODOBNYCH ROZMIARÓW DECYZJI DOTYCZĄCYCH USŁUG KOMUNALNYCH NIE MOŻNA JUŻ PODEJMOWAĆ DROGĄ GŁOSOWANIA, PONIEWAŻ POPULACJA JEST SKRAJNIE MOBILNA I GŁOSUJĄCY NIE CHCĄ PŁACIĆ ZA UDOGODNIENIA, Z KTÓRYCH BĘDĄ KORZYSTAĆ ICH NASTĘPCY, NP. LOKALNE DANINY FINANSUJĄCE SZKOŁY, KANALIZACJĘ I REMONTY AUTOSTRAD W DZIEWIĘĆDZIESIĘCIU TRZECH PROCENTACH PRZYPADKÓW ZOSTAŁY ZASTĄPIONE PRZEZ PATERNALISTYCZNE PODATKI NAKŁADANE NA NAJWIĘKSZEGO PRACODAWCĘ \*\*\* CYT. BARKER, PAVLOVSKI & QUAINT WSKRZESZENIE SYSTEMU FEUDALNYCH OBLIGACJI J ANTHROPOL SOC VOL XXXIX STR. 2267–2274

WZMOCNIJ ODPOWIEDŹ (B)

(B) INTENSYWNE INTERAKCJE MIĘDZY OBYWATELAMI DEWALUJĄ INCYDENTALNE ATRYBUTY, NP. STATUS WYKONYWANEJ PRACY LUB WZGLĘDNE BOGACTWO/UBÓSTWO, PODKREŚLAJĄC JEDNOCZEŚNIE CHARAKTER, UMIEJĘTNOŚCI SPOŁECZNE I WIARYGODNOŚĆ \*\*\*CYTAT ANON. NOWE ROLE DLA STARYCH LUDZI ANALIZA ZMIAN STATUSU WŚRÓD OFIAR WIELKIEGO TRZĘSIENIA ZIEMI MONOGRAFIA NR14 SERIA AMERYKAŃSKA APOKALIPSA

WZMOCNIJ ODPOWIEDŹ (C)

(C) POMIMO BLISKIEJ PRZECIĘTNEJ MOBILNOŚCI PODCZAS WAKACJI FLUKTUACJA POPULACJI PRZEPAŚCI JEST NAJNIŻSZA NA KONTYNENCIE I NIGDY NIE PRZEKROCZYŁA JEDNEGO PROCENTA ROCZNIE CYT. ZBIERANE NA BIEŻĄCO DANE EWIDENCJI LUDNOŚCI

DZIĘKUJĘ

## I SYMPATYCZNA LOGIKA LOKALIZACJI

Oboje stali się częścią miasteczka tak szybko, że pozostawało mu jedynie po prostu w to uwierzyć. Oboje z Kate – na którą podziałało to tak samo – nie mogli znaleźć słów, starając się zrozumieć, jak do tego doszło.

Być może najważniejszy był fakt, że działo się tu więcej niż w innych miejscach. Czas wydawał się wypełniony, wykorzystany, użyteczny. W SZ-O czy na UMKC czas dzielono dla ciebie. Jeśli przydzielone ci odcinki były za krótkie, nie mogłeś zrobić zbyt wiele, jeśli zaś były za długie, robiłeś mniej niżbyś mógł. Ale nie tutaj. A mimo to mieszkańcom Przepaści nie brakowało czasu wolnego.

Paradoks.

Spotkali tu bardzo wielu ludzi, nie tak, jak spotyka się ich w nowej pracy albo na nowym kursie, ale po prostu przechodząc od jednego do drugiego. Za pośrednictwem Josha i Lorny (on był inżynierem elektrykiem i rzeźbiarzem; ona jedną z dwojga lekarzy w Przepaści, organistą i publicznym notariuszem) poznali doktora Squibbsa (weterynarza i dmuchacza szkła), a dzięki niemu jego syna Ferdiego Squibbsa (konserwatora sprzętu elektronicznego i genetyka amatora zajmującego się roślinami) oraz jego dziewczynę Patricię Kallikian (programowanie i wszystko co miało coś wspólnego z tkaninami), oni zaś zapoznali ich z...

Można było od tego dostać zawrotów głowy. To był najbardziej spektakularny dowód na to, jak opłacalne było opieranie wszystkiego na zasadzie maksymalizacji użyteczności. Wszyscy spotkani przez nich ludzie zajmowali się co najmniej dwoma zawodami jednocześnie. Nie chodziło przy tym o to, że dorabiali na czarno, by związać koniec z końcem. Po prostu mogli realizować swe upodobania, nie obawiając się nagłego wzrostu świadczeń. Nowo przybyli – przyzwyczajeni do tego, że cena prądu rutynowo wzrasta co roku o pięć procent, a w każdym roku,

w którym dojdzie do stopienia rdzenia reaktora, o dziesięć do dwunastu, ponieważ już od dawna żadna firma nie oferuje ubezpieczenia takich urządzeń i straty mogą pokryć wyłącznie nabywcy – byli zdumieni niską ceną energii w tej samowystarczalnej społeczności.

Wędrując po miasteczku, zorientowali się, jak zmyślnie zaplanowano je od samego początku. Główne centrum, jakim była Średnia Kwadratowa, znajdowało swe odbicia w mniejszych, służących jako ośrodki dla trzystu, może czterystu ludzi. Żadne z nich nie było jednak izolowane ani nie zwracało się do wewnątrz. Każde mogło się też pochwalić jakąś wyjątkową atrakcją, przyciągającą niekiedy mieszkańców innych części miasteczka. Jedno miało boisko do gier zespołowych, drugie basen, trzecie wystawę sztuki z często zmienianymi eksponatami, kolejne zoo dla dzieci z mnóstwem oswojonych, nadających się do przytulania zwierząt, jeszcze inne zaś widok na niewiarygodnie piękne, kwitnące drzewa... i tak dalej. Suzy Dellinger radośnie przyznawała, że założyciele miasta „z premedytacją” skatalogowali wszystko, co czyni życie społeczności przyjemniejszym, a potem przydzielili poszczególne elementy do odpowiednich sektorów osiedla składającego się wówczas z rozpadających się chat, sfatygowanych przyczep kempingowych oraz licznych namiotów.

Poinformowano ich też, że przez pierwsze półtora roku budowniczowie używali wyłącznie materiałów pochodzących z odzysku. Mieli też mnóstwo wyobraźni, pozwalającej nadrobić niemal całkowity brak pieniędzy.

\* \* \*

Nowo przybyłych niemal natychmiast wciągnięto w życie miasteczka. Gdy zatrzymali się, by pogadać z wielkim, muskularnym mężczyzną naprawiającym złącze elektryczne, ten poprosił ich, by pomogli mu przywrócić na miejsce zasłaniającą je kamienną płytę. Kiedy przedstawiono ich Eustace’owi Fenellemu, prowadzącemu popularny bar i restaurację, już po chwili musieli wynieść wielki gar minestrone z wypełnionej cudownymi aromatami kuchni – „skoro i tak idziecie w tamtą stronę!”. Gdy zaś spacerowali po centralnym placu z Lorną Treves,

z jednego z domów wybiegł nagle mężczyzna o pobladłej twarzy. Ucieszył się niesamowicie na widok Lorny, ponieważ – jak powiedział – przed chwilą do niej dzwonił i usłyszał, że jej nie ma. Potem musieli trzymać sterylne bandaże i miskę pełną krwi, podczas gdy lekarka delikatnie usuwała wielki odłamek szkła z nogi wrzeszczącego dziecka.

– Nigdzie przedtem tego nie widziałam – wyszeptała potem Kate. – Tego poczucia, że wszyscy naprawdę starają się pomagać sobie nawzajem. Słyszałam, że coś takiego jest możliwe, ale myślałam, że to przestarzałe.

Skinął głową z zamyśloną miną.

– A najważniejsze jest to, że nie czujesz się poniżony, jeśli ktoś ci pomaga. To właśnie podoba mi się tu najbardziej.

\* \* \*

Rzecz jasna, jednym z pierwszych miejsc, które pragnęli odwiedzić, była siedziba Pomocnego Słuchacza. Brad Compton ostrzegł ich, że nie wygląda ona szczególnie imponująco, po czym przedstawił oboje dyrektor Sweetwater. Po prostu Sweetwater. To wszystko. Była wysoką, chudą kobietą po sześćdziesiątce, a na twarzy i ramionach miała wyblakłe ślady po – jak wyjaśniła – zdobnych plemiennych tatużach. Wierzyła, że jest kolejnym wcieleniem sławnego wodza Szaunisów i ma kontakty z duchami z zaświatów. W swoim czasie prowadziła w Oakland firmę zajmującą się jasnowidzeniem i przepowiadaniem przyszłości.

– Ale... – uśmiechnęła się z przekąsem – ...żaden z moich duchów nie ostrzegł mnie przed trzęsieniem ziemi. Miałam syna i... Och, to już dawne dzieje. Zanim zostałam medium, pracowałam w centrali telefonicznej. Dlatego jako jedna z pierwszych zgłosiłam się na ochotnika do pracy nad tym, co potem stało się Pomocnym Słuchaczem. Wiecie, jak to wszystko się zaczęło? Nie? No dobra, we wszystkich miejscach, w których byli zmuszeni osiedlić się uchodźcy... z reguły znacznie mniej atrakcyjnych niż to, choć szkoda, że nie widzieliście, jak wyglądało w chwili, gdy Gwardia Narodowa zatrzymała nas pod groźbą karabinów i powiedziała: „Tu się zatrzymacie. Ani kroku dalej”... Na czym to stanęłam? Ach, tak, oczywiście. Gdy wszyscy

już się uspokoili, zapragnęli zawiadomić krewnych i przyjaciół, że żyją. Dlatego armia zatrzymała tu trochę polowych ciężarówek telefonicznych i pozwoliła każdemu na jedną pięciominutową rozmowę i na jedną dodatkową próbę, jeśli numer nie odpowiadał. Widziałam, jak niektórzy wracali raz po raz na koniec kolejki, bo za drugim podejściem również się nie dodzwonili, a na trzecie z rzędu im nie pozwalano.

Mówiąc, poprowadziła Kate i Sandy'ego od biblioteki – która, co charakterystyczne, była największym budynkiem w Przepaści – do wąskiej uliczki. Nie przeszli jednak na jej drugą stronę.

– To były straszne czasy – ciągnęła Sweetwater. – Ale nie żałuję, że wtedy żyłam... oczywiście, gdy tylko ludzie się dowiedzieli, że przywrócono łączność telefoniczną, zatkali wszystkie połączenia z Kalifornią, chcąc sprawdzić, co się stało z ich znajomymi i krewnymi. Dzwonili przez całą dobę, nie zważając na telewizyjne apele o nieutrudnianie pracy ratownikom. Pamiętam, że niektóre miasta musieli całkowicie odłączyć. Po prostu odcięli usługi telefoniczne i tyle.

Pokręciła ze smutkiem głową.

– Na koniec byli zmuszeni zmontować centralę dla rozmów przychodzących, bo ludzie, którzy usłyszeli odpowiedź zamiast sygnału zajętego numeru, zwykle uspokajali się przynajmniej na dobę. Jak już wspominałam, zgłosiłam się do pracy w centrali. Z początku traktowałam ludzi ostro. No wiecie, zdawkowo, opryskliwie, jak to tam zwał. „Otrzymacie zawiadomienie, gdy tylko się okaże, że wasz syn/córka/matka/ojciec przeżyli, ale w tej chwili utrudniacie tylko pracę ratownikom. Co byście pomyśleli, gdyby ktoś z waszych bliskich umierał w tej chwili dlatego, że blokujecie linię?”. Potem jednak dokonałam osobliwego odkrycia. Większość dzwoniących wcale nie poszukiwała krewnych i znajomych. Po prostu... bo ja wiem? Chcieli nawiązać kontakt z katastrofą. Jakby szukali pocieszenia w fakcie, że innym wiedzie się jeszcze gorzej. Dlatego czasami, zwłaszcza nocą, pozwalałam im mówić. Byli w tym całkiem dobrzy. Wystarczało im kilka minut katharsis. Mniej więcej w tym samym czasie zjawili się ludzie z Claes. Oni również zauważyli u uchodźców podobne zjawisko. Ludzie po prostu pragnęli

rozmawiać. Nie tylko starsi, którzy stracili piękne domy i wartościowy dobytek, lecz młodszy również. Byli jeszcze gorsi. Pamiętam taką dziewczynę, miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Powinna była zostać sławną rzeźbiarką. Była taka dobra, że w galerii w San Francisco urządzili dla niej indywidualną wystawę. A potem musiała trzymać się drzewa i patrzeć, jak ziemia pochłania wszystko, co miała przygotowane, razem z jej domem, pracownią i podwórkiem. Nigdy już nic nie wyrzeźbiła. Postradała zmysły. Byli też inni... nie prosili o terapię. Pragnęli tylko opowiedzieć ludziom o swoim dawnym życiu. O planach powiększenia domu, o tym, jak chcieli zaplanować ogród, ale przybudówka miała być po północnej stronie, a ogród leżał po południowej; o podróży dookoła świata, na którą wybierali się w przyszłym roku. O planach życiowych zniszczonych przez trzęsienie ziemi.

Zatrzymała się przed nieprzyciągającymi uwagi drzwiami i zerknęła na gości.

– Stąd właśnie wziął się Pomocny Słuchacz. Podczas odbudowy dał nam wspólny cel, a potem włączył się efekt kuli śniegowej.

– Czy to dlatego Przepaść odniosła tak wielki sukces w porównaniu z innymi osadami w strefach dotowanej rezygnacji? – zapytał Sandy. – Ponieważ oferowała usługę cenioną przez innych, zamiast po prostu przyjmować datki z publicznych pieniędzy?

Sweetwater skinęła głową.

– To z pewnością pomogło. Innym czynnikiem był fakt, że rozsądnie korzystaliśmy z ograniczonych zasobów. To jest centrala.

Wprowadziła ich do zaskakująco małej sali. Na kilkunastu wygodnych krzesłach siedzieli tam ludzie ze słuchawkami na uszach. Drugie tyle krzeseł było wolne. W pomieszczeniu było cicho jak w katedrze. Ze słuchawek dobiegały jedynie cichutkie szумы. Ludzie spojrzeli na nich i pokiwali głowami, ani na moment nie przerywając prowadzonych rozmów.

Uwagę nowo przybyłych natychmiast przyciągnęła twarz malująca się na twarzy jednej słuchaczki – atrakcyjnej czarnoskórej kobiety po



trzydziestce. Sweetwater podeszła do niej z pytającym spojrzeniem, ale kobieta pokręciła głową, zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

– To trudny przypadek – wyszeptała Sweetwater, wróciwszy do gości. – Ale skoro uważa, że sobie poradzi...

– Czy to bardzo obciążająca praca?

– Tak – potwierdziła kobieta słabym, znużonym głosem. – Kiedy ktoś wylewa ci na głowę całe życie pełne nienawiści, a potem słyszysz ohydne bulgotanie, gdy podrzyna sobie nożem tętnicę szyjną... tak, to jest trudne. Kiedyś słyszałam, jak szalona kobieta ciskała łyżeczkami witriol na swoje dziecko, przywiązane na krzeselku do karmienia. Chciała się w ten sposób odegrać na jego ojcu. Jak ten biedny dzieciak krzyczał!

– Nie mogłaś nic na to poradzić? – obruszyła się Kate.

– Nie mogłam. Posłuchaj, na tym polega nasza obietnica. Zawsze jej dotrzymujemy. Piekło samotności nie staje się przez to mniej piekielne, ale przynajmniej jest odrobinę mniej samotne.

Zastanawiali się przez chwilę nad jej słowami.

– Czy to wszyscy dyżurni słuchacze? – zapytała wreszcie Kate.

– Bynajmniej. Ta centrala jest przeznaczona dla tych, którzy nie mogą dyżurować w domu, głównie dlatego, że przeszkadzają im małe dzieci. Większość woli pracować w domu. Trzeba też przyznać, że ruch jest teraz słaby. Powinnaś zobaczyć, co się dzieje przy Świącie Pracy, pod koniec sezonu wakacyjnego, gdy ludzie do tej pory ulegający próżnej nadziei, że lato poprawi ich życie, uświadamiają sobie, że wkrótce znowu nadejdzie zima.

– Kiedy będziesz się chciała z nami skontaktować? – zapytał Sandy.

– Nie ma co się śpieszyć. I nie musicie tego robić oboje. Jak rozumiem, Kate nie może tu zostać.

\* \* \*

– Chyba to zrobię – oznajmiła jednak Kate następnej nocy.

– Co zrobisz?

– Zostanę tu. A przynajmniej wyjadę i wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła. To zależy od pozwolenia na przewóz Bagheery.

Poderwał się nagle.

– Mówisz poważnie?

– Z pewnością. Ty chcesz tu zostać, prawda?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Podśluchiwałaś? – zapytał wreszcie.

– Nie. Nie usłyszałam tego od ciebie ani od nikogo innego. Po prostu... chodzi o to, jak się dziś zachowywałaś. Nagle zrobiłaś się pewny siebie. Dosłownie poczułam ten zapach. Myślę, że odnalazłeś w sobie pewność i to pozwoliło ci zaufać ludziom.

– Mam nadzieję, że tak – odparł lekko drżącym głosem. – Bo gdybym nie potrafił im zaufać... myślę jednak, że potrafię. Masz rację, twierdząc, że wreszcie się tego nauczyłem. Dzięki ci, Kate. To ty mnie tego nauczyłaś. Jesteś mądrą kobietą!

– Czy to bezpieczne miejsce? Nie mogą cię stąd ściągnąć do Tarnover?

– Tak mi obiecali.

– Kto?

– Ted, Suzy i Sweetwater. I Brynhilde.

– Kto?

– To było tak...

\* \* \*

Josh i Lorna zaprosili ich na kolację. Josh uwielbiał gotować. Od czasu do czasu zajmował miejsce Fenellego, po prostu dla zabawy. Cieszyło go, że może w jeden wieczór nakarmić pięćdziesiąt osób. Dzisiaj zadowolił się dziesięcioma, ale gdy po kolacji wszyscy goście zasiedli w ogrodzie, zaczęli się zjawiać inni ludzie, pojedynczo i parami. Częstowano ich kieliszkiem wina albo kufłami piwa, aż w końcu liczba uczestników przyjęcia wzrosła do co najmniej czterdziestu.

Przez długi czas stał samotnie w ciemnym kącie, aż wreszcie Ted Horovitz i Suzy ruszyli ku niemu. Najwyraźniej mieli zamiar dołączyć do

Sweetwater, która zmierzała w to samo miejsce.

– Sandy, czy wasze mieszkanie jest w porządku? – zapytał Ted, zauważywszy go.

Nadeszła chwila decyzji. I Sandy ją podjął. Rozprostował ramiona i wyszedł z cienia.

– Chciałbym z wami pogadać. I pewnie z Bradem również.

Wymienili spojrzenia.

– Brad nie przyjdzie – oznajmiła Suzy. – Słucha. Ale Sweetwater jest pierwszą zastępczą radną.

– W porządku.

Dłonie mu się pociły, w brzuchu czuł ucisk, ale głowę wypełniał mu wspaniały spokój. Wszyscy czworo znaleźli dla siebie krzesła i usiedli w pewnym oddaleniu od reszty gości.

– I o co chodzi? – mruknął wreszcie Ted.

Sandy wziął głęboki oddech.

– Przed kilkoma godzinami uświadomiłem sobie, że wiem o Przepaści coś, z czego wy nie zdajecie sobie sprawy.

Czekali.

– Powiedzcie mi najpierw, czy mam rację, sądząc, że Pomocnego Słuchacza broni tasiemiec?

Po chwili wahania Sweetwater wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że to oczywiste.

– Federalne komputery są przygotowywane do zabicia go.

To wywołało reakcję. Troje słuchaczy przesunęło się do przodu na krzesłach. Ted, który właśnie chciał zapalić ulubioną fajkę, nagle o tym zapomniał.

– Nie mogą tego zrobić bez... – zaczęła Suzy.

– Nie interesują mnie szczegóły – przerwał jej Sandy. – Po prostu zakładam, że wypuściliście do sieci największego robaka, jaki kiedykolwiek istniał, i ten robak automatycznie sabotuje wszelkie próby monitorowania rozmów z dziewięcioma dziesiątkami. Gdybym musiał podjąć się takiego zadania, w czasach, gdy po raz pierwszy połączono usługi telefoniczne w sieć, napisałbym go jako ekspansywnego scramblera o długości mniej

więcej pół miliona bitów, z funkcją wirusową tworzącą backupy i replikującym się bez końca ogonem jako ostateczną osłonę. W dwa tysiące piątym przyłączenie robakowi takiego ogona powinno już być w zasadzie możliwe. Nie wiem, czy wasz robak taki ma. To nieważne. Liczy się tylko fakt, że ostatnio, kiedy pracowałem dla SZ-O jako spec systemowy, myszkowałem po sieci znacznie częściej niż wymagali tego ode mnie pracodawcy. Natrafiłem tam na coś, czego znaczenie uświadomiłem sobie dopiero dzisiaj.

Słuchali z uwagą każdego jego słowa.

– Przez około osiemnastu miesięcy rutynowo kopiowali dane klasy A Plus z SZ-O oraz wszystkich innych korporacji o najwyższym rankingu użyteczności państwowej, i wszystkie te dane zapisywali poza siecią. Myślę, że mieli już dość tego, że menedżerowie z hiperkorporacji ciągle nabierają ich na prezydencką sztuczkę i inne tego typu numery. Dlatego potrzebowali standardowego odnośnika, do którego mogliby się odwoływać. Nie przyszło mi do głowy, że to mogą być wstępne przygotowania do zabicia robaka. Nawet się nie domyślałem, że tak wielki robak znajduje się na wolności, ale teraz dostrzegam implikacje. I wy również, he?

– Masz świętą rację! – zawołał śmiertelnie pobladły Ted. – To czyni bezużyteczną funkcję wirusową, nie wspominając już o prostej funkcji scramblera. Swoją drogą, nasz wirus nie ma ogona, o jakim wspominałeś. Potem pomyśleliśmy, że moglibyśmy coś takiego dodać... ale cierpliwość Waszyngtonu dla Pomocnego Słuchacza zaczynała się wyczerpywać i nie chcieliśmy irytować władz.

– Muszą nas nienawidzić – zauważyła Sweetwater. – Naprawdę nienawidzą Przepaści.

– Boją się nas i tyle – poprawiła ją Suzy. – Ale... Och, trudno mi uwierzyć, że są gotowi posprzątać bałagan, jakiego narobiłby nasz robak. Jak rozumiem, on działa w dwóch fazach. Jeśli ktoś próbuje monitorować rozmowę z Pomocnym Słuchaczem, scrambler najpierw załatwia najbliższy węzeł sieci, a jeśli spróbują go zabić, znajdą tylko trzydzieści miliardów zmieszanych losowo bitów i nie będą wiedzieli, w którym

miejscu doszło do uszkodzenia. Mogą upłynąć lata, zanim wszystkie dane do nich wrócą. Nigdy nie mieliśmy okazji sprawdzić, czy funkcja wirusowa rzeczywiście działa, ale przednia część, scrambler, spisuje się znakomicie. FBPD przekonało się kiedyś o tym na własnej skórze.

Sandy skinął głową.

– Ale teraz są już gotowi poradzić sobie ze stroną wirusową. Jak wspomniałem, wycofali z sieci cały materiał o najwyższym rankingu użyteczności i potem mogą wprowadzić go z powrotem.

Oparł się wygodnie i sięgnął po kieliszek.

– Jesteśmy wdzięczni, Sandy – zaczęła Sweetwater po chwili ciszy. – Chyba powinniśmy zabrać się do myślenia, żeby sprawdzić, co...

– Nie – przerwał jej. – Ja to zrobię. Potrzebujecie robaka o zupełnie innej strukturze. Nazywają je samoreplikującymi się fagami. Pierwsze, czym będziecie musieli go nakarmić, to wasz poprzedni robak.

– Samoreplikującymi się fagami? – powtórzyła Suzy. – Nigdy nie słyszałam tej nazwy.

– Nic w tym dziwnego. One są dość niebezpieczne. Często wykorzystywano je w kryzysowych sytuacjach. Na przykład, podczas wyborów można zamaskować takiego faga i przemycić go na listę członków opozycyjnej partii, licząc na to, że przeciwnik zapomniał zrobić backupy. Ale w kontynentalnej sieci krąży ich bardzo niewiele, a największy pozostaje nieaktywny do chwili otrzymania wezwania. Jeśli cię to interesuje, stworzono go w miejscu zwanym Elektrycznym Deszczem, a jego zadaniem jest wyłączenie sieci w sytuacji, gdyby mogła ją przejąć armia najeźdźców. Mam wrażenie, że potrzebowałby do tego trzydziestu sekund.

Ted zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz tak wiele o tych fagach? – spytał.

– No więc... – Sandy zawahał się, ale po chwili ruszył przed siebie. – Mój fag osłania mnie od sześciu lat i świetnie sobie z tym radzi. Nie widzę powodu, by drugi, podobny, nie mógł zrobić tego samego dla Pomocnego Słuchacza.

– A po cholerę ci coś takiego?

Z ogromnym wysiłkiem panując nad głosem, opowiedział im wszystko. Wysłuchali go z uwagą. A potem zrobił coś niezwykłego.

Zagwizdał przenikliwie. Brynhilde wstała z miejsca, gdzie stała na straży, i podeszła do nich.

– Czy ten dziobak kłamie? – zapytał ją mężczyzna.

Obwąchała krocze Sandy'ego – nieśmiało, jakby krępowała ją podobna natarczywość – potrząsnęła głową i wróciła na miejsce.

– W porządku – zgodziła się Suzy. – Czego dokładnie potrzebujesz i jak długo to potrwa?

## PIES NA ŁAŃCUCHU

– To wykluczone – skwitował doktor Joel Bosch. – Z całą pewnością kłamie.

– Nasze metody wykluczają wszelkie ryzyko świadomego kłamstwa – odparł cierpliwie Freeman, bardzo jasno zdając sobie sprawę, że przebywa w tym samym gabinecie, i być może nawet siedzi na tym samym krześle, co Nickie Haflinger w chwili, gdy spotkał świętej pamięci Mirandę.

– Najwyraźniej się pan myli – zapewnił dziarsko Bosch. – Bardzo dobrze znam prace Lilleberga. To prawda, że udało mu się osiągnąć trochę spektakularnych, nietypowych rezultatów, ale wyjaśnienia, jakie przedstawił, były zwykłymi wykrętami. Obecnie wiemy już, jakie procesy trzeba wykorzystać, by osiągnąć podobne wyniki. Lilleberg nigdy nawet nie udawał, że zrobił z nich użytek. One po prostu nie istniały przed jego przejściem na emeryturę.

– Tak zwana hipoteza Lilleberga wywołała spore kontrowersje – nie ustępował Freeman.

– Te kontrowersje dawno już rozstrzygnięto! – warknął Bosch. – Obawiam się, że... niespecjalista taki jak pan, będzie miał trudności ze zrozumieniem osiągniętego rozwiązania – dodał, z wysiłkiem starając się zachować uprzejmniejszy ton. – Przykro mi, ale w pańskich metodach

przesłuchania musi być jakiś błąd. Sugeruję, by poddał je pan ponownej ocenie. Do zobaczenia.

Pokonany Freeman wstał z krzesła. Nagle złapał go tik w lewym policzku.

## CHWILA PRZERWY

Z zewnątrz dobiegał cichy warkot motocykli. Szczep się zebrał. Wewnątrz krążyła w tę i we wtę, porażona niezdecydowaniem. Paznokcie miała obgryzione do żywego.

– ...po czymś takim oczywiście nie mogłam już dłużej z nim mieszkać. Po prostu nie mogłam! Popisywał się przed całą dzielnicą, nie obchodziło go, czy ludzie się dowiedzą, co kombinuje.

Odgłos silników ucichł. W kącie stał telefon, ale ona nie chciała do niego podejść, nawet teraz.

– ...po prostu tam siedzieć? Zostałam tu zupełnie sama, już trzecią noc z rzędu. W zeszłym tygodniu było tak samo. W imię Boże, niech ktoś przyjedzie, postawi stopy na tych pustych, zakurzonych schodach i...

– Jeśli się dowie, zabije mnie. Wiem, że to zrobi. Ale kiedyś zadzwoniłam do nich i dzięki temu zachowałam zdrowe zmysły. A przynajmniej trafiłam tutaj, nie popełniając samobójstwa. Dzisiaj to ktoś inny... ale wiem, że Jemmy zabiłby mnie, gdyby się domyślił.

– ...nie tyle pije, ile źłapie, jasne? Jezu, wcale bym się nie zdziwiła, gdybym zobaczyła, że myje sobie zęby gorzałą. Gdyby wprowadzili pastę o smaku burbona, byłby pierwszym klientem, chociaż nie myje zębów za często. Są spróchniałe i śmierdzą tak, że...

Wreszcie, z poczuciem fatalizmu, podeszła do telefonu. Potrzebowała dwóch prób, by wybrać numer. Za pierwszym razem pomyliła cyfry w trakcie wybierania. Ekran się zaświecił.

– Hej! – wyszeptała z desperacją, jakby Jemmy mógł ją usłyszeć z odległości wielu kilometrów. – Jeśli macie coś zrobić, zróbcie to szybko!

No wiecie, mój syn jeździ w szczepie Czarnych Dup i właśnie wyruszyli na mecz w...

– Skontaktowała się pani z Pomocnym Słuchaczem – przerwał jej dziewczęcy głos. – Istniejemy wyłącznie po to, by słuchać. Nie podejmujemy działań, nie interweniujemy ani nie prowadzimy rozmów. Jeśli potrzebuje pani pomocy, proszę się zgłosić do oficjalnych służb.

Głupie, śmierdzące cykory! No dobra, co właściwie jestem im winna? Niech sami się przekonają, jacy z nich durnie. Nie chcą przyjąć pomocy, kiedy ktoś im ją ofiaruje...

Ale szczepy z pewnością zaraz tam się zjawią. Będą palić i burzyć, plądrować i zabijać. Pamiętam mojego brata Archiego. Oko zwisało mu z oczodołu, opadając na policzek. Miał tylko dziewiętnaście lat.

Jeszcze jedna próba. Potem mogą sobie iść do diabła, jeśli tego chcą.

– Tym razem proszę mnie wysłuchać! Chcę was ostrzec! Mój syn, Jemmy, wyjechał z Quemadury ze szczepem Czarnych Dup. Mają mecz z Mariachis z San Feliciano. Rywalizują o to, kto spali więcej domów w Przepaści. Ich wódz ma mózdzierz, wysłuchajcie mnie. Prawdziwy wojskowy mózdzierz, a do tego skrzynkę naboju! Kiedy Jemmy się dowie, pobije mnie na śmierć – zakończyła tonem bliskim płaczu. – Ale nie mogłam na to pozwolić. Musiałam was ostrzec!

## SWOBODNE PRZEJŚCIE NA WYŻSZY BIEG

– Wezwijcie szeryfa!

Usłyszawszy jego krzyk, wszyscy dyżurujący na tej spokojnej zwykle zmianie w Pomocnym Słuchaczu – w tym również Kate, która przechodziła szkolenie pod nadzorem, zanim pozwolą jej na odbieranie rozmów w domu – przeszli go wściekłymi spojrzeniami.

– Psst, rozmawiam – odezwał się ktoś.

– Dwa szczepy jadą do Przepaści na mecz. Jeden z nich ma wojskowy mózdzierz!



To poskutkowało. Ludzie poderwali się do działania. Było już jednak nieco za późno. Kate złamała zasady, zdejmując słuchawki, i oznajmiła:

– Przed chwilą musiałam przerwać rozmowę, w której wspomniano coś o plemiennym meczu. Zastanawiam się, czy...

Podczas gdy pozostali nadal biegali nerwowo, on odwrócił się i spojrzał na nią.

– Przerwałaś rozmowę, w której ktoś próbował nas ostrzec? – zapytał.

Jej odpowiedź zagłuszył dźwięk, jakiego nikt dotąd w Przepaści nie słyszał. Nikt też nie chciałby usłyszeć go po raz drugi. Nagle poczuli się jak uwięzieni w największych organach na świecie. Organista grał w pełnym diapazynie, o przyprawiający o zgrzytanie zębów włos od czystego tonu. Lokujący się gdzieś między ujadaniem a wyciem głos stu pięćdziesięciu ogromnych psów odpowiadających na zew przewodnika stada.

*Wrrr-UUU...!*

\* \* \*

Na straży pozostały jedynie szczeniaki oraz suki karmiące mioty. Reszta sił Natty'ego Bumpo pognąła w noc, podążając za wonią strachu, jako że samo wycie wystarczyło, by wprowadzić zamieszanie w szeregi napastników. Rozległy się strzały i jeszcze raz wypalono z moździerza, ale niecelnie.

Po trzydziestu minutach psy zapędziły szczepowców, zapłakanych, krwawiących i rozbrojonych, by zabandażowano im rany od pokąsania. Następnie zamknięto ich w rozmaitych komórkach i piwnicach. W miasteczku nie było prawdziwego więzienia. Dwa psy postrzelono, w tym jednego śmiertelnie. Trzeci został pchnięty nożem, ale wyżył. Aresztowano trzydziestu siedmiu szczepowców, niespodziewających się starcia z przeciwnikiem tego kalibru. Najstarszy miał osiemnaście lat.

Było już jednak za późno, by uratować dom na skrzyżowaniu Koła Wielkiego i Błądzenia Losowego.

## POCZUCIE KRZYWDY

Po policzkach obiektu spływały łzy. Instrumenty doradzały przywrócenie go do trybu czasu teraźniejszego. Zgodnie z ich wskazówkami, Freeman zaczął cierpliwie na pełen powrót do świadomości.

– To ciekawe, że tak silnie zareagował pan na zniszczenie domu, do którego ledwie miał pan czas się przyzwyczać – odezwał się wreszcie. – Co więcej, nawet gdyby wysłuchano pierwszego ostrzeżenia, nie byłoby czasu na uratowanie pańskiego domu. Już pierwszy pocisk w niego uderzył.

– Nie ma pan serca. Ani duszy!

Freeman zachował milczenie.

– Achch! Jasne, jasne, wiem. Kate przestrzegala przepisów. Zrozumiała je szybciej ode mnie. Zasady obowiązujące w Pomocnym Słuchaczu zabraniają odbiorcy przyjmowania telefonów, które każą mu coś zrobić. Od tego są publiczne usługi. Nawet gdyby kobieta, która dzwoniła, zdołała przekazać ostrzeżenie w ciągu pierwszych dwóch sekund, reakcja i tak byłaby taka sama. Każą słuchaczom dewaluować wszystkie rozmowy, które zaczynają się od historycznych ostrzeżeń, bo w dziewięciu przypadkach na dziesięć to jest religijny maniak grożący nam gniewem bożym. Nam, to znaczy Przepaści. Pewnie zdawałem sobie z tego sprawę już wtedy. Równie dobrze wiedziałem, że nie ma sensu wściekać się i wrzeszczeć na nią, ale i tak to zrobiłem. Gapiłem się na wypalone ruiny domu, oczy szczypały mnie od dymu, a nos wypełniał mi smród. Kilkanaście osób próbowało mnie uspokoić, ale nic to nie dało. Całkowicie straciłem panowanie nad sobą. Myślę, że właśnie wtedy uwolnił się potencjał gniewu, który gromadziłem w sobie od dzieciństwa. Na koniec... – Musiał przełknąć ślinę, żeby mówić dalej. – Zrobiłem coś, co nie zdarzyło mi się od dziesiątego roku życia. Uderzyłem kogoś.

– Łatwo przewidzieć, że to była Kate.

– Tak, oczywiście. I... – Roześmiał się, choć na jego policzkach nadal błyszczały łzy. – I po sekundzie leżałem na ziemi, Brynhilde wspierała łapę na mojej piersi, a jej wielkie zębiska wisały tuż nad moją twarzą.

Potrząsała głową. Mógłbym przysiąc, że mówiła: „A fe, niegrzeczny chłopiec!”. Żałuję, że nie zrobiła tego trochę szybciej, bo już nigdy więcej nie widziałem Kate.

Śmiech ucichł. Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

– Aha. Zatem utrata domu wstrząsnęła panem tak mocno, ponieważ reprezentował on związek z Kate.

– Nic pan nie pojmuje. Nawet milionowej części prawdy. Cała ta scena, cała struktura, wyrażała poczucie utraty. Nie tylko dom, choć właśnie w nim po raz pierwszy wyczułem wszystkie niuanse tego słowa, i nie tylko Kate, mimo że przy niej po raz pierwszy uświadomiłem sobie, co implikuje słowo „miłość”. Nie, ponad tym wszystkim było jeszcze coś znacznie mi bliższego. Kontrola, która pozwalała mi dowolnie zmieniać tożsamość, uleciała na wietrze, gdy tylko sobie uświadomiłem, że uderzyłem osobę, której najbardziej na całym świecie nie chciałem skrzywdzić.

– Jest pan pewien, że dotrzymałaby złożonej mimochodem obietnicy, że wróci z Kansas City? Niewiarygodnie trudno byłoby jej otrzymać pozwolenie na przewóz tej oswojonej pумы. Na jakiej podstawie sądzi pan, że mówiła szczerze?

– Między innymi na tej, że dotrzymała obietnicy złożonej temu zwierzakowi. Kate nie zwykła zapominać o zobowiązaniach. Wtedy domyśliłem się też drugiego powodu, dla którego ciągle zapisywała się na niepowiązane ze sobą kursy na tym samym uniwersytecie. Krótko mówiąc, pragnęła wytworzyć sobie obraz świata zawierający odrobinę wszystkich możliwych elementów, ale oglądany z tego samego miejsca, z tej samej perspektywy. Była gotowa kontynuować to jeszcze przez dziesięć lat, gdyby okazało się to konieczne.

– Ale potem poznała pana, i życie z panem okazało się równie pouczające. Rozumiem. No cóż, potrafię to zaakceptować. Dziesięć lat w Tarnover, za trzy miliony rocznie, powinno dać panu wystarczająco wiele danych do przekazania innym.

– Podejrzewam, że pańskie poczucie humoru ogranicza się do ironii. Śmieje się pan czasem z kawałów?

– Rzadko. Słyszałem już prawie wszystkie.

- Z pewnością na liście ludzkich cech, które próbuje pan poddać analizie, humor zajmuje miejsce za grzechem.
  - Tuż za nim. H następuje po G.
- Nastąpiła chwila przerwy.
- Wie pan co? Pierwszy raz nie jestem pewien, czy pan mi kituje.
  - Musi pan to rozstrzygnąć sam. – Freeman wstał i przeciągnął się. – Będzie pan miał o czym myśleć do następnej sesji.

## PIERWSZY CIOS

Po tym, jak uderzył Kate...

Fakt, że cały jego świat przybrał barwy goryczy, nie był żadnym usprawiedliwieniem. Niektórzy z jego nowych sąsiadów – nowych przyjaciół – byli wystarczająco dojrzały, by dostrzec, że w gruzach leżał nie tylko jeden dom, lecz całe miasto.

Zresztą, jakie przeprosiny mógłby zaoferować w kontekście, w którym nawet psy rozumiały różnicę między siłą a przemocą? Szczepowców, którzy uważali, że ostrzeliwanie spokojnego osiedla z moździerza to świetna zabawa, aresztowano. Wielu naznaczyły ślady zębów, ale ukąszenia były ściśle kontrolowane. Ta ręka trzymała pistolet albo nóż; dlatego te właśnie palce musiały się rozewrzeć, by broń z nich wypadła. Ta para nóg umożliwiała właścicielowi ucieczkę; dlatego tę właśnie kostkę ukąszone wystarczająco mocno, by się przewrócił. Wszystko miało swoje powody.

A powód, dla którego uderzył Kate, nie był dobry. Wytłumaczyli mu dlaczego, cichymi, cierpliwymi głosami. Głuchy na ich argumenty, ciskał fałszywe oskarżenia zmieszane z obelgami, aż wreszcie popatrzyli na siebie nawzajem, wzruszyli ramionami i odeszli.

Przez całą noc siedział na pniaku i gapił się na spalony dom. Choć nie było zimno, serce wypełniał mu arktyczny chłód przemożnego wstydu, jakiego nie znał od czasów dzieciństwa.

Na koniec po prostu odszedł, nie dbając o to, dokąd idzie.

\* \* \*

Po wielu godzinach dotarł do miejsca, które wyrzygało na Przepaść szczep Czarnych Dup. Był spocony i pokryty kurzem po całodziennym wędrówce, a buty budziły odrazę jego stóp, lecz mimo to odnosił wrażenie, że widzi przed sobą osad ludzkiego okrucieństwa, zmaterializowaną wersję żądz krwi, jej ektoplazmę.

– Nie wiem kim jestem – oznajmił niezainteresowanemu przechodniowi, wchodząc do Estremadury.

– Cholera, ja też nie wiem, kim pan jest – warknął nieznajomy i ruszył przed siebie.

Zastanowił się nad tymi słowami.

## IGNORANTIA NIHIL EXCUSAT

Ted Horovitz wprowadził konieczne poprawki do standardowego listu, nacisnął klawisz „drukuj” i przeczytał tekst, który wyłonił się z drukarki. Dzięki Bogu, to był ostatni z trzydziestu siedmiu listów.

*Droga Pani Young, Pani syna Jabeza aresztowano wczorajszej nocy. Znaleziono przy nim cztery sztuki śmiertelnej broni, w tym pistolet, z którego strzelał przed zaledwie kilkoma minutami. Rozprawę wyznaczono na 10:10 rano. Może skorzystać Pani z porady swojego prawnika. W takim przypadku przekaze mu się konspekt dowodów. Zapewniamy, że w przeciwnym razie sąd wyznaczy Jabezowi kompetentnego adwokata. Pani syn oznajmił, że nie zdawał sobie sprawy, że zgodnie z obowiązującym u nas kodeksem kara za popełniony przez niego czyn wynosi co najmniej rok resocjalizacji pod nadzorem. Podczas tego czasu skazanemu nie wolno opuszczać miasteczka. (Górna granica długości kary nie istnieje). Proszę*

*zwrócić uwagę, że jedna z najstarszych zasad prawniczych głosi „nieznajomość prawa nie jest usprawiedliwieniem”. Oznacza to, że nie może się ona stać podstawą obrony ani apelacji. Z poważaniem, itd.*

– To by było na razie wszystko, dopóki sąd się nie zbierze, tak? – zapytał, spoglądając z nadzieją na Brada Comptona, pełniącego między innymi funkcję głównego doradcy prawnego miasteczka.

– Jak dla mnie tak – mruknął Brad. – Ale nie ciesz się przedwcześnie. Rozmawiałem dziś rano ze Sweetwater. Najwyraźniej odkryła coś, co powinieneś...

– Ted! – dobiegł ich zza drzwi piskliwy głos.

– Prawie że mógłbym uwierzyć, że jest telepatką – stwierdził z westchnieniem Ted, opróżniając fajkę, by napęłnić ją na nowo. – Proszę, Sweetwater, wejdź!

Weszła do środka, niosąc stertę złożonych wpół wydruków komputerowych, którą zwała na biurko obok Teda. Potem osunęła się na krzesło i uderzyła w papiery otwartą dłonią.

– Wiedziała. Wiedziała, że to, co powiedział nam Sandy tego wieczoru u Josha i Lorny, coś mi przypomina. To było dawno temu, przeszło jedenaście lat, ale coś takiego zdarza się tylko raz w życiu. Gdy tylko zaczęłam grzebać, natrafiałam na korelację po korelacji. Przyjrzyj się temu.

Ted spełnił jej prośbę, marszcząc brwi. Brad stanął za jego krzesłem, żeby czytać mu przez ramię.

Zapadła długa cisza, maćona jedynie szelestem złożonych w harmonijkę kartek.

– Mamy o nim jakieś wiadomości? – zapytał wreszcie Ted, nie unosząc wzroku.

Sweetwater pokręciła głową.

– I o Kate też nie.

– Kate wyjechała – wyjaśnił Brad. – Szynobusem około siódmej trzydzieści. Ale nikt nie wie, co się stało z Sandym.

– Za to wszyscy wiemy, co może się z nim stać – mruknął Ted. – Mam rację?

Oboje skinęli głowami.

– Lepiej zawiadam Suzy – rzekł Ted, opierając się wygodnie. – Mam wniosek do zgłoszenia na radzie.

– Chcesz zrobić Sandy'ego wolnym obywatelem Przepaści? – zasugerowała Sweetwater. – Ogłosić, że jego obrona jest naszą obroną?

– Ehe.

– Oczywiście, masz mój głos. Ale...

– Ale co?

– Zapomniałeś? Nie wiemy, kim on jest. Powiedział nam, co robi, ale zapomniał się przedstawić.

Tedowi opadła szczęka.

– A jego kod? – zapytał po krótkiej chwili.

– Sprawdziłam to natychmiast. Jego kod nie istnieje. Skasowano go. Ochronny fag z pewnością zniknął razem z nim.

– To utrudnia nam zadanie – przyznał Brad. – Myślę jednak, że i tak powinniśmy to zrobić. Nie wątpię, że Suzy się ze mną zgodzi, gdy tylko przeczyta odkryte przez ciebie informacje.

## WPADKA

– To ciekawe. Bardzo ciekawe. Mogłoby zaoszczędzić nam mnóstwa kłopotów. Hej, Perce!

– Słucham?

– Znasz taką dziurę, która nazywa się Przepaść? W Kalifornii? Wygląda na to, że tamtejszy szeryf posunął się o jeden krok za daleko.

– Och, Gerry. Och, Gerry! Gdybyś nie był tu nowy, już byś zrozumiał, że Przepaść nigdy nie może posunąć się za daleko. Dziobaki z Claes, które spisały umowę z rządem, były największymi cwaniakami, jacy

kiedykolwiek strzygli waszyngtońskie owce. Niemniej spróbuję. Fajnie by było ich osłabić. Co znalazłeś?

– No więc, aresztowali tych szczepowców i...

– I co?

– Popatrz na wyroki, jakie im wlepili!

– Nie wolno im opuszczać miasteczka przez co najmniej rok, muszą zaakceptować psa strażnika, po jednym na każdego... i co z tego?

– Do cholery, psa?

– Tam mają naprawdę dziwne psy. Nie sprawdziłeś tego, tak?

– Hmm, chyba...

– Daj spokój, nie sprawdziłeś. A skoro tak, co właściwie spodziewałeś się osiągnąć?

– Bo ja wiem, może nakaz sądowy? W oparciu o okrutną i wymyślną karę. Albo nawet porwanie. No wiesz, jeden z tych szczepowców ma dopiero trzynaście lat.

– W czterech stanach rutynowo akceptują wnioski o uznanie, że oskarżony może stanąć przed sądem, jeśli ukończył trzynaście lat. Jednym z tych stanów jest Kalifornia. Dobrze by było, gdybyś sprawdził trzy pozostałe. Jeśli zaś chodzi o okrutną i wymyślną karę, powinieneś się dowiedzieć, że w kraju nadal jest jedno miasto, w którym można legalnie spalić skazanego na stosie, pod warunkiem, że nie robi się tego w niedzielę. W ostatnich latach rzadko korzystają z tego prawa, ale go nie odwołali. Wracaj do roboty, dobra? Ty tu sobie gadasz, a tymczasem na pewno wprowadzili do sieci nowego tasiemca.

\* \* \*

Przerwa.

\* \* \*

– Perce!



- O co chodzi tym razem?
- Pamiętasz, co mówiłeś o tasiemcu?
- O Boże, to był żart. Chcesz powiedzieć, że znowu splunęli nam w twarz?
- Sam zobacz. To dość... spektakularne, co?
- Spektakularne to za mało powiedziane. Chyba już czas na jego pierwszą ofiarę. Ty go znalazłeś, więc teraz idź powiedzieć panu Hartzowi, że trzeba odwołać atak na Pomocnego Słuchacza.
- Co takiego?
- Słyszałeś, co powiedziałem. Zanieś dobrą wiadomość z punktu Y do punktu X! Jeśli spróbujemy to ruszyć... o mój Boże! Chaos ogarnie całą sieć najpóźniej po minucie. Pośpiesz się!

## WIELKI NAMIOT

W żołądku czuł kwas z głodu, a w gardle zaschło mu od pyłu. Wędrował pogrążającymi się w mroku ulicami Quemadury, ledwie zdając sobie sprawę z tego, że ulega trendowi. Ludzie i pojazdy zbliżali się ze wszystkich stron. Dał się ponieść tłumowi. Wyczerpany i bierny, ignorował rzeczywistość, aż wreszcie ktoś się do niego odezwał.

- Cholera, dzięcioł, jesteś głuchy czy głupi?  
Słucham?

Wyszedł z poczwarki przeciążenia, zamrugał i zorientował się, gdzie się znajduje. Widział już przedtem to miejsce, ale tylko w trójwymiarze, nigdy w rzeczywistości. A przede wszystkim nigdy nie czuł jego zapachu. W powietrzu unosił się tu gęsty odór przerażonych zwierząt i podekscytowanych ludzi.

Wiele migających z bolesną jasnością neonów potwierdzało jego odkrycie. Niektóre z nich oznajmiały, że to Cyrk Bocconi, inne, dyskretniejsze, informowały, że za jedenaście minut rozpocznie się

widowisko w rzymskim stylu. Na jego oczach jedenaście zmieniło się w dziesięć.

– To jakie miejsce pan chce? – wychrypiał ten sam gderliwy głos co poprzednio. – Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści?

– Hmm.

Pogrzebał w kieszeni i znalazł trochę banknotów. Dla wywołania odpowiedniego wrażenia bilety na widowisko sprzedawał żywy człowiek, mężczyzna o naznaczonej blizną twarzy, któremu brakowało paru palców u prawej ręki. Skrzywił się na widok gotówki, ale maszyna stojąca przy jego budce uznała, że pieniądze są autentyczne, i wydała bilet za dziesięć dolarów.

Zastanawiając się, co właściwie tutaj robi, podążył za neonami powtarzającymi \$10, \$10, \$10. Wkrótce znalazł się w sali, być może przerobionej z hangaru lotniczego. Były tam nieosłonięte trybuny oraz łoże, otaczające arenę. Maszyny rozwieszały dekoracje o nieautentycznym wyglądzie, banery z łacińskimi sloganami pełnymi błędów ortograficznych i plastikowe różgi liktorskie owinięte wokół tępych, plastikowych toporów.

Posuwając się z mechaniczną uprzejmością ku pustemu krzesłu w wysoko położonym rzędzie, skąd widok był raczej kiepski, bezwstydnie podsłuchiwał rozmowy przybyłych wcześniej, podekscytowanych widzów.

– Marnują te aligatory na dzieci, niech to szlag! No wiesz, nienawidzę swoich bachorów równie mocno jak każdy, ale jeśli możesz dostać prawdziwe, żywe aligatory... niech to szlag!

– Mam nadzieję, że pokażą dziś trochę białych. Mam już po dziurki w nosie oglądania czarnych. Każdy chce walczyć w pojedynkę z lwem jak jego dziadek, ale sam się naćpał najmocniejszego kwasu!

– Oczywiście wszystko to pic na wodę. Umieszczają w mózgach zwierząt sterowane radiem implanty, żeby nikomu nie zrobiły krzywdy, bo stawki ubezpieczeniowe są wysokie...

– Pięć minut! – obwieścił potężnie wzmocniony głos. – Za pięć krótkich minut zacznie się wielkie widowisko. Po jego rozpoczęciu z całą pewnością absolutnie nikt nie będzie wpuszczony na trybuny! Pamiętajcie, że tylko Cyrk Bocconi jest transmitowany na żywo, na żywo, na żywo, w czasie

rzeczywistym na całym zachodnim wybrzeżu! Nagrywamy też wszystko, by potem pokazać to na mniej fartownych obszarach kontynentu!

Nagle poczuł nieokreślony strach. Rozejrzył się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale napływały wciąż nowe, gęste tłumy widzów, a on nie chciał przepychać się pod prąd. Poza tym zmierzała ku niemu kamera zamontowana na zginającym się metalowym ramieniu przypominającym przednie odnoże modliszki. Zwisało ono z miniaturowego elektrycznego wózka, poruszającego się na szynie pod dachem. Miał wrażenie, że jej podwójne, złożone oko patrzy na niego. Nie miał ochoty oglądać przedstawienia, ale tym bardziej nie chciał przyciągać uwagi, wychodząc w jego trakcie.

Oplótł się ramionami, jakby chciał powstrzymać drżenie.

To tylko godzina, pocieszył się.

\* \* \*

Początkowe występy udało mu się zlekceważyć, choć podczas drugiego czuł mdłości zbierające się u nasady przętyku. Z Iraku sprowadzono autentycznego pożeracza węży, brzydkiego mężczyznę o wypukłym czole sugerującym, że jest idiotą dotkniętym wodogłowiem. Irakijczyk spokojnie podsunął język wężowi, a gdy ten zaatakował, wciągnął język do ust, odgryzł gadowi głowę i połknął go w całości. Następnie wyprostował się nieśmiało, dziękując z uśmiechem za wrzaski zachwyconej publiczności. Potem urządzono stylizowaną walkę gladiatorów – ukłon w stronę „rzymskiego” charakteru przedstawienia. Walka zakończyła się w ten sposób, że sieciarz krwawił z rany w nodze, a właściwy gladiator – człowiek z mieczem i tarczą – chodził po arenie dumny jak paw, mimo że nie zrobił niczego zasługującego na poklask.

Czuł, że w jego umyśle narasta głucha niechęć.

To odrażające. Parodia rzymskich igrzysk, oszukańcza od początku do końca. Wstrętne. Ohydne. Tu właśnie rodzice uczą się wychowywać dzieci tak, by bawiło je wyszczepowanie domu kogoś obcego. Tu uczą nas, byśmy pamiętali, jak zabiliśmy matkę. Ucieliśmy jaja ojcu. Zjedliśmy noworodka,

żeby rodzice nie pokochali go bardziej od nas. To chore. Wszystko to jest chore. Chore i szalone.

W Tarnover istniało coś w rodzaju cyrkowej subkultury. Miało to coś wspólnego z kierowaniem agresji w akceptowalne społecznie kanały. To wspomnienie przerodziło się już jednak w blade echo. Głowę wypełniał mu straszliwy zamęt. Był głodny, spragniony i pod każdym względem czuł się okropnie.

– A teraz krótka przerwa, by do świata mogły dotrzeć wiadomości od naszych sponsorów – zagrzemiał mistrz ceremonii przez straszliwie głośny megafon. – Pora, bym zaznajomił was z wyjątkową atrakcją naszych rzymskich widowisk. Al Jackson, nasz gladiatorski czempion, którego widzieliście przed chwilą... – Przerwał, by dać widzom szansę na kolejną serię aplauzu. – Tak jest! Twardziel nad twardzielami, i reszta rodziny idzie w jego ślady. Czy wiecie, że jego syn jest wodzem plemienia Czarnych Dup?

Kolejna przerwa. Tym razem nic jej nie wypełniło. Zapowiadający wyraźnie czekał na okrzyki szczepowców, którzy jednak nie byli dziś obecni.

Zapowiadający wprawdzie zamaskował przerwę.

– Podczas każdego z naszych widowisk Al rzuca wyzwanie w czasie rzeczywistym. Tak jest, prawdziwe wyzwanie w czasie rzeczywistym, bez żadnych machinacji i wstępnych umów. Czy ktoś chce poddać próbie swe umiejętności w starciu z nimi? Wziąć w ręce sieć i trójzęb, by stoczyć walkę kończącą widowisko? Każdy z was może to zrobić! Wystarczy wstać i zawołać!

Wstał, choć wcale nie było to jego zamiarem.

– To on wychował wodza Czarnych Dup?

Jego głos brzmiał, jakby dobiegał z odległości wielu lat świetlnych.

– Tak jest. Młody Bud Jackson to syn, z którego można być dumnym.

– W takim razie posiekam Ala na drobne kawałeczki. – Wstał z krzesła, słysząc, że nadal drze się na cały głos. – Sprawię, że będzie płakał i błagał o litość. Nauczę go wszystkiego, czego jego syn nauczył mnie. Będzie wył,

łkał, błagał o zmiłowanie i jęczał. Wszystko to potrwa znacznie dłużej niż to przedstawienie.

Rozległ się aplauz. Widzowie wstali z zainteresowaniem na twarzach. Kiedy schodził na dół, ktoś poklepał go po plecach i życzył mu szczęścia.

## DEFINICJA POJĘĆ

– To klasyczny przykład życzenia śmierci.

– Nonsens. Nie miałem najmniejszego zamiaru dać się zabić. Widziałem tego rozlazłego grubasa w akcji i wiedziałem, że mogę go załatwić, nawet jeśli byłem osłabiony i przesadnie wściekły. I czy tego nie dowiodłem? Siedem dni leżał w szpitalu i nigdy już nie będzie chodził wyprostowany.

– To prawda. Ale z drugiej strony, pokazał się pan widzom trójwymiaru.

– Tak. W tym punkcie ma pan rację.

## ŚRODEK PRZEKAZU JEST BŁĘDEM PRZEKAZU

Tradycyjnie ludzie rysowali albo pisali na plakatach i bilbordach. Czasami – głównie w wiejskich okolicach – strzelali też do nich, ponieważ oczy albo brodawki sutkowe przedstawionych na nich postaci były dogodnymi celami.

W późniejszych czasach, gdy typowym domowym gadżetem stał się zestaw przezroczystych ekranów (podobnych do tych, których jeszcze później zaczęto używać do elektronicznej wersji fechtunku), które nakładano na odbiornik telewizyjny, by grać w pseudotenisa bądź inne podobne gry, odbiorcy niespodziewanie zaczęli wyżej oceniać reklamy. Zamiast przełączać się na inny kanał, gromadzili się tam, gdzie je nadawano.

Ale nie zwracali nawet najmniejszej uwagi na ich treść. Chcieli tylko zapamiętywać każdy kolejny ruch aktorów i aktorek, by zniekształcać ich gesty w zabawny sposób za pomocą pisaka magnetycznego. By opanować tę grę po mistrzowsku, trzeba było bardzo dobrze znać czas trwania reklam. Niektóre sceny miały zaledwie pół sekundy.

Twórcy reklam oraz kierownictwo stacji telewizyjnych z przerażeniem przekonali się, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć najbardziej zaangażowani odbiorcy nawet nie pamiętają nazwy reklamowanego produktu. Dla nich nie była to „ta reklama coca-coli”, czy „tamta promocja draño”, ale „ten kawałek, w którym można zrobić tak, żeby kopnęła go w jaja”.

Punkt nasycenia oraz pojawienie się zasady malejących korzyści umiejscawia się z reguły we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy liczba reklam atakujących codziennie przeciętnego mieszkańca północnoamerykańskich miast przekroczyła tysiąc.

Rzecz jasna, wszyscy nadal produkowali reklamy. To weszło im w nawyk.

## MIECZ, MASKA I SIEĆ

Shad Fluckner zachichotał i odłożył pisak magnetyczny. Przerwa na reklamy się skończyła i zaraz wznowią transmisję z cyrku. Pracowników Antytraumy nie tylko zachęcano, lecz wręcz zmuszano do oglądania przekazów z Cyrku Bocconi w Quemadurze. Sponsorowanie tej instytucji było dla firmy jednym z najlepszych sposobów zdobywania nowych klientów. Właśnie ci rodzice, którzy poświęcali najwięcej czasu na oglądanie pełnych przemocy widowisk, najbardziej obawiali się wizji, że agresja ich dzieci może się zwrócić przeciwko nim. W gruncie rzeczy, im częściej rodzice oglądali cyrk, tym szybciej stawali się skłonni oddać dzieci na terapię. To była liniowa zależność, z marginesem błędu nieprzekraczającym czternastu procent.

Shad nie miał nic przeciwko temu. I tak zawsze lubił cyrk. Gdyby jednak kierownictwo Antytraumy wiedziało, co jeden z jej pracowników zamierzał zrobić z jej najnowszą reklamą, posypałoby się pierze. Ho, ho! Szkoda, że nie mógł się z nikim podzielić swoim odkryciem. Jego współpracownicy uznaliby to za brak lojalności – poza tymi, którzy doszli do wniosku, że pora poszukać innej pracy i... no cóż, sam zastanawiał się nad tą możliwością. Być może podejmie decyzję, zanim reklama zakończy swój żywot. Na razie świetnie się bawił.

Nie przestając się uśmiechać, czekał na ostatnią część widowiska, podczas której Al Jackson rzekomo rzucał otwarte wyzwanie ludziom z widowni. Z pewnością było to wyreżyserowane, ale czasami...

Hej.

Tym razem nie jest wyreżyserowane. Chyba że postanowili zredukować Ala i... Cholera, on krzyczy! Tym razem jest na co popatrzeć. To naprawdę totalnie chore. Superrewelka. Hmm... tak jest!

Przysunął się do ekranu, wytrzeszczając oczy. Krew nie była podrabiana. Wycie z bólu również brzmiało autentycznie. Hej, kim mógł być ten dziobak robiący siekane mięso z gwiazdy Cyrku Bocconi?

– Przecież to Lazarus – odezwał się nagle Shad. – Z brodą czy bez brody, wszędzie poznam tego skubańca. Przedtem mi się wymknął, ale tym razem... och, tym razem...!

## NASTĘPNY W KOLEJCE

– Gdy już rozpoznano go w trójwymiarze, reszta była tylko kwestią czasu – stwierdził Hartz, opierając się wygodnie na krześle za biurkiem, na którym stała tabliczka z napisem „Wicedyrektor”. Dotknął jednego z licznych przełączników i wyłączył odtwarzanie taśm Haflingera.

– To prawda – zgodził się Freeman. – FBI dorwało go bardzo szybko.

– Szybciej niż pan wyciągnął z niego zeznania – poskarżył się Hartz z sennym uśmiechem. W swym gabinecie, swej twierdzy, był innym

człowiekiem niż wtedy, gdy odwiedził Freemana w Tarnover. Być może właśnie dlatego nie chciał tam wrócić.

– Za pozwoleniem – sprzeciwił się sztywno Freeman. – Polecono mi wydobyć z niego wszelkie możliwe dane. Tego nie da się zrobić szybko. Tak czy inaczej, osiągnąłem cel, z marginesem błędu około pół procenta.

– Panu to może wystarczy, ale nam nie.

– Słucham?

– Mam wrażenie, że wyraziłem się jasno. Po bardzo długotrwałym przesłuchaniu obiektu nadal nie wiemy tego, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

– To znaczy...? – zapytał Freeman lodowatym tonem.

– Odpowiedź powinna być oczywista. Nie można tolerować sytuacji panującej między Przepaścią a rządem. Małeńka grupka dysydentów zdobyła zdolność odstraszenia dorównującą szalonym terrorystom wyposażonym w broń jądrową. Byliśmy już gotowi wyeliminować tę anomalię, ale Haflinger albo Locke, czy Lazarus, jakiego tam właściwie nazwiska wtedy używał, odesłał nas z powrotem do punktu wyjścia. Poświęcił pan wiele tygodni na przesłuchiwanie go, ale w całej tej stercie danych, które pan zgromadził na wszystkich tych kilometrach taśmy, nie odnaleźliśmy żadnej wskazówki, która pozwoliłaby nam osiągnąć cel.

– Zdewaluować jego faga broniącego Pomocnego Słuchacza?

– Ach, genialne! Domyślił się pan! – zawołał Hartz tonem przepojonym przesadną ironią. – Jak już mówiłem, nie można tolerować sytuacji, w której jedna mała społeczność może ograniczać prawa rządu do monitorowania działalności wywrotowej, wrogiej propagandy i zdrady. Musimy się dowiedzieć, jak wyłączyć tego tasiemca!

– To wołanie na puszczy – odpowiedział po chwili Freeman. – Haflinger sam nie wie, jak to zrobić. Stawiam na to swoją reputację.

– To pana ostatnie słowo?

– Tak.

– Rozumiem. Hmm. Szkoda! – Hartz odchylił krzesło do tyłu tak daleko, jak tylko było to możliwe, obrócił je o kilka stopni i wpatrzył się z zamyśleniem w kąt pokoju. – No cóż, a co z jego innymi kontaktami? Na



przykład z Kate Lilleberg? Czego się pan dowiedział o jej ostatnich poczynaniach?

– Najwyraźniej wróciła do poprzednich planów – odparł Freeman. – Przebywa obecnie w Kansas City i nie złożyła podania o pozwolenie na przewóz swej oswojonej pумы. Przychodzi mi na myśl tylko jedna znacząca decyzja, którą podjęła od chwili powrotu do domu.

– Jak rozumiem, chodzi o zmianę jednego z przedmiotów kierunkowych w przyszłym roku akademickim. Zamierza studiować przetwarzanie danych, prawda?

– Hmm, tak. Tak mi się zdaje.

– To dziwny zbieg okoliczności. Naprawdę bardzo dziwny, nie sądzi pan?

– To może mieć jakiś związek ze sprawą. W gruncie rzeczy, to bardzo prawdopodobne. Ale żeby nazwać to zbiegiem okoliczności... nie.

– Świetnie. Cieszę się, że w jakiejś sprawie zgadzamy się ze sobą. – Hartz przywrócił krzesło do pozycji pionowej i pochylił się ku Freemanowi z zainteresowaniem na twarzy. – Niech mi pan powie, jaką opinię wyrobił pan sobie na temat tej dziewczyny? Rozumiem, że nigdy jej pan nie widział, ale poznał pan jej matkę, kochankę i wielu znajomych.

– Z pewnością nie brak jej zdrowego rozsądku – odpowiedział Freeman po chwili zastanowienia. – Nie mogę zaprzeczyć, że imponuje mi to, co zrobiła, by pomóc Haflingerowi. To spore osiągnięcie, wymknąć się...

Umilkł, jakby nagle z wyprzedzeniem usłyszał to, co za chwilę powie.

– Proszę mówić dalej – mruknął Hartz.

– Chciałem dodać: „zakrojonemu na szeroką skalę pościgowi, trwającemu już od sześciu lat”. To znaczy, od chwili ucieczki Haflingera. Mam wrażenie, że natychmiast ogarnęła skalę sprawy.

– I nie wątpiła w jego słowa, prawda?

– Z pewnością nie sprawiała takiego wrażenia.

– Hmm... No cóż. Z przyjemnością informuję pana, że będzie miał pan okazję, by potwierdzić bądź zdewaluować swą opinię.

Hartz dotknął kolejnego przełącznika i na ekranie ściennym ukazała się znacznie powiększona twarz.

– Oceny komputerowe przeprowadzone w naszej instytucji sugerują, że pańskie, z pewnością zaawansowane metody mogą się stać jeszcze skuteczniejsze dzięki wsparciu... hmm... jakby to nazwać... powiedzmy, alternatywnego podejścia, które może wydać się panu staroświeckie, ale ma pewne zalety. Zamierzamy zniszczyć tasiemca, którego Haflinger dał Pomocnemu Słuchaczowi! – Przeszył nagle Freemana złowrogim spojrzeniem. – Co więcej, jeszcze przed końcem roku otrzymam od prezydenta pozwolenie podjęcia odpowiednich kroków w tej sprawie.

Freeman poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gapił się na ekran.

– Choć mógł pan odnieść wrażenie, że jest inaczej – ciągnął Hartz – doceniamy w Waszyngtonie pańskie zdolności, cierpliwość oraz dokładność. Z pewnością nie znamy nikogo, kto mógłby wykonać lepszą robotę. Dlatego właśnie przysyłam panu nowy obiekt.

– Ale... – Freeman wskazał drżącym palcem na ekran. – To jest Kate Lilleberg!

– W rzeczy samej. To Kate Lilleberg. Spodziewamy się, że jej obecność w Tarnover pomoże panu wyciągnąć z Nickiego Haflingera jego ostatnią, najcenniejszą tajemnicę. Proszę wybaczyć, ale nie mogę poświęcić panu więcej czasu. Do zobaczenia.

księga trzecia

ANATOMIA WYŚCIGU MÓZGÓW

## KTOŚ PROPONUJE

- Tak bym to widział...
- Za kogo do licha pan się uważa?

## MÓWIĄC W SKRÓCIE

To oczywiste miejsce, farma. Wysłuchajcie go.

*Ziemia. Dom. Stodoła. Słońce. Deszcz. Śnieg. Pole. Płot. Staw. Pszenica. Zboże. Siano. Pług. Sianie. Zbieranie. Koń. Świnia. Krowa.*

A to jest abstrakcyjne miejsce, sala koncertowa. Wysłuchajcie go.

*Dyrygent. Orkiestra. Melomani. Uwertura. Koncert. Symfonia. Harmonia. Instrument. Oratorium. Wariacje. Aranżacja. Klarinet. Pikolo. Pianoforte. Harfa. Audytorium.*

\* \* \*

Ale rozważcie też:

*Róg, Bęben. Skrzypce. Pieśń. Słuchacze.*

I podobnie:

*Lucerna. Kalarepa. Rabarbar. Kombajn.*

\* \* \*

Przydzielcie następujące słowa do jednej z kategorii implikowanych przez przedstawione wyżej parametry[\*]:

*Bit. Nagranie. Pamięć. Przełącznik. Program. Tranzystor. Taśma. Dane. Elektryczność. Podłączenie. Awaria. Wydruk. Odczyt. Proces. Cybernetyka.*

---

\* Pod żadnym pozorem nie udzielajcie jutro takiej samej odpowiedzi jak dzisiaj.

## PRZYPADEK ZATRZYMANIA ROZWOJU

Po raz pierwszy od chwili, gdy na jej progu stanął – nieżyjący? – Sandy Locke, sygnał drzwiowy Kate odezwał się, mimo że nie spodziewała się nikogo.

W dzisiejszych czasach nie przychodziło się do kogoś z wizytą bez wcześniejszego zapowiedzenia. Nie warto było się trudzić. Po pierwsze, według danych statystycznych ludzie spędzali mniej czasu w domu niż kiedykolwiek dotąd – pomimo faktu, że dzięki odbiornikowi trójwymiaru stojącemu w kącie mogli oglądać u siebie świat we wszystkich kolorach, prawie jak rzeczywisty. Po drugie, być może ważniejsze, ten, kto zjawiał się niezapowiedziany, narażał się na zaplątanie w niemożliwą do zerwania plastikową sieć albo nawet na potraktowanie gazem – w każdym domu, którego mieszkańcy żyli na poziomie wyższym niż nędzarze.

Dlatego należało najpierw skorzystać z wideofonu.

Kate znieruchomiła nagle pośrodku największego pokoju, którego ściany dekorowała właśnie ogromnymi fotopowiększeniami mikroobwodów – kiedy pokryje je metaliczną farbą, staną się całkiem wydajnym prywatnym komputerem – i zaczęła się zastanawiać.

No cóż, nie zaszkodzi sprawdzić, kto to.

Włączyła z westchnieniem kamerę i zobaczyła, że za drzwiami stoi niezajomy mężczyzna – młody, jasnowłosy, w codziennym, rozchełstany ubraniu.

– Pani jest Kate? – zapytał radośnie.

– A pan...?

– Nazywam się Sid. Sid Fessier. Spędzałem letnie wakacje w strefach dotowanej rezygnacji. Poznałem dziobaka imieniem Sandy. Prosił, żebym panią pozdrowił, gdybym wpadł do Kansas City, a kiedy się okazało, że mam hotel tylko o przecznicę od pani domu... Pewnie trzeba było przedtem zadzwonić, ale co tam, jedna przecznica w taki ładny dzień!

– To świetnie. Proszę wejść.

Wchodząc po schodach, gwizdał jakąś skoczną melodyjkę. A kiedy otworzyła drzwi, wystrzelił z sieciowego pistoletu, krępując ją w jednej chwili.

– Bagheera! – krzyknęła Kate, padając na bok, gdy plastikowe sznury oplótły się wokół jej nóg.

Paf.

Nadal przygotowująca się do skoku, który pozwoliłby jej dosięgnąć głowy stojącego na drugim końcu intruza, puma wzdrygnęła się, jęknęła, uniosła łapę, jakby chciała się podrapać w pierś, i zwała się na podłogę.

Napastnik był niezły i bardzo szybki. Schował pistolet do kieszeni i w tej samej chwili zakleił usta Kate taśmą klejącą, by ją uciszyć.

– Strzałka usypiająca – wyszeptał. – Bez obaw. Zaopiekują się nią. Za dwie albo trzy godziny wstanie na nogi. Ale, rozumie pani, musiałem jej podać maksymalną dawkę. Zabawa z takimi zwierzakami nie należy do moich ulubionych.

Zamknął cicho drzwi i wyjął komunikator.

– Dobra, możecie po nią przyjechać – rzekł cicho. – Tylko nie przyciągajcie uwagi. To mi wygląda na okolicę, gdzie ludzie nadal interesują się sprawami sąsiadów.

– Załatwiłeś pumę?

– Czy w przeciwnym razie rozmawiałbym z tobą?

Schował komunikator i spojrzał na stękającą i parszczącą bezsilnie Kate.

– Nie zadawaj sobie trudu, cipciu. Nie wiem, co zrobiłaś, ale to na pewno coś poważnego. Mam nakaz aresztowania i zatrzymania bez prawa do kaucji, wystawiony przez samego wicedyrektora Federalnego Biura

Przetwarzania Danych. To ważna waszyngtońska szych. Zresztą to nie ze mną musisz dyskutować. Ja jestem tylko chłopcem na posyłki.

## ZRÓŻNICOWANY

Wszystko się zmieniło. Nie tylko na powierzchni, choć jego sytuacja wyglądała teraz zupełnie inaczej. Zamiast włączać go i wyłączać za pomocą medykamentów oraz stymulacji kory mózgowej, pozwolono mu wczoraj na naturalny sen. Co więcej, spał w prawdziwym pokoju, prosto urządzonym jak w hotelu, ale wygodnym i zaopatrzonym we wszystkie udogodnienia. Były tu też prawdziwe okna, dzięki którym mógł się upewnić, że rzeczywiście przebywa w Tarnover. Podczas przesłuchań przetrzymywano go w zamkniętym pomieszczeniu, klitce, w której ledwie się mieścił. Nie miał możliwości chodzenia i jego napięcie mięśniowe musiały podtrzymywać maszyny.

Wydarzyło się też coś ważniejszego i bardziej subtelnego.

Co?

Drzwi jego pokoju otworzyły się z trzaskiem. Pojawił się mężczyzna o nieprzyciągającym uwagi wyglądzie, odziany w biały kombinezon i uzbrojony. Obiekt spodziewał się, że jeśli zabiorą go gdzieś z tego pokoju, z pewnością będzie miał eskortę. Wykonał rozkaz – wstał, wyszedł na korytarz i skręcił w lewo.

Droga była długa i skręcał wiele razy. Musiał też zejść w dół po trzynastu stopniach. Minał ostatni róg i znalazł się w korytarzu o jednej ścianie z pancernego szkła weneckiego.

Freeman stał przy nim, zaglądając do pogrążonego w półmroku pokoju.

Przywitał nowo przybyłego skinieniem głowy, a potem zastukał w szybę miękkim koniuszkiem palca.

Po drugiej stronie bardzo chuda dziewczyna leżała naga i nieprzytomna na wyściełanym stole. Pielęgniarka goliła jej głowę.

Zapadła długa cisza.

– Ehe – odezwał się wreszcie obiekt. – Spodziewałem się tego. Ale znam już pana na tyle dobrze, że jestem gotów uwierzyć, że to nie był pański pomysł.

\* \* \*

Potem znowu zapadło milczenie. Tym razem przerwał je Freeman.

– Zaprowadźcie go z powrotem do pokoju – rozkazał pełnym znużenia głosem. – Niech to sobie przemyśli.

## SŁUCHAM, PANIE KELLY! CZY O COŚ CHODZI?

– Nigdy nie powinniśmy zapominać, że przez cały ten czas, gdy badaliśmy nietoperze, one miały niepowtarzalną okazję, by studiować nas.

## JESTEM

To, co powiedział Freemanowi, było prawdą. Od czasu gdy po zakończeniu intensywnej fazy przesłuchań odzyskał zdolność jasnego myślenia, spodziewał się, że sprowadzą tu Kate, by ją również „wpytać”.

Nic to jednak właściwie nie zmieniało, podobnie jak wyrecytowanie słów „dziewięć przecinek osiemdziesiąt jeden centymetra na sekundę do kwadratu” nie ułatwia przeżycia upadku w przepaść.

Siedząc w pokoju, z pewnością monitorowanym dwadzieścia cztery godziny na dobę, czuł się jak na scenie przed wielkim tłumem widzów, gotowych skrytykować go za każde odstępstwo od przydzielonej mu roli.

Sprzyjał mu tylko jeden fakt: po wszystkich latach grania ról wreszcie grał samego siebie.

Wszystkie te dane, które zebrali, odnoszą się do innych osób – powiedział sobie. Do wielebnego Lazarusa, Sandy’ego Locke’a i, tak jest,



nawet Nickiego Haflingera. Kimkolwiek stałem się teraz, a na tym etapie nie jestem jeszcze pewien swej tożsamości, z pewnością nie jestem Nickiem Haflingerem!

Zaczął wyliczać powody, dla których nie jest już osobą, której nazwisko nosi, i przekonał się, że najważniejszy jest ostatni z nich.

Potrafię kochać.

Na tę myśl po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. We wczesnych latach Nickiego Haflingera nie było zbyt wiele miejsca na miłość. Ojciec? Miał synowi za złe, że jest dla niego brzemieniem, nie potrafił znieść ciężaru rodzicielstwa. Matka? Przynajmniej próbowała przez pewien czas, ale brakowało jej podstawy, jaką jest szczere uczucie, i w efekcie pogrążyła się w alkoholowej psychozie. Tymczasowi rodzice zastępczy? Dla nich kolejni synowie do wynajęcia niczym się od siebie nie różnili. Iks dolarów na tydzień przypadało na igrek problemów do rozwiązania.

Koledzy z lat młodości, gdy był uczniem w Tarnover?

Miłość nie wchodziła w skład programu. Była wyłącznie przedmiotem analizy. Czymś, co dzieliło się na części. Była „intensywnym zaangażowaniem emocjonalnym”, „przesadną wzajemną zależnością” oraz „typowym przykładem młodzieńczego przerostu libido”.

Za to teraz, gdy ten nowy, niezwykle człowiek, którym się stawał, myślał o Kate, zaciskał pięści, zgrzytał zębami i zamykał oczy, pozwalając, by wypełniła go czysta, niepowstrzymana nienawiść.

Przez całe życie musiał panować nad głęboko zakorzenionymi instynktami. W dzieciństwie, ponieważ w przeciwnym razie groziłoby mu zwizowanie po drodze do domu; kiedy był nastolatkiem, ponieważ w każdej chwili dnia i nocy studenci mogli zostać poddani ponownej ocenie, mającej zdecydować, czy zasługują na pozostanie w Tarnover, a przez pięć pierwszych lat pragnął tu zostać bardziej niż czegokolwiek na świecie, natomiast w ciągu drugich pięciu planował wykorzystać Tarnover, zamiast stać się jego narzędziem; w późniejszych zaś latach dlatego, że sieć danych wnikała obecnie w bardzo wiele aspektów codziennego życia i nawet najdrobniejszy błąd mógłby zwabić łowców.

Co za tym idzie, uleganie emocjom, czy to pozytywnym czy negatywnym, zawsze wydawało mu się niebezpieczne. Niedobrze było pozwalać sobie na zbyt wielką sympatię dla drugiej osoby – w dzieciństwie dlatego, że jutro mogła pod wpływem kaprysu przenieść się do innego gangu i domagać się krzykiem twojej krwi i łez; natomiast w wieku dorosłym dlatego, że w każdej chwili mogła znaleźć sobie inną pracę i wyjechać, zostawiając po sobie tylko wspomnienie oraz pamiątkę. Równie źle było bać się kogoś zbyt mocno albo nienawidzić go przesadnie. To wiodło w rejony, w których nie potrafiłeś już przewidzieć zachowania własnego ani innych ludzi. „Tu są tygrysy!”.

Niemniej jego umysł był zdolny odczuwać emocje, nawet jeśli on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Przypomniawszy sobie z lekką ironią, jak patrząc na maszynę do łagodzenia napięcia w tymczasowym mieszkaniu przydzielonym przez SZ-O, litował się nad tymi, którzy potrafili tworzyć silne więzi.

Pewnie litowałem się nad samym sobą. No cóż, to wszystko, na co wówczas zasługiwałem.

Teraz jednak był zmuszony uświadomić sobie, że jest zdolny do bardzo intensywnych uczuć, i istnieją logiczne powody, dla których powinien wzmacniać w sobie tę cechę.

Dane zebrane przez Freemana i tych, którzy za nim stali, dotyczyły zimnej, wyrachowanej osoby – nazwijmy ją panem X minus E. A potem zastąpmy go panem X plus E.

Dostaniecie to, czego najbardziej się boicie, sukinsyny! Wyjątkowy przykład braku racjonalności!

\* \* \*

Na zwróconym na zachód oknie pokoju zbierały się kropelki siąpiącego deszczu. Wstał, podszedł do okna i przyjrzał się chmurom, podświetlonym czerwonym blaskiem, ponieważ słońce już zachodziło, a deszcz nadciągał ze wschodu.

Jestem w mniej więcej w takiej samej pozycji jak ktoś, kto próbuje zwinąć z laboratorium zajmującego się fizyką jądrową wystarczająco wiele plutonu, żeby zbudować bombę. Muszę unikać spowodowania zauważalnych braków, wykrycia przez czujniki przy wyjściu oraz choroby popromiennej. Problem na trzy fajki, Watsonie. To może mi zająć cały tydzień albo nawet dziesięć dni.

## LUSTERECZKO, POWIEDZ PRZECIE

Krążysz po kołowej orbicie wokół planety. Wyprzedza cię inny obiekt, poruszający się również po kołowej orbicie, ale z prędkością większą o kilka kilometrów na sekundę. Przyspieszasz, próbując go dogonić.

No to do zobaczenia.

Ale raczej niezbyt rychłego.

## SŁABE PUNKTY HARTZA

W pokoju przesłuchań trójwymiarowy ekran ustąpił miejsca lustru weneckiemu. Nie chcąc przyglądać się za długo albo zbyt intensywnie nagiej dziewczynie siedzącej na stalowym krześle, Hartz gapił się na własne odbicie. Zauważywszy, że ma plamę potu na czole, wyjął wielką chusteczkę i niechcący odczepił przepustkę z nazwiskiem. Nie zdążył jej złapać, zanim spadła na podłogę.

Freeman podniósł ją uprzejmie i wręczył właścicielowi.

Hartz wymamrotał podziękowanie i odchrząknął głośno w chusteczkę.

– Pańskie raporty są, łagodnie mówiąc, skąpe – poskarżył się.

– Natychmiast bym pana zawiadomił, gdyby wydarzyło się coś ważnego, rzecz jasna.

– Och, ależ się wydarzyło! Dlatego właśnie tu przyjechałem! – warknął Hartz. Doszedł do wniosku, że właściwie nie ma sensu udawać, że nie gapi

się na dziewczynę. Była chuda. Łysa i goła jak dziecko. Przypominała raczej laboratoryjne zwierzę niż istotę ludzką, jakiegoś przerośniętego, zmutowanego, bezwłosego szczura.

– A co takiego?

Freeman zeszywniał niemal niedostrzegalnie. W jego głosie pojawiła się nuta twardości, choć tylko lekka.

– Nie wie pan, he? – warknął z pogardą Hartz. – Powinien pan wiedzieć! Poznał pan jej matkę! Z pewnością zdaje pan sobie przynajmniej sprawę, jak wielkie ma wpływy z uwagi na swą pozycję w SZ-O!

– Stworzyliśmy bardzo szczegółowy profil jej matki – odparł Freeman z wysiloną uprzejmością. – Nie wykryliśmy żadnego śladu przesadnych więzi emocjonalnych między nią a córką.

– Profil – powtórzył Hartz złowrogim tonem. – Rozumiem. Co może mi pan o niej powiedzieć na podstawie tego profilu?

– To, że Ina Grierson raczej się nie zmartwiła faktem, że jej córka opuściła Kansas City. To pozwoli jej przyjąć lepszą pozycję w innym miejscu.

– Mój Boże, czy w ogóle nie wyszedł pan poza ten profil? Czy kontaktował się pan ostatnio ze światem rzeczywistym?

– Zrobiłem dokładnie to, co mi polecono! – wybuchnął Freeman. – Co więcej, to były pańskie polecenia!

– Kiedy wydaję ludziom rozkazy, oczekuję, że zrobią użytek z własnego rozumu, zamiast zwalić innym na głowy bałagan rozciągający się na cały kontynent!

Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

– Na czym polega kłopot? – zapytał wreszcie Freeman uspokajającym tonem.

– Kłopot? Och, to nie kłopot. To cholerna katastrofa. – Hartz ponownie otarł twarz. – Dziewczyna jest tu już od tygodnia...

– Od pięciu dni.

– Proszę mi nie przerywać. Od chwili jej aresztowania minął tydzień. – Hartz wepchnął chusteczkę z powrotem do kieszeni. – Gdybyśmy nie mieli

w radzie zarządzającej UMKC silnej frakcji byłych studentów Tarnover... do licha, nie powinienem panu o tym mówić. Powinien pan już to wiedzieć.

– Jeśli chciał pan, bym poznał jakieś informacje, powinien pan zadać sobie trud, żeby mi je przekazać – odparł Freeman przesyconym napięciem głosem. – Skoro pan tego nie zrobił, proszę opowiedzieć mi o wszystkim teraz.

Hartz poczerwieniał na twarzy, przełknął jednak gniewną odpowiedź, wyraźnie kształtującą się na jego drżących wargach.

– Poza strefami dotowanej rezygnacji niemal każdy używa swego kodu przynajmniej raz na dobę, by otrzymać kredyt – zaczął, z wysiłkiem zachowując spokój. – W związku z tym, położenie każdej przebywającej na kontynencie osoby można ustalić właściwie w dowolnej chwili. Oczywiście Kate Lilleberg jest już dorosła, ale pozostaje też *in statu pupillari* i nigdy nie złożyła podania o to, by matce, jedynej jej żyjącej bliskiej krewnej, zakazano utrzymywania z nią kontaktów. Od chwili, gdy wywieziono ją z Kansas City, próbowało ją odnaleźć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Większość z nich to członkowie kadry uniwersyteckiej UMKC, a jedna, najbardziej kłopotliwa, jest kierowniczką wydziału w SZ-O. Jak długo jeszcze muszę to panu tłumaczyć, nim wreszcie pan zrozumie, jakie gniazdo szerszeni ściągnął mi na głowę?

– Co zrobiłem? – zapytał powoli Freeman.

– Nie przyszło panu do głowy, że jeśli przez cały tydzień ani razu nie zrobi użytku ze swojego kodu, ktoś może to uznać za podejrzanę?

– Nie przyszło mi do głowy, że spróbuje pan obarczyć mnie odpowiedzialnością za wszystkie najdrobniejsze szczegóły! – odciął się Freeman. – Skoro pan nalega, wezmę sobie trochę wolnego i ułożę jakąś przekonującą bajeczkę. Na przykład, postaram się, by jej kodu użyto w jakimś miasteczku w strefie dotowanej rezygnacji, gdzie może minąć cały tydzień, nim rachunek z numerem kodu dotrze do sieci. Obawiam się jednak, że pozostałe sprawy muszę...

– Proszę o tym zapomnieć. Już próbowaliśmy, gdy tylko się zorientowaliśmy, że pan o to nie zadbał. Pamięta pan, jaką rolę Haflinger grał w SZ-O?

– A co to ma do rzeczy? – zapytał Freeman ze zdziwioną miną.

– Boże, daj mi cierpliwość. Zatrudnił się tam jako spec systemowy, tak? Ta pozycja dała mu dostęp do sieci prawie równy mojemu. Wykorzystywał przydziały, które SZ-O zawdzięcza maksymalnemu ratingowi reklamowemu. W gruncie rzeczy myszkował tak często, że zaczęło mu to przeszkadzać w oficjalnej pracy. Dlatego wprowadził do komputerów SZ-O napisany przez siebie program, który sam zajmował się rutynowymi zadaniami. Nie raczył pan wspomnieć o tym w swoim raporcie, nieprawdaż?

Freeman poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Ten program nadal działa! – wybuchnął Hartz. – I Ina Grierson ma do niego dostęp. Co gorsza, jest bardzo prosty i bez trudu się zorientowała, że wprowadzone przez nas wpisy oznaczone kodem jej córki są fałszywe.

– Co? Jak?

– A jak się panu zdaje, do cholery? Czego chciał się dowiedzieć Haflinger za pomocą kodów ukradzionych z SZ-O? Tego, czy jego własny kod 4GH nadal zachował ważność, tak? A jak mógłby tego dokonać, gdyby nie potrafił zdjąć wprowadzonej retroaktywnie maski z implantu z federalną autoryzacją? Dane dotyczące kodów 4GH nie powinny być dostępne publicznie. Rutynowo się je maskuje, tak? No cóż, program Haflingera automatycznie zdejmuje tę osłonę, i to w sposób, który nigdy nie przyszedł naszym ekspertom do głowy! Teraz może pan rozumie, w jaką kabałę mnie wpakował! – dokończył, zaciskając pięści.

– Och, myślę, że zasługa przypada Haflingerowi, nie mnie – odparł Freeman z kamienną, pozbawioną wyrazu twarzą. – Jestem też pewien, że będzie zachwycony tą informacją.

– Co pan gada?

– Wśród informacji, którymi nie raczył się pan ze mną podzielić, znajduje się też fakt, że przybył pan tu po to, by rzucać szalone oskarżenia. Kierując się rozsądnym założeniem, że chce pan po prostu zobaczyć rutynowe przesłuchanie Kate, nie odwołałem swych codziennych instrukcji, nakazujących przyprowadzić tu Haflingera w nadziei, że może to osłabić jego pewność siebie. Przypominam, że to była pańska sugestia. –

Zerknął na zegarek. – W związku z tym już od czterech minut, być może czterech i pół, Haflinger czeka za tym półprzezroczystym oknem, widząc i słysząc wszystko, co dzieje się w pokoju. Jak już wspominałem, z pewnością jest bardzo zadowolony.

## FRAGMENT Z BIULETYNU INFORMACYJNEGO

– ...cios zadany tym, którzy optymistycznie przepowiadali, że bieżący rok akademicki będzie stosunkowo wolny od niepokojów na uniwersytetach. Dzisiaj tłum złożony z tysiąca pięciuset studentów, przekonanych, że ich zaginioną przed tygodniem koleżankę porwali agenci rządowi, wyszczepował ponad połowę z trzydziestu dziewięciu policyjnych punktów alarmowych na kampusie UMKC. Nie mamy jeszcze listy ofiar, ale...

## ATAWIZM

Patrząc na Rico Postę, Ina poczuła, że policzki jej bledną, zdołała jednak zachować normalny ton i donośność głosu.

– Rico, bez względu na to, co mówicie ty i reszta członków rady, Kate jest moją córką. Sprawdź te fałszywe raporty, donoszące, że używała swojego kodu.

– Kto powiedział, że są fałszywe?

– Nasze własne komputery!

– Hmm. Tak mówi program napisany przez niejakiego Sandy'ego Locke'a, który okazał się kombinatorem i...

– Nie myślałeś tak o nim, kiedy pozwalał nam zaoszczędzić dwa miliony na rok. W przeciwnym razie pierwszy byś zażądał, żeby go zredukować.

– Hmm, nie...

Pochyliła się ku niemu z poważną miną.

- Rico, to jakaś brudna sprawa. Wiesz o tym, nawet jeśli nie przyznajesz tego sam przed samym. Próbowaleś ostatnio wyszukać dane o Sandym?
  - Tak się składa, że próbowałem.
  - I okazało się, że nie ma żadnych, prawda? Nawet świadectwa zgonu!
  - Pewnie mógł wyjechać za granicę.
  - Paszport?
- Zapadła cisza, naelektryzowana jak zwiastun nadchodzącej burzy.
- Czytałeś kiedyś książkę, która się nazywa 1984?
  - Jasne. Przerabialiśmy to w college’u. – Rico wydał usta, wpatrując się w pustkę. – Rozumiem, co chciałaś przez to powiedzieć. Myślisz, że... hmm... uznano go za nieosobę?
  - Tak jest. Uważam też, że to samo zrobili Kate.
  - Hmm... – Przełknął ślinę. – Potrafię uwierzyć, że są do tego zdolni. Sporo wiem o tych gangsterach z Waszyngtonu. Wiesz co? Od czasu do czasu nawiedzają mnie koszmary o tym, że wpisuję swój kod i w odpowiedzi otrzymuję sygnał: „zdevaluowany!”.
  - Mnie też – odparła Ina. – I nie potrafię uwierzyć, że jesteśmy w tym osamotnieni.

## POCZĄTEK PONOWNEGO WZROSTU

Odkąd przestali codziennie golić mu głowę, skalp zaczął go swędzieć. Do tej pory udawało mu się oprzeć pragnieniu podrapania się, ale od czasu do czasu musiał pomasować skórę głowy. Wyobrażał sobie, że na obserwatorach – był pewien, że istnieją, choć nie znał ich tożsamości – sprawiał wrażenie zdziwionego informacjami, które otrzymywał. Oglądał wiadomości w trójwymiarze. Od chwili, gdy przeniesiono go do wygodniejszego pomieszczenia, poświęcał bardzo wiele czasu na nadrobienie zaległości, gdy chodziło o wydarzenia na świecie.

W rzeczywistości nie czuł się nawet w najmniejszym stopniu zdezorientowany. Dowiedział się o najróżniejszych wydarzeniach – jeszcze



jedna zmiana sojuszy w Ameryce Łacińskiej, kolejna eksplozja nieautoryzowanego dżihadu w Jemenie, nowy produkt, co do którego Agencja Żywności i Leków zgłaszała wątpliwości, coś zwanego granulizatorem adaptacyjnym, używanego do przetwarzania roślinnego białka na sposób pozwalający mu konkurować z mięsem.

Ale jego nawyki rzecz jasna pozostały niezmienione.

– Jak długo, Panie? Jak długo? – wyszeptał w pustkę, uśmiechając się z przekąsem.

Zgodnie z jego prywatną oceną, już niedługo.

\* \* \*

Jak na znak, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Rozejrzał się, spodziewając się ujrzeć kolejnego uzbrojonego mężczyznę w bieli, mającego gdzieś go zaprowadzić.

Ku jego zaskoczeniu, gościem był Freeman. Przyszedł tu sam.

Zanim cokolwiek powiedział, starannie zamknął za sobą drzwi.

– Zapewne zauważył pan, że wczoraj wieczorem autoryzowałem dostarczenie panu odrobiny trunków – zaczął absolutnie neutralnym tonem. – Muszę sobie łyknąć. Niech będzie whisky z lodem.

– Jak rozumiem, nie ma pana tutaj?

– Słucham? Aha! – Freeman uśmiechnął się złowrogo. Skóra jego twarzy naciągała się na kościach tak mocno, jakby w każdej chwili mogła się rozerwać. – Ma pan rację. Monitory odbierają przekaz złożony z przekonujących kłamstw.

– W takim razie gratuluję.

– Nie rozumiem.

– To z pewnością wymagało odwagi. Większość ludzi nie potrafi się zdobyć na niewykonanie niemoralnego rozkazu.

Stopniowo, w ciągu kilku sekund, upiorny uśmieszek Freemana nabierał łagodniejszego wyrazu.

– Niech to szlag – mruknął czarnoskóry mężczyzna. – Haflinger, czy jakie tam nazwisko obecnie pan woli, ze wszystkich sił starałem się

zachować obiektywne podejście, ale mi nie wyszło. Chyba po prostu pana lubię. Nic na to nie poradzę.

Obrócił krzesło gniewnym kopniakiem i usiadł na nim ciężko.

\* \* \*

Po paru chwilach, nad wypełnionymi szklankami:

– Niech mi pan coś powie. Kto sprowokował odruch, który doprowadził do tej reakcji?

– Nie musi pan ze mnie żartować – obruszył się Freeman. – Nie może pan przypisywać sobie zasługi za wszystko, co dzieje się w mojej głowie.

– Przynajmniej mówi pan o zasłudze, nie o winie... podejrzewam, że przekonał się pan, że nienawidzi tych, którzy wydają panu rozkazy.

– No cóż... tak. Kroplą, która przepelniła czarę, stała się decyzja sprowadzenia tu Kate. Miał pan rację, twierdząc, że to nie był mój pomysł. Dlatego robiłem tylko to, co mi kazano. Ani mniej, ani więcej.

– To znaczy, że Hartz ukarał pana za to, że nie był pan bystrzejszy od niego. To bolesne, co?

– Gorzej. Znacznie gorzej. – Freeman pochylił się, ściskając szklankę w kościstych palcach. Wpatrywał się w pustkę. – Pomijając wszelkie spory, jestem przekonany, że potrzebujemy mądrości. Potrzebujemy jej rozpaczliwie. Mam pewne wyobrażenie na temat tego, jak mogłaby się ona objawić. A Hartz go nie ma. Myślę, że pan również je ma. Jeśli zaś chodzi o Kate...

– Kate Lilleberg po prostu jest mądra. To nie ulega wątpliwości.

– Jestem zmuszony się z panem zgodzić – odparł Freeman z lekką nutą wyzwania. – I z tego powodu... no cóż, sam pan widział.

– A czego się pan spodziewał? Swoją drogą, to nie miał być sarkazm. Gdy tylko dowiedzieli się o moim istnieniu, łatwo było przewidzieć, że zwerbują mnie do Tarnover, i podobnie od chwili, gdy ich do niej zaprowadziłem, stało się oczywiste, że ją aresztują.

– Zauważyłem, że nie uważa mnie pan już za jednego z „nich” – odezwał się Freeman po krótkiej chwili wahania.

– Zdezzerterował pan, nieprawdaż?

– Ha! Pewnie ma pan rację. – Wysuszył szklankę i ruchem dłoni odrzucił propozycję dolania. – Nie, sam to zrobię. Wiem, gdzie... ale to niesłuszne, to nie może być słuszne! Co, do licha, zrobiła, żeby zasłużyć na bezterminowe uwięzienie bez procesu i na przesłuchania obnażające jej duszę w takim samym stopniu, jak ciało? W którymś miejscu zboczyliśmy z właściwej ścieżki. To nie powinno tak wyglądać.

– I sądzi pan, że mam pomysł, jak to zmienić?

– Jasne. – Odpowiedź była zwięzła i natychmiastowa. – I chciałbym się z nim zapoznać. Straciłem orientację. W tej chwili nie wiem, w jakiej części świata się znajduję. Być może trudno będzie panu w to uwierzyć, ale... no cóż, elementem mojego prywatnego wszechświata zawsze było przekonanie, że maksymalizacja przepływu informacji jest czymś obiektywnie dobrym. Mam na myśli to, że powinniśmy być szczerzy, otwarci i autentyczni, mówić to, co uważamy za prawdę, i nie przejmować się konsekwencjami. – Roześmiał się ochryple. – Mój znajomy psychoterapeuta ciągle powtarza, że to kompensacja za to, że w dzieciństwie byłem zmuszony ukrywać swoje ciało. Nauczono mnie rozbierać się po ciemku, zakradać się do łazienki i wymykać z niej, kiedy nikt nie patrzył, i zwiewać w sto diabłów zaraz po spuszczeniu wody, żeby nikt mnie nie zauważył i nie pomyślał o tym, co tam robiłem... ach, może dziobak ma trochę racji. Tak czy inaczej, wyrosłem na bardzo biegłego śledczego, uwielbiającego wyciągać z ludzi informacje bez uciekania się do tortur i przy tylko zminimalizowanym cierpieniu. Jeśli tak to ująć, można by pomyśleć, że to do przyjęcia, prawda?

– Oczywiście. Ale sprawy mają się inaczej, jeśli zdobyte przez pana dane mają zostać na zawsze ukryte, stać się prywatną własnością tych, którzy mają władzę.

– W rzeczy samej. – Freeman wrócił na krzesło. W ponownie napełnionej szklance stuknęły świeże kostki lodu. – Traktowałem zadanie przesłuchania pana tak samo, jak poprzednie tego typu polecenia. Lista zarzutów, które panu postawiono, była wystarczająco długa, a jeden z nich był dla mnie szczególnie bolesny. Rzecz jasna, mam na myśli

wprowadzanie do sieci fałszywych danych, na dodatek do wszystkiego, co przedtem o panu słyszałem. Swoją drogą, przeniosłem się tu zaledwie trzy lata temu, z Weychopee, miejsca znanego panu jako „Elektryczny Deszcz”. Nawet tam wśród studentów krążyły niejasne pogłoski o dziobaku, który pewnego dnia ulotnił się bez śladu i nikt go nigdy nie złapał. Stał się pan swego rodzaju legendą.

– A czy ktoś próbował podążyć za moim przykładem?

Freeman pokręcił głową.

– Postarali się utrudnić ucieczkę. Niewykluczone też, że do tej pory nie znalazł się nikt obdarzony pana talentem.

– Gdyby się znalazł, z pewnością przyciągnąłby pana uwagę. Jest pan człowiekiem o wysokiej pozycji, nieprawdaż, doktorze Freeman? Czy może raczej panie Freeman? Chyba dobrze pana oceniłem. Dlatego pozostanę przy „panu”.

– Ma pan rację. Obroniłem prace dające tytuł uczonego, nie zwykłe doktoraty. To tak, jak brytyjscy chirurdzy, którzy się obrażają, jeśli ich nazwać doktorem takim to a takim... ale to nieważne, pozbawione znaczenia, głupie! Wie pan, co uderzyło mnie najbardziej, kiedy słuchałem pańskiej relacji z Przepaści?

– Niech pan mi powie.

– Gęsta tekstura życia tych ludzi. Fakt, że starają się je wypełnić, zamiast zredukować do niezbędnych elementów. Ukończyłem trzy kierunki, ale jako człowiek nie wyszedłem poza tę podstawę. Skoncentrowałem się na niej, skupiając wszystko, co wiem, w wąską linię.

– Na tym właśnie polega błąd, który popełniło Tarnover, nieprawdaż?

– Hmm... niemalże rozumiem, co chciał pan powiedzieć. Mógłby pan to uściślić?

– Kiedyś bronił pan Tarnover za pomocą argumentu, że stwarza ono optymalne środowisko dla ludzi przystosowanych do szybkich zmian zachodzących w nowoczesnym społeczeństwie tak dobrze, że są w stanie tworzyć plany nie tylko dla siebie, lecz również dla innych. Albo coś w tym sensie. Ale to się nie wydarzyło, prawda? A dlaczego? Dlatego że kontrolę nad wszystkim nadal sprawują ludzie, którzy pragnęli władzy i zdobyli ją

tymi samymi tradycyjnymi metodami stosowanymi już... cholera, pewnie w predynastycznym Egipcie. Dla nich istnieje tylko jeden sposób prześcignięcia kogoś, kto cię dogania. Musisz biec szybciej od niego. Proszę jednak nie zapominać, że mamy już erę kosmiczną. Parę dni temu znalazłem metaforę, która dobrze ilustruje moją tezę.

Opowiedział o przykładzie dwóch ciał krążących po kołowych orbitach. Freeman zrobił lekko zdziwioną minę.

– Przecież wszyscy wiedzą... – zaczął, ale zaraz się powstrzymał. – Aha. Nie wszyscy. Szkoda, że sam na to nie wpadłem. Z chęcią zapytałbym o to Hartza.

– Nie wątpię w to. Ale proszę się zastanowić. Nie wszyscy wiedzą. W naszej epoce bezprecedensowego przepływu informacji, ludzi prześladowuje myśl, że w rzeczywistości pozostają ignorantami. Standardowe wytłumaczenie brzmi tak, że jest po prostu za wiele rzeczy, których należałoby się dowiedzieć.

– Ale to prawda – bronił się Freeman, popijając whisky.

– Ma pan rację. Czy jednak w grę nie wchodzi też inny, nieporównanie szkodliwszy czynnik? Czy z każdym dniem nie uświadamiamy sobie jaskrawiej, że istnieją dane, do których nie mamy dostępu?

— Wspominał pan już coś na ten temat. – Freeman zmarszczył czoło w zamyśleniu. – To zupełnie nowy powód do paranoi, tak? Jeśli jednak mam przyjąć, że ma pan rację, w takim razie... Niech to piekło, wygląda na to, że jest pan zdeterminowany zdewaluować wszystkie kroki, jakie podjęliśmy w ostatniej połowie stulecia.

– Tak.

– Ale to absolutnie niemożliwe! – Freeman wyprostował się pod wpływem nagłego przerażenia.

– Nie, to tylko złudzenie, efekt błędnego wyboru punktu widzenia. Proszę posuwać się naprzód krok po kroku. Spróbować holistycznego podejścia, które tak pan ongiś krytykował. Proszę sobie wyobrazić, że cały świat jest jedną całością, a kraje rozwinięte, czy może nadmiernie rozwinięte, to odpowiedniki Tarnover albo lepiej Trianon. Natomiast te z mniej rozwiniętych krajów, które odnoszą największe sukcesy,

przypominają osady ze stref dotowanej rezygnacji, które startowały w zupełnie niesprzyjających okolicznościach, a teraz stały się lepszymi miejscami do życia niż większość dużych miast na kontynencie. Krótko mówiąc, chodzi mi o powtórkę na wielką skalę sytuacji związanej z projektem „Skąpstwo”. Zakończenie eksperymentu, który okazał się stanowczo zbyt kosztowny i nie przyniósł spodziewanych zysków.

Freeman zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

– Załóżmy, że przyznaję, że ma pan rację, przynajmniej częściowo – odezwał się wreszcie. – Co w takim przypadku pana zdaniem powinienem zrobić?

– Hmm... No cóż, mógłby pan zacząć od wypuszczenia mnie i Kate.

\* \* \*

Tym razem cisza, która zapadła, była wypełniona walką. Wreszcie nadeszła nagła decyzja. Freeman dopił whisky, wstał i pogrzebał w bocznej kieszeni marynarki. Wydobył stamtąd płaskie plastikowe pudełeczko wielkości jego dłoni.

– To nie jest zwyczajny przenośny kalkulator – oznajmił nerwowym głosem. – To wideofon. Przewód i wtyczka są w środku. Wejścia telefoniczne są tu, tu i tu. – Wskazał na trzy kąty pokoju. Proszę nic nie robić, dopóki nie otrzyma pan kodu.

## W CHWILI ROZPADU

Co to mówiłem o kompensacji?

Rzecz jasna, wypił mnóstwo whisky, a nie był przyzwyczajony do alkoholu.

Ale czy się upiłem? Nie czuję się pijany. Co więcej, gdybym się choć trochę nie ubzdryngolił, nie byłbym w stanie znieść potopu straszliwych prawd, który wypełnia obecnie mój mózg. To, co powiedział mi Hartz.

Czego omal nie powiedział Bosch, choć zdołał się powstrzymać. Ale przecież doskonale wiem, jakie słowo zastąpił słowem „niespecjalista”. Dlaczego miałbym do końca życia kłaniać się kłamcom takim jak on? Twierdził, że psy, które hodują w Przepaści, nie mogą istnieć! A tępaki takie jak Hartz są jeszcze gorsze. Spodziewają się, że ludzie, którymi rządzą, będą pamiętali o sprawach, o których sami nie pomyśleli, bo byli za głupi, a potem utrzymują, że to nie ich wina!

Freeman zamknął starannie drzwi apartamentu i rozwiesił kartki z napisem „Nie przeszkadzać” – jedną na drzwiach i po jednej na obu wideofonach.

Teraz muszę tylko dostać się do indeksu zastrzeżonych kodów aktywowanych z chwilą, gdy zdevaluowali 4GH... Z pewnością, jeśli skądś można zrobić upgrade tego typu kodu do statusu „N jak niepodważalny”, to właśnie z Tarnover. To jest najlepsza sztuczka ze wszystkich. Gdyby Haflinger ją znał, nigdy by go nie złapali.

Usiadł za konsolą danych. Otwierał szeroko oczy, ale w pełni zachował swe znaczne zdolności, a co ważniejsze, nie musiał polegać na potencjalnie zawodnym urządzeniu o ograniczonych możliwościach, jakim był kieszonkowy wideofon, za pomocą którego Haflinger z pewnością wkrótce dokona swego osobistego cudu. Napisał próbny program na taśmie, którą można było z łatwością skasować, a potem przepisał go na nowo raz i drugi. Przy pracy towarzyszyła mu kusząca myśl.

Mógłbym zwinąć trzy kody z równą łatwością, co dwa.

W końcu program był gotowy do pracy.

– Czemu by nie? – zapytał Freeman, zanim go uruchomił. Sprawdził, ile kodów jest obecnie w zapasach. Odpowiedź brzmiała „około stu tysięcy”. Tylko pięć departamentów czerpało z tego zasobu, odkąd go zamówiono, a w związku z tym...

Czemu by nie, do cholery? Zbliżam się już do czterdziestki i czego właściwie dokonałem w życiu? Mam uzdolnienia, inteligencję i ambicję. I wszystko to się marnuje! Miałem nadzieję, że stanę się użyteczny dla społeczeństwa. Spodziewałem się, że będę spędzał czas na demaskowaniu przestępców i zdrajców, ujawnianiu ich przed uczciwymi obywatelami.

Okazało się jednak, że najgorsi przestępcy uchodzą bezkarnie, a ludzie tacy jak Kate, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili... niech to szlag! Już przed wielu laty przestałem być śledczym. Teraz jestem inkwizytorem. I utraciłem wszelką wiarę w sprawiedliwość mojego Kościoła.

Parsknął nagłym, ochryplym śmiechem, wgrał na taśmę ostatnią, małą poprawkę i uruchomił program.

## DOSTATEK I JEGO SKUTEK

– Dla wygody leniwych plebejuszy comiesięczne przydziały zboża zastąpiono codziennym rozdawnictwem chleba, a kiedy zaczęły się powszechne narzekania na wysoką cenę i trudną dostępność wina... nieroztropnie poluzowano surowy reżim trzeźwości, a choć szczodrych planów Aureliana najwyraźniej nie wprowadzono w życie w pełni, pozwolono na swobodną i powszechną konsumpcję wina... nawet najuboższy Rzymianin mógł codziennie za jednego miedziaka zabawić się z pompą i luksusem, jakich pozazdrościliby mu azjatyccy królowie... Najwspanialsza i najatrakcyjniejsza rozrywka dla rozleniwionych tłumów opierała się jednak na częstych publicznych igrzyskach oraz spektaklach... Szczęście Rzymu zależało od wyniku wyścigów.

Skrobiemy i skrobiemy, ciągle skrobiemy, co, panie Gibbon?

## NIECH NIE WIE NIEPRAWA GŁOWA, CO CZYNI PRAWA

Ukończywszy przygotowania, odłączył telefon, który okazał się tak cenny, złożył go i schował w wewnętrznej kieszeni marynarki, którą mu dali. Następnie powiesił ją na oparciu krzesła, rozebrał się jak co dzień i położył spać o mniej więcej tej samej porze co zwykle.



To, co wydarzyło się później, było mikrokosmosem – miniaturką – jego życia, skondensowanym do okresu najwyżej trzydziestu pięciu minut.

\* \* \*

Nocą, o nieokreślonej godzinie, jeden z milczących, anonimowych, odzianych na biało strażników obudził go, kazał szybko się ubrać i pójść za nim. Strażnika nie dziwiło to odejście od rutyny, ponieważ dla niego rutyna mogła się opierać na nieprzewidywalności. Już od stuleci był to tani i prosty sposób doprowadzania przesłuchiwanym do utraty zmysłów.

Strażnik zaprowadził go do pokoju z dwojgiem drzwi. Nie było tam żadnych mebli poza ławą. Jego rozkazy nie sięgały dalej, więc zwięźle polecił mu usiąść i zaczekać, a potem sobie poszedł.

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie otworzyły się drugie drzwi i do pokoju weszła pękata kobieta, ziewając szeroko. Przyniosła ubranie w plastikowym worku oraz formularz do podpisania. Opryskliwym tonem kazała mu to zrobić. Wykonał polecenie, posługując się nazwiskiem, którego się spodziewała. Nie było to jego prawdziwe nazwisko. Usatysfakcjonowana kobieta ziewnęła jeszcze szerzej i wyszła.

Przebrał się w przyniesiony przez nią strój: biała dżersejowa koszula, niebieskoszare spodnie i granatowa marynarka – wszystko dobrze dopasowane i nieprzyciągające uwagi. Schował do worka ubranie, w którym tu przyszedł, i wyszedł przez te same drzwi, którymi przybyła kobieta. Znalazł się w korytarzu, w którym było kilkoro drzwi. Minał trzy – dwoje po prawej stronie i jedno po lewej – i dotarł do zsypu, w którym pozbył się swego brzemienia. Dwoje drzwi dalej znalazł gabinet. Był otwarty, a wśród jego wyposażenia znajdował się między innymi terminal komputerowy. Mężczyzna nacisnął klawisz na konsoli wejścia.

W sąsiadującej z terminalem szafce otworzyła się zdalnie zamykana szuflada. Można w niej było znaleźć między innymi tymczasowe identyfikatory, wydawane oficjalnym gościom odwiedzającym ośrodek.

Tymczasem stacja drukowania terminalu zaczęła buczeć. Szybko wysuwał się z niej długi język papieru.

Z tej samej szuflady, w której znajdowały się identyfikatory, wyjął kolorowy neopolaroid, nastawił go na opóźnienie i umieścił na sąsiednim stole. Następnie usiadł przed aparatem fotograficznym, odczekał przepisowe kilka sekund, wyjął kliszę, położył zdjęcie na identyfikatorze i przytwierdził je za pomocą urządzenia, które – zgodnie z zapewnieniami komputerów – również można było znaleźć w szufladzie. Na koniec wpisał pożyczone nazwisko oraz stopień majora Korpusu Medycznego Armii Stanów Zjednoczonych.

Komputer zdążył już wydrukować w dwóch egzemplarzach to, czego potrzebował: nakaz przekazania Kate Grierson Lilleberg. Wyprodukowano go na świetlnej drukarce, która w przeciwieństwie do mechanicznych urządzeń nie była ograniczona tylko do jednego stylu czcionki – ani nawet do jednego alfabetu, ponieważ każdą literę pisała wiązka laserowa o minimalnej mocy. Tylko badaniem mikroskopowym można by stwierdzić, że nie jest to formularz Armii Stanów Zjednoczonych numer RQH-4479, standardowy dokument wymagany przy przekazywaniu więźnia przez władze cywilne władzom wojskowym.

Odpowiednio wyposażony, przywrócił na miejsce wszystko, co przesunął, nacisnął kolejny klawisz na konsoli, by aktywować ostatni odcinek programu, który tu zostawił, i opuścił pokój. Posłuszna maszyna ponownie zamknęła szufladę oraz drzwi gabinetu, a potem zajęła się innymi zadaniami, takimi jak wykasowanie zapisu świadczącego, że nocą je otwierano, oraz zarejestrowanie „faktu” przypadkowego zniszczenia jednego z tymczasowych identyfikatorów, co tłumaczyło, dlaczego brakuje go w szufladzie.

Drzwi na końcu korytarza wychodziły na dwór. Znajdujące się za nimi schody wiodły na kryty ciemnym betonem parking. Stała na nim elektryczna karetka. Kierowca noszący mundur wojsk lądowych z epoletami starszego szeregowego, zasałutował niepewnie.

– Majorze...?

– Spocznij – rzucił dziarsko przybysz i pokazał mu identyfikator oraz formularz. – Przepraszam, że kazałem wam czekać. Były jakieś kłopoty z dziewczyną?

Kierowca wzruszył ramionami.

– Jest nieprzytomna, panie majorze. Padła jak przepalona jarzeniówka.

– I tak właśnie powinno być. Dali wam kartę marszruty?

– Jasne. Kiedy przekazywali mi dziewczynę. Aha, i jeszcze to. To pewnie jej karta kodowa.

Żołnierz wręczył mu małą płaską paczuszkę.

Po jej rozpakowaniu okazało się, że w połowie miał rację. To nie była jedna karta tylko dwie.

– Dziękuję. Co prawda, tam, dokąd jedzie, karta raczej się jej nie przyda.

– Pewnie tak – zgodził się kierowca ze skwaszonym uśmiechem.

– Wymieniliście już akumulatory, tak? Świetnie. W takim razie ruszajmy.

\* \* \*

Ciemna szosa znikła z tyłu przy akompaniamencie grzechotania niewypowiedzianych liczb. Nauczył się na pamięć obu kodów, zanim przystąpił do aktu wideofonowego sabotażu, ucieczka nie ograniczała się jednak do dwóch kodów osobistych. Chciał, by wszystko się zgadzało, zanim karetka będzie musiała się zatrzymać, by wymienić akumulatory, a zasięg tego modelu nie przekraczał dwustu mil.

Lepiej by było, gdyby kierowcy nie musiała stać się krzywda, nawet jeśli był na tyle głupi, że zgłosił się na ochotnika do wojska, a co gorsza, wykonał rozkazy wydane przez maszynę, nie zadając żadnych pytań.

Ale przecież wszyscy tak robili. Wszędzie i zawsze. W przeciwnym razie nic z tego nie byłoby możliwe.

Ale, z drugiej strony, nie byłoby też konieczne.

## DLA CELÓW DEZORIENTACJI

W chwili obecnej i – jeśli szczęście się do mnie uśmiechnie – już zawsze w przyszłości, jestem Nicholas Kenton Haflinger. A jeśli komuś się to nie podoba, może to sobie wsadzić.

## PRZEWODNICZĄC PRZEBUDZENIU

– Co...? Kto...? Dlaczego, Sandy!

– Cicho. Słuchaj uważnie. Jesteś w wojskowym ambulansie. Znajdujemy się jakieś dwieście mil na wschód od Tarnover i rzekomo zmierzamy do Waszyngtonu. Kierowca wierzy, że jestem majorem Korpusu Medycznego i eskortuję cię na miejsce. Nie zdołałem wymyślić żadnej przekonującej bajeczki, która pozwoliłaby mi załatwić dla ciebie ubranie pozwalające na pokazanie się na ulicy. Masz tylko tę bawełnianą szpitalną koszulę. W dodatku ogolili ci głowę. Pamiętasz coś z tego, czy cały czas utrzymywali cię w stanie wycofania?

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Od chwili, gdy... mnie porwali, wszystko wydaje mi się snem. Nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

– Porozmawiamy o tym później. Zatrzymaliśmy się, żeby wymienić akumulatory. Wysłałem kierowcę na kawę. Za chwilę wróci. Znajdę jakiś inny pretekst, żeby go gdzieś odesłać, bo widziałem tu automat, w którym mogę ci kupić sukienkę, buty i perukę. Bądź gotowa włożyć je na następnym postoju i zniknąć.

– I co... co zrobimy? Nawet jeśli się uda?

Wykrzywił usta w cynicznym grymasie.

– To samo, co robiłem przez całe dorosłe życie. Będziemy grzebać w sieci. Ale tym razem na znacznie większą skalę. Uwierz mi, to im się nie spodoba.

\* \* \*

Ponownie zatrzasnął drzwi karetki.

– Niech szlag trafi te monitory! – zawołał głośno do wracającego kierowcy. – Wskazują, że środki uspokajające przestały działać, a ona nadal leży jak kłoda. Hej, widzieliście gdzieś toaletę? Chyba muszę się odlać, zanim znowu ruszymy w drogę.

– Tuż za automatem, panie majorze – odpowiedział kierowca, przekrzykując odgłosy licznych parowych i elektrycznych samochodów zatrzymujących się przy stacji usług. – Aha, skoro nie ruszamy natychmiast, widzę, że mają tu tablice delfickie. Chciałbym sprawdzić jeden ryzykowny zakład.

– Proszę bardzo, możecie iść. Ale wróćcie za... powiedzmy pięć minut, dobra?

## PIERWSZY WSTRZĄS

– Jak to nie można się z nim skontaktować? Proszę wysłuchać mnie uważnie, żeby się upewnić, że pan wie, o kogo mi chodzi. O Paula T jak Tommy Freemana! Czy mam to przeliterować?

– Jego nowy kod? A co z...? Jest pan pewien?

– Nie mieli prawa po prostu zabrać go z... Ech, cholera. Czasami się zastanawiam, kto właściwie rządzi tym krajem, my czy maszyny. Proszę mi podać nowy kod.

– Nie obchodzi mnie, co jest przy nim napisane. Proszę mi go przeczytać. Jeśli umie pan to zrobić.

– Słuchaj, ty upierdliwy kretynie. Kiedy wydaję rozkaz, chcę, żeby go wykonano. Nie mam zamiaru wysłuchiwać usprawiedliwień jakiegoś zasranego samozwańczego prawnika. Rozmawia pan z wicedyrektorem Federalnego Biura Przetwarzania Danych i... Tak lepiej, niech pan mówi.

– Od jakiej grupy się zaczyna? Nie, nie musi mi pan powtarzać. Słyszałem. O mój Boże. O mój Boże.

## WEEKENDOWA WĘDRÓWKA LUDÓW

Prosta kreska autostrady z Tarnover do Waszyngtonu, linia łącząca dzień jutrzejszy z wczorajszym za pośrednictwem dzisiejszego...

Najbardziej mobilna populacja w dziejach, tak absolutnie uzależniona od przemieszczania się dla samego przemieszczania się, że całkowicie zdewałowiała przesadne koszty, kryzysy energetyczne, wyczerpanie się zasobów ropy naftowej i wszelkie inne przeszkody, po to, by zachować ten nawyk. Nadal się nie zatrzymywała, choć na połowie kontynentu panowała pogoda typowa dla późnej jesieni – silne wiatry, niskie temperatury i zamarzający deszcz. Z reguły o tej porze roku ludzie przestawali szukać i zaczęli znajdować.

Podczas drogi myślał o tym bardzo wiele.

Po co się przemieszczamy?

Po to, by wybrać miejsce, w którym zapijemy korzenie.

Przyśpieszasz, żeby przejść na ciaśniejszą orbitę? To się nie uda. Musisz zmienić kolejność!

Nawet Freemanowi trzeba było to wytłumaczyć. Zdawał sobie niejasno sprawę, że Kate zrozumie to natychmiast. Nie mogła przy tym być jedyną osobą, która instynktownie pojmuje prawdę.

Waszyngton: dzień wczorajszy. Demonstracja osobistej władzy; przywileje związane z urzędem; indywidualizacja konsensusu, skupienie go w ustach jednego przedstawiciela, echo czasów, gdy wszyscy członkowie danej społeczności rzeczywiście zgadzali się ze sobą, ponieważ nie atakowały ich setki sprzecznych wersji tych samych wydarzeń. (W dzisiejszych czasach typowy zwycięzca wyborów otrzymuje niespełna czterdzieści procent oddanych głosów; często się zdarza, że nienawidzą go cztery piąte tych, których rzekomo reprezentuje, ponieważ populacja stanu albo okręgu się zmieniła. Zredukują go przy najbliższej okazji, ale do tego czasu muszą go jakoś tolerować. Spisy wyborców prowadzą obecnie komputery. Żeby się zarejestrować, wystarczy jedno, słownie jedno, połączenie wideofoniczne).

Tarnover: dzień jutrzejszy, z pewnością. Miejmy jednak nadzieję, że nie jest to jutro, które rzeczywiście nadejdzie, ponieważ zaplanowali je i panują nad nim ludzie urodzeni przedwczoraj.

Jak można sobie poradzić z jutrem, kiedy (a) może nie przypominać prawdziwego jutra, ale (b) przybyło w chwili, gdy nie byliśmy na nie gotowi?

Jedno z możliwych podejść streszcza stare, uniwersalne powiedzenie: „Błogosławieni ci, którzy oczekują najgorszego”. Stąd właśnie biorą się takie zjawiska, jak Antytrauma. W całym późniejszym życiu nie może nas spotkać nic gorszego niż to, co nam zrobili, gdy byliśmy dziećmi.

(Niewłaściwe jutro).

Inne rozwiązanie łączy się z ideą podłączeniowego stylu życia. Dokądkolwiek się udamy, spotkamy tam ludzi takich samych jak ci, których zostawiliśmy za sobą, znajdziemy takie same meble, ubrania i posiłki, takie same drinki w barach. „Hej, czy mógłby pan rozstrzygnąć dla nas zakład? Czy to jest Hilton w Paryżu, czy w Stambule?”

(Niewłaściwe jutro. Oferuje złudną nadzieję, że dzień jutrzejszy będzie bardzo podobny do dzisiejszego. Ale on już przybył i wcale taki nie jest).

Jeszcze inna odpowiedź polega na przygotowaniu się na jego nadejście: na przykład na korzystaniu z publicznych tablic delfickich, by śledzić, do czego ludzie są gotowi się przystosować, do czego pragną się przystosować, a do czego nie przystosują się za żadną cenę.

(Niewłaściwe jutro. Zdecydowano, by ciężar decyzji dźwigały tradycyjne siły wolnego rynku. Faworyt, któremu na starcie dawano największe szanse, złamał nogę na pierwszej przeszkodzie, a do końca wyścigu jeszcze daleko).

Jeszcze inne rozwiązanie proponują strefy dotowanej rezygnacji: sprzedajemy swe prawa do najlepszych i najnowszych udogodnień w zamian za zasiłek pozwalający zachować jedność ciała i duszy.

(Niewłaściwe jutro: Przyszłość i tak nas dogoni, a jednym z elementów tego rozwiązania są niszczące miasta trzęsienia ziemi).

Jeszcze inna możliwość to naćpać się jakiegoś porządnego kwasu, żeby nic z tego, co się wydarzy, nie zabolowało nas naprawdę.

(Niewłaściwe jutro. Prochy *longi, vita brevis*).

I tak dalej.

Religia?

Zmiana miast na zamówienie. W poprzednim struktura była katolicka, a w tym mamy ekumenicznych zielonoświątkowców, a kaznodzieja interesuje się tao.

Chemikalia?

Prawie wszyscy są nafaszerowani prochami niczym żołnierze przed bitwą. Drzenie! Słyszymy napięcie w powietrzu, którym oddychamy. Jediną zmianą stanu świadomości, jakiej pragniemy, jest powrót do normalności.

Wiara w autorytety?

Wszyscy jesteśmy wolni i równi, i w związku tym, każdy z nas ma takie samo prawo być autorytetem.

Naśladowanie celebrytów?

Przecież sam byłeś celebrytą w zeszłym tygodniu. Miałeś w kieszeni rekordowy kupon delficki, twoje dziecko występowało w trójwymiarze, stawiając czoło aligatorom, albo wytrzymałeś cały rok w tym samym mieszkaniu i odwiedził cię reporter z miejscowej stacji. Byłeś sławny przez całe dziesięć minut.

Kapitulacja przed przeciążeniem?

To już ci się zdarzało, prawie tak samo często jak przeziębienie.

Po cierpliwym przeanalizowaniu tych wszystkich możliwości, wracamy do punktu startowego, otrzymawszy w nagrodę zachęcający uśmiech, poklepanie po plecach oraz błyszczący, iluminowany certyfikat z napisem „nie ma wyjścia”.

Świat nadal się kręci, reklamy ciągle się zmieniają, w trójwymiarze zawsze są jakieś programy, w supermarkecie żywność, w gniazdku prąd, a w kranach woda. No cóż, może nie zawsze, ale prawie zawsze, niech to szlag.

Prawie zawsze masz też znajomych, którzy odbiorą telefon.

Kod prawie zawsze daje ci kredyt.

I prawie zawsze jest jakieś miejsce, do którego możesz się przenieść.



A kiedy nocne niebo jest czyste, niezawodnie zobaczysz na nim więcej gwiazd niż było ich tam w chwili stworzenia świata. Do tego poruszają się szybciej. Dlatego jest w porządku.

Całkiem nieźle.

Mniej więcej.

RATUNKU!

\* \* \*

Z tych i wielu innych powodów na następnej stacji usług wręczył kierowcy kwit, a Kate suknię, buty oraz perukę, po czym oboje wtopili się w tłum czekających na autobus do najbliższego lądowiska pionowzlotów. Z pewnością zdziwionemu starszemu szeregowemu zostawił następującą notatkę.

Dziękuję, żołnierzu. Bardzo mi pomogliście. Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak bardzo, wpiszcie ten kod w najbliższej budce telefonicznej.

Rzecz jasna, był to jego nowy kod.

## ZASADA WBIJANA DO GŁOWY POLICJANTOM Z DROGÓWKI PODCZAS SZKOLENIA

Ktoś spadnie na was z bardzo wysoka, jeśli spróbujecie dać mandat kierowcy samochodu z kodem federalnym wysokiego stopnia.

## MYSZKOWANIE POD STOPAMI SŁONI

- Dokąd jedziemy? – wyszeptała Kate.
- Wreszcie znalazłem miejsce dla siebie.

– Przepaść? – zapytała z nadzieją pomieszaną z obawą. – Z pewnością tam będą cię szukać najpierw.

– Hmm. Przepraszam. Chodziło mi nie tyle o jedno miejsce, ile o miejsca. Żadne pojedyncze miejsce nie byłoby wystarczająco duże. Muszę się znaleźć w stu miejscach jednocześnie. W tysiącu, jeśli okaże się to możliwe. Będę potrzebował czasu, by wprowadzić swój pomysł w życie, ale za... bo ja wiem, może parę miesięcy, będziemy mogli spokojnie podziwiać fajerwerki.

– Zawsze lubiłam fajerwerki – odpowiedziała z cieniem uśmiechu i ujęła go za rękę.

## SKRZYŻOWANIE ZE ZNAKAMI STOPU

W dzisiejszych czasach łatwo zapomnieć, która twarz łączy się z którym nazwiskiem. Dlatego pod obliczami uwidocznionymi przez bezpieczne, czterostronne połączenie umieszczono podpisy z nazwiskami i piastowanymi stanowiskami. Hartz gapił się na podzielony pionowo obraz na ekranie, przesuwając wzrok od lewej do prawej.

Z Tarnover, jego kanclerz: admirał Bertrand Snyder, ascetyczny, siwowłosy i lakoniczny. Podczas powstania na Hawajach w roku 2002 zasłynął jako „Nieustępliwy Snyder”... ale potem objął stanowisko w administracji państwowej i otoczyła go mgła tajemnicy.

Z Południowego Białego Domu, specjalny doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, pulchny, noszący okulary doktor Guglielmo Dorsi, nawet swoim najbliższym (choć całkowite usunięcie tego przydomka z jego dossier okazało się niemożliwe) nieznanym jako Billy Majcher.

A z innego piętra tego samego budynku, przełożony Hartza, naczelny dyrektor biura, pan Aylwin Sullivan, wysoki, z orlim nosem i gęstą czupryną, celowo niedbale ubrany. Taki styl obowiązywał wśród ludzi pracujących przy komputerach w czasach, gdy zaczynał swą błyskotliwą

karierę. Mimo to jego rozpięta koszula z kieszenią pełną starych pisaków, jednodniowy zarost oraz brudne paznokcie sprawiały osobliwe wrażenie.

Jakby przeszłość pojawiła się nagle w teraźniejszości.

Wszystkie trzy twarze widoczne na ekranie skierowały się ku Hartzowi z zaszępioną miną. Snyder był poirytowany, Dorsi podejrzliwy, a Sullivan zniecierpliwiony. Pozwolili, by hierarchia zdecydowała, kto powinien przemówić pierwszy.

– Oszalał pan? – zapytał najwyżej z nich postawiony Sullivan. – Zaledwie przed kilkoma dniami nalegał pan, byśmy zdewaluowali wszystkie kody 4GH przydzielone FBI, CIA i Secret Service, a teraz mówi nam pan, że musimy się też pozbyć kodów z klasy N. Nie mógłby pan narobić więcej szkód, nawet gdyby był pan płatnym wywrotowcem.

– Pozwoli pan, że przypomnę coś jeszcze – dodał Dorsi. – Kiedy zapytałem, czym mamy zastąpić kody 4GH, osobiście zapewnił mnie pan, że nie istnieją żadne znane sposoby pozwalające wyciągnąć kod z rezerwy i przydzielić mu klasę N w taki sposób, by nie zarejestrowały go komputery w pańskim biurze. Ale nie znalazł pan żadnych dowodów podobnego czynu, prawda? Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi prezydent, kiedy pójdę do niego z taką szaloną historią.

– Ale kiedy mówiłem, że nie znam... – zaczął Hartz.

– Co więcej, próbował pan podważyć moją uczciwość oraz zdolności administracyjne – przerwał mu ostro Snyder. – Stwierdził pan otwarcie, że osoba, którą oskarża pan o ten akt sabotażu, jest absolwentem Weychopee, przeniesionym do Tarnover na moją specjalną prośbę i że sam przyznałem mu uprawnienia potrzebne do pracy w ośrodku. Całkowicie zgadzam się z panem Sullivanem. Z pewnością postradał pan zmysły.

– W związku z tym – poparł go Sullivan – ja również domagam się, by poszedł pan na zwolnienie. Najlepiej bezterminowe. Czy to już koniec tej konferencji? Całe szczęście. Mam na głowie inne problemy.

DLA CELÓW ZACIEMNIENIA SPRAWY

Wiem cholernie dobrze, że nazywam się Paul Thomas Freeman, mam trzydzieści dziewięć lat, pracuję dla rządu i osiągnąłem tytuł uczonego w cybernetyce, psychologii i naukach politycznych, a także magistra przetwarzania danych. Wiem również, że gdyby w dzieciństwie nie zwerbowano mnie tak samo, jak Haflingera, zapewne zostałemby drobny przestępcą, zajmującym się przemytem, handlem narkotykami, albo może kierującym nielegalną pulą delficką. Być może wcale nie okazałbym się taki bystry, jak mi się zdaje. Być może już bym nie żył.

Wiem też, że bardzo zmyślnie zapędzono mnie w kozi róg, postawiono w pozycji, w której poświęciłem wszystko, co robiłem w życiu, pod wpływem nagłej decyzji wyrzekłem się kariery, a być może nawet naraziłem się na oskarżenie o zdradę... i to wyłącznie dlatego, że lubię Haflingera bardziej niż Hartza i skurwysynów, którzy za nim stoją. W kozi róg? Chyba raczej do czarnej dziury!

W takim razie, czemu czuję się taki szczęśliwy, niech to szlag?

## PUNKT OPARCIA

– I to wszystko? – zapytała z niedowierzaniem Kate, gdy już skończył opowiadać, jak zorganizował ich ucieczkę.

– Niezupełnie. Zadzwoiłem też pod dziesięć dziewiątek.

– Aha. Powinnam była się domyślić.

## Z KRONIK HISTERYCZNYCH

Gdy krótkotrwały rząd Salvadora Allende przejął władzę w Chile i szukał sposobów zrównoważenia chwiejnej gospodarki tego nieszczęsnego kraju, zwrócił się do brytyjskiego specjalisty od cybernetyki, Stafforda Beera.

Beer oznajmił, że wystarczy dziesięć kluczowych wartości, mierzonych w kilku miejscach, w których istniały niezbędne udogodnienia

komunikacyjne, by można było z dnia na dzień śledzić stan gospodarki i wprowadzać niezbędne poprawki.

Sądząc po tym, co wydarzyło się później, jego zapewnienia rozwścieczyły bardzo wielu ludzi, prawie tylu, co wiadomość, że ludzki kod genetyczny składa się z tylko czterech elementów.

## KTO SIĘ NIE ODBIJA, TEN PĘKA

W Ann Arbor w stanie Michigan, Zoë Sideropoulos, doktor psychologii, przez tydzień miała w domu gości. Jej specjalnością była hipnoza, napisała znaną pracę o efekcie regresji, który w pewnych przypadkach umożliwiał odzyskanie wspomnień w normalnych warunkach niedostępnych dla świadomości, bez potrzeby uciekania się do brutalnych fizycznych środków, takich jak wprowadzone do mózgu elektrody.

W ciągu tego tygodnia wyjątkowo często korzystała z domowego terminalu komputerowego.

Tak przynajmniej sądziły maszyny.

\* \* \*

Gdy Kate miała szansę na chwilę odejść od terminalu należącego do ich gospodyni – to był nowy, bardzo wydajny model – przyniosła mu omlet oraz najbliższy ocalały, dostępny w handlu ekwiwalent „prawdziwego piwa”.

– Zjedz, zanim wystygnie – poleciła. – Potem porozmawiamy. Ze szczegółami i notatkami na marginesie.

– Słyszę to z radością. Będziemy mieli mnóstwo czasu do zabicia. Muszę rozbełtać trochę obwodów w Canaveral, czy gdzie tam właściwie są, dokładniej niż ty rozbełtałaś te jajka. Wiem z całą pewnością, że będę zmuszony nakazać komputerom robić coś, czego im wyraźnie zabroniono.

Ale nie przejmuj się tym. Kiedy projektowali ich osłony, nie spodziewali się kogoś takiego jak ja.

Zabrał się do pochłaniania omletu. Był tak wygłodniały, że wystarczył mu tuzin kęsów.

– Muszę się przejmować – mruknęła Kate. – Jesteś pewien, że możemy zaufać Paulowi Freemanowi?

Odstawił pusty talerz.

– Pamiętasz, jak w Łonie Bogów skarciłaś mnie za to, że nie wierzę, że ktokolwiek może być po mojej stronie?

– Tu mnie masz. Ale i tak chcę usłyszeć odpowiedź.

– Tak. To porządny człowiek. I wreszcie uświadomił sobie, co we współczesnym świecie jest złem.

– A jak brzmi twoja odpowiedź?

– Wiem, już, że się z nią zgadzasz. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Antytraumie? Jeśli istnieje coś takiego jak absolutne zło, polega ono na traktowaniu innych ludzi jak przedmioty.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – odparła z powagą.

\* \* \*

W Boulder w stanie Kolorado profesor Joachim Yent ze Szkoły Ekonomii i Zarządzania Biznesowego miał gości przez kilka dni. Zarejestrowano, że w tym czasie wyjątkowo często korzystał ze swego terminalu komputerowego.

\* \* \*

– Kate, jeśli kogoś polubisz, to przyśpieszasz czy zwalniasz?

– Czy co... ach rozumiem. Pewnie zwalniam. Żeby dotrzeć do punktu, w którym będziemy mogli ze sobą porozmawiać, muszę na chwilę przestać przeskakiwać.

– I na odwrót?

– W większości przypadków nie. W gruncie rzeczy, jesteś jedyną znaną mi osobą, która potrafi postępować na odwrót i... Sandy? Jak się naprawdę nazywasz, do cholery? Właśnie sobie uświadomiłam, że nadal tego nie wiem.

– Sama zdecyduj. Możesz zostać przy Sandym albo przerzucić się na imię, z którym się urodziłem: Nicholas, Nickie, Nick. Wszystko mi jedno. Jestem sobą, nie etykietką.

Wyduła wargi, przesyłając mu całusa.

– Ja też nie dbam, jak masz na imię. Po prostu cieszę się, że oboje zwolniliśmy do tej samej prędkości.

\* \* \*

W Madison w stanie Wisconsin, Prudence McCourtenay, dziekan Wydziału Prawa, miała w domu gości przez długi weekend. W tym przypadku również zarejestrowano, że podczas ich wizyty nietypowo często korzystała z domowego terminalu.

Robiło się bardzo zimno. Z całą pewnością nadeszła zima.

\* \* \*

– Tak. Wszyscy powinni zwolnić do tej samej prędkości. W ten sposób rozproszy się mnóstwo nagromadzonej energii. Wiele hamulców może się nawet stopić. Alternatywą jest jednak wjechać prosto w mur.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie wszyscy jeszcze są tacy jak ty.

– Taki świat byłby bardzo nudny!

– Chodziło mi o to, że nie potrafią tak dobrze radzić sobie ze zmianami.

– Ale... – Przygryzła wargę. – Po prostu tak już jest, że niektórzy to potrafią, a inni nie. Byłoby okrucieństwem karać tych drugich, ale powstrzymywanie pierwszych dla dobra innych jest...

– Nasze współczesne społeczeństwo jest okrutne na oba te sposoby – przerwał jej. – Rzeczywiście karze tych, którzy sobie nie radzą. Kupiliśmy sobie wideofony, sieć danych, rudę z planetoid i całą resztę kosztem tych, którzy wylądowali na cmentarzu albo w szpitalach psychiatrycznych. – Jego twarz zachmurzyła się na chwilę. – A także powstrzymuje tych, którzy sobie radzą. Sam jestem tego najlepszym przykładem.

– Piekielnie trudno mi w to uwierzyć, odkąd zobaczyłam, co potrafisz osiągnąć, gdy pracujesz na pełen gwizdek!

– Ale przedtem mnie powstrzymywano, do cholery. Nie miałem pojęcia, jak daleko sięgają moje możliwości, dopóki nie zobaczyłem, jak tam leżałaś, bezwładna i wygolona jak zwierzę laboratoryjne, które mają pociąć na plasterki i wyrzucić, nie pozostawiając nic poza wpisem w tabeli statystycznej. Ten widok zmusił mnie do... pewnie trzeba to nazwać przejściem w mentalny tryb turbo.

– I jakie to wrażenie?

– Niewytłumaczalne jak orgazm.

\* \* \*

W Shreveport w stanie Luizjana doktor Chase Richmond Dellinger, specjalista od zdrowia publicznego pracujący dla władz miejskich, miał w domu gości i podczas ich pobytu wyjątkowo często korzystał z domowego terminalu.

Rzecz jasna, na południu było jeszcze w miarę ciepło, ale w tym roku opady były bardzo obfite.

\* \* \*

– Dlatego koniecznie musiałem znaleźć drogę wyjścia. Nie tylko dla ciebie i dla mnie, ale dla wszystkich. W mgnieniu oka zrodziło się we mnie nowe pragnienie, fundamentalne jak głód, strach albo popęd seksualny. Pamiętam jedną dyskusję z Paulem Freemanem...



– Tak?

– Chodziło o myśl, że potrzeba było wynalazku bomby wodorowej, by wywołać u ludzi instynktowną reakcję, u innych zwierząt powodowaną przez większe kły albo pazury.

– Albo dominującego osobnika w ich prywatnym kosmosie. Kiedy wracałam ze szkoły, Bagheera przewracała się na grzbiet jak małe kociątko, żeby mnie przywitać. Mam nadzieję, że zaopiekowano się nią jak trzeba.

– Obiecano nam, że tak będzie.

– Tak, ale... Nieważne, nie chciałam ci przerywać.

– Z zasady się z nim nie zgodziłem, ale miał sporo racji, twierdząc, że, o ile nam wiadomo, tak właśnie może wyglądać prawda. No cóż, jeśli próg zachowania zorientowanego na przetrwanie rzeczywiście jest u nas tak wysoki, że potrzebna jest groźba całkowitej zagłady, by pojawiły się reakcje prowadzące do łagodzenia konfliktów oraz kompromisu, mogą istnieć również inne procesy, w równym stopniu sprzyjające przetrwaniu, które uaktywniają się dopiero na poziomie bodźców znacznie wyższym niż ten, który spotykamy u naszych czworonożnych kuzynów.

\* \* \*

Na ranczo w Północnym Teksasie, Rush Compton, specjalista od historii politycznej, oraz jego żona Nerice, kilka dobrych lat od niego młodsza i niekiedy zajmująca się doradztwem w sprawach badań rynkowych, mieli w domu dwoje gości. Podczas ich pobytu bardzo często korzystano w domowego terminalu.

Pogoda była piękna i bezchmurna, tylko od czasu do czasu wiał zimny wicher z północy.

\* \* \*

– Chwileczkę. Ten próg może być niebezpiecznie wysoki. Pomyśl o populacji.

– W rzeczy samej. Od niej właśnie zacząłem. Brak ściśle określonego okresu rui jest jednym z powodów, dzięki którym ludzkość osiągnęła dominację. To umożliwiło nam eksplozywny wzrost populacji. W pewnym punkcie pojawiają się jednak procesy hamujące. Męskie libido słabnie albo kieruje się w bezpłodne kanały, kobieca owulacja staje się nieregularna, a w niektórych przypadkach zatrzymuje się całkowicie. Niestety, na długo przed dotarciem do tego punktu towarzystwo pobratymców staje się dla nas tak nieznośne, że uciekamy się do wojen albo meczów szczepowych. Zabijamy innych lub samych siebie.

– To znaczy, że czynnik, który zapewniał nam ewolucyjną przewagę, niepostrzeżenie zmienia się w obciążenie.

– Kate, kocham cię.

– Wiem. I cieszę się z tego.

\* \* \*

W położonym na odludziu domu w Massachusetts emerytowany sędzia Virgil Horovitz oraz jego gospodyni Alice Bronson – był wdowcem – przyjmowali gości. Z domowego terminalu skorzystano po raz pierwszy od chwili przejścia Horovitza na emeryturę.

Nocą wichura ogołociła większość otaczających dom drzew z pięknego czerwonożłotego listowia. Pokryte szronem liście chrzęściły i szeleściły pod stopami.

\* \* \*

– Ale co, do licha, możemy zrobić z twoimi pomysłami? Mieliśmy już przedtem podobne idee, stworzone przez socjologów i historyków, polityków i kaznodziejów, ale nadal tkwimy w tym samym bagnie. Pomyśl zamienienia całej planety w dom wariatów w nadziei, że sprowokuje to

jakaś reakcję sprzyjającą przetrwaniu gatunku... nie, to nie wchodzi w grę. Przypuśćmy, że na jakimś wczesnym etapie twojego planu dojdziemy do punktu, w którym miliard ludzi jednocześnie postrada zmysły.

– To najlepsze, na co moglibyśmy liczyć, jeśli nadal zostawimy wolną rękę ludziom z Tarnover. Dosłownie najlepsze.

– Mam wrażenie, że mówisz poważnie!

– Och, może to nie byłby cały miliard. Ale zapewne blisko połowa populacji Ameryki Północnej. A ponad sto milionów ludzi wystarczy, prawda?

– Jak mogłoby do tego dojść?

– Przynajmniej w teorii jedna z działających na nas sił opiera się na zdolności, której nie dzielimy z innymi stworzeniami. Potrafimy podjąć decyzję, czy ulegniemy wrodzonemu impulsowi. Cała historia naszego społeczeństwa jest opowieścią o tym, jak nauczyliśmy się zastępować prosty instynkt zachowaniem świadomie opartym na podstawach etycznych. Mam rację? Z drugiej strony, pozostaje jednak prawdą, że tylko nieliczni z nas są skłonni przyznać, jak wielki wpływ na nasze zachowanie ma dziedzictwo dzikich przodków. Nie bezpośredni wpływ, bo nie jesteśmy już dzicy, ale pośredni, ponieważ nasze wrodzone skłonności nadają kształt całemu społeczeństwu. – Zaśmiał się ze smutkiem. – Wiesz co? – podjął. – Bardzo żałuję, że nie mogłem czerpać radości z dyskusji z Paulem Freemanem. Tak wiele nas łączyło... ale nie ośmieliłem się podjąć próby. Za wszelką cenę musiałem wstrząsnąć podstawami jego poglądu na świat. W przeciwnym razie nie przewróciłby się, gdy Hartz go popchnął.

– Wystarczy już tych dygresji, dobra?

– Przepraszam. Na czym to stanęliśmy? Aha, miałem powiedzieć, że w Tarnover niesłusznie próbują opóźnić nadejście chwili, w której nasze odruchy zdobędą przewagę. Powinni zrozumieć, że to błąd. Freeman sam wspominał o najlepszym sposobie leczenia szoku osobowościowego, który nie wymaga użycia medykamentów ani żadnej formalnej terapii, a po prostu pozwala ofierze zrobić coś, na co zawsze miała ochotę, lecz nie potrafiła się na to zdobyć. Ale bez względu na tego typu dowody, nadal próbują zebrać ludzi najbardziej uwrażliwionych na nasze rzeczywiste

potrzeby i izolować ich od świata, podczas gdy powinni w pełni uświadomić im ich talent i pozwolić działać swobodnie. W ten sposób, gdy dotrzemy do nieuniknionego punktu przeciążenia, nasze odruchy zadziałają w zgodzie z naszym interesem, a nie przeciwko niemu.

– Przypominam sobie coś, co napisano w jednej z monografii Apokalipsy. To chyba był szósty tom. Gdy pozbawiono ich materialnego dobytku wyznaczającego pozycję w społeczeństwie, wielu uchodźców pełniących dotąd odpowiedzialne funkcje o wysokim statusie zmieniło się w bezużyteczne, wiecznie narzekające pasożyty. Przywództwo przejęli ci, którzy mieli bardziej elastyczne umysły. Nie tylko młodzież, która jeszcze nie skostniała, ale również dorośli, których przedtem uważano za niepraktycznych, marzycieli, a nawet nieudaczników. Łączyło ich tylko jedno. Nieskrępowana wyobraźnia. Niektórzy zawdzięczali ją młodemu wiekowi, u innych zaś przetrwała do wieku dojrzałego i do tej pory krępowała ich nadmiarem możliwości, utrudniając wybór konkretnego kursu.

– Świetnie znam to wrażenie. I czyż zastrzyk wyobraźni nie przydałby się w tej chwili naszemu społeczeństwu? Z pewnością przedawkowaliśmy twardą rzeczywistość. Odrobina fantazji byłaby bardzo dobrym antidotum.

\* \* \*

W pobliżu Cincinnati w stanie Ohio dramaturg Helga Thorgrim Townes oraz jej mąż, Nigel Townes, architekt, mieli w domu gości i obciążono ich debetem za wyjątkowo długi czas korzystania z sieci danych.

W okolicy napadało trochę śniegu, który jednak na razie nie utrzymał się na ziemi.

\* \* \*

– Nie wiem, czybym ci uwierzyła, gdybym nie spotkała wcześniej ludzi z Tarnover. Jeśli osądzać ten projekt na ich podstawie...

– Zapewniam, że są typowi. Systematycznie uczy się ich zamykania oczu na najważniejszą prawdę dotyczącą ludzkości. To tak, jakbyś przeczesła cały kontynent w poszukiwaniu najlepszych, najbardziej szczodrych i liczących się z innymi osób, a potem poświęciła wiele lat na tłumaczenie im, że ponieważ to są rzadkie cechy, z pewnością są nienormalni i powinni się leczyć.

– A jaka prawda jest najważniejsza?

– Sama mi to powiedz. Znałaś ją przez całe życie. Żyjesz zgodnie z jej wskazaniami.

– Czy ma ona coś wspólnego z powodami, dla których zainteresowałam się tobą? Zauważyłem, jak bardzo się starasz dostosować do obowiązującej normy, i wydało mi się to straszliwym marnotrawstwem.

– Tak jest. To jedyny z postawionych przeze mnie Freemanowi zarzutów, którego z całą pewnością nie wycofam. Oskarżyłem go, że nie interesują go prawdziwi ludzie, a jedynie przybliżenia do założonego z góry modelu człowieka. Naprawdę się cieszę, że postanowił z tego zrezygnować. To paskudny nawyk!

– W takim razie wiem o co ci chodzi. O zasadę nieoznaczoności.

– Oczywiście. To przeciwieństwo zła. Wszystko, co implikuje ten zgrany termin „wolna wola”. Słyszałaś kiedyś termin „nowy konformizm”?

– Tak. On mnie przeraża. W czasach, gdy mamy więcej możliwości wyboru niż kiedykolwiek dotąd, więcej mobilności, informacji i możliwości samorealizacji, ludzie chcą być tacy sami jak wszyscy? Rzygać mi się chce na myśl o podłączeniowym stylu życia.

– Ale ten pomysł promuje się tak natarczywie, że większość ludzi obawia się sprzeciwić opinii, że to najlepszy sposób na zachowanie porządku w chaotycznym świecie. Jak powiadają: „Wszyscy mówią, że to prawda. Kim jestem, by się sprzeciwiać?”

– Jestem sobą.

– *Tat tvam asi.*

\* \* \*

Cały ten proces trwał sześć tygodni. W tym czasie w przybliżeniu trzynastą procent gospodarstw domowych posiadających terminale komputerowe korzystało z nich średnio dziesięć procent częściej niż zwykle. Całkowity wzrost w porównaniu z zeszłorocznymi danymi nie przekraczał jednak jednego procenta i można go było złożyć na karb rozpoczęcia roku akademickiego.

## KOLEJNE ZAPOWIEDZI

- Hej, te notowania podwoiły się bardzo szybko, prawda?
- Jak to nie możesz się z nim połączyć? Ma pięciogwiazdkowy priorytet. Jego telefonu nie można wyłączyć. Spróbuj jeszcze raz.
- Jezu, popatrz na to. Czy te głęby nie potrafią się trzymać raz podjętej decyzji chociaż przez dwa dni?
- To dziwne, że otrzymałem to podczas weekendu, ale... Och, nie zamierzam się skarżyć na to, że mam szansę wybrać nowe miejsce z tak długiej listy. To zawsze miła odmiana po tym, jak przez tyle czasu powtarzano nam, że nie mamy wyboru.
- Ależ... ależ panie Sullivan! Pan to autoryzował! A przynajmniej dołączono do tego pański kod!

## POWRÓT DO DOMU

- Czuję się bardzo dziwnie – oznajmiła Kate, gdy taksówka wjechała na ulicę, przy której stał jej dom. Dziewczyna przesuwiała spojrzenie od jednego znajomego szczegółu do drugiego.
- Wcale mnie to nie dziwi. Oczywiście nieraz już wracałem w różne miejsca, ale nigdy po to, by podjąć tę samą rolę, którą grałem tam

wcześniej. Rzecz jasna tym razem też tego nie zrobię. Zgłaszasz jakieś sprzeczności?

– Być może zastrzeżenia. – Skinęła z roztargnieniem dłonią. – W bardzo krótkim czasie byłam tak wieloma osobami, że nie pamiętam wszystkich swoich imion: Carmen, Violet, Chrissie...

– Najbardziej cię lubiłem, kiedy byłaś Lilith.

– Nie żartuję! – zawołała, krzywiąc się do niego. – Wiem, że tu najłatwiej mnie rozpoznają, nawet jeśli postaraliśmy się, żeby łapsy odwołały obserwację... chyba po prostu nie byłam na to przygotowana.

– Ja też nie. Zawsze wolałem uciekać przez dłuższy czas i zrobić więcej. Ale ludzie monitorujący federalne komputery nie są głupi. Jestem pewien, że już zaczynają się domyślać, co wkrótce spadnie im na głowy. Zanim zdążą zareagować, musimy zrobić użytek z ostatnich zasobów, jakie nam pozostały. Nadal jesteś w Kansas City *cause célèbre*, a sądząc z tego, co mówiła i jak wyglądała, Ina z radością skorzysta ze swego dobrego, solidnego kodu SZ-O, żeby osłonić nas przed katastrofą.

– Jestem pewna, że masz rację. Twojej logice nie można nic zarzucić. Niemniej...

– Nie musisz zawsze kierować się logiką. Jesteś mądra. To wykracza poza logikę, nawet jeśli, spoglądając wstecz, twoje decyzje wydadzą ci się absolutnie logiczne.

– Chciałam powiedzieć, że poczuję się dziwnie, kiedy wejdę do mieszkania i Bagheera nie przyjdzie otrzeć mi się o nogi.

\* \* \*

Mieszkanie przeszukali fachowcy. Nic się w nim nie zmieniło, pomijając kurz. Kate podniosła pędzel, którym malowała ścianę, gdy zjawił się „Fessier”, i skrzywiła się na widok pozlepianego włosa.

– Czegoś brakuje? – zapytał i Kate sprawdziła to pośpiesznie.

– Niczego ważnego. Kilku listów, mojej książki adresowo-kodowej... mogę się bez tego obejść. Większość nadal noszę w głowie. Ale... –

Zmarszczyła nos. – Prąd był przez pewien czas wyłączony, zanim go przywróciłeś. Zgadza się?

– Jasne. Odcięli go dzień po twoim porwaniu.

– W takim razie, gdy tylko otworzę drzwi lodówki, lokal przestanie się nadawać do zamieszkania. Pamiętam, że włożyłam do niej dwa tuziny jaj na zapas. Chodź, musimy zapełnić mnóstwo pojemników na śmieci. Wieczorem będzie tu przyjęcie.

– Przyjęcie?

– Jasne. Nigdy nie słyszałeś o Niewiernym Tomaszu? Poza tym studenci lubią sobie pogadać. O tym, co zrobiłeś, jutro będzie się mówić na wszystkich przewodach sieci. Chcę, żeby wiadomości rozchodziły się również z ust do ust.

– Przecież wiesz cholernie dobrze, że napisałem program, który zwoła konferencję prasową...

– W południe następnego dnia po ujawnieniu sprawy – przerwała mu. – Nick, Sandy, jak tam sobie życzysz, kochanie, lawina, którą zamierzasz rozpocząć, może nas zasypać na długo przedtem. Jeśli rzeczywiście uderzysz ich tak mocno, jak się spodziewasz, nie możemy czuć się bezpiecznie.

Zastanawiał się nad jej słowami przez dłuższy czas.

– Wiem – odpowiedział wreszcie lekko drżącym głosem. – Po prostu nie chciałem stawić temu czoła. Łap za telefon i skontaktuj się, z kim tylko zdołasz. Poproś też o pomoc Inę. Niech przyprowadzi kilku znajomych z SZ-O.

– Już o tym pomyślałam – odparła ze spokojem i wcisnęła kod matki.

## WYKLUCIE ROBAKA

Przed wyjściem do znajomych na kolację, doktor Zoë Sideropoulos zatrzymała się na chwilę przed domowym terminalem komputerowym, by



aktywować połączenie z siecią kontynentalną i wpisać szereg trzech cyfr. Potem poszła do samochodu.

\* \* \*

Wracając z wieczornego seminarium, profesor Joachim Yent przypomniał sobie, jaki dziś dzień, i wpisał trzy cyfry na klawiaturze terminalu komputerowego.

\* \* \*

Dzieweczka Prudence McCourtenay leżała w łóżku z przeziębieniem. Cierpiała na nie każdej zimy. Miała jednak w swym siedmiopokojowym domu pięć wideofonów, a jeden z nich stał obok niej.

\* \* \*

Doktor Chase R. Dellinger urwał się na chwilę z nadprogramowej pracy w laboratorium – coś podejrzanego w świeżo importowanej grzybni, być może zanieczyszczonej zmutowaną odmianą – a wracając, skorzystał ze zdalnika komputerowego, by wprowadzić do sieci trzy cyfry.

\* \* \*

Nerice Compton wybrała niewłaściwy numer i zakląła siarczyście; wieczorem zaprosili z Rushem do domu kilkoro przyjaciół, żeby się napić.

\* \* \*

Sędzia Virgil Horovitz miał atak serca. W jego wieku nie było to niczym niespodziewanym, zresztą zdarzyło się przedtem już dwa razy. Gdy jego

gospodyni wracała ze szpitala, pamiętała, by uruchomić terminal komputerowy i wpisać trzy cyfry.

\* \* \*

Na spotkaniu ze znajomymi Helga i Nigel Townes zademonstrowali kilka zabawnych sztuczek, które można zrobić za pomocą zdalnika. Jedna przerwała się po trzech cyfrach, ale pozostałe udały się świetnie.

\* \* \*

Dostępny był pełen backup programu, zdolny samodzielnie wykonać zadanie. Wiele przypadków w historii Pomocnego Słuchacza dowodziło jednak, że pewne dane o kluczowym znaczeniu lepiej przechowywać poza siecią.

\* \* \*

Około godziny dwudziestej trzeciej czasu wschodniego robak potrzebował już tylko nawozu, by zacząć znosić swe bezprecedensowe jaja.

## PRZYJĘCIE ZAŁOŻEŃ

– A niech mnie, Paul! Cieszę się, że cię widzę. Wejdz.

Freeman zamrugał nieśmiało i spełnił jego prośbę. W mieszkaniu Kate roiło się od gości. Większość była młoda i krzykliwie ubrana, ale zauważył też domieszkę skromniej odzianych ludzi z SZ-O albo wykładowców z UMKC. Rozstawiono przenośną jednostkę coleyową i troje tancerzy na razie trzymało się prostych tonów staroświeckiego bluesa. Zanim zaczną sekwencję wariacji, chcieli dokładniej poznać skojarzenia kolorów z tonami w tej jednostce.

– Skąd wiedziałaś, że tu jesteśmy? I co właściwie robisz w Kansas City? Myślałem, że udałaś się do Przepaści.

– Tylko w metaforycznym sensie – odparł Freeman z uśmiechem nadającym mu dziwnie chłopięcy wygląd, jakby razem z garniturem zrzucił z siebie dwadzieścia lat życia. – Przepaść jest naprawdę wielka, gdy już nauczymy się ją postrzegać. Nie, szczerze mówiąc, już przed kilkoma tygodniami domyśliłem się, że prędzej czy później tu wrócisz. Zadałem sobie pytanie, jakie jest najmniej prawdopodobne miejsce, w którym mógłbym cię znaleźć, i hmm... wybrałem numer, który najpierw przyszedł mi do głowy.

– Niepokoi mnie myśl, że moja starannie zrandomizowana trasa mogła być dla kogoś aż tak przewidywalna. Ach, idzie Kate.

Freeman zeszytywniał, jakby przygotowywał się na cios, ale ona przywitała go serdecznie, zapytała, czy chce się czegoś napić, i poszła przynieść mu piwo.

– Czy to jej matka? – mruknął Freeman, rozejrzawszy się po widocznej z tego punktu części mieszkania. – Ta w czerwono-zielonym stroju?

– Tak. Znasz ją, prawda? I człowieka, z którym rozmawia.

– Nazywa się Rico Posta, tak?

– Zgadza się.

– Hmm... Co tu właściwie jest grane?

– Przez chwilę panowało spore zamieszanie, bo oczywiście, gdy tylko rozeszły się wieści, że Kate wróciła i rzeczywiście porwał ją rządowy agent, jak twierdzili studenci, wszyscy byli gotowi wyszczepować campus. Po długich debatach udało się nam zamrozić ten pomysł, dzięki temu, że zasugerowaliśmy inne sposoby odwetu. Chodź do nas dołączyć...

– Na przykład jakie...

– Zaczniemy od zdewaluowania Tarnover.

Freeman zatrzymał się w pół kroku. Jakaś ładna dziewczyna wpadła na niego i rozlała połowę drinka. Zaczęły się długotrwałe przeprosiny.

– Słucham? – zapytał wreszcie czarnoskóry mężczyzna.

– To narzucający się pierwszy krok. Po opublikowaniu w mediach budżetu Tarnover i Crediton Hill, Kongres powinien powołać komisję

śledczą. Potem przyjdzie kolej na następne ośrodki. Weychopee znajduje się na końcu tej listy, ponieważ najtrudniej się dostać do jego wnętrza. Rzecz jasna, prócz rewelacji o charakterze finansowym ujawnimy też zdjęcia Mirandy i jej następczyń, procent zgonów wśród poddawanych eksperymentom dzieci i tak dalej.

– To chyba Paul Freeman! – zawołała Ina, wstając z fotela. W jej głosie pobrzmiwał wyraźny niepokój.

– W rzeczy samej. Przy tym trochę oszołomiony. Dopiero zacząłem zaznajamiać go z naszymi planami.

Kate przyniosła obiecane piwo, wręczyła je Freemanowi i przysiadła na poręczu fotela Iny. Rico Posta stanął przy niej.

– Oszołomiony – powtórzył po krótkiej chwili Freeman. – Tak, to prawda. Czemu ma służyć zaatakowanie Tarnover w pierwszej kolejności?

– Chcemy sprowokować lawinę emocjonalnych reakcji. Ponieważ do niedawna przebywałeś w środowisku, w którym racjonalizm ceni się bardzo wysoko, zapewne wątpisz, by to była właściwa strategia. Niemniej tego właśnie potrzebujemy, a dane z Tarnover są najprostszym sposobem osiągnięcia naszego celu. Jest wiele rzeczy wywołujących powszechny gniew, ale korupcja wśród polityków i świadome maltretowanie dzieci znajdują się na czele tej listy. To pierwsze przemawia do naszej świadomości, a to drugie do podświadomości.

– Och, oba przemawiają do podświadomości – sprzeciwiła się Ina. – Rico ulega takim samym koszmarom jak ja. Boimy się, że ktoś dobierze się do naszych zapisów kredytowych i zdewaluuje wszystko, na co pracowaliśmy przez całe życie. I nie będziemy mieli żadnych szans złapać winnego. – Zwróciła się ku córce. – Kate... nigdy dotąd nie odważyłam się ci tego powiedzieć, ale kiedy byłam z tobą w ciąży, tak bardzo przerażała mnie myśl, że możesz się urodzić nie taka jak trzeba, że...

– Kilka lat później przeciążyłaś się i zaczęłaś się obsesyjnie o mnie martwić. A kiedy dorosłam, nadal się martwiłaś, bo jestem nonkonformistką. I do tego nieładną. I co z tego? Jestem bystra i umiem się odbijać. To z pewnością powód do dumy dla matki. Zapytaj Nicka – dodała z figlarnym uśmiechem.

Freeman rozejrzał się wkoło.

– Nick? A zatem pozbyłeś się uprzedzeń wobec tego imienia? Auld Nick, Święty Mikołaj i tak dalej?

– A także patron złodziei. Świętemu Mikołajowi przypisuje się jednak również wskrzeszenie trojga zamordowanych dzieci. To typowo ludzki kompromis.

– Zmieniłeś się – stwierdził z powagą Freeman. – Pod wieloma względami. I... rezultat tej zmiany robi imponujące wrażenie.

– Wiele z tego jest twoją zasługą. Gdyby nie wytrącono mnie z kursu, którym zmierzałem przez całe życie... Wiesz, co jest z nami nie w porządku na poziomie życia publicznego? Ciągłe gryziemy się tym, co zrobić, by żyć jak do tej pory, podczas gdy powinniśmy szukać nowej, lepszej drogi. Nasze społeczeństwo mknie w warunkach zerowej grawitacji Bóg wie dokąd, i w rezultacie wszyscy cierpimy na osteokalcjolizę osobowości.

– Żeby przyśpieszyć, trzeba zwolnić – dodała Kate z przekonaniem w głosie.

Freeman zmarszczył czoło.

– Być może. Ale jak mamy wybrać lepszy kierunek?

– Nie musimy wybierać. To jest zaprogramowane.

– Jak coś takiego mogłoby być możliwe?

– Ja też nie chciałem w to uwierzyć – odezwał się nerwowo Rico Posta. – Nie z początku. Ale teraz nie mam wyjścia. Widziałem dowody. – Pociągnął gniewnie łyk. – Cholera, jestem ponoć wiceprezesem odpowiadającym w naszej korporacji za długoterminowe planowanie, ale nie miałem pojęcia, że używane przez SZ-O programy dokonujące ekstrapolacji trendów społecznych automatycznie myszkują w wynikach badań prowadzonych przez rząd w Crediton Hill. Czyż to nie szaleństwo? Ten system wprowadził trzeci w kolejności prezes przede mną, ale wszystko zamaskował i nie raczył o niczym zawiadomić dziobaka, który zajął jego miejsce. Nick wykrył to bez trudu i poprowadził mnie na wycieczkę po części sieci, o której istnieniu nie miałem pojęcia. – Wyciągnął drżącą rękę, wskazując palcem przed siebie. – Na tym cholernym wideofonie! Chce mi się rzygać, po prostu rzygać. Jeśli wiceprezes SZ-O nie może się

dowiedzieć, co się dzieje tuż pod jego nosem, jakie szanse mają zwykli ludzie?

– Szkoda, że przy tym nie byłem – odezwał się po chwili Freeman. – I co udało się odkryć w tych wynikach z Crediton Hill?

– Och... – Posta zaczerpnął głęboki oddech. – W przybliżeniu to, że koszty obrony czołowej pozycji, ekonomicznej, prestiżowej i tak dalej, spowodowały zjawisko przypominające „złapanie drugiego oddechu” przez sportowca, co prowadzi do spalania tkanki mięśniowej. Nie można tego ciągnąć bez końca. Spalanym przez nas materiałem są utalentowani ludzie, którzy mogliby zostać użytecznymi członkami społeczeństwa, gdyby tylko nacisk nie był tak silny, a w obecnej sytuacji zeszli na drogę przestępstwa, popełnili samobójstwo albo postradali zmysły.

– Nieraz myślałem, że z łatwością mogłem zostać handlarzem prochów – przyznał z namysłem Freeman. – Ale nie potrafię patrzeć na świat tak jak pan, nieprawdaż? Jestem winien ludziom, którzy zwerbowali mnie do Weychopee, wdzięczność za to, że nie spotkało mnie więzienie albo przedwczesna śmierć.

– Czy nasze społeczeństwo zmierza właściwym kursem, jeśli jeden z jego najbardziej utalentowanych członków nie może sobie znaleźć lepszego zawodu niż zajęcie przestępcy, chyba że wyda się na niego miliony ze środków publicznych?

Nick nie doczekał się odpowiedzi na to pytanie.

\* \* \*

Przyjęcie rozkręciło się na całego. Coleyowi tancerze rozgryźli już jednostkę. Ich liczba zwiększyła się trzykrotnie bez żadnych skutków ubocznych poza zdarzającymi się z rzadka sprzężeniami, a akordy, które produkowali, tworzyły razem złożony z trzydziestu dwóch taktów refren o strukturze AABA, nadal zachowujący tonację wyjściowego bluesa, choć jedna ze śmielszych dziewczyn próbowała przejść w moll. Niestety, ktoś inny podjął próbę narzucenia metrum trójdzielnego. Skutek był... interesujący.

– Jakie to ma znaczenie, czy się zgodzę, czy nie? – zapytał bezradnie Freeman, obserwując taniec. – Przekazałem wam kody z grupy N. Wiedziałem, że równie dobrze mógłbym wam dać bombę wodorową, ale i tak to zrobiłem. Gdybym tylko potrafił uwierzyć w to, co robicie... Mówisz jak ekonomista, a nawet gorzej, jak nihilista, pragnący zwalić nam na głowy dach świątyni.

– Nazwy tego, co robimy, nie wymyślił żaden radykał.

– A to ma nazwę?

– Pewnie, że ma – zapewniła stanowczo Kate. – Bolesne przewartościowanie.

Nick pokiwał głową.

– Przez cały czas pobytu w Tarnover wbijano mi do głowy, że muszę poszukiwać mądrości. Jej początkiem jest przyznanie, że zeszło się na manowce.

Coleyowa muzyka rozplynęła się w dysonansach i śmiechu. Tancerze rozeszli się w poszukiwaniu napojów, komplementując się nawzajem z powodu tego, jak długo zdołali przeciągnąć swoją zabawę. Jakiś niecierpliwy, spragniony uwagi młodzieniec natychmiast wskoczył na ich miejsce i wyczarował z niewidzialnych wiązek swój popisowy numer. Choć technicznie był znakomity, w porównaniu z komplikacjami dziewięcioosobowego tańca wydawał się słaby i płytki.

– Sweedack – odezwał się wreszcie Freeman. Twarz lśniła mu od potu. – Zostało nam tylko trzymać się mocno i czekać na tsunami.

## WYŚCIG MIĘDZY DZIAŁEM A PANCERZEM

Na drzewie ewolucji zeszłoroczne kwiaty więdną, a najpiękniejsze z nich często są bezpłodne.

Gdy triceratops pysznił się swymi trzema rogami, a diplodok machał pełnym wdzięku ogonem, coś, co nie miało nazwy, kradło im przyszłość.

# NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA RANO NA TWOJEJ SZPULI POCZTOWEJ

*Pochodzenie:* Laboratorium Bioeksperymentów w Tarnover.

*Oznaczenie:* K3/E2/100715 P.

*Temat:* Genetyczna modyfikacja *in vitro* (projekt nr 38).

*Natura:* Kontrolowane crossing-over podczas połączenia gamet.

*Operatorzy:* Dr Jason B. Saville, dr Maud Crowther.

*Biolog:* Dr Phoebe R. Whympers.

*Matka:* anon. ochot. dawc. (\$800 według wartości bieżącej, 1 rok).

*Ojciec:* Ochotnik z personelu (\$1000, jednorazowe honorarium).

*Płeć embrionu:* Żeńska.

*Długość trwania ciąży:* 11 dni.

*Przewidywany czas przeżycia:* Sześćdziesiąt siedem godzin.

*Opis:* Wady typowe dla klasy G0 i G9, tzn. cyklopia, rozszczep podniebienia, otwarte ciemiączko, niekompletny układ pokarmowy, brak oddzielenia odbytu od pochwy, deformacje miednicy oraz całkowity brak palców u nóg. Por. projekt nr 6.

*Wnioski:* Programowane wywołanie crossing-over zakończyło się tylko częściowym sukcesem przy zastosowaniu szablonu nr 17.

*Rekomendacje:* Wskazane powtórzenie doświadczenia, lecz w połączeniu z próbą nałożenia szablonu na substrat krystaliczny (na ręce) albo wykorzystanie wersji żelowej (na ręce).

*Utylizacja szczątków:* Autoryzowana (podpisano JBS).

# NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA W INFORMACJI O TWOIM RATINGU KREDYTOWYM

Inspekcja komputerowych zapisów wykazała, że ponad połowa kredytu na pana koncie pochodzi z nielegalnych źródeł. Szczegółowe informacje przekazano do biura Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych. Do



chwili postawienia w stan oskarżenia pański dozwolony kredyt ograniczono do Federalnego Minimum Przetrwania, tzn. \$28,50 dziennie.

Komisja do spraw Walki z Nędzą uznała tę sumę za niewystarczającą, by zapewnić adekwatną dietę, jednakże podwyższenie jej do proponowanej kwoty \$67,50 dziennie oczekuje na zatwierdzenie przez prezydenta.

Te cybernetyczne dane są dostępne publicznie.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA NA TWOIM BIURKU W PONIEDZIAŁEK RANO

*Do wszystkich pracowników*

*Marmaduke Smith Metal Products Inc.*

Wasza korporacja postanowiła zlecić SZ-O zbudowanie i wystrzelenie fabryki orbitalnej (kontrakt nieodwołalny) na podstawie raportu głównego księgowego, pana J.J. Himmelweissa, ostrzegającego, że czeka ją nieuchronne bankructwo.

Na tym samym zebraniu, na którym rada zatwierdziła kontrakt z SZ-O, postanowiono też przyznać wszystkim jej członkom dodatkowe sto procent posiadanego udziału akcji, celem sprzedaży po zawyżonych chwilowo cenach, przed dobrowolną likwidacją firmy, wyznaczoną na koniec przyszłego miesiąca.

To jest nieautoryzowana wiadomość cybernetyczna.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA W PAKIECIE KOSMETYCZNYM

Ten produkt zawiera znany alergen i znany czynnik rakotwórczy. Producenci wydali z górą \$650 000 na ugody polubowne, by uniknąć

pozwów nabywców. To jest cybernetyczna wiadomość wydrukowana na opakowaniu bez wiedzy i zgody producenta.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA NA OPAKOWANIU „NAPRAWDĘ NAJLEPSZEGO”® GULASZU WOŁOWEGO

Choć ten gulasz jest reklamowany jako sporządzony z produktów lokalnych, w rzeczywistości zawiera od piętnastu do trzydziestu pięciu procent importowanego mięsa, pochodzącego z rejonów, w których tyfus, brucelozę i trychinozę mają endemiczny charakter. Zdobywanie uprawnień do oznaczenia go jako sporządzonego z produktów lokalnych kosztowało około \$215 000, wydanych w charakterze łapówek dla celników oraz inspektorów sanitarno-epidemiologicznych. Ta cybernetyczna wiadomość pochodzi z dokumentów nieprzeznaczonych do publikacji.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA W COMIESIĘCZNYM ZAWIADOMIENIU DEBETOWYM

*Porada dla klientów firmy Antytrauma*

Sprawdzenie stanu pierwszych stu młodocianych pacjentów leczonych zgodnie z metodami stosowanymi przez firmę ujawniło, że po upływie co najmniej trzech lat od zakończenia terapii:

66 przyjmuje przepisane przez lekarza leki psychotropowe;

62 ma wyniki szkolne poniżej przeciętnej;

59 skarżyło się niedawno na koszmary i halucynacje;

43 było aresztowanych co najmniej jeden raz;

37 uciekło z domu co najmniej jeden raz;

19 siedzi w więzieniu lub jest poddanych ciągłemu nadzorowi;  
15 otrzymało wyrok za przestępstwa z użyciem przemocy;  
15 otrzymało wyrok za kradzież;  
13 otrzymało wyrok za podpalenie;  
8 co najmniej raz przebywało w szpitalu psychiatrycznym;  
6 nie żyje;  
5 zraniło rodziców, bliskich krewnych albo opiekunów;  
2 zamordowało rodzeństwo;  
1 oczekuje na proces o molestowanie trzyletniej dziewczynki.

Całkowita suma nie równa się stu, ponieważ większość z nich uwzględniono pod więcej niż jednym punktem. To jest cybernetyczne zawiadomienie sporządzone w interesie publicznym.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ ZNALEZIONA W TWOIM SPÓŹNIONYM WEZWANIU DO ZAPŁACENIA PODATKU

*Do wiadomości osoby zobowiązanej do zapłacenia tego podatku. Analiza zeszłorocznego budżetu federalnego ujawniła, co następuje:*

\*\*\* 17% twoich podatków wydano na bezsensowne projekty

\*\*\* 13% na propagandę, łapówki i podarunki

\*\*\* 11% na federalne kontrakty z korporacjami, które są:

(a) przykrywkami dla przestępczej działalności i/albo

(b) własnością osób oskarżonych o przestępstwa federalne i/albo

(c) zagrożeniem dla zdrowia oraz środowiska.

Bardziej szczegółowe informacje można uzyskać po wpisaniu kodu umieszczonego po lewej stronie na górze formularza do dowolnego wideofonu. Ich całkowita prezentacja wymaga około pięćdziesięciu siedmiu minut.

To jest cybernetyczna wiadomość dołączona bez zgody Departamentu Skarbu.

## NIEPOKOJĄCA WIADOMOŚĆ PODSŁUCHANA PRZEZ WIDEOFON

– Nie, panie Sullivan, nie możemy tego powstrzymać! Nigdy dotąd nie było robaka o tak twardej głowie i tak długim ogonie. On sam się rozbudowuje, rozumie pan? Już przekroczył miliard bitów i wciąż nie przestaje rosnąć. To jest odwrotność faga. Cokolwiek przechwyci, dodaje to do siebie zamiast wymazywać... Tak, zdaję sobie sprawę, że robak tego typu jest teoretycznie niemożliwy! Niemniej udało mu się tego dokonać, a teraz robak stał się tak wielki, że wypełnia całą sieć, i trzeba by ją wyłączyć całkowicie, żeby go zabić!

## WYNIK WYŚCIGU MÓZGÓW (OBLICZONY KOMPUTEROWO)

Pierwsi będą ostatnimi, a ostatni będą pierwszymi.

## CAŁY KONTYNET NA KRAWĘDZI JEDNEJ PRZEPAŚCI

Konferencję prasową automatycznie zorganizowaną przez program Nicka miano urządzić w największej auli na kampusie UMKC. Studenci z zachwytem ją zarekwirowali. Władze uniwersytetu dyskretnie odrzuciły prośbę gubernatora stanu o interwencję. Wśród osób, którym przypisywano prace nad Mirandą oraz innymi podobnymi do niej, znajdowało się dwóch obecnych członków kadry wykładowców. Obaj rozsądnie spędzali dzień za zamkniętymi drzwiami i stalowymi okiennicami. Widok zdeformowanych dzieci wywołał u studentów głębokie niezadowolenie.

Co więcej, po raz pierwszy od z górą pokolenia opinia publiczna całkowicie zgadzała się ze studentami. To było miłe. Może i nie usunęło rozłamu, ale przynajmniej przeniosło go na zdrowszą pozycję.

\* \* \*

Sala była zapchana do granic możliwości. Gdyby nowoczesna technologia nie zmniejszyła kamer trójwymiaru i sprzętu nagrywającego do rozmiarów, jakie inżynierowie sprzed pięćdziesięciu lat uznaliby za niemożliwe, zdziwieni, ale sumiennie pełniący swe obowiązki reporterzy, przybyli tu po to, by wysłuchać tajemniczych, lecz z pewnością sensacyjnych wiadomości, nie byłiby w stanie nic nagrać na swoich taśmach. I tak byli zmuszeni korzystać z wisielników, elektrycznych urządzeń latających oraz mikrofonów i soczewek o maksymalnym zasięgu, ponieważ nie byli w stanie zbliżyć się do mównicy. Kłótnie o priorytetowy dostęp do najlepszych punktów obserwacyjnych znacznie opóźniły początek konferencji, wyznaczony na dwunastą w południe.

Wreszcie jednak Kate wyszła na scenę. Przywitała ją owacja na stojąco, sprawiająca wrażenie, że nigdy się nie skończy. Kate potrzebowała sporo czasu, by uciszyć hałas, a gdy w końcu się jej to udało, pojawił się ten, który wpuścił lisa do kurnika. Audytorium ucichło, czekając na jego słowa.

– Nazywam się Nicholas Haflinger – oznajmił wyraźnym, donośnym głosem, zdolnym wypełnić aulę bez pomocy mikrofonów. – Zastanawiacie się, w jakim celu was tu wezwałem. To proste. Odpowiem na wszystkie wasze pytania. Dosłownie wszystkie. To jest największy news naszych czasów. Od tej chwili możecie się dowiedzieć wszystkiego, czego tylko zechcecie, pod warunkiem, że to jest w sieci danych. Inaczej mówiąc, nie będzie już więcej tajemnic.

\* \* \*

Jego słowa były tak wstrząsające, że słuchacze umilkli, chwilowo oszołomieni. Minęło wiele sekund, nim nieśmiało odezwała się reporterka siedząca w jednym z pierwszych rzędów, jedna ze szczęśliwców, którzy przybyli wcześniej.

– Rose Jordan z W3BC! Co z tą historią, którą ogłosiliście, przynętą, która nas tu zwabiła? Chodzi mi o to, że SZ-O ma podać do sądu Biuro Przetwarzania Danych za porwanie jej pracownika oraz jego dziewczyny?

– To byłam ja – wyjaśniła Kate. – Ta historia jest absolutnie prawdziwa, ale nie przyszedliście tu po jej szczegóły. Możecie o nie zapytać dowolny wideofon.

– Wczoraj musielibyście w tym celu przyjść tutaj – uściślił Nick. – Jeśli istnieje jakaś sztuka, którą BPD opanowało w mistrzowskim stopniu, z pewnością jest nią ukrywanie przed opinią publiczną nieprzyjemnych faktów dotyczących działalności rządu. Mam rację?

Odpowiedział mu szmer potwierdzenia. Studenci zgadzali się z nim z zasady, ale część reporterów również go poparła. Ich ponure miny sugerowały, że zetknęli się już z tego rodzaju trudnościami.

– No więc, z tym już koniec. Od tej chwili pytajcie, a usłyszycie odpowiedzi.

– Hej! – zawołał z niedowierzaniem mężczyzna siedzący obok Rose Jordan. – Od wczoraj docierają do nas najróżniejsze dziwne wiadomości. Na przykład o tym, że płacili kobietom za rodzenie dzieci, które na pewno miały być zdeformowane. Sugeruje pan, że to prawda?

– A co każe panu w to wątpić?

– Hmm... no cóż... – Dziennikarz obliznął wargi. – Pół godziny temu dzwoniłem do naszego biura i szef powiedział, że sam Aylwin Sullivan autorytatywnie zdewaluował tę informację. Wspomniał coś o sabotażyście.

– Na pewno chodziło mu o mnie. – Nick uniósł brew. – A czy zapewniał, że ten sabotaż uda się powstrzymać?

– Nic o tym nie słyszałem.

– To dobrze. Przynajmniej nie obiecują nic tak absurdalnego. Tego się nie da powstrzymać. Pewnie wszyscy wiecie, co to są tasiemce...? Znakomicie. No więc, ten, którego wypuściłem wczoraj do sieci, jest jak

ojciec i matka... wróć do tego za chwilę... jak ojciec i matka ich wszystkich. Składa się z serii nieodwołalnych poleceń nakazujących ujawnienie na każdej stacji wydruku wszystkich dostępnych danych, których opublikowanie może mieć znaczenie dla fizycznego, psychologicznego bądź społecznego położenia mieszkańców Ameryki Północnej. Pierwszeństwo mają, bez względu na to, czy ktokolwiek zgłosił pragnienie zapoznania się z nimi, dane mówiące o aktach poważnego naruszenia obowiązujących w Meksyku, Kanadzie bądź Stanach Zjednoczonych praw dotyczących – w kolejności priorytetu – zdrowia publicznego, ochrony środowiska, przekupstwa i korupcji, nieuczciwych praktyk biznesowych oraz niepłacenia należnych podatków. Wszelkie tego typu informacje będą automatycznie przesyłane do wszystkich mediów. Słowo „poważne” jest na ten użytek definiowane za pomocą progę. Żadne tego typu naruszenie nie zostanie ujawnione, jeśli przynajmniej jedna osoba nie zarobiła na nim nielegalnie co najmniej dziesięciu tysięcy dolarów.

Mówiąc, prostował się stopniowo i w tej chwili stał sztywno jak drut, a jego grzmiący głos niósł się echem w auli niby dzwon śmierci.

– To rzeczywiście jest ojciec i matka wszystkich tasiemców. Należy do typu znanego jako partenogenetyczny. Jeśli znacie współczesny żargon specjalistów od przetwarzania danych, z pewnością zauważyliście, że bardzo często używa się w nim terminologii wywodzącej się z badań nad żywymi zwierzętami. Istnieją powody tego stanu rzeczy. Tasiemiec nie darmo nosi tę nazwę. Można spowodować, że będzie się rozmnażał. Większość tasiemców musi w tym celu zostać zapłodniona. To znaczy, że potrzebna jest ingerencja z zewnątrz. Na przykład ten, który nie pozwala federalnym monitorować rozmów z Pomocnym Słuchaczem, albo podobny, większy, którego stworzono w Weychopee, to znaczy w Elektrycznym Deszczu, by zamknął sieć, gdyby doszło do nieprzyjacielskiej okupacji. Zaprojektowano je tak, by czekały w uśpieniu, dopóki ktoś ich nie dotknie. To samo dotyczy wszystkich robaków zaliczających się do typu fagów. Ale moje najnowsze arcydzieło rozmnaża się samo. Jako głowa służy mu ranking użyteczności państwowej, kod priorytetowy, który ukradłem z SZ-O. Przyznano go tej firmie, ponieważ,

jak wszystkie hiperkorporacje, od lat uważano ją za stojącą ponad prawem. Wyobraźcie sobie, jak kłopotliwe byłoby ujawnienie wszystkich przekrętów, łapówek i nieopodatkowanych podarków, które nie pojawiają się w corocznym raporcie dla akcjonariuszy. Drugim elementem mojego robaka jest kod grupy N, który daje takie same uprawnienia indywidualnym osobom. Posiadacz takiego kodu nigdy nie stanie przed sądem. Nigdy. Nawet gdyby zgwałcił córkę burmistrza w samo południe na głównej ulicy. Nie wierzycie mi? Zapytajcie wideofonu. Poproście o napisany prostym językiem wydruk etykiety kodu grupy N. Od mniej więcej półtorej godziny taki wydruk może otrzymać każdy. To bardzo pouczająca lektura.

Dwie albo trzy osoby wstały, jakby chciały sprawdzić prawdziwość zapewnień Nicka. Przerwał na chwilę, czekając, aż powróci spokój.

– Jeszcze dalej znajduje się klucz otwierający bezpieczne banki danych wszystkich ośrodków zajmujących się badaniami z dziedziny psychologii, w tym również Tarnover i Crediton Hill. Następny otwiera akta Departamentu Skarbu dotyczące dochodzeń w sprawie uchylania się od płacenia podatków, umorzonych na rozkaz prezydenta. Kolejny robi to samo z podobnymi archiwami, należącymi do prokuratora generalnego. Jeszcze następny daje dostęp do plików Agencji Żywności i Leków. I tak dalej. W tej chwili nie wiem już, co dokładnie znajduje się w której części robaka. Automatycznie dodaje się wciąż nowe bity, w miarę jak tasiemiec dociera do miejsc, o których istnieniu nawet mi się nie śniło. Ostatnie, o czym się dowiedziałem, zanim przyszedłem tu z wami porozmawiać, to klucz do plików CIA zawierających informacje wykorzystywane do szantażu na tle seksualnym. Można tam znaleźć naprawdę bardzo interesujące materiały. Założę się, że ich oglądanie wielu ludziom umili długie zimowe wieczory. Jeszcze parę punktów na zakończenie, zanim ktoś mnie o nie zapyta. Po pierwsze, czy to jest niewybaczalne pogwałcenie prywatności? Pogwałcenie z pewnością, ale czy niewybaczalne... no cóż, czy wierzycie, że nie wystarczy wymierzyć sprawiedliwości, lecz również należy to uczynić w sposób widoczny? Prywatność, którą narusza mój robak, jest maską, pod którą sprawiedliwości się nie wymierza,



a niesprawiedliwość staje się niedostrzegalna. Dla niego nie ma znaczenia, czy dziobak, który zgarnął wolną od podatku nagrodę, wydał ją na uwodzenie małych dziewczynek. Liczy się tylko fakt, że zapłacono mu za popełnienie przestępstwa i nikt go za to nie ukarał. Nieważne, czy dzięcioł, który przekupił kongresmana, jest heterykiem czy gejem. Ważne, że przedstawiciel władzy wziął łapówkę. Nieistotne, czy sędzia, która wprowadziła w błąd ławę przysięgłych, osłaniała swego kochanka. Liczy się tylko to, że wsadzono do więzienia kogoś, kogo powinno się uwolnić. I, nie, tasiemca nie da się zabić. Będzie się samopowieliał bez końca, dopóki sieć nie przestanie istnieć. Nawet jeśli uda się dezaktywować któryś segment, na jakiejś innej stacji przetrwa jego odpowiednik. Robak podzieli się automatycznie i wyśle kopię głowy, która zbierze utracone elementy i przywróci je na właściwe miejsce. Swoją drogą, tasiemiec ma wbudowany limit wzrostu. Nie będzie się powiększał bez końca i nie zapcha całej sieci. – Nick uśmiechnął się blado. – Mogę was jednak zapewnić, że wykonałem niezłą robotę.

\* \* \*

Wtem jakiś najwyżej trzydziestoparoletni, ale już dość tęgi mężczyzna siedzący gdzieś z tyłu auli zerwał się z krzesła i popędził w stronę mównicy.

– Zdrajca! – wołał. – Cholerny śmierdzący zdrajca!

Prawą ręką starał się wyszarpnąć spod marynarki coś, co najwyraźniej tam ugrzęzło. Wreszcie mu się udało. To był pistolet.

Mężczyzna spróbował wycelować, ale jakiś student siedzący przy przejściu podstawił mu nogę. Grubas przewrócił się z krzykiem. W następnej chwili obuta stopa nadepnęła mu na prawy nadgarstek, rozbijając go.

– Ach – odezwał się Nick zza mównicy. – Ten był pierwszy. Ale z pewnością nie będzie ostatni.

## PRAWDA UCZYNI WAS SOBĄ

*P: To całe Tarnover, o którym pan mówi. Nigdy o nim nie słyszałem.*

*O: To rządowy ośrodek, jeden z kilku. Wszystkimi kierują duchowi następcy ludzi, którzy nagromadzili więcej broni jądrowej, niż jej potrzeba, by zabić wszystkich ludzi na świecie. A może powinienem wymienić tych, którzy bez oporów brali pieniądze za oduczanie małych chłopców onanizmu.*

*P: Słucham?*

*O: Nie wierzy pan, że tacy ludzie istnieli? Proszę sprawdzić dane dotyczące dochodów Wydziału Nauk Behawioralnych na kampusie Lawrence w University of Kansas. Lata 1969 do 1970. Przysięgam, że to prawda.*

*P: Teraz to samo pytanie, tylko o Weychopee.*

*O: Ach, tak. Kiedy pracowałem w SZ-O, głęboko myszkowałem w ich bankach danych. To jest Elektryczny Deszcz, kontynentalne centrum obrony. Pod słowem „obrona” rozumieją przejęcie kontroli nad wszystkimi odłamkami planetoid zmierzającymi ku naszym fabrykom satelitarnym i zrzucenia ich na wschodnią półkulę niczym deszcz kul gradowych ważących po tysiąc ton każda. Jeszcze nie sprawdziłem, jaki procent osób, którzy kupili od SZ-O statki eksploatujące planetoidy, wiedziało, że taki ośrodek powstaje.*

*P: Przecież to szaleństwo!*

*O: Oczywiście. Fale uderzeniowe spowodowane impaktami zniszczyłyby wszystkie budynki na naszym kontynencie o wysokości przekraczającej piętnaście metrów. Ale oni się tym nie przejmują. Chcą zamienić Armagedon w dzieciinną zabawę. Przepraszam. Słucham?*

*P: Wartość akcji Antytraumy spadła prawie do zera. To pana robota?*

*A: Głównie ich samych. Odsetek nieudanych terapii nigdy nie spadł u nich poniżej sześćdziesięciu pięciu procent, ale trzymali to w tak ścisłej tajemnicy, że w zeszłym roku udało się im podwoić liczbę pacjentów. Mam nadzieję, że to już nigdy się nie powtórzy.*

*P: Z delfickimi notowaniami również dzieje się ostatnio coś dziwnego.*

*O: Cieszę się, że pan o tym wspomniał. Do sieci dostały się dane z Crediton Hill. Proszę je sprawdzić. Najpewniej bardzo wielu ludzi zdewało kupony, których*

ważność można zakwestionować. Ustawa o delfickich zakładach zobowiązuje organizatorów do zwrotu pieniędzy grającym, jeśli można udowodnić, że pulą manipulowano. Nigdzie nie jest też napisane, że samych organizatorów to nie dotyczy.

P: Myślałem, że celem delfickich zakładów jest informowanie rządu, na jakie zmiany ludność jest już przygotowana. Twierdzi pan, że tym również manipulowano?

O: Niech pan znajdzie wideofon i zapyta, ile razy na rok rząd federalny ingerował w zakłady w ciągu pięciu ostatnich lat.

P: Jak udało się panu stworzyć tak skomplikowanego tasiemca?

O: To jest talent, jak do muzyki albo poezji. Potrafię wpisywać dane do komputera całymi godzinami bez przerwy i nigdy nie popełnić ani jednego błędu.

P: Boże wszechmogący. No cóż, potop danych, który pan uwolnił, może odpowiadać ludziom podobnym do pana. Ja jestem śmiertelnie przerażony.

O: Przykro mi, że wolność pana przeraża.

P: Słucham?

O: Prawda was wyzwoli.

P: Mówi pan tak, jakby pan w to wierzył.

O: Pewnie, że wierzę, do licha! Gdybym nie wierzył...! Czy kogoś tu dręczą koszmary z powodu tego, że wie, że istnieją dane dostępne dla innych ludzi, ale nie dla niego? Czy ktoś cierpi z powodu chronicznych lęków, bezsenności, zaburzeń przewodu pokarmowego, zespołu uogólnionego stresu? No tak. Wystarczy zajrzeć pod pierwszy z brzegu kamień i znajdzie się ofiary. Jeśli zaś chodzi o zasadniczą przyczynę...? Czy ktoś tu gra w fechtunek? Tak? W takim razie wiecie, jakie to frustrujące, kiedy przeciwnik zajmie pole leżące pośrodku naszego najlepszego potencjalnego trójkąta. Wszystkie miłe naszemu sercu plany spalają na panewce, ponieważ daliśmy się przechytrzyć. Ale to tylko gra. Gdy chodzi o realne życie, nie jest już tak wesoło, czyż nie tak? A do tej pory siecią danych manipulowano tak, by maksymalnie utrudnić nam dowiedzenie się tego, co najbardziej potrzebujemy wiedzieć.

P: To znaczy?

O: Wiemy, czujemy instynktownie, że nieustannie podejmuje się decyzje, które zniszczą nasze ambicje, nasze marzenia oraz życie osobiste. Jednakże ludzie

*podejmujący te decyzje zachowują je w tajemnicy, bo w przeciwnym razie utraciliby przewagę nad podwładnymi. To cud, że wszyscy nie mamrocze bez sensu z przerażenia. Niemniej niektórym z nas to się zdarza, mam rację? Inni utrzymują się jakoś na powierzchni, nie dopuszczając do świadomości faktu, że wszystko w każdej chwili mogą wziąć diabli. Jeszcze inni wpędzają się w zubożniałą bierność, zwaną „nowym konformizmem”. Dzięki niej, nawet jeśli będą nagle zmuszeni odłączyć się na jednym końcu kontynentu i podłączyć na drugim, nawet nie zauważą różnicy. To chore. Czy celem stworzenia największego systemu przekazu informacji w dziejach ma być danie ludziom nowego powodu do paranoi?*

*P: Czy wierzy pan, że to, co pan zrobił, wszystko naprawi?*

*O: Czy sprawiam wrażenie aż tak aroganckiego? Mam nadzieję, że nie. To, co zrobiłem, w najlepszym razie stworzyło szansę na to, że wszystko skończy się dobrze. Szansę, której przedtem nie było. Lepiej mieć szansę niż jej nie mieć. Reszta... reszta zależy już od nas wszystkich, nie tylko ode mnie.*

## NIEBEZPIECZNE MIEJSCE

W domu Kate panowała cisza. Ulice w promieniu trzech przecznic patrolowali studenci, którzy zgłosili się na ochotnika, dumni z tego, że to właśnie ich uczelnię wybrano na miejsce, w którym uwolni się lawinę prawdy; wewnątrz Freeman pracował przy zdalnej konsoli danych, ofiarowanej mu przez SZ-O na polecenie Rico Posty. Regularna linia telefoniczna łączyła go z potężnymi komputerami pracującymi dla korporacji.

Wideofon również milczał. Dzwoniono do nich zbyt wiele razy, aż wreszcie zamówili filtrowanie.

– Jak idzie, Paul? – zapytała Kate, przynosząc mu kawę.

– Zapytaj Nicka. On potrafi pomieścić w głowie więcej spraw naraz ode mnie.

– Całkiem nieźle – odpowiedział Nick, posługujący się przy pracy zwyczajnym biurkowym kalkulatorem oraz notesem. – Kilka programów

przeznaczonych do alokacji zasobów było już dostępnych, a jeden z nich naprawdę jest cholernie dobry. Bardzo elastyczny. Ma też zgrabną funkcję aktualizacji.

– To znaczy, że jest lepszy od tego – poskarżył się Freeman. – Dopiero co natrafiłem na dziurę, przez którą mogłaby przelecieć fabryka orbitalna. Ale udało mi się znaleźć coś, co powinno pobudzić niektórych do myślenia.

– Powiedz mi!

Nick uniósł z zainteresowaniem wzrok.

– Dowód na to, że cała bieda na kontynencie jest tworzona sztucznie, pomijając przypadki wywodzące się z fizycznej bądź umysłowej choroby albo z indywidualnego wyboru. Na przykład, jeśli ktoś uprawia ziemię w puszczech północnej Kanady... albo wstępuje do klasztoru. To w sumie będzie... hmm... maksimum ćwierć procenta populacji.

Kate wlepiła w niego wzrok.

– Czyżbyś sugerował, że jakaś katastrofa obejmująca cały kontynent poprawiłaby naszą sytuację, zamiast ją pogorszyć? To absurd!

– Niezupełnie – sprzeciwił się Nick, nie przestając stukać w klawisze kalkulatora. – Przychodzi mi na myśl pewien przykład. Podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu racje żywnościowe w Wielkiej Brytanii obcięto do poziomu, który większość z nas uznałaby za głodowe. Dwie uncje margaryny na tydzień, jedno jajko na miesiąc, jeśli ktoś miał szczęście, i tak dalej. Ale ludzie mieli wtedy więcej rozsądku niż obecnie. Zatrudniono najlepszych specjalistów od dietetyki, żeby określili priorytety. Dzięki temu wychowali najwyższe, najzdrowsze i najatrakcyjniejsze pokolenie w historii. Kiedy po zniesieniu kartek wróciła krzywica, pisano o tym na pierwszych stronach gazet. Wydaje się nam, że dostatek i dobre zdrowie idą ze sobą w parze, ale wcale nie musi tak być. Ta droga prowadzi również do ataków serca.

Zadzwoił wideofon. Kate poderwała się nagle, ale Nick dotarł już do punktu, w którym mógł sobie zrobić chwilę przerwy, by zastanowić się nad tym, co do tej pory napisał. Wyciągnął machinalnie rękę i obrócił kamerę, by rozmówca go widział.

– Ted Horovitz! – zawołał.

Dwoje jego towarzyszy znieruchomiło, zapominając o innych sprawach.

Szeryf Przepaści wypuścił głośno powietrze z płuc i otarł twarz.

– Boże, przebijałem się przez wasze filtrowanie tak długo, że bałem się, że będzie za późno! Słuchajcie uważnie. Łamię zasady obowiązujące w Pomocnym Słuchaczu, ale myślę, że w tym przypadku to usprawiedliwione. Słyszeliście kiedyś o dzieciole nazwiskiem Hartz? Mówi, że jest byłym wicedyrektorem BPD.

Freeman pochylił się, wchodząc w pole widzenia kamery.

– Nie wiedziałem, że jest były – odparł. – Ale reszta się zgadza.

– W takim razie lepiej zmiatajcie stamtąd, gdzie jesteście. Oczyszcście cały dom. I na wszelki wypadek również sąsiednie ulice. Powiedział, że wydano zlecenie wykończenia was. Kategoria V, jak to określił.

Freeman zagwizdał.

– To znaczy „zlikwidować bez względu na straty”. W takim przypadku zwykle używa się bomby!

– To by się zgadzało. Dostaliśmy też informację, że ktoś spróbuje przemyścić bombę do Przepaści. Kazaliśmy Natty’emu Bumppo i całej reszcie psów otoczyć miasto kordonem... opowiem wam o wszystkim, kiedy do nas dotrzecie.

– Jesteś w stanie przewieźć trzy osoby? – zapytał Nick.

– Ja nie jadę – sprzeciwił się Freeman. – Muszę się trzymać blisko SZ-O. Potrzebuję ich urządzeń. Nie kłóć się ze mną! – Wyszczrzył radośnie zęby. Był teraz bardziej zrelaksowany i uśmiech nie upodabniał jego twarzy do oblicza czaszki. – Popełniłem w życiu parę złych uczynków. Jeśli dokończę tę robotę, za jednym zamachem zadośćuczynię za wszystkie.

Horovitz zerknął na zegarek.

– W porządku. Załatwię, żeby zabrano was za dziesięć minut. Jake Treves oczywiście miał zamiar do was wpaść, ale zawiadomiłem go, że miejsce spotkania się zmieni. Zaproponujcie coś, a przekażę mu wiadomość.

## NOCNA MISJA

- Wyglądasz na przygnębionego – zauważył kierowca.
- Do licha, cały kontynent wali się wokół nas...! – Pasażer siedzący na tylnym siedzeniu cichego elektrycznego samochodu szarpał się z zamkiem teczki, którą trzymał na kolanach. – Wszystko się pokręciło. Najpierw rozkazali mi wykonać robotę, potem powiedzieli: „Zaczekaj, może jednak wyślemy Gwardię Narodową”, a na koniec wrócili do planu wyjściowego. Jezu, ile strat ponieśliśmy, kiedy się zastanawiali! Dobra, to będzie wystarczająco blisko.
- To jeszcze pięć przecznic stąd! – sprzeciwił się zdumiony kierowca.
- Mają na straży kupę studentów. Mogą być uzbrojeni.
- Tak, ale... posłuchaj, jeździłem już z takimi misjami. Jeśli chcesz ich załatwić z tego miejsca, będziesz musiał...
- Daj sobie spokój – przerwał mu pasażer. – Nie uwierzyłbyś, co mam. – Otworzył z trzaskiem teczkę i zaczął składać w całość coś smukłego, ostro zakończonego i matowoczarneho. – Zatrzymaj się. Muszę to wystrzelić z punktu stałego.
- Kierowca posłuchał go, zerknął w lusterko i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.
- Ten drobiazg ma załatwić cały dom?
- Już ci mówiłem, że byś w to nie uwierzył – odparł pasażer, po czym otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.
- Co jest w tym...
- To nie twój interes!
- Po chwili pasażer ustąpił z cichym westchnieniem.
- Ech, w końcu co to za różnica! Ścisłe tajne nie ma już żadnego znaczenia, odkąd ten skurwiol wypuścił swojego robaka. Jutro każdy będzie mógł obejrzeć plany tego gadżetu. To się nazywa ptak kappa. Słyszałeś kiedyś tę nazwę?
- Kierowca zmarszczył brwi.
- Tak mi się zdaje. Masz w okolicy jeszcze dwa samochody, tak?

– Ehe. Pozwalają namierzyć dach celu z dokładnością do jednego metra.  
– Ale... cholera, cały dom?  
– Natychmiastowa burza ognia. Gorętsza niż powierzchnia Słońca. –  
Pasażer zachichotał z ironią. – Nadal masz ochotę podjechać bliżej?  
Kierowca pokręcił z emfazą głową.  
– Ja też nie. Dobra, startujemy. Zawróć na południe, ale się nie śpiesz.  
Po chwili szarą chmurę wiszącą nisko nad miastem podświetlił intensywny blask.

## DOBRZE UDOKUMENTOWANE

Na kontroli granicznej między stanami doktor Jake Treves posłusznie pokazał celnikom szereg dokumentów: własny dowód tożsamości, certyfikat zawodowy, pozwolenie na międzystanowy przewóz chronionych zwierząt, wydane mu jako biologowi, oraz dokumentację tej szczególnej podróży.

Potem rozmowa potoczyła się w przewidywalny sposób.

– Naprawdę ma pan w tej ciężarówce pumę?

– Ehe. Oczywiście podano jej środek uspokajający, więc nie ma zagrożenia.

– Hej! Nigdy nie widziałem żywej pumy. Czy mógłbym...?

– Jasne.

Celników zachęcono do odsunięcia drzwi i zajrzenia do środka. Zobaczyli tam postarzałą, lecz nadal gibką przedstawicielkę gatunku *Felis concolor*, oszołomioną, lecz wystarczająco przytomną, by odsłoniła zęby w grymasie irytacji.

Poculi też silny koci odór. Z puszkki z aerozolem. Bardzo skutecznie zachęcający wielkie koty do rozmnażania się w niewoli.

– Fuj! Mam nadzieję, że ma pan w kabinie wentylację!

I zniechęcający ludzi do wścibiania nosa.



## TRUDNA RADA

Przez pewien czas Bagheera krążyła po zielonym jak mech gabinecie Teda Horovitza, szukając Natty'ego Bumppo, którego zapach wypełniał całe pomieszczenie. Jednakże dorosłe psy nadal strzegły granic miasteczka. Teraz puma leżała sobie obok Kate, pozwalając się drapać delikatnie po uszach. Od czasu do czasu mruczała z zadowoleniem, ciesząc się, że znowu są razem.

Pytanie, jak się zachowa, gdy się przekona, że otacza ją ponad sto psów o zbliżonych do niej rozmiarach, będzie musiało poczekać na odpowiedź.

– Wiem, że Nick i Kate chcieliby nam zadać mnóstwo pytań – zaczął dziarsko Ted, spoglądając na grupę miejscowych: Josha i Lornę Trevesów, Suzy Dellinger, Sweetwater i Brada Comptona. – Nim jednak do tego dojdziemy, czy ktoś z was ma jakieś pytania do nich? Ale streszczajcie się, dobra? Słucham, Sweetwater?

– Nick, ile czasu minie, zanim przejrzą ten twój kit o partenogenetycznym robaku?

Zapytany rozpostarł dłonie.

– Nie mam pojęcia. Ludzie tacy jak Aylwin Sullivan i jego czołowi doradcy zapewne podejrzewają już prawdę. Stawiam jednak na to... właściwie to na dwa czynniki. Po pierwsze, naprawdę napisałem robaka, który jest za skomplikowany, żeby mogli sobie z nim poradzić. Po drugie, z ich punktu widzenia, ten nowy wynalazek zachowuje się dokładnie tak, jak zachowywałby się partenogenetyczny robak, gdyby coś takiego rzeczywiście można było stworzyć. W n-wartościowej analizie średnich dróg swobodnych istnieje twierdzenie sugerujące, że w pewnym punkcie ewolucji sieci danych musi się stać możliwe wyciągnięcie z niej funkcjonalnych programów, których nigdy do niej nie wprowadzono.

– Hej, hej! – Brad Compton klasnął w pulchne dłonie. – To sprytne! Bardzo sprytne! Nazywają je twierdzeniem o narodzinach z dziewicy, prawda? A ty dałeś im piękną, subtelną wskazówkę kierującą ich w tamtą stronę.

– Tak to w skrócie wygląda. Nie ma w tym nic oryginalnego. Ukradłem ten pomysł. Jego pionierami były mocarstwa zachodnie podczas drugiej wojny światowej. Kazały swoim naukowcom budować bezużyteczne urządzenia, sprawiające wrażenie, że z pewnością muszą coś robić. Następnie zamykano je w poobijanych metalowych skrzynkach, wywożono na strzelnicę i strzelano do nich zdobyczną nieprzyjacielską amunicją, po czym podrzucano je nazistom. Każde takie absurdalne ustrojstwo dawało kilkunastu czołowym niemieckim specjalistom zajęcie na długie tygodnie, nim odważyli się zapewnić, że to nie jest nowa tajna broń.

Przez grupę przebiegła fala wesołości.

– Tak czy inaczej – dodał Nick – nie ma większego znaczenia, kiedy się zorientują, że wprowadziłem ich w błąd. I tak będą musieli wyłączyć sieć, żeby go powstrzymać, mam rację?

– Z pewnością – potwierdziła lakonicznie burmistrz Dellinger. – Policzyłam, że mamy już dziewięćdziesiąt cztery zestawy tych plików Departamentu Skarbu, na których zmienili zamki, a także ponad sześćdziesiąt tych z FBI. Wszystkie, które widziałam, przekopowano do co najmniej czterdziestu miejsc, a choć federalne komputery próbują je śledzić, możemy być pewni, że ludzie, których nawet nie znamy, cały czas sporządzają kolejne kopie.

– Lepiej, żebyśmy ich nie poznali – mruknęła Lorna Treves. Jej mąż pokiwał z wigorem głową.

– Tak, to niebezpieczna sytuacja. Co prawda, zawsze powtarzaliśmy, że przygotowujemy się na coś takiego, ale... Hmm, fakt, że daliśmy się zaskoczyć, to kolejne potwierdzenie prawa Tofflera. Przyszłość zawsze przybywa za wcześnie i w niewłaściwej kolejności. Nick, ile czasu minie, zanim się zorientują, że w domu Kate nikogo nie było, kiedy go zbombardowali?

– Tego również nie potrafię odgadnąć. Po drodze tutaj nie miałem czasu zatrzymać się przy telefonie, żeby to sprawdzić.

Wszyscy raz jeszcze uśmiechnęli się jednocześnie.

– Tak czy inaczej – dodał Ted – zastosowałem niezbędne środki ostrożności. Obecnie, po tym, jak media pokazały ich konferencję prasową,

Nick i Kate są zapewne najlepiej rozpoznawalnymi osobami na kontynencie. Dlatego ludzie ich zauważą. W całym szeregu różnych miejsc po kolei, a czasem też jednocześnie. To z pewnością zajmie ścigającym kilka dni.

– Kilka dni – powtórzył Josh Treves. – Pewnie wyliczyliście to komputerowo.

Brad skinął głową.

– Pamiętaj też, że czerpiemy z największej puli krzyżowej analizy wpływów w dziejach.

Zapadła cisza. Wreszcie Kate się poruszyła, uświadomiwszy sobie, że nikt inny nie ma zamiaru się odezwać.

– Czy mogę zadać pytanie?

Ted skinął ręką na znak zgody.

– To brzmi trochę głupio, ale... A niech tam! Naprawdę chcę się tego dowiedzieć. I Nick pewnie też.

– Nie wiem, o co chodzi, ale się zgadzam – poparł ją Nick z ironią w głosie. – Nadal w dziewięćdziesięciu procentach kieruję się domysłami.

– Chcecie poznać historię Przepaści? – mruknął Ted. – Dobra, opowiem ją. Ale reszta niech lepiej wraca do roboty. Kryzys przeciążył również Pomocnego Słuchacza i jeśli sobie nie poradzimy...

– Brad też może zostać – dodała Sweetwater, wstając. – Przed chwilą zszedł ze zmiany, a po ostatniej rozmowie, którą odebrał, nie chcę, żeby teraz wracał.

– Było ciężko? – zapytał ze współczuciem Nick. Tłusty bibliotekarz przełknął z wysiłkiem ślinę i skinął głową.

– No to do zobaczenia – rzuciła Suzy Dellinger i wyszła z pokoju. Pozostali podążyli za nią.

\* \* \*

– Wiecie co? – zaczął Brad. Rozparł się wygodnie w fotelu, składając dłonie na wydatnym brzuchu, i wbił wzrok w migotliwy zielony sufit. – Nie

opowiadalibyśmy wam o tym, gdybyście postąpili tak, jak radziła wam Polly Ryan w dniu waszego przybycia.

– To znaczy? – zapytała Kate.

– Gdybyście przyszli zobaczyć nasze pierwsze wydanie serii „Amerykańska Apokalipsa”. Ile monografii miał twój ojciec?

– Wszystkie dwadzieścia!

– Oczywiście, podobnie jak wszyscy, myślał, że to bardzo przekonująca, okrągła liczba. Jednakże nasza edycja zawiera też dwudziesty pierwszy tom. Żaden wydawca nie chciał go przyjąć, żadna drukarnia nie zgadzała się go wydrukować, aż wreszcie, zdesperowani, wydrukowaliśmy go sami i przygotowaliśmy do dystrybucji. Ale wtedy w baraku, w którym składowaliśmy pierwsze dziesięć tysięcy egzemplarzy, podłożono bombę i wszystkie spaliły się na popiół. Nie mieliśmy szans zwyciężyć w tej bitwie. Dlatego... – Westchnął.

Kate pochyliła się nerwowo.

– O czym mówił ten dwudziestym pierwszy tom?

– Zawierał wszelkie potrzebne dowody, łącznie z nazwiskami, datami, miejscami i fotokopiami unieważnionych czeków, wyjaśniające, gdzie zniknęło pół miliona z czterech milionów publicznych pieniędzy przeznaczonych na pomoc dla uchodźców, które nigdy nie dotarły do celu.

– Nie opowiedziałeś całej historii – dodał Ted załamującym się głosem. – Kate, po przybyciu tutaj zapytałaś, czy Claes College rozpadło się dlatego, że większość jego członków została w Przepaści. Pamiętasz?

Skinęła głową z napięciem na twarzy.

– Odpowiedź brzmi „Tak”. Po zamachu nie mieli wyboru. Pomogliśmy z Bradem ich pochować.

Zapadła długa, głucha cisza.

– Jak się nazywa ta ostatnia monografia? – zapytała wreszcie Kate.

– Jej tytuł okazał się proroczy. *Odstąpienie zaplecza władzy.*

\* \* \*

Tym razem milczenie trwało tak długo, że mieli wrażenie, że powietrze zaczyna się rozciągać i w każdej chwili może się zerwać. Wreszcie Nick westchnął głośno.

– Cholera, nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób. Pewnie jestem ślepy.

– Nie będę się z tobą spierał – odrzekł szeryf z bardzo poważną miną. – Nie byłeś wyjątkiem. Niemniej, spoglądając wstecz... Pomyśl o tym w ten sposób. Dajesz populacji całego kontynentu bezprecedensowe możliwości: dostęp do informacji i transportu, oraz tak wiele kredytu, że nikt już nie będzie musiał być biedny. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko to podzieli się sprawiedliwie. Mniej więcej w tej samej chwili przyznajesz, że nie ma już sensu toczyć poważnych wojen, bo jest zbyt wiele do stracenia, a za mało do zyskania. Zgodnie ze sławnym powiedzeniem Portera, nadszedł czas wyścigu mózgów. Ale pracujesz dla rządu, jesteś jednym z tych, którzy mają władzę. Jej utrzymanie zawsze opierało się na ostatecznej sankcji: „Jeśli nas nie posłuchacie, zabijemy was”. Być może ta zasadnicza prawda nie docierała do twojej świadomości. Być może uświadomiłeś ją sobie mimowolnie dopiero wtedy, gdy byłeś zmuszony znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego wszystko nie idzie już tak gładko jak kiedyś. Rzecz jasna, w rezultacie przestano uważać broń za najważniejszy z zasobów państwa, zastępując ją indywidualnymi uzdolnieniami. Ale utalentowani ludzie są swarliwi, nieprzewidywalni i zawsze chcą stawiać na swoim. Nie sposób używać ich jak zwykłych narzędzi, zwykłych przedmiotów. Mógłbyś niemalże dojść do wniosku, że jesteś przestarzały. W nowoczesnym świecie nie ma miejsca na władzę tego typu, jaką zawsze sprawowałeś. Aż nagle rozjaśnia ci się w głowie. Istnieje inna organizacja posiadająca ogromną władzę i ta organizacja zawsze opierała się na osobach znacznie bardziej kłopotliwych niż te, z którymi przegrywasz. W niektórych przypadkach na ewidentnych psychopatach.

– I ta organizacja jest w równym stopniu zdeterminowana bronić swojego miejsca pod słońcem – dodał Brad. – W równym stopniu skłonna zastosować ostateczną sankcję wobec tych, którzy się jej sprzeciwiają.

Kate opadła szczęką.

– Tak... obawiam się, że tak. – Zaciśnęła pięści. Ale nie potrafię się zdobyć na to, by w to uwierzyć. Nick...?

– Od chwili, gdy zbombardowali twoje mieszkanie – odparł Nick twardym tonem – nic mnie już nie zdziwi. To cud, że zdążyliśmy oczyścić ulice. Ale czy na pewno...? Ted, już od początku chciałem cię o to zapytać. Czy ktoś został ranny?

Szeryf skinął głową z kwaśną miną.

– Obawiam się, że niektórzy studenci nie potraktowali ostrzeżenia wystarczająco poważnie. Dziesięciu odniosło obrażenia. Dwóch z nich zmarło.

Kate skryła twarz w dłoniach. Jej ramiona drżały.

– Mów dalej, Nick – zachęcił go Ted. – Opowiedz nam, jak to widzisz. Jak sam wczoraj powiedziałeś, prawda nas wyzwoli. Choćby nawet była najbardziej odrażająca.

– Istnieje tylko jedna struktura zdolna podtrzymać rządy w starym stylu – mruknął Nick. – Zorganizowana przestępczość.

\* \* \*

Ted wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem po pokoju.

– Oczywiście to nie jest nowość – mówił. – Minęło już pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, odkąd tradycyjne fortuny, wykorzystywane dotąd do utrzymywania władzy to jednej, to drugiej partii, wyczerpały się albo przeszły w ręce ludzi, którzy nie chcieli uczestniczyć w tej grze. Powstała próżnia. Przestępcy, poszukujący sposobów przetworzenia swych wielkich zasobów finansowych w realną władzę, wypełnili ją na podobieństwo wody napływającej przez lukę w pękniętej tamie. Zawsze uczestniczyli w polityce na poziomie miast i stanów, teraz zaś otrzymali szansę wspięcia się na najwyższy szczebel. To prawda, że pierwsza próba sięgnięcia po prezydenturę skończyła się dla syndykatu całkowitą kląpą. Nie zdawali sobie sprawy, jak wiele światła można rzucić na Biały Dom. Co więcej, korzystali ze sztuczek, które były już dobrze znane, na przykład

przekazywali pieniądze na łapówki drogą przez Meksyk i Wyspy Dziewicze. Ale uczyli się szybko.

– To prawda – zgodził się Brad. – Morał płynący z monografii numer dwadzieścia jeden nie dotyczy pół miliona dolarów, które udało się nam wysledzić, lecz całej reszty pieniędzy, których nie wykryliśmy. Wiemy dokąd trafiły, do skarbców wykorzystywanych w wojnach politycznych, ale nie mieliśmy szans znaleźć dowodów.

– W kontekście światowego traktatu o rozbrojeniu jądrowym liczyliśmy na coś lepszego – mruknął Ted.

– Założę się, że liczyliście. – Nick skrzywił się z niezadowoleniem. – Powinienem być już dawno się tego domyślić.

– Nie byłeś tak korzystnie ulokowany – zauważył z ironią Brad. – Kiedy ktoś dzieli namiot z dziesiątką innych uchodźców, nie ma ubrania na zmianę, porządnego jedzenia ani nawet wody zdatnej do picia, łatwo mu zauważyć, że przedstawiciel rządu federalnego i mafioso prawie niczym się od siebie nie różnią. Fakt, że między tymi dwiema grupami panowały bardzo przyjazne stosunki, tylko podkreślał to, co już przedtem sobie uświadomiliśmy.

– Mogłem dotrzeć w to miejsce inną trasą – wyjaśnił Nick. – Gdybym tylko zadał sobie pytanie, dlaczego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych rząd na tak wielką skalę dotował nauki behawioralne.

– To ważne spostrzeżenie. – Ted skinął głową. – I zgodne z całą resztą wzorca. Behawioryści zredukowali zasadę kija i marchewki do „naukowych” podstaw, podobnie jak naziści swe teorie rasowe. Nic w tym dziwnego, że stali się ulubieńcami establishmentu. Rządy opierają się na groźbach i traumach. Najłatwiej jest rządzić populacją, która jest słaba, biedna, przesądna i przerażona tym, co może przynieść jutro. Zwykłym ludziom z ulicy nieustannie należy też przypominać, że muszą zejść do rynsztoka, gdy ci, którzy stoją wyżej, raczą przechodzić obok. Metody behawiorystów umożliwiały zachowanie tej sytuacji, pomimo bezprecedensowego bogactwa, poziomu wykształcenia i pozornej

wolności, jakimi cieszy się dwudziestopierwszowieczna Ameryka Północna.

– Jeśli dostrzegasz w tym, co opisał Ted, podobieństwo do sytuacji panującej na Sycylii, to nie jest przypadek – wyszeptał cicho Brad.

Kate odzyskała już panowanie nad sobą. Pochylała się, wspierając łokcie na kolanach, i słuchała uważnie.

– Sieć danych z pewnością stała się dla nich straszliwą groźbą – zasugerowała.

– To prawda, ale potrafili się przed nią obronić – odparł Ted. – Przynajmniej do tej chwili. Zastosowali wszelkie możliwe środki ostrożności. Powołali system delficki, zbudowany na bazie stworzonej przez istniejące syndykaty hazardowe. Utrzymują, że modelem dla niego była giełda, ale w rzeczywistości różnica była bardzo niewielka, ponieważ w tym czasie pieniądze pochodzące z zysków z hazardu stały się jednym z dwóch albo trzech największych źródeł spekulacyjnego kapitału inwestycyjnego. Przestali przeszkadzać szczepom we wkraczaniu na ścieżkę wojenną i w związku z tym najambitniejszą młodzież, tę inteligentną i pełną gniewu, eliminowały śmierć albo kalectwo. To wydarzyło się w czysto naturalny sposób. Już od niepamiętnych czasów izolowali wojny gangów od opinii publicznej. Wykorzystali też potężną moc obliczeniową komputerów, skonstruowanych po to, by człowiek mógł bezpiecznie polecieć na Księżyc i z powrotem, do śledzenia ruchów ludności, przenoszącej się na nowe miejsca w tempie dwudziestu procent rocznie. I tak dalej. Nie muszę recytować całej listy.

– Ale jeśli byli tak ostrożni, jak udało się wam...? – Kate umilkła i przygryzła wargę. – Jestem głupia. Pomocny Słuchacz.

– Ehe. – Ted znowu usadowił się wygodnie. – Moc obliczeniowa, jaką dysponujemy w Przepaści, okazała się wystarczająca, by dostrzec regularności w rozmowach, które odbieramy w Pomocnym Słuchaczu od około szesnastu, siedemnastu lat. Co więcej, od czasu do czasu trafia się rozmowa, która otwiera przed nami całe nowe pole badań. Na przykład ta, którą ty przeprowadziłeś podczas pobytu w Tarnover. – Wskazał głową na Nicka. – Podążaliśmy dyskretnie za wszystkimi takimi tropami, zbierając



klucze potrzebne do otwarcia federalnych bezpiecznych banków danych. Byliśmy przekonani, że prędzej czy później musi się wydarzyć kryzys, który przyprawi opinię publiczną o oszołomienie i panikę. W takiej chwili ludzie zapragną, by ktoś im powiedział, jakie jest ich miejsce na świecie. Dla wsparcia naszego planu stworzyliśmy sieć tajnych szlaków ucieczki, dzięki której tu dotarliście, składającą się z naszych przyjaciół, znajomych, współpracowników, zwolenników, sympatyków, dosłownie setek ludzi wykonujących rozmaite zawody.

– Paul Freeman zgrabnie to ujął – odezwał się Nick. – Powiedział, że Przepaść jest naprawdę wielka, gdy już nauczymy się ją postrzegać.

Ted zachichotał.

– Z pewnością! Jeśli policzysz wszystkich ludzi uznanych przez nas za wolnych obywateli, których będziemy bronić jak siebie samych, liczba naszych mieszkańców pięcio- albo sześciokrotnie przewyższa tę, którą znajdziesz w spisie.

– Mieliśmy wzory, na których mogliśmy się oprzeć – dodał Brad. – Na przykład dawny ruch hipisowski. Osiemnastowieczna społeczność naukowców. Organizacja o nazwie Open Doors, która rozkwitła w połowie minionego stulecia. I tak dalej.

– Wykazaliście się fantastyczną zdolnością przewidywania – rzekła ciepło Kate.

– Całkiem niezłą – przyznał Ted. – Z pewnością wyższą od przeciętnej. Ale nie przewidzieliśmy, że kryzys przybędzie pod postacią jednego młodego człowieka!

– Nie jednego – sprzeciwił się Nick. – Kilku. Uciekiniera z Tarnover, doradcy stylu życia, gracza w fechtunek...

– Jednej osoby – przerwała stanowczo Kate, kładąc rękę na jego dłoni. – Aha, Ted, jeszcze jedno!

– Słucham?

– Dziękuję wam za uratowanie Bagheery.

– To nie było zbyt trudne. Rozmawiałaś po drodze z Jakiem Trevesem? Powiedział wam, dlaczego był w stanie to zrobić?

Pokręciła głową.

– Natychmiast zamknął nas w skrytce. Przez całą drogę nie wystawialiśmy głowy na zewnątrz.

– Tak pewnie było bezpieczniej. No więc, Jake jest jednym z ludzi pracujących nad tym, jak umożliwić naszym psom dożycie zaawansowanego wieku. To element szerzej zakrojonego programu badań nad związkami między stresem a starzeniem się. No wiesz, naprawdę powinnaś porozmawiać z Jakiem, gdy tylko trafi się okazja. Hipoteza twojego ojca...

Przerwał nagle. W ciemnościach nocy rozległo się ostre ujadanie. Do pierwszego psa dołączył drugi, a potem trzeci.

Brad uniósł głowę

– Coś mi się zdaje, że Nat złapał zamachowca, którego się spodziewaliśmy.

Ted wstał.

– Jeśli to prawda, nie chciałbym być na jego miejscu – mruknął.

## CZĘŚĆ CZYNNIKÓW, KTÓRYCH ZNACZENIE OSIĄGNĘŁO PUNKT SZCZYTOWY Z CHWILĄ ZAŁAMANIA SIĘ RZĄDU

1. Dziękuję za zapytanie dotyczące miejsca pobytu agenta Secret Service Miskina A. Breadloafa. Jest on obecnie otoczony intensywną opieką medyczną w Przepaści w stanie Kalifornia, z powodu obrażeń, jakie odniósł, stawiając opór podczas aresztowania przez szeryfa Theodore'a Horovitza. Breadloaf miał przy sobie sześć samonaprowadzających się bomb katapultowych, kod Armii Stanów Zjednoczonych QB3. Wydano mu je o 10:10 czasu pacyficznego w Arsenale Gwardii Narodowej w San Feliciano, zgodnie z Tajną Dyrektywą Prezydencką nr 19 001 HVW, która brzmi następująco: „Mam już dość Pomocnego Słuchacza. Załatwcie skurwysynów, którzy nim kierują. Nieważne, ilu jeszcze ludzi przy tym ucierpi”.

2. Z powodu niepowodzenia misji pana Breadloafa, wydano polecenie zaatakowania Przepaści jutro o godzinie 01:30 czasu pacyficznego. Ataku ma

*dokonać samolot startujący z lotniska Lowndes Field nieopodal San Diego. Ponieważ ma on być wyposażony w małe bomby jądrowe (Kod USAF 19-12), pan Breadloaf zapewne nie przeżyje.*

*(N3; część druga niniejszego tekstu jest cybernetyczną wiadomością opublikowaną w sprzeczności z punktem nr 229RR3X3 Departamentu Obrony, ponieważ może to mieć znaczenie dla fizycznego, psychologicznego albo społecznego położenia ludności).*

## SKRAJNIE NIEBEZPIECZNE SKRZYŻOWANIE

– Przestań się tak głupio uśmiechać! Wiedziałeś, że firma zbankrutuje, i mogę to udowodnić!

– Przepaść? A gdzie to jest?

– Moja siostra oślepla! Słyszysz pani?! Oślepla! I nigdy nie używała żadnego tuszu do rzęs poza produkowanym przez waszą firmę!

– Mają zbombardować amerykańskie miasto? To na pewno pomyłka.

– To były moje ciężko zarobione pieniądze! Wymościliście swoje śmierdzące gniazdko moją krwawicą!

– Przepaść? Chyba już gdzieś słyszałem tę nazwę.

– Jezu, co zrobiliście tej biednej małej cipci?! Nie spała dobrze od miesięcy, budzi się nocą z krzykiem i płaczem, a ja w swojej głupocie zawiozłem ją do was na więcej tego samego. Nie mógłbym już nigdy więcej spojrzeć jej w twarz, jeśli najpierw nie zdefasonuję waszych mord.

– O co chodzi z tą Przepaścią?

– Pewnie, że na niego głosowałem, do cholery. Ale gdybym wiedział o nim to, co wiem teraz, to, zamiast oddać na niego głos, rzuciłbym w niego cegłą.

– Atak? Jądrowy? Mój Boże, wiem, że Pomocny Słuchacz nie jest zbyt lubiany, ale...!

– Jim, pewnie nie znasz mojego prawnika, Charliego Sweyna. Ma ci coś do przekazania. Charlie? Świetnie. Z pewnością zauważysz, że wezwanie

do sądu wymienia straty wysokości pięćdziesięciu milionów.

- Myślałem, że mówimy o jakimś miasteczku zwanym Przepaścią.
- Widziałem, co jest napisane na tym formularzu podatkowym, i przysięgam na Boga, że zapłacę ci śrutem, jeśli zobaczę tu twoją brudną gębę.
- Naprawdę? Zawsze się zastanawiałem, gdzie mają bazę.
- Przepaść?
- Pomocny Słuchacz?
- Broń jądrowa?
- Mój Boże! Myślisz, że o tym wiedzą? Gdzie jest wideofon? Szybko!

## CHWILA NIEPEWNOŚCI

Okolo pierwszej w nocy, w siedzibie Pomocnego Słuchacza. Zwykle o tej porze panowała tu głucha cisza, ponieważ ruch wirowy Ziemi zaniósł większą część kontynentu w strefę snu i tylko garstka najbardziej samotnych, zrozpaczonych albo zdesperowanych nadal miała ochotę opowiedzieć o czymś anonimowemu słuchaczowi.

Dzisiaj jednak wyglądało to inaczej. W pomieszczeniu aż iskrzyło od powstrzymanej nerwowości. Cel, któremu od chwili założenia służyła Przepaść, był już blisko. Nikt z nich się nie spodziewał, że to się wydarzy tak szybko.

Miny dwunastu obecnych tu ludzi były poważne. Tylko połowa z nich zajmowała się odbieraniem rozmów. Część z nich przekazywano do prywatnych domów, a sześć pozostałych osób zajmowało się śledzeniem postępów ich supertasiemca.

Nick odwrócił się od konsoli i popatrzył na nich.

– Mam wiadomość od Paula Freemana. Uruchomił ten program „ciało i dusza”. Ten, który miał nadzieję stworzyć, modyfikując federalny program zajmujący się dystrybucją zasobów. Mówi, że to było trudne.

– Ten powojenny? – zapytała Sweetwater.

– Tak jest. – Nick rozprostował długie ręce. – Wykorzystywano go celem zapewnienia, że tylko ludzie zaaprobowani przez rząd otrzymają przydziały żywności, lekarstw, ubrań oraz energii.

– To znaczy – uściśliła Kate – że stworzono go celem zapewnienia, że ludzie tak głupi, że wciągnęli nas w poważną wojnę, po jej zakończeniu nadal pozostaną u władzy.

– I znowu nas załatwią, tak jest. Paul zdołał jednak usunąć ten czynnik, zastępując go czymś w rodzaju uprawnień do kredytu. Resztę pozostawił niezmienną, by program działał jeszcze skuteczniej niż wtedy, gdy był narzędziem Weychopee. Był przy tym, gdy go napisano, i natychmiast zauważył jego słabe punkty.

– Co właściwie robi teraz? – zapytał Brad Compton.

– Wiele niezłych rzeczy. Jeśli ludzie zagłosują za propozycją nr 1, żaden chciwy dzięcioł nie kupi sobie ściennego odbiornika trójwymiaru, dopóki ktokolwiek będzie bezdomny. Nie wybierze się w podróż sterowcem dookoła świata, dopóki ludzie będą umierali na choroby, które potrafimy wyleczyć.

– Nieźle brzmi jak na początek – przyznała Sweetwater. – Ale czy zrobiłeś jakieś postępy w próbach zrationalizowania systemu podatkowego, Nick? Tego właśnie chciałam się dowiedzieć. Kiedy pomyślę o tym, jak się wściekłam, kiedy musiałam się opłacać łapsom w Oakland z powodu miejscowych przepisów zakazujących działalności mediom...!

– Ehe. Propozycja nr 2 rozwija się równie dobrze jak pierwsza – zapewnił Nick i pośpiesznie wpisał kod. – Sprawdziłem ją jeszcze raz i usunąłem parę luk. Jeśli nie będzie dalszych przeszkód... ach, dobrze. Za jakieś dwie minuty będzie gotowa.

– Wiesz co? – odezwała się Suzy Dellinger. – Zawsze się zastanawiałam, jak pachnie demokracja. A teraz wreszcie czuję jej woń w powietrzu.

– To dziwne, że przybyła pod postacią elektronicznej formy rządów – wyszeptała Sweetwater.

Brad Compton zerknął na nią.

– Nie aż tak bardzo, jeśli się zastanowić nad historią wolności. To opowieść o tym, jak zasady stopniowo zdobywały przewagę nad kaprysami

tyranów. Wielkim przełomem była chwila, gdy zdecydowano, że prawo jest potężniejsze od królów. A teraz dotarliśmy do kolejnego kamienia milowego. Dajemy władzę grupie ludzi liczniejszej niż kiedykolwiek przedtem i...

– I czuję się z tego powodu jak ci, którzy zainicjowali pierwszą reakcję łańcuchową – przerwał mu Nick. – Czy jutro świat będzie jeszcze istniał?

Nastąpiła chwila ciszy, maćonej jedynie buczeniem elektrycznego sprzętu. Wszyscy zastanawiali się nad zakrojoną na skalę całego kontynentu akcją, zaplanowaną na pojutrze. Od siódmej do dziewiętnastej czasu lokalnego wszystkie wideofony w Ameryce Północnej będą raz po raz wyświetlały dwie propozycje, wsparte przez wersję mówioną na użytek analfabetów. W większości przypadków po angielsku, ale również po hiszpańsku, po chińsku oraz w niektórych językach indiańskich... proporcjonalnie do rezultatów ostatniego kontynentalnego spisu ludności. Po każdym powtórzeniu nastąpi przerwa, podczas której każda dorosła osoba będzie mogła wpisać do wideofonu swój kod, a po nim słowo „tak” albo „nie”.

Komputery na całym kontynencie podejmą kroki stosownie do ostatecznego werdyktu.

Propozycja nr 1 dotyczyła całkowitego wyeliminowania niedobrowolnej biedy. Propozycja nr 2...

– Gotowe – oznajmił Nick, przyglądając się kolumnom cyfr i grup kodowych pojawiającym się na jego ekranie. – Chyba wszystko jest na miejscu. Propozycja klasyfikuje zawody na diagramie o trzech osiach. Po pierwsze: wymagające specjalnego szkolenia albo nadzwyczajnego talentu mogącego go zastąpić. To obejmuje ludzi o szczególnych kreatywnych uzdolnieniach, jak muzycy i malarze. Po drugie: wady takie, jak nieprzewidywalne godziny albo trudne warunki pracy. Po trzecie: znaczenie dla społeczeństwa.

Brad klepnął się otwartą dłonią w udo.

– Cóż to za pomnik dla Claes College!

– Ehe. Do każdego wydruku dołączy się notatkę mówiącą, że gdybyśmy zwrócili uwagę na to, co grupa z Claes odkryła podczas pracy

z uchodźcami po wielkim trzęsieniu ziemi, wszystkie te problemy można by było rozwiązać już przed pokoleniem... Hmm! Tak, myślę, że udało się bardzo ładnie to zrównoważyć. Na przykład, lekarz będzie miał dużo punktów za specjalne szkolenie i znaczenie dla społeczeństwa, ale może się znaleźć w najwyższym przedziale dochodów tylko wtedy, gdy weźmie na siebie odpowiedzialność za pomoc w nagłych przypadkach, zamiast trzymać się wyznaczonych godzin pracy. Wtedy znajdzie się wysoko na wszystkich trzech skalach. Śmieciarz będzie nisko na skali specjalnego szkolenia, za to wysoko na drugiej i trzeciej. Wszyscy pracownicy służb publicznych, jak policjanci i strażacy, automatycznie znajdą się wysoko na trzeciej skali i w większości przypadków również na drugiej, a także... tak, to mi się podoba. Zwłaszcza dlatego, że mnóstwo pasożytów, które w starym systemie były na górze, będzie teraz płaciło dziewięćdziesiąt procent podatku, ponieważ na wszystkich trzech osiach dostaną zero.

– Zero? – zapytał ktoś z niedowierzaniem.

– Czemu by nie? Na przykład ludzie pracujący w reklamie.

Pytający uniósł brwi.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale masz rację.

– Myślisz, że to zaakceptują? – zapytała nerwowo Kate, głaszcząc leżącą obok Bagheerę. Odkąd puma zobaczyła Natty'ego Bumpo nie chciała się od niej oddalać. Niemniej zwierzęta tolerowały się nawzajem. Trudno byłoby liczyć na więcej.

– Jediną alternatywą jest dla nich wyłączenie sieci – odparł Nick, pstrykając palcami. – W ten sposób sami zacisną sobie pętlę na szyi. Suzy, wyglądasz na zaniepokojoną.

Kobieta skinęła głową.

– Nawet jeśli nie rozwalą świadomie sieci w jakimś spektakularnym akcie samobójstwa, kiedy się zorientują, że nie poradzą sobie z naszym atakiem... nasuwa się inne, bardziej niepokojące pytanie.

– Jakie?

– Czy ludzie wystraszyli się już wystarczająco mocno, by odzyskać rozsądek?

\* \* \*

Ciszę, która zapadła, przerwało ciche brzęczenie telefonu. Kate przełączyła rozmowę na swoją konsolę i nałożyła słuchawki.

Po paru sekundach westchnęła głośno. Wszyscy skierowali głowy w jej stronę.

Zerwała słuchawki i obróciła krzesło. Policzki miała blade jak papier, a w szeroko otwartych oczach malował się strach.

– To nie może być prawda! Po prostu nie może! Mój Boże, jest dwadzieścia po pierwszej. Samolot na pewno już wystartował!

– Słucham? Słucham? – odpowiedział jej chór zaniepokojonych głosów.

– Dzwoniąca podawała się za kuzynkę Miskina Breadloafa. Tego zamachowca, którego aresztowałeś, Ted. Powiedziała, że o pierwszej trzydzieści na Przepaść zrzucą bombę atomową!

– Dziesięć minut? Nie zdążymy ewakuować miasta w tak krótkim czasie! – wyszeptała Suzy, zaciskając pięści i wpatrując się w zegar na ścianie, jakby chciała siłą woli sprawić, że pokaże wcześniejszą godzinę.

– Musimy spróbować! – warknął Ted. Zerwał się na nogi i ruszył ku drzwiom. – Każę Natowi obudzić wszystkich i...

Nick rzucił się nagle ku konsoli i zaczął uderzać w klawiaturę palcami szybszymi niż palce pianisty.

– Nick! Nie trać czasu! Ruszaj się! Potrzebujemy pomocy wszystkich!

– Zamknij się – warknął Nick przez zaciśnięte zęby. – Ruszajcie, obudźcie wszystkich, wyprowadźcie tyłu, ilu zdołacie, ale nie przeszkadzajcie mi!

– Nick! – zawołała Kate, postępując niepewny krok ku niemu.

– Ty też! Zwiewaj w diabły, bo może mi się nie udać!

– Jeśli ty tu zostaniesz, ja też...

– Uciekaj, do cholery! – wysyczał Nick. – Natychmiast!

– Ale co próbujesz zrobić?

– Zamknij się i zwiewaj!

\* \* \*



Nagle Kate znalazła się w chłodnej ciemności. Idąca u jej boku Bagheera drżała, nastroszona sierść na karku pumy była szorstka w dotyku. Panował niewiarygodny hałas: szczekanie psów. Ted krzyczał przez megafon, a wszyscy, którzy mieli w co tłuc, robili to. Produkowany przez nich hałas z pewnością obudzi wszystkich.

– Uciekać! Opuścić miasto! Nic nie bierzcie, tylko zwiewajcie!

Wtem przed nią pojawił się pies. Kate zatrzymała się, niepewna, czy zdoła powstrzymać Bagheerę, jeśli wystraszony i zdeorientowany kot rzuci się do ataku.

Pies pomachał potężnym ogonem. Kate nagle rozpoznała Natty'ego Bumppo.

Zwierzę pochyliło łeb i wygięło szyję w zupełnie dla siebie nietypowej pozycji szczenięcia, po czym podeszło do Bagheery, jeszcze kilkakrotnie machając ogonem na znak sympatii. Włosy na karku pumy opadły. Kot pozwolił Natowi obwąchać swój pysk, choć pazury nadal miał na wpół wysunięte.

Czemu miała służyć ta pantomima? Czy Nat nie powinien pełnić straży, budzić ludzi szczekaniem?

Po chwili Bagheera podjęła decyzję. Wyciągnęła szyję i otarła policzek o nos Natty'ego Bumppo. Schowała pazury.

– Kate! – zawołał ktoś za jej plecami. Poderwała się raptownie. To była Sweetwater.

– Kate, nic ci nie jest? – Wysoka Indianka podbiegła do niej. – Dlaczego nie... ach, oczywiście. Nie możesz puścić luzem Bagheery.

Dziewczyna głęboko zaczerpnęła tchu.

– Myślałam, że nie mogę, ale Nat wyprowadził mnie z błędu.

– Słucham?

Sweetwater spojrzała na nią bez zrozumienia.

– Gdyby tylko ludzie mieli połowę wyczucia tego psa...!

Kate parsknęła bliskim hysterii śmiechem i puściła obroź Bagheery. Natty Bumppo natychmiast się odwrócił i popędził w mrok. Puma dotrzymywała mu kroku.

– Kate, o czym ty gadasz? – nie ustępowała Indianka.

– Nie zauważyłaś? Nat przed chwilą mianował Bagheerę wolnym obywatelem Przepaści!

– Och, przestań... Kate, chodź ze mną! Zostało nam tylko siedem minut!

\* \* \*

Nie mieli szans zorganizować ucieczki. Mieszkańcy Przepaści po prostu się rozproszyli, zmierzając najkrótszą drogą do granic miasta, a potem na otaczające je pola. Kate dyszała, kalecząc stopy o ostrą trawę albo kamienie. Prześcignęła ją suka niosąca na grzbiecie krzyczące dziecko. To mogła być Brynhilde. Nagle dziewczyna oberwała w twarz gałęzią i omal się nie przewróciła, ale czyjeś mocne ramię złapało ją i pomogło odzyskać równowagę. Mężczyzna prowadził ją naprzód przez kilkanaście kroków, a potem cisnął na ziemię w płytkim zagłębieniu, zapewniającym choć niewielką osłonę.

– Nie ma sensu uciekać dalej – zabrzmiał w ciemności basowy głos Teda.

– Lepiej być bliżej, ale za porządną warstwą ziemi, niż dalej, ale na otwartej przestrzeni.

Do zagłębienia wpadły dwie kolejne osoby. Jednej Kate nie znała, drugą był właściciel restauracji, Eustace Fenelli.

– Skąd ta cała panika? – zapytał lekko gderliwym głosem.

Ted wyjaśnił mu to pośpiesznie.

– Atak ma nastąpić za półtorej minuty – zakończył, zerkając na zegarek.

Przez chwilę Eustace nie mówił nic.

– Kurwa – skwitował wreszcie z cudowną prostotą, robiąc z jednego słowa całą encyklopedię obelg.

Ku swemu zdumieniu Kate nie mogła powstrzymać chichotu.

– Cieszę się, że kogoś to śmieszy – mruknął Eustace. – Kto...? Ach, to ty, Kate! Cześć. Czy Nick też tutaj jest?

– Nie chciał iść z nami – odparła najspokojniejszym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Słucham?

– Został w miasteczku.

– Ale... chcesz powiedzieć, że nikt go nie zawiadomił, bo nie można go było znaleźć?

– Nie... och, Ted!

Odwróciła się na oślep i wtuliła twarz w bark szeryfa. Jej ciałem targało gwałtowne łkanie.

Z oddali dobiegł przyprawiający o ból zębów jęk elektrycznych dźwigaczy superpotężnego typu używanego w szturmowych samolotach bliskiego zasięgu. Stawał się coraz głośniejszy.

I głośniejszy.

I głośniejszy.

## LINIA NAJWIĘKSZEGO OPORU

*Do Prezydenta Stanów Zjednoczonych*

PILNE I NAJŚCIŚLEJ TAJNE

Panie prezydencie,

przekazuję skopiowany na Pański użytek komunikat odebrany w Lowndes Field dziś o godzinie 00:14, rzekomo nadany przez Pana jako naczelnego dowódcę sił zbrojnych. Nakazuje on przeprowadzenie ataku jądrowego na cel o współrzędnych świadczących, że z całą pewnością znajduje się on na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Z uwagi na fakt, że na pierwszy rzut oka wyglądał on przekonująco, ponieważ zakodowano go za pomocą szyfru jednorazowego wyznaczonego na dzień dzisiejszy, mało brakowało, by doprowadził do katastrofy, a mianowicie do śmierci około trzech tysięcy osób cywilnych w miasteczku Przepaść w stanie Kalifornia. Muszę z żalem Pana poinformować, że rozpoczęto wykonywanie tej misji i tylko cudem udało się ją powstrzymać (po otrzymaniu komunikatu Departamentu Obrony nr 376 774P, który ostrzegał wszystkie bazy marynarki, sił lądowych oraz lotnictwa, że do sieci mogli się przedostać sabotażyści).

Podjąłem niezbędne kroki, by ukarać oficera, który zatwierdził rozpoczęcie misji. Na własną odpowiedzialność wysłałem też wiadomość streszczającą całą sprawę do wszystkich baz na zachodnim wybrzeżu. Z całym szacunkiem sugeruję, że powinno się bezzwłocznie zawiadomić wszystkie bazy w całym kraju.

Z poważaniem

*(podpis)*

Generał Wilbur H. Neugebauer

## PO CHWILI NIEPEWNOŚCI, PEWNOŚĆ

Widzieli opadający z nieba samolot. Widzieli go wyraźnie w niesamowitym niebieskim blasku jego odpychaczy, wciągających wielkie ilości powietrza w pole elektromagnetyczne tak potężne, że gdyby ktoś nierozważnie włożył rękę w ich świetlisty pierścień, po paru sekundach zostałby z niej kikut.

Słyszeli go również, rzecz jasna. Wył jak banshee.

Ale przelatując nad miastem... nie zrzucił nic na ziemię.

\* \* \*

Czekali jeszcze godzinę. Zęby im dzwoniły, zaciskali pięści, ledwie wazyli się unosić głowy, w obawie, że atak może jednak nastąpić. Potem mieszkańcy Przepaści na nowo odkryli nadzieję.

Ruszyli przez ciemność, wracając do domów przy akompaniamencie chóru płaczących dzieci.

\* \* \*

W jakiś sposób – Kate nie miała pojęcia jak właściwie do tego doszło – zorientowała się, że Bagheera znowu jest obok niej. Idącemu dwa kroki

przed nią Tedowi towarzyszył Natty Bumppo.

Puma mruczała.

Można by pomyśleć, że czuje się zaszczycona, że uznano ją za honorowego psa.

\* \* \*

Ted ostrożnie otworzył drzwi siedziby Pomocnego Słuchacza. Kate i Sweetwater wyciągały szyje, by zajrzeć do środka nad jego barkiem. Za nimi czekało niecierpliwie kilka kolejnych osób – Suzy, Eustace, Josh, Lorna i Brad – które zaczynały się już domyślać, komu zawdzięczają ocalenie.

Nick zawisł nad konsolą, trzymając dłonie na ramionach. Zemdłał.

Kate przepchnęła się obok Teda i podbiegła do Nicka, wołając go po imieniu.

Poruszył się, oblizwał wargi i usiadł prosto, dotykając skroni prawą dłonią. Sprawiał wrażenie oszołomionego, ale na widok Kate zmusił się do uśmiechu. Zaprezentował go też innym, którzy wchodzili do pomieszczenia za nim.

– Udało się – rzekł słabym, ochryplym głosem. – Nie śmiałem wierzyć, że się uda. Tak bardzo się bałem, byłem przerażony... ale zdążyłem na czas.

Ted przystanął przy nim, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Co właściwie zrobiłeś?

Nick zachichotał słabo i wskazał na ekran. Wiadomość od kogoś podpisanego jako generał Neugebauer do prezydenta przewijała się na nim w kółko, ponieważ tekst był za długi, by zmieścić się na ekranie.

– Niewiele zabrakło – dodał. – Cholernie niewiele. Oficer dyżurny w Lowndes był przyzwyczajony robić, co mu każą, i nie zadawać pytań. Kiedy usłyszałem, że misję już rozpoczęto, omal nie zemdlałem.

Sweetwater przepchnęła się na czoło tłumowi i wlepiła spojrzenie w ekran.

– Hej – odezwała się po chwili zamyślenia. – Czy rzeczywiście wysłano komunikat Departamentu Obrony numer jakiś tam?

– Pewnie, że nie wysłano. – Nick wstał i przeciągnął się, tłumiąc potężne ziewnięcie. – Ale doszedłem do wniosku, że najszybciej będzie go wymyślić.

– Najszybciej! – Sweetwater cofnęła się o pół kroku, otwierając szeroko oczy z zachwytem. Potem zaczęła odliczać na palcach. – O ile dobrze to rozumiem, musiałeś napisać komunikat w odpowiednim żargonie, znaleźć dla niego numer referencyjny, zakodować go za pomocą szyfru wyznaczonego na dzisiaj, wysłać do Lowndes odpowiednią drogą...

– Zaznaczyć go jako przeznaczony do automatycznego odkodowania, żeby nie czekał do rana jak większość komunikatów wysyłanych nocą – wtrącił Ted. – Mam rację, Nick?

– Ehe – zgodził się Nick w chwili drugiego, jeszcze potężniejszego ziewnięcia. – Ale nie to zabrało mi najwięcej czasu. Musiałem znaleźć domowy kod generała Neugebauera, który nie figuruje w żadnym wykazie poniżej dwugwiazdkowego priorytetu. Co więcej, generał nie był zadowolony, że go obudzono.

– I zrobiłeś to wszystko w niespełna dziesięć minut? – zapytała słabym głosem Kate.

Nick uśmiechnął się nieśmiało.

– Spoglądając wstecz, odnoszę wrażenie, że miałem tyle czasu, ile tylko mógłbym zapragnąć.

\* \* \*

Suzy Dellinger wyprostowała się jak struna i podeszła do niego.

– Rzadko się zdarza – zaczęła z widocznym skrępowaniem – by burmistrz tego miasta był zmuszony odprawić oficjalną ceremonię, jakie widuje się w innych miejscach. Na ogół obywamy się bez takich rzeczy. Niniejsza okazja wymaga jednak czegoś więcej. Nie muszę pytać współobywateli o zgodę. Ten, kto by jej odmówił, nie byłby prawdziwym obywatelem Przepaści. Nicholasie Kenton Haflinger, jako burmistrz Przepaści z dumą dziękuję ci w imieniu nas wszystkich.

Wyciągnęła rękę, by uścisnąć jego dłoń, ale ktoś jej w tym przeszkodził.

Natty Bumppo, który jak zwykle siedział obok właściciela, wstał niespodziewanie, odepchnął Suzy na bok, wsparł potężne łapy na piersi Nicka i polizał go po obu policzkach szerokim, różowym jęzorem.

Potem wrócił do Teda.

– Hmm. – Nick musiał przełknąć ślinę, zanim zdołał powiedzieć coś więcej. – Zapewne muszę to uznać za pochwałę.

Wszyscy poza nim wybuchnęli głośnym śmiechem. A także poza Kate, która wzięła go w ramiona, a twarz miała mokrą od łez.

– Nic podobnego nigdy się dotąd nie wydarzyło, prawda? – wyszeptała.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł cicho.

– Postąpiłeś właściwie, zrobiłeś jedyne, co...

Objęła mocno szyję Nicka i zbliżyła usta do jego ucha, by wyszeptać słowa, których nikt inny nie miał usłyszeć.

– Jesteś mądry!

Odpowiedział jej pocałunkiem, namiętym i długim.

## TREŚĆ PROPOZYCJI

1. To jest bogata planeta. W związku z tym bieda i głód nie są jej godne, a ponieważ możemy je zlikwidować, mamy obowiązek to zrobić.

2. Jesteśmy cywilizowanym gatunkiem. W związku z tym nikt odtąd nie będzie czerpał bezprawnych korzyści z faktu, że wszyscy razem wiemy więcej niż którykolwiek z nas może wiedzieć osobno.

## REZULTAT PLEBISCYTU

Jak zagłosowałeś?